

Sarah Dessen

bezsenność
we dwoje

Przełożyła Anna Kłosiewicz

**Mojej matce, Cynthii Dessen, która nauczyła mnie prawie
wszystkiego, co wiem o byciu dziewczyną,
i mojej córce, Sashy Clementine, która uczy mnie całej reszty.**

PISANIE KSIĄŻKI nigdy nie jest proste i czasem człowiek potrzebuje odrobiny wsparcia. W przypadku tej powieści, jak również wielu innych, miałam wyjątkowe szczęście korzystać z mądrości i wskazówek Leigh Feldman i Reginy Hayes. Barbara Sheldon, Janet Marks oraz moi rodzice, Alan i Cynthia Dessenowie, wspierali mnie duchowo, czego potrzebuje każda szalona literatka, zwłaszcza w okresie poporodowym. I jak zawsze jestem wdzięczna mojemu mężowi, Jayowi, który mnie rozśmiesza, pomaga wszystko spamiętać i który nauczył mnie na temat rowerów więcej, niż chciałam wiedzieć.

Wreszcie na ciepłe słowa zasługuje mój własny babski świat, nianie, bez których nigdy nie miałabym czasu napisać tej książki: Aleksandra Marcotte, Claudia Shapiro, Virginia Melvin, Ida Donner, Krysta Lindley oraz Lauren Caccese. Dziękuję Wam, że tak świetnie się nami opiekowałyście.

jeden

E-MAILE ZAWSZE zaczynały się tak samo:

Cześć Auden!!

Właśnie ten dodatkowy wykrzyknik działał mi na nerwy. Matka określiłaby go jako nieistotny, pretensjonalny, wyrażający nadmierną wylewność. Mnie po prostu irytował, jak wszystko, co dotyczyło mojej macochy, Heidi.

Mam nadzieję, że świetnie się bawisz w te ostatnie tygodnie szkoły. U nas wszystko w porządku! Chcemy się ze wszystkim uporać, zanim twoja siostrzyczka przyjdzie na świat. Mała strasznie kopie. Zdaje się, że ćwiczy tam w środku karate! Ostatnio zajmowałam się głównie doglądaniem sklepu (że się tak wyrażę) i wykańczaniem pokoju dla dziecka. Wygląda ślicznie, cały w różu i brązach. Dołączę zdjęcie, żebyś sama się mogła przekonać.

Twój tata jest zajęty jak zawsze, pracuje nad książką. Pewnie będę go widywać częściej, kiedy sama zacznę przesiadywać nocami z dzidziusiem!

Naprawdę mam nadzieję, że pomyślisz jeszcze nad przyjazdem do nas, gdy szkoła się skończy. Na pewno świetnie byśmy się bawili, no i dzięki temu lato stałoby się dużo bardziej wyjątkowe dla nas wszystkich. Przyjeżdżaj, kiedy tylko zechcesz. Bardzo chcielibyśmy cię zobaczyć!

Całuję

Heidi (razem z twoim tatą i nienarodzonym dzidziusiem!)

Sama lektura tych wynurzeń mnie wykończyła. Częściowo za sprawą rozemocjonowanej interpunkcji (zupełnie jakby ktoś krzy-

czał mi prosto do ucha), ale również z powodu samej Heidi, która była po prostu... nieistotna, pretensjonalna, nazbyt wylewna i irytująca. Tak właśnie odbierałam ją przez ostatni rok, czyli odkąd związała się z moim ojcem i zaszła w ciążę, czym doprowadziła do szybkiego ślubu.

Mamy zupełnie to nie zdziwiło. Po rozwodzie od razu przepowiedziała, że wkrótce tata „zada się pewnie z jakąś studentką”. Heidi niedawno skończyła dwadzieścia sześć lat. Dokładnie tyle samo miała mama, kiedy urodziła mojego brata, Hollisa, starszego o dwa lata - ale poza tym niewiele je łączyło. Matka jest błyskotliwym wykładowcą uniwersyteckim oraz cenioną badaczką roli kobiety w literaturze renesansu, Heidi zaś to... no cóż, Heidi. Kobieta, której siła płynie z nieustannego dbania o siebie (pedikiur, manikiur, balejaż), nikomu niepotrzebnej wiedzy na temat ściegów i butów oraz przegadanych e-maili *do ludzi*, których generalnie niewiele obchodzi, co Heidi ma do powiedzenia.

Zaloty ojca i Heidi trwały krótko, a do „zagnieżdżenia się jajeczka” (jak określiła to mama) doszło po zaledwie paru miesiącach. I tak ojciec przestał być tym, kim był przez lata - mężem doktor Victorii "West oraz autorem jednej dobrze przyjętej przez krytykę książki (obecnie zresztą lepiej znanym z udziału w międzywydziałowych sporach niż z pisanej w nieskończoność kontynuacji powieści) — aby ponownie wcielić się w rolę małżonka i ojca. Dodajcie do tego awans na stanowisko dziekana wydziału twórczego pisania w Weymar College, niewielkiej uczelni w nadbrzeżnym miasteczku, a zrozumiecie, że mój tata prowadził teraz zupełnie nowe życie. I chociaż często zapraszali mnie z Heidi do siebie, nie bardzo miałam ochotę sprawdzać, czy w jego świecie jest jeszcze dla mnie miejsce.

Nagle z drugiego pokoju dobiegł mnie wybuch śmiechu, któremu towarzyszył brzęk kieliszków. Matka urządziła jeden ze swoich zwyczajowych wieczorków dla studentów ostatniego roku. Zawsze rozpoczynały się jako uroczyste kolacje („Tej kulturze tak bardzo brak kultury!”, zwykła mawiać), aby ostatecznie przeistoczyć się w głośne pijackie dysputy o teorii literatury. Spojrzałam na zegar - było wpół

do jedenastej - a potem ostrożnie otworzyłam stopą drzwi sypialni i zerknęłam w stronę kuchni znajdującej się na końcu długiego korytarza. Mama oczywiście siedziała u szczytu ogromnego stołu z kieliszkiem czerwonego wina w ręku. Wokół tłoczyła się, jak zwykle, grupka studentów płci męskiej wpatrujących się w nią z podziwem, kiedy perorowała, jak zdążyłam się zorientować z docierających do mnie urywków zdań, na temat Marlowe'a i kultury kobiet.

To kolejna z wielu fascynujących sprzeczności, jakie kryła w sobie mama — choć zajmowała się rolą kobiet w literaturze, w życiu za kobietami nie przepadała. Wiele z nich zazdrościło jej inteligencji (bez trudu dostałaby się do Mensy), sukcesów (cztery książki, niezliczone artykuły, praca naukowa) i wyglądu (wysoki wzrost, pełne krągłości, a do tego bardzo długie, kruczoczarne włosy, które zwykle nosiła rozpuszczone i nieokiełznane — jedyne, co wymykało się jej spod kontroli). Dlatego też, między innymi, studentki nieczęsto wpadały na te spotkania, a jeśli już się na jakimś zjawiały, rzadko przychodziły ponownie.

— Doktor West - odezwał się teraz jeden ze studentów, chłopak z potarganymi włosami i typowymi dla kujonów okularami w czarnych oprawkach, jak większość ubrany niechlujnie w tani blezer - naprawdę powinna pani pomyśleć nad rozwinięciem tej myśli w artykuł. To fascynujące.

Patrzyłam, jak matka upija łyk wina i odgarnia dłonią włosy.

— O mój Boże, nie - odparła tym swoim niskim ochryłym głosem (mówiła jak nałogowa palaczka, chociaż nigdy w życiu nawet nie zaciągnęła się papierosem). - Ledwie starcza mi teraz czasu na pisanie książki, a za to przynajmniej mi płacą. Jeśli można to nazwać zapłatą.

Znowu rozległy się przymilne śmieszki. Matka uwielbiała narzekać, że dostaje tak niskie honoraria za swoje prace naukowe publikowane przez wydawnictwa uniwersyteckie, podczas gdy to, co określała mianem „durnych opowiadań dla gospodyń domowych”, sprzedaje się za ciężkie pieniądze. W świecie mojej matki każdy zabierałby ze sobą na plażę dzieła zebrane Szekspira, dorzucając do tego jeszcze może parę eposów.

— Mimo wszystko — nie poddawał się Kujon w Okularach - to świetny pomysł na artykuł. Mógłbym, hm, pomóc przy jego pisaniu, gdyby pani zechciała.

Matka podniosła kieliszek i popatrzyła na studenta spod zmrużonych powiek.

— Ojej — przerwała ciszę, jaka nagle zapadła w kuchni — to naprawdę miło z twojej *strony*. Ale ja z nikim nie dzielę autorstwa artykułów z tego samego powodu, dla którego nie szukam w pracy przyjaciół czy partnerów. Po prostu jestem zbyt wielką egoistką.

Nawet z daleka dało się zauważyć, jak zaczerwieniony Kujon w Okularach przetyka ślinę, a potem sięga po butelkę z winem, aby ukryć zmieszanie. „Idiota” - pomyślałam i łokciem zamknęłam drzwi. Nie tak łatwo zawrzeć z mamą przymierze, błyskawicznie stworzyć z nią bliską i trwałą więź. Sama najlepiej o tym wiedziałam.

Dziesięć minut później, z butami pod pachą, wymknęłam się bocznym wejściem do samochodu, aby ruszyć wyludnionymi ulicami szycującego się do spoczynku miasta do baru Rays. Ciasna knajpka z nazbyt okazałym neonem i stolikami, które zawsze trochę się lepiły, była jedynym lokalem w okolicy otwartym dwadzieścia cztery godziny na dobę przez cały rok. Ponieważ cierpiałam na bezsenność, właśnie tam spędzałam na lekturze lub nauce większość nocy, co godzina dorzucając dolara napiwku do wszystkich zamówień, aż do wschodu słońca. Moje problemy ze snem pojawiły się trzy lata temu, kiedy małżeństwo rodziców zaczęło się rozpadać. Właściwie mnie to nie zaskoczyło: odkąd sięgam pamięcią, ich związek zawsze był bardzo burzliwy, chociaż zwykle kłócili się nie o sprawy osobiste, a zawodowe.

Przeprowadzili się do miasteczka uniwersyteckiego zaraz po studiach, kiedy ojcu zaproponowano asystenturę na miejscowej uczelni. Wkrótce potem udało się też zainteresować jego powieścią *Cios narwala* pewnego wydawcę. Tymczasem mama, która była właśnie w ciąży z moim starszym bratem, starała się dokończyć doktorat. Przeżyliśmy taśmę o cztery lata, do moich narodzin. Tata, niesiony falą uznania krytyki oraz komercyjnego sukcesu - miejsce na liście best-

sellerów „New York Timesa”, nominacja do National Book Award — prowadzi zajęcia z kreatywnego pisarstwa, podczas gdy mama, wedle jej własnych słów, „nurza się w morzu pieluch i pogardy dla samej siebie”. Kiedy jednak poszłam do przedszkola, triumfalnie powróciła na uniwersytet, otrzymując stanowisko wykładowcy, oraz dostała propozycję opublikowania pracy doktorskiej. Z czasem stała się jednym z najpopularniejszych wykładowców na uczelni, zatrudniono ją na pełen etat i wydała kolejne dwie książki, natomiast kariera ojca utknęła w martwym punkcie. On sam wciąż powtarzał, jak wielką dumą napawają go osiągnięcia żony, i żartobliwie podkreślał, że teraz to ona jest głową rodziny, bo utrzymuje cały dom. Potem jednak mama otrzymała posadę profesora dotowanego, bardzo prestiżowe stanowisko, z kolei ojciec stracił kontrakt u wydawcy, co tak prestiżowe już nie było. Wtedy sprawy przybrały naprawdę paskudny obrót.

Kłótnie rozpoczynały się zwykle podczas kolacji, kiedy jedno z nich rzucało jakąś mało istotną uwagę, a drugie się o to obrażało. Potem dochodziło do awantury - ostrej wymiany zdań połączonej z ciskaniem talerzami o podłogę — po czym wszystko wracało do normy... przynajmniej do dziesiątej lub jedenastej wieczorem, kiedy nagle znów zaczynali się sprzeczać o tę samą sprawę. Później zrozumiałam, skąd się brała ta przerwa — rodzice czekali, aż zasną, żeby znowu skoczyć sobie do oczu.

Pewnej nocy postanowiłam, że nie pójdę spać. Zostawiłam otwarte drzwi i zapalone światło, odbyłam też parę ostentacyjnych wizyt w łazience, gdzie bardzo głośno myłam ręce. Metoda okazała się skuteczna jedynie na krótką metę i wkrótce awantury wybuchały na nowo. Tylko że mój organizm przyzwyczał się już do długiego czuwania w nocy, co oznaczało, że teraz słyszałam każde, każdziuteńkie słowo.

Mam sporo znajomych, których rodzice się rozstali. Reakcja dzieci na informację o rozwodzie bywa różnaita: od całkowitego zaskoczenia poprzez ogromne rozczarowanie aż po wszechogarniającą ulgę. Wspólny mianownik zawsze stanowią jednak rozmowy na temat tych uczuć, czy to z rodzicami, obojgiem jednocześnie albo każdym oddzielnie, czy też z psychiatrą podczas grupowej lub

indywidualnej terapii. Moja rodzina oczywiście musiała i pod tym względem być wyjątkiem. Wybrali scenariusz z gatunku: „usiądź, musimy ci coś powiedzieć”. Wiadomość przekazała mi przy stole w kuchni matka, podczas gdy wyglądający na znużonego ojciec opierał się o blat, nie wiedząc, co począć z rękami.

— Twój ojciec i ja podjęliśmy decyzję o separacji — poinformowała mnie tym samym beznamiętnym, rzeczowym tonem, którego używała wobec studentów, krytykując ich prace. - Na pewno zgodzisz się, że to rozwiązanie najlepsze dla nas wszystkich.

Nie potrafię określić, jaka była moja pierwsza reakcja. Nie ulga, nie rozczarowanie, ale też nie zaskoczenie. Chyba najbardziej uderzyło mnie wtedy, że poczułam się jak dziecko. Bezradne niemowlę. I to właśnie zdziwiło mnie najbardziej - że w takiej chwili doświadczyłam jakby spóźnionego dzieciństwa.

Kiedy się urodziłam, mój brat — trapiiony bolesnymi kolkami niemowlak, nadaktywny szkrab, „żywy” (czytaj: „niemożliwy”) maluch - zdążył już doprowadzić rodziców do kresu wytrzymałości. Nadal doprowadzał ich do białej gorączki, chociaż teraz przebywał na innym kontynencie. Podróżował po Europie, przysyłając jedynie sporadyczne e-maile z wieściami dotyczącymi swojego kolejnego pomysłu na życie, czemu niezmiennie towarzyszyła prośba o pieniądze na realizację planu. Pobyt za granicą nadawał temu wszystkiemu pozory koczowniczej artystycznej fantazji. Teraz rodzice mogli opowiadać przyjaciołom, że Hollis popała papierosy pod wieżą Eiffla, a nie w Quick Zip. Brzmiało to znacznie lepiej.

Hollis zawsze był dużym dzieciakiem, ja zaś starą malutką, która w wieku trzech lat przysłuchiwała się przy kuchennym stole dyskusjom dorosłych o literaturze, bez słowa malując w swoich kolorowankach. Dzieckiem, które w bardzo wczesnym wieku samo wymyślało sobie zabawy i od przedszkola miało prawdziwą obsesję na punkcie ocen, ponieważ tylko za ich sprawą mogło zwrócić na siebie uwagę rodziców.

- Och, nie przejmuj się - zwykła mawiać matka, kiedy któremuś z gości zdarzyło się zakląć czy powiedzieć coś niewłaściwego w mojej obecności. — Auden jest bardzo dojrzała jak na swój wiek.

Nie myliła się, niezależnie od tego, ile akurat miałam lat: dwa, cztery, czy też siedemnaście. Podczas gdy Hollis wymagał ciągłego dozoru, ja towarzyszyłam rodzicom praktycznie wszędzie: na koncertach symfonicznych, wystawach, konferencjach naukowych, spotkaniach różnych komitetów, gdzie oczekiwano ode mnie, że będę siedzieć cichutko jak mysz pod miotłą. Nigdy nie miałam czasu na rozrywki ani zbyt wielu zabawek, za to książek mi nie brakowało.

Z powodu takiego wychowania nie dogadywałam się z dziećmiakami w moim wieku. Nie rozumiałam ich szaleństwa, energii, zabaw w rzucając poduszkami z kanapy czy szalonych wyścigów rowerowych na naszej uliczce.

Wszystko to wydawało się świetną rozrywką, ale tak bardzo różniło się od życia, które znałam, że nie potrafiłabym się w to włączyć. Zresztą i tak nie miałam szansy, jako że rzucające poduszkami i szaleni cykliści zwykle nie uczęszczali do nastawionych na osiągnięcia naukowe szkół prywatnych, tak cenionych przez moich rodziców.

Wciągu ostatnich czterech lat zmieniałam szkołę trzykrotnie. Do Jackson High chodziłam zaledwie parę tygodni, do czasu gdy mama zauważyła literówkę oraz błąd gramatyczny w moim programie nauczania angielskiego i przepisała mnie do miejscowego prywatnego Perkins Day. Edukację traktowano tam wyjątkowo poważnie, ale nie tak bardzo jak w Kiffney-Brown, szkole społecznej, do której przeniosłam się w trzeciej klasie. Placówka, założona przez kilkoro emerytowanych nauczycieli, okazała się elitarna (góra setka uczniów), klasy były tam nieliczne, kładziono nacisk na ścisłą współpracę z miejscowym uniwersytetem, gdzie można było uczestniczyć w zajęciach na poziomie college'u, zdobywając w ten sposób punkty na studia. Miałam tam nawet kilkoro przyjaciół, ale z powodu atmosfery przesyconej duchem rywalizacji oraz indywidualnego toku nauczania właściwie nigdy się z nimi nie zżyłam.

Wcale się tym jednak nie martwiłam. Szkoła stanowiła dla mnie źródło pociechy, a nauka dawała możliwość ucieczki od rzeczywistości, pozwalając żyć na tysiące sposobów. Im bardziej rodzice lamentowali nad brakiem samodzielności Hollisa i jego mizernymi stopniami, tym więcej się uczyłam. Ale chociaż matka i ojciec ciągle

powtarzali, że są ze mnie dumni, szkolne osiągnięcia ani na jotę nie przybliżały mnie do upragnionego celu. Powinnam się domyślić, że mogę zwrócić na siebie uwagę rodziców tylko w jeden sposób: zawieść ich oczekiwania. Kiedy w końcu to zrozumiałam, odnoszenie sukcesów tak bardzo weszło mi w krew, że nie umiałam zmienić starych przyzwyczajzeń.

Tata wyprowadził się z domu, kiedy byłam w drugiej klasie liceum. Wynajął umeblowane mieszkanie tuż obok uniwersyteckiego kampusu, w budynku zajmowanym głównie przez studentów. Miałam z nim spędzać soboty i niedziele, ale nasze spotkania nie należały do radosnych. Sfrustrowany, wciąż zmagał się z drugą książką, której publikacja stanęła pod znakiem zapytania, natomiast mama wydawała kolejne prace. Atmosfera w domu też pozostawiała wiele do życzenia, bo mama ciągle świętowała swoje nowo odkryte życie singielki oraz osiągnięcia naukowe, przyjmując rzesze studentów na proszonych kolacjach w każdy weekend. Wyglądało na to, że nie ma miejsca, w którym mogłabym czuć się swobodnie, poza barem Rays.

Przejeżdżałam obok tego miejsca milion razy, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby się zatrzymać — aż do pewnej nocy, kiedy wracałam do domu o drugiej nad ranem. Ojciec, podobnie zresztą jak matka, nie traktował mnie zbyt rygorystycznie. Ze względu na mój specyficzny rozkład zajęć - parę lekcji wieczorem, elastyczny grafik seminariów w ciągu dnia i nadprogramowe kursy — wychodziłam i wracałam, kiedy tylko miałam ochotę, właściwie nie słysząc żadnych pytań. W rezultacie żadne z rodziców nawet nie zauważyło, że nie sypiam. Tamtej nocy popatrzyłam w okna Rays i poczułam ukłucie w sercu. Bar sprawiał wrażenie przytulnej, bezpiecznej przystani, pełnej ludzi, z którymi łączyła mnie co najmniej jedna rzecz. Zatrzymałam się więc i weszłam do środka, aby zamówić kawę oraz kawałek szarlotki. Zostałam aż do wschodu słońca.

Najfajniejsze w Rays okazało się to, że nawet kiedy byłam już stałą klientką, nadal mogłam się cieszyć samotnością. Nikt nie żądał więcej, niż chciałam dać, a personel, choć miły, nigdy się nie narzucał. Gdyby wszystkie związki były równie proste i gdybym ja zawsze

wiedziała, **co** robić! Tamtej jesieni jedna z kelnerek, **krępa starsza** kobieta z wypisanym na plakietce imieniem JULIE, dolewając mi kawy, zerknęła na formularz, który akurat wypełniałam.

- Uniwersytet Defriese - przeczytała na głos, a potem popatrzyła na mnie. — Całkiem niezła szkoła.

- Jedna z najlepszych - przytaknęłam.

- Myślisz, że **się dostaniesz?** Skinęłam głową. -Uhm.

Uśmiechnęła **się**, zupełnie jakbym była bardzo milutka, i poklepała mnie po ramieniu.

- Ach, **być** młodym i pewnym siebie... — rzuciła na odchodnym.

Chciałam jej powiedzieć, że wcale **nie** jestem pewna siebie, po prostu naprawdę ciężko pracowałam. Ale Julie przeszła już zmęczonym krokiem do następnego boksu i wdała **się** w pogawędkę z **siedzącym tam** facetem. Zresztą moje sprawy i **tak** jej **nie** obchodziły. Istniały światy, w których stopnie, szkoła, formularze, średnia **czy** wcześniejsze przyjęcie na studia **były** ważne, **i** takie, gdzie to wszystko **nie** miało znaczenia. Całe moje dotychczasowe życie toczyło **się** w jednym z tych pierwszych i nawet w barze Rays, który należał do drugiej kategorii, ciągle **nie** mogłam **się** odciąć od tego sposobu myślenia.

To właśnie moja wybujała ambicja i nauka w niezwykłej szkole sprawiły, że **nie** uczestniczyłam w tych wszystkich ważnych wydarzeniach ostatniego roku nauki w liceum, o których moje dawne przyjaciółki z Perkins Day rozprawiwały od tyłu miesięcy. Brałam **pod** uwagę jedynie udział w balu maturalnym, i to tylko dlatego że mój główny rywal w walce o najwyższą średnią, Jason Talbot, mnie zaprosił. Ostatecznie jednak nawet to **nie** doszło do skutku, ponieważ Jason w ostatniej chwili odwołał randkę, bo zaproszono go na jakąś konferencję ekologiczną. Powiedziałam sobie, że to **bez** znaczenia, ot, kolejna błahostka, równie nieistotna **jak** bitwy na poduszki **czy** szaleństwa na rowerach przed laty. **Ale** zastanawiałam się, tamtego wieczora i w tyle innych, co mnie ominęło.

Przesiadywałam w Ray's do drugiej, trzeciej lub czwartej nad ranem i ogarniał mnie ten dziwny niepokój. Kiedy podnosiłam wzrok znad książek i patrzyłam na innych klientów - kierowców ciężarówek, podróżnych, którzy zbiegli z autostrady międzystanowej, żeby wypić kawę przed dalszą jazdą, miejscowych dziwaków — towarzyszyło mi to samo uczucie, co tamtego dnia, gdy matka informowała mnie o separacji. Jakbym tu nie pasowała, bo powinnam być teraz w domu, spać we własnym łóżku, tak jak każdy dzieciak, którego za kilka godzin miałam spotkać w szkole. Ale równie szybko uczucie to mijało

i świat wracał do równowagi. A kiedy Julie znów przychodziła z dzbankiem kawy, przesuwałam kubek na skraj stolika, informując ją bez słów o tym, co obie dobrze wiedziałyśmy - że jeszcze chwilę tu zabawię.

* * *

Moja siostra przyrodnia, Thisbe Caroline West, przyszła na świat dzień przed ukończeniem przeze mnie szkoły. Ważyła trzy kilogramy sto. Ojciec zadzwonił następnego ranka, kompletnie wykończony.

- Tak mi przykro, Auden — powiedział. — Bardzo żałuję, że nie wysłucham twojego przemówienia.

- W porządku - odparłam. Do kuchni akurat wkroczyła ubrana w szlafrok mama, kierując się prosto w stronę ekspresu do kawy. — Jak się miewa Heidi?

- Dobrze, chociaż jest bardzo zmęczona. Poród bardzo się przedłużył, więc w końcu musieli jej zrobić cesarkę, co dodatkowo ją zdenerwowało. Ale na pewno poczuje się lepiej, kiedy trochę odpocznie.

- Przekaż jej moje gratulacje - dodałam.

- Jasne. A ty idź i daj im popalić, mała. - Typowe: dla ojca, który był znany z wojowniczości, wszystko, co miało jakikolwiek związek z nauką, oznaczało walkę. - Będę o tobie myślał.

Podziękowałam z uśmiechem, po czym odłożyłam słuchawkę. Matka dołączyła mleko do kawy, przez chwilę mieszała, delikatnie pobrzękując łyżeczką, a w końcu westchnęła:

- Niech zgadnę. Nie przyjdzie.

— Heidi urodziła córkę - wyjaśniłam. - Nazwali ją Thisbe. Matka prychnęła:

- O mój Boże. Tyle imion u Szekspira, a twój ojciec musiał wybrać właśnie to? Biedaczka. Całe życie będzie się musiała tłumaczyć.

Tak naprawdę mama nie miała prawa krytykować tej decyzji, skoro pozwoliła tacie nadać imiona mnie i mojemu bratu: Detram Hollis to profesor, którego ojciec bardzo podziwiał, natomiast W.H. Auden był jego ulubionym poetą. Jako dziecko żałowałam zresztą, że nie mam na imię Ashley lub Katherine, bo to znacznie ułatwiłoby mi życie, ale mama zawsze powtarzała, że moje imię stanowi coś w rodzaju papierka lakmusowego. Auden nie był tak znany jak Frost czy choćby Whitman, więc jeśli już ktoś o nim słyszał, mogłam mieć pewność, że to osoba dorównująca mi inteligencją, a więc warta mojego czasu i energii. Uznałam, że w przypadku Thisbe ta zasada może się sprawdzić tym bardziej, ale zamiast wyrazić swoją opinię na głos, usiadłam przy stole, żeby jeszcze raz przejrzeć notatki do przemówienia. Po krótkiej chwili mama przesunęła krzesło i przyłączyła się do mnie.

- Jak rozumiem, Heidi przeżyła poród? - rzuciła, upiwszy łyk kawy.

- Miała cesarkę.

— Szczęściara - orzekła mama. — Hollis ważył prawie pięć kilogramów, a znieczulenie nie zadziało. Twój brat omal mnie nie zabił.

Przerzuciłam jeszcze kilka kartek, czekając na jedną z opowieści, jakie zawsze następowały po tej informacji. Była zatem wśród nich historia o żarłoczności Hollisa, który wysysał mleko z matki do ostatniej kropelki. Albo o szaleństwie związanym z jego kolkami, kiedy to bez przerwy krzyczał, chociaż rodzice nosili go na rękach całymi godzinami. Albo ta o tacie i o tym, jak...

— Mam tylko nadzieję, że nie liczy za bardzo na pomoc twojego ojca - dodała mama, mrużąc oczy, po czym sięgnęła po moje notatki, żeby je przejrzeć. - To był prawdziwy cud, jeśli raz na jakiś czas zmienił pieluchę. Nie wspominając o tym, że ani razu nie wstał w nocy do karmienia. Twierdził, że ma problemy ze snem i musi

przespać dziewięć godzin, żeby móc prowadzić zajęcia. Wyjątkowo dogodna przypadłość.

Przez cały ten czas nie przerywała lektury, a ja poczułam znajome uczucie niepokoju, które towarzyszyło mi zawsze, kiedy robiłam coś, co stawało się obiektem jej oceny. Po chwili odłożyła jednak kartki bez słowa.

— No cóż - stwierdziłam, kiedy upiła kolejny łyk kawy - to było dawno temu. Może się zmienił.

— Ludzie się nie zmieniają. Jeśli już, to z wiekiem ich nawyki utrwala się, a nie słabną. - Matka potrząsnęła głową. - Pamiętam, jak przesiadywałam w naszej sypialni z wrzeszczącym Hollisem na rękach i marzyłam, żeby drzwi się otworzyły, żeby twój ojciec wszedł i powiedział: „Ja się nim zajmę, a ty idź odpocząć”. W końcu przestałam na niego liczyć i chciałam, żeby to był ktokolwiek. Ktokolwiek.

Powiedziawszy to, zapatrzyła się w świat za oknem, z palcami splecionymi na kubku, którego nie *podniosła do ust*. Zgarnęłam kartki i skrupulatnie ułożyłam je we właściwym porządku.

— Muszę się przygotować - przeprosiłam, wstając od stołu.

Mama nawet nie drgnęła, zupełnie jakby tkwiła w tamtej sypialni przed laty, nadal czekając. Dopiero kiedy byłam na korytarzu, odezwała się:

— Powinnaś jeszcze przemyśleć ten cytat z Faulknera. Jest zbyt poważny jak na wprowadzenie. Zabrzmi pretensjonalnie.

Spojrzałam na pierwszą kartkę ze słowami wypisanymi starannie drukowanymi literami: „*Przeszłość nigdy nie umiera. Nie jest nawet przeszłością*” *.

— Jasne — przytaknęłam. Oczywiście miała rację. Jak zawsze. — Dzięki.

* * *

Byłam tak zajęta nauką i zbliżającymi się studiami, że nawet nie pomyślałam o wakacjach. Ale nagle nastąpiło lato, a ja nie miałam do

*** William Faulkner, *Requiem dla zakonnic*, przeł. Waclaw Niepokólczycki, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1980, s. 60.**

roboty nic poza czekaniem, aż prawdziwe życie rozpocznie się na nowo.

Dwa tygodnie spędziłam na kompletowaniu wszystkiego, co potrzebne do college'u, i udzielaniu korepetycji w HuntsingerTest Prep, chociaż to ostatnie szło mi raczej marnie. Najwyraźniej tylko ja myślałam o szkole, co uświadomiły mi dobitnie stare przyjaciółki z Perkins, zapraszając mnie na różne imprezy czy wypadki nad jezioro. Chciałam się z nimi widywać, czułam jednak, że do nich nie pasuję. Co prawda w Kiffney-Brown uczyłam się tylko dwa lata, ale szkoła była tak inna, tak całkowicie nastawiona na naukę, że szybko zorientowałam się, że niewiele mam do powiedzenia, kiedy dawne znajome rozmawiają o wakacyjnej pracy czy chłopakach. Po kilku niezbyt udanych spotkaniach zaczęłam się wykręcać brakiem czasu. W końcu dziewczyny zrozumiały aluzję.

Atmosfera w domu też była dziwna, bo mama dostała grant na badania i pracowała teraz niemal na okrągło, a w rzadkich wolnych chwilach przyjmowała gości. Kiedy jej zaimprovizowane kolacje stały się zbyt głośne, wychodziłam na ganek i czytałam aż do zmierzchu. Wtedy mogłam wreszcie ruszyć do Rays.

Pewnego wieczora, kiedy podniosłam wzrok znad książki o budyzmie, zauważyłam nadjeżdżającego ulicą zielonego mercedesa. Auto zwolniło przy naszej skrzynce na listy, a potem się zatrzymało. Ze środka wyskoczyła bardzo ładna blondynka w biodrówkach, czerwonym topie bez ramiączek i sandałach na koturnie, z jakimś pakunkiem w rękę. Popatrzyła na nasz dom, potem na paczkę i znowu na dom, wreszcie ruszyła w jego stronę podjazdem. Dostrzegła mnie, dopiero gdy była prawie na schodach.

— Cześć! — zawołała bardzo przyjaźnie, co wzbudziło we mnie lekki niepokój. Nie zdążyłam zareagować, bo już podchodziła do mnie, szeroko uśmiechnięta. — Ty musisz być Auden.

— Tak - powiedziałam powoli.

— Jestem Tara! - Najwyraźniej to imię powinno wydać mi się znajome. Kiedy stało się jasne, że tak nie jest, dodała: — Dziewczyna Hollisa.

„O rany” - pomyślałam. A na głos powiedziałam:

- Ach, jasne. Oczywiście.

- Cieszę się, że mogę cię poznać! - Tara podeszła bliżej, żeby mnie objąć. Pachniała gardeniami i odświeżającymi chusteczkami. — Hol-lis usłyszał, że będę tędy przejeżdżać w drodze do domu, więc poprosił mnie, żeby ci to podrzucić. Prosto z Grecji!

Podawała mi pakunek zawinięty w zwykły brązowy papier, z moim imieniem i adresem wypisanym na górze pochyłym, niechlujnym pismem mojego brata. Zapadła niezręczna cisza.

Dziewczyna najwyraźniej czekała, aż otworzę paczkę, więc rozewałam papier.

W środku znajdowała się niewielka ramka ze szkła ozdobionego kolorowymi kamykami i napisem: „NAJLEPSZE CHWILE”. Za szybką tkwiło zdjęcie uśmiechniętego Hollisa. Stał przed Tadź Mahal, ubrany w spodenki i podkoszulek.

- Wspaniała, prawda? — odezwała się Tara. — Kupiliśmy ją na pchlim targu w Atenach.

Ponieważ nie mogłam powiedzieć, co naprawdę myślę, czyli że trzeba być niezłym narcyzem, aby dawać komuś w prezencie swoje zdjęcie, rzuciłam tylko:

- Jest piękna.

- Wiedziałam, że ci się spodoba! - Tara aż klasnęła. — Powiedziałam Hollisowi, że każdy potrzebuje ramek na zdjęcia. Dzięki nim wspomnienia są jeszcze bardziej wyjątkowe, prawda?

Popatrzyłam znowu na ramkę, na te ładne kamyki i zadowoloną minę mojego brata. NAJLEPSZE CHWILE, rzeczywiście.

- Jasne - mruknęłam. - Jak najbardziej.

Tara obdarzyła mnie kolejnym stuwatowym uśmiechem, a potem zerknęła przez okno za moimi plecami.

- Twoja mama jest w domu? Chciałabym się przywitać. Hollis ją uwielbia, cały czas o niej mówi.

- To wzajemna sympatia — odparłam. Tara spojrzała na mnie uważniej, więc uśmiechnęłam się szeroko. — Mama jest w kuchni. Długie ciemne włosy, zielona sukienka. Nie da się jej nie zauważyć.

- Super! - Zanim zdążyłam temu zapobiec, znowu mnie uścisnęła. - Strasznie ci dziękuję.

Skinęłam głową. Bezpośredniość stanowiła cechę wspólną wszystkich dziewczyn mojego brata, przynajmniej dopóki się za nie uważały. Dopiero później, kiedy e-maile przestawały przychodzić, telefony milkły, a Hollis nagle jakby zapadał się pod ziemię, poznawaliśmy je od innej strony. Normą były wtedy zaczerwienione oczy, łzawe wiadomości zostawiane na naszej sekretarce, od czasu do czasu wściekłe rajdy pod domem. Tara nie wyglądała mi na histeryczkę, ale nigdy nie wiadomo.

O jedenastej w domu nadal kłębili się wielbiciele matki, równie hałaśliwi jak zawsze. A ja tkwiłam u siebie w pokoju, z nudów sprawdzając mój profil w portalu UMe.com (żadnych wiadomości, których zresztą się nie spodziewałam) i pocztę (tylko jeden e-mail od taty z pytaniem, co słyhać). Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie zadzwonić do którejś z moich szkolnych koleżanek, ale przypomniałam sobie niezręczną atmosferę paru ostatnich spotkań i zrezygnowałam z tego pomysłu. Umościłam się na łóżku i sięgnęłam po stojącą na nocnej szafce ramkę od Hollisa, żeby jeszcze raz popatrzeć na wprawione w nią tandetne niebieskie kamyki. NAJLEPSZE CHWILE. Te słowa i odprężona, uśmiechnięta twarz brata przypomniały mi rozmowy dziewczyn przerzucających się anegdotami z całego roku szkolnego. Nie na temat zajęć czy ocen, ale spraw, które były mi równie obce co Tadź Mahal: towarzyskich skandali, chłopaków i złamanych serc. Moje koleżanki miały pewnie setki zdjęć, które pasowałyby do tej ramki, ja ani jednego.

Popatrzyłam znowu na Hollisa stojącego przed mauzoleum z plecakiem przerzuconym przez ramię. Podróże z całą pewnością dawały szansę na przeżycie czegoś nowego, zapewniały zmianę otoczenia. Nie miałam co marzyć o wyprawie do Grecji czy Indii. Ale przecież mogłam gdzieś wyjechać. «

Wróciłam do laptopa, otworzyłam pocztę i znalazłam wiadomość od taty, po czym, nie namyślając się wiele, napisałam do niego. W ciągu pół godziny otrzymałam odpowiedź.

Oczywiście, że powinnaś przyjechać! Możesz zostać, ile będziesz chciała. Twoje towarzystwo sprawi nam ogromną radość. I tak po prostu moje lato stało się zupełnie inne.

* * *

Następnego ranka zapakowałam do samochodu małą torbę z ubraniami, laptopa i ogromną walizę książek. Jeszcze przed wakacjami zdobyłam spis lektur na zajęcia, na które miałam chodzić jesienią w Defriese, a potem upolowałam w uniwersyteckiej księgarni kilka tytułów, stwierdzając, że nie zaszkodzi zapoznać się z materiałem wcześniej. Niezbyt rozrywkowy zestaw, jak zauważyłby pewnie Hollis, ale nie spodziewałam się, że u taty będę mieć do roboty coś więcej poza chodzeniem na plażę i przesiadywaniem w towarzystwie Heidi. Żadne z tych zajęć nie wydawało się szczególnie pociągające.

Z mamą pożegnałam się poprzedniego wieczora, podejrzewając, że po całonocnej imprezie będzie miała ochotę dłużej pospać. Ale kiedy rano zesłam do kuchni, krzątała się już ze zmęczoną twarzą, sprząając ze stołu baterię kieliszków po winie i stosy pomiętych serwetek.

- Siedziałas do późna? - zapytałam, chociaż jako nocny marek dobrze wiedziałam, że tak właśnie było. Ostatni samochód odjechał spod naszego domu koło wpół do drugiej.

- Niezupełnie - odparła, napełniając zlew wodą, po czym zerknęła przez ramię na bagaże ustawione przy drzwiach do garażu. — Wcześniej wyjeżdżasz. Tak ci się spieszy, żeby się ode mnie uwolnić?

- Nie, po prostu chcę uniknąć korków.

Szczerze mówiąc, nie sądziłam, żeby miało dla niej znaczenie, czy spędzę wakacje w domu, czy nie. I pewnie nie miałyby, gdybym nie wyjeżdżała. Na dodatek wybierałam się do taty. To zmieniało wszystko. Jak zawsze.

- Mogę sobie tylko wyobrazić, co cię tam czeka - rzuciła z kpiącym uśmiechem. - Twój ojciec z noworodkiem! W jego wieku! Komedia.

- Dam ci znać, jak wygląda sytuacja - obiecałam.

- Och, koniecznie. Oczekuję regularnych sprawozdań.

Przez chwilę patrzyłam, jak zanurza ręce w wodzie i wkłada do piany kieliszek.

- A więc, jak ci się podoba dziewczyna Hollisa?

Matka westchnęła.

- Powiedz mi jeszcze raz, co ona tu w ogóle robiła?

- Hollis przysłał ją z prezentem dla mnie.

- Naprawdę? - Mama odłożyła dwa kieliszki na suszarkę do naczyń.

-1 cóż to było?

- Ramka na zdjęcia. Prosto z Grecji. Ze zdjęciem Hollisa w środku.

- Aha. - Zakręciła kran i wierzchem dłoni odgarnęła włosy z twarzy. - Powiedziałaś jej, że powinna zatrzymać je dla siebie, bo to pewnie jedyny sposób, żeby mogła go znów zobaczyć?

Chociaż miałam identyczne podejrzenia, nagle, gdy usłyszałam je wypowiedziane przez mamę, zrobiło mi się żal Tary z jej szczerą, przyjazną twarzą i pewnością, że Hollis jest tym jedynym.

- Nigdy nie wiadomo — odparłam. — Może Hollis się zmienił i poprosi ją o rękę.

Mama odwróciła się i spojrzała na mnie spod zmrużonych powiek.

- Auden - powiedziała dobitnie - co ci mówiłam o ludziach?

- Że nigdy się nie zmieniają?

- No właśnie.

Wróciła do zmywania, a ja zauważyłam okulary w czarnych oprawkach leżące na blacie przy drzwiach. I nagle wszystko nabrało sensu: strzępki rozmowy, które słyszałam późno w nocy, fakt, że mama była na nogach tak wcześnie, gotowa rzucić się w wir sprzątanego po imprezie, co jej się raczej nie zdarzało. Zastanawiałam się, czy ostatecznie nie zabrać okularów, ale zrezygnowałam z tego pomysłu. Kiedy się żegnałyśmy, mama przytuliła mnie z całych sił — jej uściski zawsze były mocne, zupełnie jakby miała trzymać mnie tak przez całą wieczność — po czym wyprawiła mnie w drogę.

dwa

DOM, W KTÓRYM MIESZKALI tata i Heidi, był dokładnie taki, jak się spodziewałam. Pomalowany na biało uroczy budynek z zielonymi okiennicami i szeroką werandą, na której stały bujane fotele i kwiaty w donicach, na drzwiach zaś wisiał sympatyczny ananas z żółtej ceramiki z napisem „WITAMY!”. Brakowało tylko białego płotka.

Wjechałam na podjazd. W otwartym garażu zauważyłam poobijane volvo taty, obok stała wyglądająca na nowszą toyota prius. Kiedy wyłączyłam silnik, usłyszałam głośny huk fal. Ocean musiał być naprawdę blisko. I rzeczywiście, za domem dostrzegłam kępy traw i szeroki pas błękitu ciągnący się aż po horyzont.

Pomijając widok zapierający dech w piersiach, miałam spore wątpliwości, czy podjęłam słuszną decyzję. Nigdy nie byłam zbyt spontaniczna, a im bardziej oddalałam się od rodzinnego domu, tym bardziej przerażał mnie pomysł spędzenia całego lata z Heidi. Czy czekały mnie grupowe sesje manikiuru w towarzystwie maco[^] chy i niemowlaka? A może Heidi będzie się upierała, żebyśmy chodziły razem na plażę, wystrojone w identyczne podkoszulki retro z napisem „KOCHAM JEDNOROŻCE”? Wciąż jednak nie mogłam przestać myśleć o zdjęciu Hollisa na tle Tadź Mahal i o tym, jak strasznie będę się nudzić w domu. Do tego ostatnio prawie w ogóle nie widywałam taty. Taka sytuacja — całe osiem tygodni, kiedy nie wykładał na uczelni, a ja nie chodziłam do szkoły — wydawała się ostatnią okazją, żeby spędzić z nim trochę czasu, zanim rozpocznę naukę w college'u i prawdziwe życie.

Odetchnęłam głęboko i wysiadłam z samochodu, powtarzając sobie w myślach, że niezależnie od tego, z czym wyskoczy Heidi, będę się po prostu uśmiechać i robić dobrą minę do złej gry. Przynajmniej dopóki nie dotrę do pokoju, w którym mnie ulokują, i nie zamknę za sobą drzwi.

Nacisnęłam dzwonek, a potem zrobiłam krok do tyłu, starając się nadać twarzy odpowiednio przyjazny wyraz. Nikt się nie zjawił, zadzwoniłam więc jeszcze raz, a potem zaczęłam nasłuchiwać nieuniknionego stukotu obcasów, radosnego szczebiotu Heidi wołającej: „Chwileczkę!”. Znowu nic.

Sięgnęłam do klamki - ustąpiła bez problemu.

— Hej, hej! — zawołałam, wsuwając głowę do środka. Mój głos odbił się echem w pustym korytarzu, pomalowanym na żółto i ozdobionym oprawionymi w ramki reprodukcjami. — Jest tam kto?

Cisza. Przekroczyłam próg. Dopiero kiedy zamknęłam drzwi, usłyszałam ten dźwięk: znowu ocean, chociaż teraz brzmiący nieco inaczej, zupełnie jakby był o wiele bliżej, tuż za rogiem. Podążyłam za nim w głąb korytarza, a ponieważ szum fal stawał się z każdym krokiem coraz głośniejszy, spodziewałam się zobaczyć otwarte okno lub tylne drzwi. Zamiast tego trafiłam do salonu, gdzie hałas był wręcz ogłuszający. Na kanapie siedziała Heidi, trzymając w objęciach dziecko.

Przynajmniej wydawało mi się, że to Heidi. Trudno było to stwierdzić na pewno, bo zupełnie nie przypominała kobiety, którą widziałam ostatnio. Włosy miała związane niedbale w kucyk, luźne pasma przykleiły jej się do twarzy, ubrana była w znoszone spodnie dresowe i za duży T-shirt z logo uniwersytetu, z jakąś moką plamą na rękawie. Oczy miała zamknięte, głowę lekko odchyłoną. Myślałam, że śpi, dopóki nie wysyczała przez zaciśnięte wargi:

— Jeśli ją obudzisz, zabiję cię.

Zamarłam. Potem zaczęłam się ostrożnie wycofywać:

— Przepraszam. Ja tylko...

Heidi otworzyła oczy i gwałtownie odwróciła głowę, żeby spojrzeć na mnie spod zmrużonych powiek. Kiedy wreszcie dotarło do niej,

kim jestem, na jej twarzy odmalowało się zdumienie. A potem zwyczajnie wybuchła płaczem.

- O mój Boże, Auden! - wykrztusiła ściśniętym głosem. - Tak mi przykro. Zapomniałam, że masz... ale to żadne usprawiedliwienie... — Urwała. Spazmatyczny szloch wstrząsał ramionami Heidi, a tymczasem niemowlę w jej objęciach, maleństwo niemal zbyt drobne, by w ogóle istnieć, spało dalej, kompletnie tego nieświadome.

Rozejrzałam się w panice po pokoju, zastanawiając się, gdzie jest ojciec. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że ten niewiarygodnie głośny szum fal dobiega nie z zewnątrz, ale z małego białego urządzenia stojącego na ławie. Kto puszcza nagrania szumiącego oceanu, kiedy za drzwiami ma prawdziwy? Była to jedna z wielu rzeczy, które w tamtej chwili wydały mi się pozbawione sensu.

- Hm - mruknęłam, a Heidi nie przestawała płakać do wtóru sztucznych fal, od czasu do czasu pociągając głośno nosem. - Mogę ci jakoś... Potrzebujesz pomocy czy coś w tym rodzaju?

Heidi odetchnęła spazmatycznie, a potem podniosła na mnie wzrok. Oczy miała podkrążone, a na brodzie czerwoną wysypkę przypominającą trądzik.

- Nie — powiedziała, a po jej policzkach znowu spłynęły łzy. — Wszystko w porządku. Po prostu... Nic mi nie jest.

Ewidentnie mijała się z prawdą, nawet jak na moje niewprawne oko. Zanim jednak zdążyłam cokolwiek powiedzieć, do pokoju wkroczył ojciec z trzema kubkami kawy i małą torbą z szarego papieru. Jak zwykle był ubrany w wygniecione spodnie khaki i wypuszczoną na wierzch koszulę, a okulary miał lekko przekrzywione. Kiedy prowadził wykłady, stroju dopełniały krawat i tweedowa marynarka, ale tenisówki stanowiły element stały, niezależnie od tego, na jaki zestaw akurat się zdecydował.

- A oto i nasza Auden! - zawołał na mój widok, a potem podszedł, żeby mnie uścisnąć. Popatrzyłam ponad jego ramieniem na Heidi, która przygryzła wargę i spojrzała za okno na ocean. — Jak podróż?

- W porządku - powiedziałam. Ojciec odsunął się i podał mi kawę, a potem wziął następną dla siebie. Dopiero ostatnią postawił

na ławie przed Heidi, która popatrzyła na kubek, jakby nie wiedziała, co to jest.

- Poznałaś już siostrę?

- Hm, jeszcze nie - odparłam.

- Och, zaraz to naprawimy! - Odłożył papierową torbę, a potem sięgnął ponad głowę Heidi - która natychmiast zeszywniała, na co tata nie zwrócił zresztą najmniejszej uwagi — i wyjął jej niemowlę z objęć.

- Oto ona. To właśnie jest Thisbe.

Popatrzyłam na buzię dziecka, tak maleńką i delikatną, że sprawiała wrażenie nierzeczywistej. Oczy, okolone drobnymi, prostymi rzęsami, miała zamknięte, a spod kocyka wystawała rączka z miniaturowymi zaciśniętymi paluszkami.

- Jest śliczna - powiedziałam, bo tak się właśnie mówi w takich sytuacjach.

- Prawda? - Ojciec uśmiechnął się szeroko i zakołysał córką, która uchyliła powieki. Popatrzyła na nas, zamrugła, a potem, zupełnie jak jej mama, nagle się rozplakała. — Ojej - westchnął tata, podrzucając lekko małą. Thisbe zaczęła płakać jeszcze głośniej. - Kochanie? - powiedział, odwracając się z powrotem do Heidi, która siedziała dokładnie w tym samym miejscu i pozycji, z rękami zwisającymi nieruchomo po bokach. — Chyba jest głodna.

Heidi głośno przełknęła ślinę, a potem bez słowa wzięła od ojca małą, obróciła się z powrotem w kierunku okna, niemal jak robot, podczas gdy płacz coraz bardziej przybierał na sile.

- Chodźmy na dwór - zaproponował ojciec, chwytając papierową torbę ze stolika, po czym gestem kazał mi iść za sobą. Wyszliśmy przez przeszklone drzwi na taras. Normalnie taki widok zaparłby mi dech w piersiach - dom stał tuż przy plaży, ścieżka prowadziła aż do samego piasku. Jednak zanim zaczęłam się nim rozkoszować, obejrzałam się na Heidi, ale ona zniknęła, zostawiając nietkniętą kawę na stoliku.

- Heidi dobrze się czuje? - zapytałam.

Ojciec wyjął z torby babeczkę i podsunął ją mnie, a kiedy potrząsnęłam przecząco głową, sam zatopił w niej zęby.

- Po prostu jest zmęczona - powiedział. Parę okruchów spadło mu na koszulę, ale strzepnął je ręką i z powrotem zabrał się do jedzenia.

nia. — Mała często budzi się w nocy, no wiesz, a ze mnie niewielki pożytek, bo mam problemy ze snem. Muszę sypiać przynajmniej dziewięć godzin, bo inaczej jest ze mną kiepsko. Próbowałem przekonać Heidi, że powinniśmy zatrudnić kogoś do pomocy, ale w ogóle nie chce mnie słuchać.

- Dlaczego?

- Och, znasz Heidi - powiedział, jakbym rzeczywiście ją znała. - Wszystko musi zrobić sama, na dodatek idealnie. Ale nie przejmuj się, nic jej nie będzie. Po prostu przez pierwszych kilka miesięcy opieka nad niemowlakiem jest bardzo absorbująca. Pamiętam, jak to było z Hollisem, twoja mama też mało nie zwariowała z powodu jego kolek. Nosiliśmy go całymi nocami, a on i tak nie przestawał krzyczeć. A ten jego apetyt! Dobry Boże! Wysysał z mamy mleko do ostatniej kropelki i mimo to nadal był głodny...

Nie przerywał opowieści, ale ponieważ znałam te historie na pamięć, po prostu popijałam w milczeniu kawę. Po lewej widziałam kilka domów, dalej coś w rodzaju deptaka ze sklepami ciągnącymi się po obu stronach, no i publiczną plażę, o tej porze pełną parasoli i amatorów opalenizny.

- W każdym razie - ciągnął ojciec, zgniatając papierową foremkę od babeczki w kulkę, którą wrzucił do torby — muszę wracać do pracy, więc pokażę ci teraz twój pokój. Porozmawiamy przy kolacji. Może być?

- Jasne - przytaknęłam. Wróciliśmy do salonu, gdzie urządzenie emitujące odgłosy oceanu nadal ryczało na cały regulator. Ojciec potrząsnął głową, a następnie wyłączył je jednym kliknięciem. Cisza, która zapadła, była wręcz ogłuszająca. — A więc znowu piszesz?

- Och, tak. Złapałem wiatr w żagle, na pewno wkrótce skończę książkę — odparł. — Tak naprawdę to jedynie kwestia przeredagowania tekstu, przelania ostatnich pomysłów na papier.

Weszliśmy na górę. Drzwi do jednego z pokoi były uchylone, przez szparę dostrzegłam fragment pomalowanej na różowo ściany z brązową obwódką w grochy. W środku panowała cisza. Żadnego płaczu, przynajmniej na ile zdążyłam się zorientować.

Ojciec otworzył następne drzwi i gestem zaprosił mnie do środka.

- Przepraszam, że pokój taki skromny - powiedział, kiedy przekroczyłam próg. — Za to masz najpiękniejszy widok na świecie.

Nie żartował. Chociaż pokój był niewielki - mieściły się w nim podwójne łóżko, komoda i właściwie niewiele więcej - jedyne okno wychodziło na otwartą przestrzeń, przede mną rozciągały się piasek, trawa i woda.

- Wspaniały - potwierdziłam.

- Prawda? Początkowo miałem tu gabinet, ale potem musieliśmy urządzić obok pokój dla dziecka, więc przenieśliśmy się na drugi koniec korytarza. Nie chciałem budzić małej odgłosami mojej męki twórczej.

- Zachichotał, jakby to był jakiś żart, który powinnam zrozumieć. - A skoro już o tym mowa, to lepiej wróć do pisania. Poranki są dla mnie ostatnio wyjątkowo produktywne. Porozmawiamy przy kolacji, dobra?

- Och - mruknęłam, zerkając na zegarek. Było pięć po jedenastej.

- Jasne.

- Świetnie. - Ojciec ścisnął lekko moje ramię, a potem ruszył korytarzem, nucąc pod nosem. Kiedy minął drzwi od różowo-brązowego pokoju, usłyszałam, jak zamykają się ze szczęknięciem zamka.

* * *

O wpół do siódmej wieczorem obudził mnie płacz niemowlęcia. Tak naprawdę płacz to zbyt łagodne określenie. Thisbe wrzeszczała, najwyraźniej porządnie trenując płuca. Co prawda w mojej sypialni, oddzielonej od jej pokoju zaledwie cienką ścianką, nie było tego tak bardzo słychać, ale kiedy wyszłam na korytarz w poszukiwaniu łazienki, gdzie mogłabym umyć zęby, hałas okazał się ogłuszający.

Stałam przez moment w półmroku pod drzwiami różowego pokoju i nasłuchiwałam krzyków, które stawały się coraz donośniejsze, żeby nagle urwać się gwałtownie, a potem wybuchnąć ze zdwojoną siłą. Zastanawiałam się, czy tylko ja jedna zwróciłam na to uwagę, ale potem, gdy na chwilę zapadła cisza, dobiegł mnie czyjś uspokajający szept: „Cii, cii”, zanim płacz znowu wszystko zagłuszył.

Było w tym coś tak znajomego, jakby ktoś dotknął czulej struny w mojej podświadomości. Kiedy rodzice zaczęli kłócić się wieczorami, te właśnie słowa — „cii, cii, już dobrze” - powtarzałam sobie raz za razem, próbując zignorować odgłosy sprzeczki i zasnąć. Teraz jednak zabrzmiały dziwnie, zupełnie jakbym przywykła do tego, że należą wyłącznie do mnie. Ruszyłam w głąb korytarza, do gabinetu ojca.

- Tato?

Siedzący przy biurku ojciec nawet nie drgnął.

- Hmmm? - mruknął.

Obejrzałam się w stronę różowego pokoju, a potem znowu przeniosłam wzrok na niego. W bezruchu wpatrywał się w ekran laptopa. Obok jego łokcia leżał notatnik pełen zapisków. Zastanawiałam się, czy siedział tu cały ten czas, ponad siedem godzin.

- Mam, hm, zacząć robić kolację czy coś w tym rodzaju? - zapytałam.

- Heidi nic nie przygotowała? - rzucił, nadal nie odrywając wzroku od komputera.

- Zdaje się, że siedzi przy dziecku - wyjaśniłam.

- Och. - W końcu ojciec odwrócił głowę i popatrzył na mnie. — No cóż, jeśli jesteś głodna, to przecnicę dalej jest świetny bar z hamburgerami. Ich krążki cebulowe to prawdziwa legenda.

Uśmiechnęłam się.

- Brzmi wspaniale. Zapytać Heidi, czy czegoś nie chce?

- Jak najbardziej. Dla mnie kup cheeseburgera i trochę tych krążków.

- Sięgnął do tylnej kieszeni, po czym wyciągnął kilka banknotów. - Wielkie dzięki, Auden. Naprawdę to doceniam.

Wzięłam od niego pieniądze, ale czułam się jak idiotka. Jasne, że nie mógł ze mną nigdzie wyjść: miał w domu nowo narodzoną córeczkę i żonę, o które powinien zadbać.

- Nie ma sprawy - zapewniłam, chociaż ojciec zdążył odwrócić się z powrotem w stronę komputera, tak naprawdę nie słuchając tego, co mówię. - Uwinę się błyskawicznie.

Wróciłam do różowego pokoju, gdzie Thisbe nadal krzyczała wniebogłosy. Tym razem nie musiałam się martwić, że ją obudzę, zastu-

kałam więc dwa razy. Po chwili drzwi uchyliły się na kilka milimetrów i Heidi wyjrzała na zewnątrz.

Sprawiała wrażenie jeszcze bardziej wymizerowanej niż poprzednio, jeśli to w ogóle możliwe: po kucyku nie został nawet ślad, teraz włosy opadały jej w nieładzie na twarz.

- Cześć! - powiedziałam, a raczej zawołałam, starając się przekrzyczeć wrzaski dziecka. - Idę kupić coś na kolację. Na co masz ochotę?

- Kolację? - powtórzyła, również podniesionym głosem. Skinęłam głową. - To już pora kolacji?

Spojrzałam na zegarek, jakbym musiała się upewnić.

- Jest za piętnaście siódma.

- O mój Boże. - Heidi przymknęła oczy. - Miałam zamiar przygotować dla ciebie uroczystą kolację powitalną. Wszystko zaplanowałam, kurczak z warzywami i w ogóle. Ale mała jest taka marudna i...

- Nie ma sprawy — odrzekłam. - Idę po hamburgery. Tata mówi, że tu niedaleko przy waszej ulicy jest świetna knajpka.

- Twój ojciec jest w domu? - zapytała, poprawiając trzymaną na rękach Thisbe i spoglądając ponad moim ramieniem w głąb korytarza.

- Myślałam, że pojechał na uczelnię.

- Pracuje w gabinecie - wyjaśniłam. Heidi nachyliła się, najwyraźniej nie dosłyszawszy, co powiedziałam. - Ojciec teraz pisze - powtórzyłam, tym razem głośniej. - Pójdę już. Co byś chciała?

Heidi stała przez chwilę bez ruchu, trzymając między nami krzyczące dziecko i wpatrując się w światło padające zza uchylonych drzwi gabinetu ojca. W końcu zaczęła coś mówić, ale potem urwała i głęboko odetchnęła.

- To samo, co dla ciebie - dodała po chwili. - Dziękuję. Skinęłam głową i cofnęłam się, a Heidi natychmiast zamknęła

drzwi. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczyłam, była czerwona twarz mojej siostry, która nie przestawała krzyczeć.

Na szczęście na zewnątrz było o wiele ciszej. Kiedy szłam przez osiedle domów jednorodzinnych w stronę dzielnicy handlowej, słyszałam tylko szum oceanu i różne odgłosy z sąsiedztwa - krzyki dzieciaków, czasem radio samochodowe lub ryk telewizora.

Wzdłuż wąskiego deptaka ciągnęły się rozmaite sklepy i punkty usługowe: bar z koktajlami Jumbo Smoothie, jeden z tych sklepików z plażową tandetą, gdzie można tanio kupić ręczniki i zegary z muszelek, pizzeria. Mniej więcej w połowie ulicy minęłam niewielki butik o nazwie Clementines, z jaskrawopomarańczową markizą. Na drzwiach wejściowych ktoś przyczepił taśmą kartkę z tekstem wypisanym dużymi drukowanymi literami: „TO DZIEWCZYINKA! THISBE CAROLINE WEST, URODZONA 1 CZERWCA, 3100 g”. „A więc to jest sklep Heidi” - pomyślałam. Półki pełne T-shirtów i dżinsów, dział z kosmetykami do makijażu i pielęgnacji ciała, a za kasą ciemnowłosa dziewczyna w różowej sukience, oglądająca paznokcie podczas rozmowy przez komórkę.

Dalej zobaczyłam lokal, który musiał być barem wspomnianym przez ojca: „LAST CHANCE, NAJLEPSZE KRAŻKI CEBULOWE NA TEJ PLAŻY!” - głosił szyld. Oddzielał mnie od niego tylko sklep z rowerami, przed którym na wysłużonej drewnianej ławce siedziała grupka chłopaków mniej więcej w moim wieku, zajętych rozmową i obserwowaniem przechodniów.

- Najważniejsze - tłumaczył właśnie jeden z nich, krępy młodzian w szortach, z portfelem na łańcuszku - żeby nazwa dawała kopa. No wiecie, miała w sobie energię.

- Przede wszystkim musi być pomysłowa - stwierdził inny, wyższy i szczuplejszy, o kręconych włosach i nieco gapowatym wyglądzie. — I właśnie dlatego powinniście wybrać moją propozycję, Korba. Pasuje idealnie.

- Brzmi, jakby to był warsztat samochodowy, a nie sklep z rowerami - odpowiedział niższy.

- Rowery mają korby - upierał się jego chudy kolega.

- A samochody mają pedały.

- Tak jak fortepiany - wytknął chudzielec.

- Więc teraz chcesz go nazwać Fortepianowa Wariacja?

- Nie — zaprotestował pomysłodawca Korby, podczas gdy pozostała dwójka wybuchła śmiechem. - Po prostu chciałem zauważyć, że wyrazy mogą mieć różny kontekst.

- Kogo obchodzi kontekst? - westchnął chłopak z portfelem na łańcuszku. — Potrzebujemy nazwy, która intryguje i sama sprzedaje produkt. Na przykład Rakietowe Rowery. Albo Odrzutowe Rowery.

- Skąd napęd odrzutowy w rowerach? - zdziwił się trzeci z nich, stojący do mnie tyłem. - To idiotyczne.

- Wcale nie — mruknął ten krępy. — A poza tym jakoś' nie słyszę, żebyś sam coś proponował.

Porzuciłam w końcu witrynę Clementine's i ruszyłam dalej chodnikiem. Dokładnie w tym samym momencie trzeci z chłopaków nagle odwrócił głowę i popatrzył mi prosto w oczy. Miał ciemne, krótko przycięte włosy, opaloną twarz i szeroki, świadczący o pewności siebie uśmiech, który posłał teraz w moją stronę.

- A może - powiedział powoli, nadal nie odrywając ode mnie wzroku: — Właśnie Zauważyłem Najseksowniejszą Dziewczynę w Colby?

- Jezu! — mruknął ten nieco gapowaty, potrząsając głową, a drugi z kolegów roześmiał się na głos. — Jesteś żaloszny.

Zaczerwieniłam się, zignorowałam go jednak i poszłam dalej. Czułam, że koleś wciąż przygląda mi się z uśmiechem.

- Po prostu stwierdzam fakt! - zawołał, kiedy byłam już tak daleko, że ledwo go słyszałam. - Wiesz co, mogłabyś podziękować!

Ale nie zrobiłam tego. Nic nie powiedziałam, przede wszystkim dlatego, że nie umiałam zareagować na tego rodzaju zaczepkę. Miałam niewielkie doświadczenie w kontaktach towarzyskich, a o chłopakach - niebędących moimi konkurentami do pozycji lidera w klasie - nie wiedziałam praktycznie nic.

Oczywiście podkochiwałam się w kolegach. Jeszcze w Jackson był taki jeden, kompletne beznadziejny w naukach ścisłych, przy którym zawsze pociły mi się ręce, kiedy razem robiliśmy doświadczenia na chemii. Natomiast w Perkins Day próbowałam nieporadnie flirtować z Natem Crossem, który siedział obok mnie na matematyce, ale w nim kochały się wszystkie dziewczyny, więc nie byłam żadnym wyjątkiem. Dopiero w Kiffney-Brown, kiedy poznałam Jasona Talbota, zaczęłam dopuszczać do siebie myśl, że podczas następnego spotkania z moimi

dawnymi koleżankami naprawdę mogłabym mieć do opowiedzenia jedną z tych historyjek o chłopakach. Jason był bystry, przystojny i właśnie dochodził do siebie po tym, jak jego dziewczyna z Jackson rzuciła go dla, jak sam to określił, „młodocianego spawacza z wyrokiem i tatuażem”. Z powodu niewielkich rozmiarów grup seminaryjnych w Kiffney-Brown spędzaliśmy razem całkiem sporo czasu, rywalizując o możliwość wygłoszenia mowy pożegnalnej na zakończenie szkoły, a kiedy Jason zaprosił mnie na bal maturalny, czułam większe podekscytowanie, niż byłabym gotowa przyznać. Dopóki się nie wycofał, tłumacząc to „wielką szansą”, jaką dawała mu konferencja ekologiczna.

- Wiedziałem, że się nie pogniewasz. - Odetchnął z ulgą, kiedy usłyszawszy taką wymówkę, skinęłam tylko głową bez słowa. — Ty rozumiesz, co jest naprawdę ważne.

Fakt, może to nie to samo co uznanie dla urody. Ale na swój sposób był to komplement.

W Last Chance panował spory tłok. Kolejka ludzi czekała na stoliki, a widoczni przez niewielkie okienko dwaj kucharze uwijali się jak w ukropie, podczas gdy na obrotowym stojaku przed nimi rósł plik zamówień. Złożyłam swoje u ładnej czarnowłosej dziewczyny z kolczykiem w wardze, a potem usiadłam pod oknem, żeby poczekać na jedzenie. W głębi ulicy nadal widać było chłopaków na ławce przy deptaku - ten, który mnie zaczepił, siedział teraz z ramionami założonymi za głowę i śmiał się głośno, a jego niski kolega jeździł przed nim w tę i z powrotem na rowerze, lekko podskakując od czasu do czasu.

Zanim jedzenie się pojawiło, minęło trochę czasu, ale przekonałam się, że tata miał rację. Warto było czekać. Zabrałam się do pałaszowania krążków cebulowych, zanim jeszcze wyszłam na ulicę zatłoczoną rodzinami zajadającymi lody w rożkach, parami na randce i małymi dziećmi biegającymi wzdłuż plaży. Trafiłam akurat na piękny zachód słońca, cały w odcieniach pomarańcza i różu, więc idąc chodnikiem, nie odrywałam od niego oczu. W ogóle nie patrzyłam w stronę sklepu z rowerami, dopóki prawie go nie minęłam. Bezczelny chłopak wciąż tam był, tyle że teraz rozmawiał z wysoką dziew-

czyną o rudych włosach, z ogromnymi okularami przeciwsłonecznymi na nosie.

- Hej! - zawołał do mnie. - Jeśli dziś wieczorem nie masz nic do roboty, to na Cyplu będzie ognisko. Zajmę ci miejsce.

Popatrzyłam w jego stronę. Rudowłosa rzuciła mi niechętne spojrzenie, skrzywiwszy się ze złością, więc nic nie odpowiedziałam.

- Ach, łamiesz mi serce! - zakpił nieznajomy, po czym parsknął śmiechem. Nie zatrzymałam się, ale czułam wzrok rudowłosej wwiercający mi się gdzieś w okolicach łopatek. - Po prostu o tym pamiętaj. Będę na ciebie czekał!

Po powrocie do domu wyciągnęłam z szafki trzy talerze i sztucce, po czym nakryłam do stołu i wyjęłam jedzenie z torby. Właśnie wytrząsałam paczuszki z keczupem, kiedy na schodach pojawił się ojciec.

- Tak mi się wydawało, że czuję zapach krążków cebulowych — powiedział, zacierając ręce. - Wszystko wygląda smakowicie.

- Heidi też zejdzie? - zapytałam, nakładając mu hamburgera na talerz.

- Nie wiem — odparł i sięgnął po krążek cebulowy, po czym z pełnymi ustami dodał: — Mała strasznie dziś marudzi, pewnie będzie chciała ją najpierw uśpić.

Zerknęłam na schody, zastanawiając się, czy to możliwe, żeby Thisbe nadal płakała, skoro nie było mnie co najmniej godzinę.

- Może, hm, po prostu zaniosę jej kolację na górę?

- Jasne, świetny pomysł - stwierdził ojciec, po czym zasiadł przy stole.

Przez chwilę stałam bez ruchu i patrzyłam, jak zjada następny krążek cebulowy, wolną ręką sięgając po leżącą obok gazetę. Chciałam oczywiście zjeść kolację z tatą, ale czułam się paskudnie - bo jak niby ten wspólny posiłek miałby wyglądać.

Thisbe faktycznie nadal płakała — usłyszałam to, gdy tylko dotarłam do szczytu schodów, niosąc w ręku talerz z hamburgerem dla Heidi. Drzwi do różowego pokoju były uchylone. Heidi siedziała z zamkniętymi oczami w bujanym fotelu, kołysząc się w przód i w tył, w przód i w tył. Zawahałam się, czy w ogóle jej teraz prze-

szkadzać, ale najwyraźniej poczuła zapach jedzenia, bo otworzyła oczy.

- Pomyślałam, że może zgłodniałaś! - zawołałam. — Czy... mam ci to podać?

Zamrugła oczami, a potem popatrzyła na Thisbe, która nadal głośno krzyczała.

- Najlepiej po prostu zostaw talerz - odrzekła, wskazując głową stojące nieopodal białe biurko. - Za sekundkę sobie wezmę.

Odstawiłam talerz na blat, odsunawszy na bok pluszową żyrafę i książkę zatytułowaną *Twoje dziecko: podstawy*, otwartą na rozdziale „Marudzenie: co je wywołuje i jak temu zaradzić”. „Albo Heidi nie zdążyła tego przeczytać, albo autorzy nie mają pojęcia o temacie” -pomyślałam.

- Dzięki - powiedziała Heidi. Nadal kołysała się w fotelu niemal hipnotyzującym ruchem, chociaż najwyraźniej na Thisbe to nie działało. - Ja po prostu... zwyczajnie nie wiem, co fobię źle. Jest nakarmiona, przewinięta, tulę ją do siebie, a wygląda to tak... jakby mnie nienawidziła czy coś w tym rodzaju.

- Pewnie po prostu ma skłonność do kolek - stwierdziłam.

- Ale co to dokładnie oznacza? - Heidi z trudem przełknęła ślinę, po czym znowu popatrzyła na buzię córeczki. - To kompletnie bez sensu, przecież robię wszystko, co mogę...

Urwała, bo głos uwiązał jej w gardle, a ja pomyślałam o ojcu, jadającym na dole krążki cebulowe i czytającym gazetę. Dlaczego jego tutaj nie ma? Ja też nie wiedziałam nic o dzieciach. Dokładnie w momencie, kiedy o tym pomyślałam, Heidi znowu podniosła na mnie wzrok.

- O mój Boże, Auden, tak mi przykro. - Potrząsnęła głową. — Pewnie to ostatnia rzecz, o której miałabyś ochotę słuchać. Jesteś młoda, powinnaś wychodzić z domu, dobrze się bawić! - Pociągnęła nosem i otarła go wierzchem dłoni. — Wiesz, niedaleko przy naszej ulicy jest takie miejsce, nazywa się Cypel. Wszystkie dziewczyny z mojego sklepu tam przesiadują. Powinnaś do nich zajrzeć. Na pewno w ich towarzystwie będziesz się bawić lepiej niż tutaj, prawda?

„Jak najbardziej” — pomyślałam, ale taka odpowiedź wydała mi się niegrzeczna, więc rzuciłam tylko:

- Może tak zrobię.

Heidi skinęła głową, zupełnie jakbyśmy zawarły jakiś układ, a potem popatrzyła znów na Thisbe.

- Dzięki za jedzenie — powiedziała. — Naprawdę... to doceniam.

- Nie ma sprawy — odparłam.

Znużona Heidi nadal wpatrywała się w córeczkę, więc uznałam to za koniec rozmowy i wyszłam, starannie zamykając za sobą drzwi.

Na dole ojciec właśnie kończył kolację przy lekturze działu sportowego. Kiedy usiadłam na krześle naprzeciwko niego, podniósł na mnie wzrok i spytał z uśmiechem:

- I jak sobie radzą? Mała śpi?

- Nie - powiedziałam, odpakowując jedzenie. — Nadal krzyczy.

- Rany. - Ojciec podniósł się od stołu. - Lepiej do nich zajrzę.

„Nareszcie” - pomyślałam, kiedy zniknął na schodach. A potem zatopiłam zęby w hamburgerze: był zimny, ale nadal smaczny. Zdążyłam zjeść ledwie połowę, kiedy ojciec zjawił się z powrotem. Bez słowa wyjął sobie piwo z lodówki, po czym pociągnął spory łyk i zapatrzył się na ocean.

- Wszystko w porządku tam na górze?

- O, jasne — rzucił lekko, przekładając butelkę do drugiej ręki. - Mała ma po prostu skłonność do kolek, zupełnie jak Hollis. Niewiele można teraz zrobić, po prostu trzeba to przeczekać.

Kocham tatę. Może jest nieco zmienny i z całą pewnością samolubny, ale zawsze dobrze mnie traktował, a poza tym wciąż go podziwiałam. Ale w tamtym momencie rozumiałam, że można za nim nie przepadać.

- Czy Heidi... czy mama Heidi przyjedzie, żeby jej pomóc albo coś w tym rodzaju?

- Jej matka zmarła kilka lat temu - odparł ojciec i pociągnął kolejny łyk piwa. - Heidi ma brata, ale sporo starszego od siebie. Facet mieszka w Cincinnati z własnymi dziećmi.

- W takim razie może niania czy ktoś taki? W końcu na mnie spojrział.
- Heidi nie życzy sobie żadnej pomocy. Mówiłem ci, chce robić wszystko sama.

Przypomniałam sobie Heidi wyciągającą szyję, byle tylko zerknąć w stronę gabinetu ojca, i pełne wdzięczności spojrzenie, kiedy przyniosłam dla niej kolację.

- Może powinieneś - rzuciłam - no wiesz, mimo wszystko nalegać. Heidi wygląda na bardzo zmęczoną.

Popatrzył na mnie chwilę z twarzą pozbawioną wyrazu, po czym powiedział:

- Auden, to nie jest sprawa, którą powinnaś się martwić, jasne? Razem z Heidi jakoś to rozwiążemy.

Innymi słowy, nie wtrącaj się. Miał rację. To jego dom, ja byłam tu jedynie gościem. To bezczelność zjawiać się i uważać, że po zaledwie kilku godzinach pobytu wszystko wiem lepiej.

- W porządku - odparłam, zgniatając serwetkę. — Oczywiście.

- Super. - Ojciec natychmiast się rozluźnił. - A więc... pójdę na górę i zabiorę się z powrotem do pracy. Chciałbym dzisiaj skończyć ten rozdział. Poradzisz sobie sama?

Tak naprawdę nie było to nawet pytanie. Zabawne, ile potrafi działać intonacja, zmieniając nawet sens słów.

- Nie ma sprawy - uspokoiłam. - Mną się nie przejmuj. Dam sobie radę.

trzy

NIESTETY, BYŁO INACZEJ. Nudziło mi się, a Thisbe nadal krzyczała. Wypakowałam swoje rzeczy, przeczytałam kilka stron podręcznika do podstaw ekonomii i usunęłam zbędne wiadomości z komórki. Zajęło mi to jakieś czterdzieści minut. A mała wciąż płakała - wciąż płakała! - chwyciłam więc kurtkę, zebrałam włosy w kucyk i wyszłam na spacer.

Początkowo wcale nie planowałam wizyty na Cyplu, gdziekolwiek to było. Chciałam się po prostu przewietrzyć, odpocząć od hałasu i przemyśleć wszystko, co wydarzyło się pomiędzy mną a ojcem tego wieczora. Wybrałam się w kierunku przeciwnym niż deptak, ale kiedy przeszłam przecznicę, chodnik skończył się w ślepej uliczce zastawionej mnóstwem zaparkowanych samochodów. W bok prowadziła wąska ścieżka, na której końcu majaczyło jakieś światło. „Pewnie popełniam błąd” - pomyślałam, ale potem przypomniałam sobie zdjęcie Hollisa i ruszyłam w tamtą stronę.

Dróżka wiła się pomiędzy wydmami porośniętymi kępami trawy, żeby skończyć się szerokim pasem piachu. Było jasne, że kiedyś sięgała tu plaża, dopóki erozja albo sztormy (a może jedno i drugie) nie utworzyły czegoś w rodzaju przylądka, na którym dostrzegłam teraz grupkę młodych ludzi. Niektórzy siedzieli na ułożonych w prowizoryczne ławki kawałkach drewna, które wyrzucił ocean, inni stali wokół ogniska płonącego całkiem wysokim płomieniem. Nieco dalej zaparkowano dużego pikapa z beczką piwa, obok siedział dryblas spod sklepu rowerowego. Na mój widok zrobił zdumioną minę, a potem spojrzał w stronę ogniska. Oczywiście, chłopak, który mnie

zaczepiał, też tam był. Ubrany w czerwoną wiatrówkę, rozmawiał z dwiema dziewczynami - rudzielcem, którego spotkałam już wcześniej, i niższą brunetką z dwoma warkoczami — trzymając plastikowy kubek i żywo gestykulując wolną ręką.

— Prawa wolna! - usłyszałam za plecami okrzyk i jakiś świst. Kiedy się odwróciłam, ujrzałam niskiego, krępego chłopaka spod sklepu, który wściekle pedałowal teraz w moją stronę na rowerze. Uskoczyłam z drogi w ostatniej chwili, a on przemknął obok mnie i wyminawszy wydmy, wyskoczył na płaski fragment piaszczystej plaży. Nie zdążyłam złapać oddechu, kiedy znowu usłyszałam szcęk pedałów i z mroku wyłoniły się dwa kolejne rowery, a ich właściciele - jakiś blondyn i dziewczyna o krótko przyciętych włosach — przejechali pędem koło mnie, cały czas śmiejąc się i rozmawiając. „Jezu” - pomyślałam i wróciłam na ścieżkę — i w tym momencie poczułam, że coś (lub ktoś) z całą siłą na mnie wpada.

Okręciłam się na pięcie i stanęłam twarzą w twarz z wysokim chłopakiem o dłuższych, ciemnych włosach związanych w kucyk, ubranym w wytartą niebieską bluzę z kapturem i dzinsy. Nieznajomy obrzucił mnie szybkim spojrzeniem - miał zielone, głęboko osadzone oczy - nie poświęcając mi szczególnej uwagi.

— Przepraszam — bąknęłam, chociaż wcale nie była to moja wina: to on zaszedł mnie znienacka od tyłu. Ale chłopak tylko kiwnął głową, zupełnie jakby te przeprosiny mu się należały, po czym wsunął ręce do kieszeni i ruszył w stronę plaży. Nie potrzebowałam więcej znaków, że najwyższa pora zawrócić. Ale kiedy już miałam to zrobić, usłyszałam za sobą:

— A jednak! Wiedziałem, że mi się nie oprzesz! Obejrzałam się. Oczywiście, nieznajomy z deptaka. Rudowłosa

i dziewczyna z warkoczami ulokowały się teraz przy beczce z piwem, obserwując z dezaprobatą, jak chłopak podchodzi do mnie, nadal trzymając kubek w ręku. Nagle ogarnęło mnie zdenerwowanie, w głowie czułam pustkę. A potem przed oczami stanął mi obraz mamy otoczonej studentami. Sama pewnie nie wiedziałabym, co powiedzieć. Ale znałam moją matkę i jej sztuczki na pamięć.

— I tu się mylisz — wytknęłam.

- Jasne, masz prawo tak myśleć. Ale ja jeszcze nie przeszedłem do ataku - odparł.

- Ataku? — zdziwiłam się.

Odpowiedział mi uśmiechem. Ten uśmiech — promienny, szeroki, niemal bezmyślny - stanowił jego największy atut, z czego doskonale zdawał sobie sprawę.

- Jestem Jake. Przyniosę ci piwo.

„Phi - pomyślałam. - To wcale nie było trudne”.

- Sama je sobie przyniosę - odpowiedziałam. - Wskaż mi tylko drogę.

* * *

„Co jest z tobą nie tak?”.

Nie miałam pojęcia, co odpowiedzieć na podobne pytanie. Ani wtedy, kiedy zadał je Jake tuż po tym, jak odsunęłam się od niego, zapinając poły bluzki, ani potem, gdy potykając się na piasku, ruszyłam z powrotem w stronę ścieżki. Ani kiedy wracając ulicą, usiłowałam wytrząsnąć piasek z włosów. Usta miałam nabrzmiałe, obolałe, zapięty pospiesznie zatrask biustonozka wbijał mi się w skórę pleców, kiedy wślizgiwałam się do domu bocznym wejściem.

Cicho weszłam po schodach na górę, a potem przemknęłam przez ciemny korytarz, zadowolona, że nie słyszę nic poza odgłosem własnych kroków. Thisbe nareszcie spała. Wzięłam długi, gorący prysznic, przebrałam się w legginsy i podkoszulek bez rękawów, po czym zaszyłam się w końcu w swoim pokoju. Sięgnęłam nawet po podręcznik do podstaw ekonomii, ale chociaż próbowałam skupić się na tekście, wydarzenia tego wieczora ciągle do mnie wracały: ostry ton ojca, wyluzowany uśmiech Jake'a, nasze niezdarne, pospieszne zbliżenie za wydmami i to, jak nagle wszystko wydało mi się dziwne i niewłaściwe, zupełnie jakbym miała w sobie inną osobę. Może mama umiała grać obojętną, samolubną jędzę. Ale ja to właśnie robiłam - grałam. Dopóki zabawa nie dobiegła końca. Byłam rozsądną dziewczyną. Dlaczego zrobiłam coś tak głupiego?

Poczułam, jak do oczu napływają mi łzy, rozmazując litery na stronie, przycisnęłam więc dłoń do twarzy, żeby je zatrzymać. Bez rezultatu. Na dodatek okazały się zaraźliwe, bo moment później usły-

szałam, jak Thisbe znowu zaczyna płakać. Potem na korytarzu rozległy się czyjeś kroki — wiedziałam, że to Heidi - a po chwili stuk otwieranych i zamykanych drzwi.

Thisbe płakała przez godzinę, jeszcze długo po tym, gdy moje łzy obeschły. Może to przez poczucie winy z powodu tego, co zrobiłam tej nocy. A może chciałam się oderwać od własnych problemów. Nie zastanawiając się nad przyczyną, zwyczajnie wyszłam na korytarz i poszłam do pokoju Thisbe. Tym razem nie zapukałam. Po prostu otworzyłam drzwi. Z bujanego fotela popatrzyła na mnie zmęczona, zalana łzami Heidi.

— Daj mi ją - powiedziałam, wyciągając ręce w jej stronę. - A ty idź odpocząć.

* * *

Wątpię, żeby dzieło pod tytułem *Twoje dziecko: podstawy wymieniało spaceru deptakiem o świcie jako lekarstwo na kolki*, chociaż nigdy nic nie wiadomo.

Początkowo wcale nie miałam pewności, czy Heidi odda mi małą. Nawet po tylu godzinach męki, kiedy sama była u kresu wytrzymałości, wciąż się wahała. Dopiero kiedy zrobiłam kolejny krok w jej stronę i dodałam stanowczo: „No, już!”, odetchnęła głęboko i zanim się zorientowałam, trzymałam w objęciach moją siostrzyczkę.

Była taka malutka. I nie przestawała się wić, przez co wydawała się jeszcze bardziej krucha, chociaż sądząc po krzykach, miała niespożyte pokłady energii. Czulałam pod palcami ciepłą skórę i lekko wilgotne włoski u nasady karku. „Biedne maleństwo” - przemknęło mi przez głowę. Mnie samą ta myśl zaskoczyła.

— Nie wiem, czego jej brakuje — powiedziała Heidi, opadając z powrotem na bujany fotel, którego oparcie uderzyło z impetem o ścianę. — Po prostu... nie mogę... nie mogę dłużej słuchać jej płaczu.

— Połóż się spać - odparłam.

— No nie wiem — wymamrotała. — Może powinnam...

— Idź! - wypaliłam i chociaż nie chciałam, żeby mój głos zabrzmiał tak ostro, najwyraźniej to poskutkowało. Heidi podniosła się ciężko, po czym, pociągając nosem, ruszyła do sypialni.

W rezultacie zostałam sam na sam z Thisbe, która nie przestawała krzyczeć. Jakiś czas po prostu z nią spacerowałam: po jej pokoju, potem na dół, dookoła kuchni i z powrotem do salonu. Mała uspokoiła się odrobinę, niestety nie na długo. W końcu zauważyłam stojący przy drzwiach wózek. Było koło piątej, kiedy przypięłam swoją płaczącą siostrzyczkę paskami i ruszyłam podjazdem przed siebie. Nie uszłam daleko, bo już koło skrzynki na listy Thisbe ucichła.

„Niemożliwe” — pomyślałam, przystając, a kilka sekund później zobaczyłam, jak mała nabiera powietrza i zaczyna krzyczeć od nowa, głośniejsze niż poprzednio. Szybko ruszyłam z wózkiem, a po paru obrotach kółek... znowu zapadła cisza. Przyspieszyłam kroku i skręciłam na chodnik wzdłuż ulicy.

Kiedy dotarliśmy do deptaka ze sklepami, Thisbe spała pod kocykiem - oczy zamknięte, buzia rozluźniona. Przed nami ciągnął się opustoszały deptak, po którym hulał orzeźwiający wiatr. Słyszałam tylko szum oceanu i turkot kółek wózka.

Dotarliśmy aż do baru Last Chance, zanim natknęliśmy się na człowieka, chociaż i on był daleko, ledwie maleńka ruchoma kropka na horyzoncie. Dopiero kiedy dotarliśmy pod pomarańczową markizę Clementines, uświadomiłam sobie, że ten ktoś jeździ na rowerze w miejscu, gdzie deptak łączy się z plażą. Mrużąc oczy, obserwowałam, jak rowerzysta podrywa swój jednoślad i podskakuje na przednim kole, a potem znowu opada na ziemię, obracając przy tym kierownicą. Później przyszła pora na pedałowanie do tyłu, jazdę zygakiem, gwałtowny zryw do przodu, ostry najazd na pobliską ławkę i poderwanie przedniego koła, a następnie lądowanie. Wszystko wykonywane z niemal hipnotyzującą płynnością. Pomyślałam o Heidi w bujanym fotelu, Thisbe śpiącej w wózku i o uspokajającej potędze ruchu. Byłam tak zaaferowana obserwowaniem tych ewolucji, że dopiero kiedy podeszłam bliżej, rozpoznałam niebieską bluzę z kapturem i ciemne włosy ściągnięte w kucyk na karku. Ten sam chłopak, na którego wpadłam na ścieżce kilka godzin temu.

Tym razem to ja go zaskoczyłam, co stało się jasne, kiedy drgnął gwałtownie i zatrzymał rower z niezgrabnym ślizgiem, zauważywszy nas zaledwie parę kroków od siebie. Po spojrzeniu, które mi rzucił,

zorientowałam się, że on również mnie poznał. Ale nie był zbyt przyjazny. Nie przywitał się. Ja też milczałam. Tak naprawdę oboje wpatrywaliśmy się w siebie bez słowa. Pewnie byłoby to wyjątkowo krępujące, gdyby Thisbe nie zaczęła znowu płakać.

- Och - powiedziałam i szybko pchnęłam wózek do przodu, a potem pociągnęłam z powrotem do siebie. Mała natychmiast umilkła, ale nie zamknęła oczu, wpatrując się w niebo nad naszymi głowami. Chłopak przyglądał się jej, więc z jakiegoś powodu poczułam potrzebę wytłumaczenia całej sytuacji: - Ona... to była długa noc.

Nieznajomy spojrział znowu na mnie, z twarzą tak poważną, że sprawiał wrażenie wręcz udręczonego, chociaż nie miałam pojęcia, dlaczego przyszło mi na myśl to właśnie określenie. Tymczasem chłopak przeniósł wzrok z powrotem na Thisbe i rzucił:

- One wszystkie są takie, no nie?

Otworzyłam usta, żeby coś powiedzieć - przynajmniej się z nim zgodzić - ale nie dał mi szansy. Żadnego pożegnania, nic, tylko obrót kierownicą i już oddalał się od nas, stanąwszy na pedałach. Zamiast jednak pomknąć przed siebie, zataczał powoli zygzaki z jednego krańca deptaka na drugi, aż do samego końca.

cztery

-TO DLA CIEBIE.

Spuściłam wzrok - przede mną na żółtym talerzyku leżała doskonała pulchna babeczka z jagodami. Obok niej spoczywał kleks z masła, nieodzowny dodatek.

- Twój tata wspominał, że ten deser lubisz najbardziej — powiedziała Heidi. - Dziś rano kupiłam na targu jagody i upiekłam ciastka, żeby były świeże.

Chociaż nadal wyglądała na zmęczoną, wreszcie przypominała Heidi, którą znałam: włosy zaczesane schludnie do tyłu, strój składający się z dzinsów i pasującej do nich czystej koszulki, usta pociągnięte błyszczkiem.

- Naprawdę nie musiałaś tego robić - stwierdziłam.

- Wręcz przeciwnie - odparła poważnym, beznamiętnym tonem - musiałam.

Była druga po południu, a ja zeszłam do kuchni po siedmiu godzinach snu. Heidi opłukiwała miskę po cieście, trzymając śpiącą córeczkę na ramieniu. Ruszyłam prosto ku ekspresowi do kawy, niezbyt skora do rozmów, zanim jednak się zorientowałam, moja macocha zaskoczyła mnie uściskiem.

- Dzięki tobie - powiedziała, siadając naprzeciwko mnie i ostrożnie przekładając Thisbe na drugie ramię — przespałam cztery godziny bez przerwy po raz pierwszy, odkąd mała się urodziła. Prawdziwy cud.

- To nic wielkiego - próbowałam zbagatelizować sprawę.

Żałowałam, że po prostu nie przeszła nad tym do porządku dziennego. Całe zamieszanie wokół mnie wydawało się niemal desperackie.

- Mówię poważnie - odparła Heidi. Najwyraźniej nie wyłapała, że czuję się niezręcznie. — Jesteś teraz oficjalnie moją najbardziej ulubioną osobą na świecie.

„Świetnie” - przemknęło mi przez głowę. A potem wyjęłam babeczkę z papierowej foremki i odgryzłam pierwszy kęs. Ciastko było wciąż ciepłe i po prostu fantastyczne, a ja poczułam się okropnie niewdzięczna z powodu wszystkiego, co myślałam o Heidi, odkąd ją poznałam.

- Pyszne — westchnęłam.

- Tak się cieszę! - W tym momencie zadzwonił telefon. - Przy-
najmniej tak mogłam ci się odwdziżyć.

Ugryzłam kolejny kęs, podczas gdy Heidi wstała i przełożywszy dziecko na drugie ramię, chwyciła leżący na blacie aparat.

- Halo? Och, Maggie, świetnie, zastanawiałam się, czy zamówienie dotarło... Chwileczkę, dobrze się czujesz? - zmrużyła oczy. - Masz taki głos, jakbyś płakała. Płaczesz?

„Dobry Boże - pomyślałam, sięgając po gazetę i zabierając się do przeglądania nagłówków. - Co jest z kobietami w tym mieście? Czy wszystkie muszą być takie uczuciowe?”

- W porządku — powiedziała powoli Heidi. - Po prostu nie dało się nie zauważyć... nie, nie, oczywiście. Co? Cóż, powinna być w biurze, w lewej szufladzie biurka. Nie ma? Hm, niech się zastanowię... - Rozejrzała się po kuchni, po czym gwałtownie zakryła usta dłonią i rzuciła lekko podniesionym głosem: - Kurczę. Jest tutaj, widzę ją przy drzwiach. Boże, jak to się stało? Nie, zaraz ci odniosę. To żaden problem, zapakuję tylko Thisbe do wózka...

Jej rozmówczyni odpowiedziała równie wysokim, przenikliwym tonem. Wypiłam łyk kawy, a potem kolejny, podczas gdy Thisbe ostatecznie postanowiła włączyć się do dyskusji. Zaczęłam się zastanawiać, czy emocje ulegają podobnej synchronizacji jak cykle menstruacyjne, jeśli tylko zbierze się razem odpowiednia liczba kobiet. Oczekajcie chwilkę, a wszystkie się rozplaczą.

- O mój Boże! — powiedziała Heidi, zerkając na zegarek. - Posłuchaj, muszę ją nakarmić, zanim będziemy mogły wyjść. Powiedz dostawcy... Masz dosyć gotówki w kasie? A możesz sprawdzić? - Na-

stąpiła chwila przerwy, w trakcie której Thisbe przeszła od kwilenia do głośnego płaczu. Heidi westchnęła. - W porządku. Nie, wyjdziemy od razu. Po prostu... zaczekaj. W porządku. Cześć.

Rozłączyła się, a potem przeszła przez kuchnię w stronę schodów.

- Robert?! - zawołała, lekko kołysząc Thisbe. - Kochanie?!

- Tak? - odpowiedział chwilę później przytłumionym głosem tata.

- Myślisz, że mógłbyś nakarmić Thisbe? Muszę odnieść książeczkę czekową do sklepu.

Usłyszałam kroki nad głową, a potem głośniejszy i wyraźniejszy głos ojca:

- Do mnie mówisz?

Thisbe wybrała właśnie ten moment, żeby zwiększyć natężenie wrzasku, więc Heidi była zmuszona ją przekrzykiwać:

- Po prostu zastanawiałam się, czy mógłbyś dać Thisbe butelkę? Muszę wyjść do sklepu, bo zostawiłam tutaj książeczkę czekową. Myślałam, że zdołają zapłacić za tę paczkę gotówką, ale w kasie nie ma dosyć pieniędzy...

„Za dużo informacji” - pomyślałam, dopijając resztki kawy. Dlaczego ona zawsze musi wszystko tak komplikować?

- Kochanie, nie bardzo mogę teraz zrobić przerwę - odparł ojciec. - Wytrzymasz dwadzieścia minut?

Thisbe rozplakała się jeszcze głośniej, co stanowiło całkiem jednoznaczny odpowiedź na jego pytanie.

- Hm - zastanowiła się, patrząc na córeczkę. - Nie wiem...

- W porządku - powiedział ojciec, a ja natychmiast rozpoznałam ten ton, ten potulnego, wykorzystywanego mężczyzny. W porządku, mawiał do mamy, po prostu ty nas utrzymujesz. W porządku, pewnie rzeczywiście wiesz lepiej, czego oczekują wydawcy. W porządku, zrezygnuję z pisania, przecież i tak nie dostanę National Book Award. - Daj mi minutę...

- Ja mogę zanieść książeczkę do sklepu - zaproponowałam, wstając z krzesła. Heidi spojrzała na mnie zaskoczona, ale na pewno nie tak bardzo jak ja sama. A już myślałam, że wiele lat temu pozbyłam

się podobnych nawyków osoby współzależnionej. - I tak miałam zamiar wybrać się na plażę.

- Jesteś pewna? - zapytała Heidi. - Wczoraj tak bardzo mi pomogłaś, że nie chciałabym cię prosić...

- Sama się zaoferowała, Heidi - przerwał ojciec. Nadal go nie widziałam, słyszałam tylko jego głos dobiegający z dali niczym słowa samego Boga. - Nie rób z siebie cierpięcicy.

„Co było bardzo dobrą radą” — myślałam sobie dziesięć minut później, kiedy maszerowałam deptakiem z książeczką czekową - i babeczkami dla dziewczyn! — w ręku. Dwadzieścia cztery godziny w Colby i już siebie nie poznawałam. „Matka byłaby zniesmaczona” - pomyślałam. Ja w każdym razie byłam.

Kiedy weszłam do Clementines, od razu natknęłam się na ciemnowłosą dziewczynę, którą widziałam poprzedniego wieczora, rozmawiającą przy ladzie z facetem z UPS.

- Ja wiem — tłumaczyła - że to strasznie głupie, ciągle po nim płakać. Ale chodziliśmy ze sobą dobre dwa lata. To nie był przelotny romans, ale naprawdę poważna sprawa. Więc w niektóre dni, tak jak dzisiaj... po prostu jest mi trudno.

Facet z UPS miał wyjątkowo nieszczęśliwą minę, ale na mój widok natychmiast się rozpromienił.

- Wygląda na to, że pani książeczka czekowa w końcu dotarła - powiedział.

- Och! - Dziewczyna odwróciła się w moją stronę, a potem zdezorientowana zamrugła oczami. - Czy Heidi... Jesteś...?

- Jej pasierbicą - wyjaśniłam.

- Naprawdę? Super. Przyjechałaś pomóc przy dziecku? - Nie...

- Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę małą — przerwała mi, zanim zdążyłam dokończyć. - Strasznie podoba mi się jej imię. Jest takie nietypowe. Chociaż myślałam, że Heidi ma zamiar nazwać ją Isabel albo Caroline. Ale może coś pokręciłam.

Podaliśmy jej książeczkę czekową i papierową torbę, a kiedy popatrzyła na nią pytająco, wyjaśniłam:

- Babeczki.

- Naprawdę? — powtórzyła z podekscytowaniem i natychmiast zajrzała do środka. - Och, pachną apetycznie. Ramon, chcesz jedną? — Poczęstowała kuriera z UPS ciastkiem, a potem podsunęła torbę w moją stronę. Potrząsnęłam głową, więc wzięła jedną babeczkę dla siebie. — Strasznie dziękuję. Momencik, wypiszę szybciutko czek i odeślę książeczkę przez ciebie, bo Heidi potrzebuje jej chyba do jakichś rachunków, a nie chciałabym, żebyś znów musiała tu przychodzić. Co prawda to bardzo wygodne mieć tę książeczkę tutaj, ale z drugiej strony...

Skinęłam głową - znowu za dużo informacji - a potem podeszłam do wieszaków z dzinsami, zostawiając ją z kurierem, żeby mogła dalej trajkotać. Za dzinsami, upchnięte pod tylną ścianą, wisiały przecenione kostiumy kąpielowe, zaczęłam więc myszkować pośród nich. Oglądałam właśnie czerwone bikini z mocno wyciętym dołem, które wydało mi się mniej ohydne niż reszta, kiedy usłyszałam dźwięk dzwonka przy drzwiach wejściowych.

- Przyniosłam zapas kofeiny! — zawołał dziewczęcy głos. - Podwójna mokka z dodatkową śmietanką, twoja ulubiona.

- A ja — wtrącił kolejny głos — mam najświeższy numer „Holly-world”. Właśnie dowieźli je do kiosku, no ile, góra dziesięć minut temu.

- Dziewczyny! — zapiszczała Maggie. Zerknęłam w stronę wejścia, ale stojak z kostiumami zasłaniał mi ladę — widziałam teraz tylko ją, bo Ramon najwyraźniej zdołał się wymknąć, szczęściarz. - Co to za okazja?

Przez chwilę panowała cisza, ale kiedy wróciłam do przeglądania ciuchów, jedna z nowo przybyłych w końcu się odezwała:

- Hm... mamy ci coś do powiedzenia.

- Do powiedzenia? - zdziwiła się Maggie.

- Tak - dołączyła ta druga. Znowu cisza, a potem: - Ale najpierw chciałam podkreślić, że to wyłącznie dla twojego dobra, jasne?

- Jasne — odparła powoli Maggie. — Ale nie podoba mi się to...

- Wczoraj wieczorem Jake zadał się z jakąś panną — wyrzuciła z siebie pierwsza z dziewczyn. - Na Cyplu.

„O, cholera" - pomyślałam.

- Co takiego?! - jęknęła Maggie.

- Leah! - zgromiła koleżankę druga z dziewczyn. - Chryste, zdaje się, że miałyśmy ją o tym poinformować delikatnie.

- Ty chciałaś jej to powiedzieć delikatnie — broniła się Leah. - Ja byłam za tym, żeby zrobić to szybko i od razu, tak jak przy depilowaniu brwi woskiem.

- Mówicie poważnie? — Głos Maggie stał się napięty, piskliwy, a ja wcisnęłam się między kostiumy kąpielowe, gorączkowo zastanawiając się, czy nie ma tu gdzieś tylnego wyjścia. - Skąd wiecie? Kto to? To znaczy, jakim cudem...

- Byłyśmy tam — wyjaśniła beznamiętnie Leah. — Widziałyśmy, jak przyszła i jak ze sobą rozmawiali, a potem wybrali się razem na wydmy.

- I nie zatrzymałyście ich?! — krzyknęła Maggie.

- Hej! — zaproponowała druga z dziewczyn. — Uspokój się, dobrze?

- Tylko mi nie mów, że mam się uspokoić, Esther! Co to za jedna?! Kolejna chwila ciszy. „Głupia Heidi i jej głupia książeczka czekowa"

- pomyślałam, zakopując się jeszcze głębiej w kostiumach.

- Nie mamy pojęcia - powiedziała Leah. — Jakaś przyjezdna albo turystka.

- No więc jak wyglądała? - naciskała Maggie.

- Czy to w ogóle ma znaczenie? - odparła Esther. — Oczywiście, że ma! To najważniejsza sprawa.

- To nie jest — skwitowała Leah z westchnieniem — najważniejsza sprawa.

- Ładniejsza ode mnie? - dopytywała Maggie. - Wyższa? Założę się, że to blondynka. Blondynka?

Milczenie. Wyrzałam zza stojaka. Wcale nie zdziwił mnie widok rudzielca i dziewczyny z warkoczami, które zauważyłam poprzedniego wieczora na ognisku. Przyjaciółki wymieniły spojrzenia, a potem ta z warkoczami - Esther - powiedziała:

- Miała czarne włosy i jasną cerę. Wyższa od ciebie, ale dosyć koścista.

- A cery wcale nie miała takiej super - dodała rudowłosa, która musiała mieć na imię Leah.

Na te słowa aż mną zatrzęsło. Po pierwsze, wcale nie jestem koścista. I może mam parę pryszczki, ale to przejściowe. A poza tym kim one są, żeby mówić...

Nagle kostiumy rozstały się dokładnie pośrodku, niczym Morze Czerwone, i tak po prostu w akompaniamencie pobrzękiwania wiekszaków znalazłam się twarzą w twarz z Maggie.

- Czy wyglądała może tak? - zapytała, patrząc na mnie spod zmrużonych powiek.

- O rany! - jęknęła Leah. Stojąca obok niej Esther z plaśnięciem zasłoniła usta dłonią.

- Nie do wiary! - wrzasnęła Maggie, podczas gdy ja walczyłam z pragnieniem osłonięcia się choćby górą od bikini. — Przespałaś się z Jakiem wczoraj wieczorem?

Przełknęłam ślinę i dźwięk ten wydał mi się głośniejszy niż wystrzał z pistoletu.

- To nie... — zaczęłam, a potem uświadomiłam sobie, że głos odmawia mi posłuszeństwa, urwałam więc i odetchnęłam głęboko. - To nic takiego.

Maggie wciągnęła głęboko powietrze, aż zapadły się jej policzki.

- Nic takiego - powtórzyła. A potem puściła kostiumy i bezwładnie zwiesiła ręce. - Przespałaś się z miłością mojego życia, z chłopakiem, za którego chciałam wyjść za mąż...

- O nie — jęknęła Leah. — Znowu się zaczyna.

- I to nic takiego? Naprawdę?

- Maggie. - Esther podeszła do przyjaciółki, próbując ją uspokoić. - Daj spokój. Tu nie chodzi o nią.

- Więc o co? t Esther westchnęła.

- Wiedziałaś, że do tego dojdzie, wcześniej czy później.

- Nie - zaprotestowała Maggie — nie wiedziałam. Nie miałam pojęcia.

- Ależ tak, wiedziałaś. — Esther położyła jej dłoń na ramieniu. — Musisz spojrzeć prawdzie w oczy. Gdyby nie ona, byłaby jakaś inna dziewczyna.

- Jakaś inna głupia dziewczyna - dodała Leah i sięgnęła po gazetę, a następnie zaczęła przerzucać kartki. Po czym, jakby po namyśle, zerknęła na mnie i dodała: - Bez urazy. Facet jest zwyczajnie idiotą.

- Nieprawda - zaprotestowała Maggie ze łzami w oczach.

- Daj spokój, Mag. Dobrze wiesz, że tak jest. - Esther spojrzała na mnie, a potem wsunęła dłoń pod ramię przyjaciółki. - Najwyższa pora wreszcie o nim zapomnieć. Jeśli się nad tym zastanowić, to pewnie najlepsza rzecz, jaka mogła ci się przytrafić.

- To prawda — przytaknęła Leah, przewracając kolejną kartkę.

- A skąd ty to niby wiesz?! - jęknęła Maggie, ale dała się zaprowadzić do kasy i mechanicznie wzięła podsunięty jej przez Leah kubek.

- Ponieważ — wyjaśniała łagodnie Esther — cały czas się zdręzczałaś myślą, że może on jednak wróci. Teraz musisz po prostu dać temu spokój. Tak właściwie ona wyświadczyła ci przysługę, jeśli się dobrze nad tym zastanowić.

Maggie spojrzała znowu na mnie, a ja uniosłam tylko hardo podbródek. Nie mogłam wyjść ze zdumienia, że się nią przejmuję - była drobna i różowa niczym płatek jakiegoś kwiatka. W głowie miałam zamęt, kiedy wymknęłam się pomiędzy wieszaków z kostiumami i ruszyłam do drzwi.

- Sekundę! - zawołała Maggie.

Nie musiałam się zatrzymywać, doskonale o tym wiedziałam. Mimo to zwolniłam kroku i odwróciłam się w jej stronę. Chociaż nadal milczałam.

- Czy ty - zaczęła, a potem urwała i wzięła głęboki oddech. - Czy on ci się naprawdę podoba? Po prostu mi powiedz. Wiem, że to żalosne, ale muszę wiedzieć.

Wpatrywałam się w nią przez chwilę, czując na sobie spojrzenia pozostałej dwójki. A potem odparłam:

- On nic dla mnie nie znaczy.

Jeszcze przez moment Maggie nie odrywała ode mnie wzroku, po czym w końcu sięgnęła po książeczkę czekową i wyciągnęła ją w moją stronę.

- Dzięki — powiedziała.

Może w świecie zwyczajnych dziewczyn taka chwila powinna być punktem zwrotnym. Takim, w którym uświadamiamy sobie, że pomimo różnic jednak coś nas łączy i przewyciężywszy wreszcie niechęć, stajemy się prawdziwymi przyjaciółkami. Ale nie znałam tego świata zbyt dobrze i szczerze mówiąc, wcale nie miałam ochoty go odkrywać, nawet jako turystka. Dlatego wzięłam książeczkę czekową, skinęłam całej trójce głową i wyszłam ze sklepu, pozostawiając je - tak jak zdarzało mi się to tyle razy wcześniej - żeby we własnym gronie mogły wygadywać na mój temat, co im się żywnie podoba.

- A więc - rzuciła mama - opowiadaj wszystko.

Kiedy zadzwonił mój telefon, było późne popołudnie, a ja akurat spałam jak kamień. Nawet bez patrzenia na wyświetlacz wiedziałam, że to ona. Przede wszystkim dlatego, że była to jej ulubiona pora na rozmowy, zaraz po rozpoczęciu koktajlu. Zresztą i tak nie spodziewałam się telefonu od kogokolwiek innego, no, może poza moim bratem, Hollisem, ale on dzwonił tylko w środku nocy. Nadal nie pojmował zagadnienia różnych stref czasowych.

- No cóż - zaczęłam rozmowę, tłumiąc ziewnięcie - tu jest naprawdę pięknie. Powinnaś zobaczyć ten widok.

- Na pewno wspaniały — odparła. — Ale nie nudź mi na temat krajobrazów, proszę o konkrety. Jak tam twój ojciec?

Przełknęłam ślinę, a potem spojrzałam na drzwi sypialni, zupełnie jakbym mogła przeniknąć je spojrzeniem i sięgnąć przez cały korytarz aż do jego pokoju. Zdumiewające, jak łatwo matka potrafiła przejść do jedyne go tematu, na który nie miałam ochoty rozmawiać. Zawsze po prostu wiedziała.

Byłam u ojca od trzech dni, a widzieliśmy się w sumie przez jakieś trzy godziny. Zazwyczaj pisał w gabinecie, spał w swoim pokoju albo wpadał na chwilę do kuchni po coś na ząb w drodze między jednym

pomieszczeniem a drugim. Tyle jeśli chodzi o marzenia o wspólnym spędzaniu czasu, zacieśnianiu więzi, pałaszowaniu porcji krążków cebulowych czy dyskutowaniu o literaturze albo mojej przyszłości. Nasze rozmowy zwykle sprowadzały się do krótkiej wymiany zdań w rodzaju: „Co słyszeć? Byłaś dzisiaj na plaży?” podczas mijania się na schodach. Ale musiałam się zadowolić choćby tymi namiastkami kontaktu. Kiedy pukałam do drzwi gabinetu ojca, zwykle nawet nie zadawał sobie trudu, aby odwrócić wzrok od ekranu komputera, a wszelkie próby wciągnięcia go w pogawędkę spełzały na niczym.

Wszystko układało się nie tak. Ale jeszcze gorsze okazało się to, że podczas gdy ojca prawie nie widywałam, Heidi była wszędzie. Jeśli szłam sobie zrobić kawę, akurat karmiła w kuchni małą. A gdy próbowałam zaszyć się na tarasie, natychmiast wychodziła z domu, z Thisbe w nosidełku BabyBjörn, i zapraszała mnie na wspólny spacer po plaży. Nawet w swojej sypialni nie byłam bezpieczna, bo znajdowała się ona tak blisko pokoju dziecka, że najmniejszy ruch czy szelest natychmiast przywabiał Heidi, przekonaną, że pragnę towarzystwa równie rozpaczliwie jak ona.

Ewidentnie czuła się samotna. Tyle że mnie samotność wcale nie doskwierała. Przywykłam do niej, lubiłam ją. I właśnie dlatego tak bardzo dziwiło mnie, że w ogóle zauważyłam brak zainteresowania ze strony ojca, nie wspominając o tym, jak mnie to dotknęło. A babeczki Heidi, jej paplanina i nadmiar życzliwości tylko pogarszały sytuację.

Mogłam opowiedzieć mamie o tym wszystkim. Ostatecznie właśnie to chciała usłyszeć. Ale z jakiegoś powodu miałam wrażenie, że oznaczałoby to przyznanie się do porażki. W końcu czego ja się spodziewałam? Dlatego obrałam odmienną taktykę.

— No cóż — zaczęłam — dużo pisze. Całymi dniami przesiaduje u siebie w gabinecie.

Na chwilę zapadła cisza, jakby matka musiała przetrwać tę informację. A potem:

— Naprawdę?

— Aha - przytaknęłam. - Mówi, że prawie skończył książkę, musi tylko to i owo doszlifować.

- Doszlifowywanie, które zajmuje całe dnie - skomentowała ironicznie. Celny strzał. - A co z dzieckiem? Pomaga Heidi przy małej?

- Hm... - zająknęłam się i natychmiast tego pożałowałam. Wiedziałam, że to jedno mruknięcie wiele zdradza. — Pomaga. Ale Heidi upiera się, żeby robić wszystko samodzielnie...

- Och, błagam cię - westchnęła mama. W jej głosie usłyszałam satysfakcję. - Nikt nie ma ochoty zajmować się noworodkiem w pojedynkę. A jeśli ktoś mówi co innego, to wyłącznie dlatego że nie ma innego wyjścia. Widziałaś, żeby twój ojciec choć raz zmienił pieluchę?

- Na pewno to robi.

-Tak, ale Auden... - Skrzywiłam się. Czułam się zapędzana w kozi róg. - Czy to widziałaś?

- Hmm, właściwie to nie - przyznałam w końcu.

- Aha. - Matka odetchnęła głośno i niemal słysząc było, że się uśmiecha. - No cóż, miło wiedzieć, że niektóre rzeczy naprawdę się nie zmieniają.

Chciałam jej wytknąć, że skoro była tego taka pewna, nie powinna się dziwić. Na głos powiedziałam jednak tylko:

- A co tam u ciebie?

- U mnie? - Westchnienie. - Och, po staremu, po staremu. Poproszono mnie o przewodniczenie komitetowi, który ma się zająć przygotowaniem nowych planów zajęć obowiązkowych z angielskiego na przyszły rok, z całą towarzyszącą temu dramaturgią. Poza tym muszę napisać parę zaległych artykułów, niedługo wyjeżdżam do Stratford, no i oczywiście czeka na mnie mnóstwo prac magisterskich, które najwyraźniej nigdy nie zostaną ukończone, jeśli nie będę prowadziła autorów za rączkę.

- Zapowiada się pracowite lato - podsumowałam, otwierając okno.

- Właśnie tak. Ci moi magistranci, same z nimi problemy. Ciągłe czegoś ode mnie chcą. - Znowu westchnęła, a ja pomyślałam o tamtych okularach w czarnych oprawkach, leżących na kuchennym blacie. - Tak się zastanawiam, czy nie uciec na wybrzeże, tak jak ty,

i nie spędzić wakacji na plaży, gdzie nie musiałabym się niczym przejmować.

Popatrzyłam przez okno na wodę, biały piasek i ledwie widoczny w oddali Cypel. „Jasne — miałam ochotę powiedzieć. — Ja właśnie świetnie się bawię”.

— A jak tam Hollis? - rzuciłam. - Odzywał się do ciebie ostatnio?

— Dzwonił przedwczoraj w nocy. - Matka wybuchła śmiechem. - Opowiadał mi, że spotkał jakichś Norwegów wybierających się na kongres w Amsterdamie. Właśnie tworzą sklep internetowy i najwyraźniej są bardzo zainteresowani współpracą z twoim bratem, który ich zdaniem świetnie orientuje się w oczekiwaniach ich amerykańskiej grupy docelowej. Hollis zabrał się z nimi. Uważa, że może z tego wyniknąć dla niego jakaś posadka...

Przewróciłam oczami. To zabawne, że mama zawsze potrafi przejrzeć mnie na wylot, ale kiedy Hollis wyrusza do Amsterdamu z ludźmi, których dopiero co poznał, wymyślając bajeczkę, że to posunięcie korzystne dla jego kariery, ona się na to nabiera. Naprawdę.

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Kiedy otworzyłam, ku swojemu zdumieniu ujrzałam ojca, który od razu rzucił z uśmiechem:

— Hej. Wybieramy się z Heidi na kolację, pomyślałem, że może będziesz chciała do nas dołączyć.

— Jasne - podziękowałam za zaproszenie, ledwie poruszając wargami w nadziei, że matka, która nadal rozprawiała o poczynaniach Hollisa, tego nie usłyszy.

— Auden? - Nic z tego. Jej głos brzmiał w słuchawce tak wyraźnie, że ojciec aż się skrzywił. — Jesteś tam jeszcze?

— Jestem - powiedziałam. - Ale właśnie wszedł tata, żeby zaprosić mnie na kolację, więc muszę kończyć.

— Och - mruknęła - czyli dał sobie spokój z doszlifowywaniem na dzisiaj?

— Zadzwoń do ciebie później - powiedziałam i szybko zatrzaskałam kłapkę telefonu, po czym ścisnęłam aparat w dłoni.

Ojciec westchnął.

— I jak się miewa twoja matka?

- W porządku. Chodźmy.

Na dole Heidi już na nas czekała, z komórką przyklejoną do ucha i Thisbe zapiętą w spacerówce. Ojciec otworzył drzwi, a ona wypchnęła wózek na ganek, nawet na moment nie przerywając rozmowy.

- Ale to bez sensu! Sama przygotowałam listę płac, a na koncie mamy mnóstwo pieniędzy. Po prostu... och, oczywiście. Bank wie najlepiej. Strasznie mi przykro, Esther, to takie krępujące. Posłuchaj, właśnie wybieramy się w tamtym kierunku. Wezmę trochę gotówki z bankomatu, a w poniedziałek wszystko wyjaśnimy, dobrze?

Kiedy wszyscy znaleźliśmy się na zewnątrz, ojciec odetchnął głęboko.

- Nie można nie kochać morskiego powietrza! - rzucił do mnie, poklepując się dłonią po piersi. - Doskonale działa na duszę.

- Masz dziś dobry humor — zauważyłam, podczas gdy Heidi pokonywała wózkiem kolejne stopnie, nadal rozmawiając przez komórkę.

— Ach, no cóż, tak właśnie działa na człowieka prawdziwy przełom — oznajmił, wyciągając ręce, żeby przejąć wózek od żony. Heidi posłała mu uśmiech i odsunęła się na bok, po czym wreszcie ruszyliśmy w drogę. — Jeden ze środkowych rozdziałów sprawił mi mnóstwo problemów, zwyczajnie nie umiałem znaleźć rytmu. Aż w końcu dzisiaj, nieoczekiwanie... wszystko ułożyło się w całość. — Pstryknął palcami. - Ot, tak! Dzięki temu praca nad dalszymi etapami będzie znacznie łatwiejsza.

Zerknęłam na Heidi, która zatroskana mówiła właśnie coś o opłatach bankowych.

— Myślałam, że głównie doszlifujesz tekst? — zauważyłam.

— Co takiego? — rzucił ojciec, kiwając głową przebiegającemu obok mężczyźnie ze słuchawkami iPod'a w uszach. — Och, racja. No cóż, to po prostu kwestia dopasowania do siebie wszystkich elementów. Jeszcze kilka dni takich jak dzisiaj, a skończę ten zarys przed półmetkiem wakacji. W najgorszym wypadku.

— Rany - jęknęłam, a Heidi wyłączyła komórkę i przeczesła palcami włosy. Ojciec chwycił ją w pasie i przyciągnął do siebie, a potem cmoknął w policzek.

— Czyż nie jest cudownie? - powiedział z uśmiechem. - Wszyscy razem wybieramy się na pierwszą wyprawę Thisbe do Last Chance.

— Jest wspaniale — przytaknęła Heidi. — Ale po drodze muszę jeszcze wstąpić do sklepu. Najwyraźniej pojawił się jakiś problem z wypłatami...

— Mamy piątek wieczór, kochanie! - obruszył się ojciec. - Po prostu sobie odpuść. Do poniedziałku sprawy zawodowe ci nie uciekną.

— Tak, ale... — zaczęła Heidi i w tym momencie znowu zadzwonił jej telefon. Zerknęła na wyświetlacz, a potem podniosła komórkę do ucha. — Halo? Leah, tak, o co... och. Nie, wiem o tym. Posłuchaj, jesteś teraz niedaleko sklepu? W porządku, po prostu wpadnij do butiku, spróbuję jakoś temu zaradzić.

— Te dziewczyny, które ona zatrudnia - objaśniał ojciec, wskazując głową żonę - typowe nastolatki. Zawsze jest z nimi problem.

Pokiwałam głową, jakbym sama nie była nastolatką. Bo dla taty nie byłam.

— Bank odmówił realizacji czeków z wypłatami — wyjaśniła mu Heidi. - To dosyć poważna sprawa.

— W takim razie zadzwoń do księgowego, niech on się tym zajmie - stwierdził ojciec, robiąc śmieszny minę do Thisbe, która właśnie zaczynała zasypiać. - Teraz mamy czas dla rodziny.

— On nie zajmuje się wypłatami - odparła Heidi. — Ja to robię.

— W takim razie powiedz im, żeby poczekały, aż zjemy kolację.

— Nie mogę tego zrobić, Robercie. Trzeba im zapłacić, a poza tym...

— Posłuchaj - przerwał jej zdenerwowany ojciec - przecież sama stwierdziłaś, że spędzam za mało czasu z tobą, dzieckiem i Auden. Nalegałaś, żebym przerwał pracę i wybrał się z wami na kolację?

— Tak — przyznała Heidi, podczas gdy jej telefon znowu się rozdzwonił- ale...

- Skończyłem dziś wcześniej. W dzień, kiedy szło mi wyjątkowo dobrze, jeśli wolno mi to dodać - ciągnął ojciec, kiedy znaleźliśmy się wreszcie na deptaku. - A teraz ty się wycofujesz.

- Robercie, chodzi o moją firmę.

- A pisanie niby nie jest moją pracą?

„Kurczę — pomyślałam. — Wystarczy zmienić parę szczegółów: profesurę na prowadzenie własnej firmy, komitety naukowe na pracowników i oto mamy awanturę podobną do jego kłótni z mamą sprzed paru lat". Spojrzałam na Heidi — twarz miała napiętą, bo w zasięgu wzroku właśnie pojawił się butik. Przed wejściem stały Esther i Leah.

- Posłuchaj - powiedziała Heidi do ojca - może zabierzecie z Auden małą do Last Chance i zajmiecie stolik, a ja do was dołączę. To potrwa tylko parę minut. Dobrze?

- W porządku - mruknął ojciec, chociaż najwyraźniej wcale mu się to nie uśmiechało.

Nie tylko on był nieszczęśliwy. Dwadzieścia minut później, kiedy dotarliśmy do restauracji, Thisbe obudziła się i zaczęła grymasić. Początkowo było to ciche kwilenie, ale z każdą chwilą płacz przybierał na sile. Zanim zjawiała się kelnerka z menu, mała właściwie już krzyczała.

- Och - jęknął ojciec, przesuwając wózek w tył i w przód. Thisbe nadal zanosila się płaczem. - Hm, Auden, mogłabyś...?

Nie dokończył, więc nie miałam pojęcia, o co prosi. Ale ponieważ Thisbe nadal płakała, przyciągając uwagę chyba wszystkich wokół nas, tata rzucił mi kolejne, jeszcze bardziej spanikowane spojrzenie, a ja uświadomiłam sobie, że liczy na moją interwencję. Niezbyt rozsądny pomysł. A ja, co gorsza, zrobiłam dokładnie to, czego ode mnie oczekiwał.

- Wezmę ją - powiedziałam, odbierając mu wózek, po czym zaczęłam się wycofywać w stronę wyjścia. - A ty może...

- Zajmę stolik i zamówię coś dla nas — zapewnił ojciec. — Po prostu wróć z nią, kiedy się uspokoi, dobrze?

Oczywiście. Jakby to miało się wydarzyć w najbliższej przyszłości.

Wyszłam z wózkiem na deptak, gdzie przynajmniej płacz nie odbijał się echem od ścian, i przysiadłam na ławce. Przez chwilę obserwowałam buzię Thisbe, całą pomarszczoną i coraz bardziej czerwoną, a potem zerknęłam do wnętrza restauracji. W głębi dostrzegłam ojca przy stoliku dla czterech osób, uważnie studiującego menu. Przełknęłam ślinę, a potem przetałam dłonią twarz i przymknęłam oczy.

„Ludzie się nie zmieniają” - powtarzała mama i oczywiście miała rację. Ojciec nadal był egoistą, którego inni niewiele obchodzili, a ja nadal nie chciałam w to uwierzyć, chociaż ostatnie wydarzenia nie pozostawiały żadnych wątpliwości. Może przeznaczeniem nas wszystkich jest popełniać wciąż te same głupie błędy i nigdy nie wyciągać z nich żadnej nauki. Leżąc w wózku Thisbe nadal krzyczała, a ja miałam ochotę się dołączyć, odchylić głowę i wreszcie wyrzucić z siebie całe te lata frustracji i smutku. Ale zamiast tego po prostu siedziałam w milczeniu, dopóki nie poczułam na sobie czyjś spojrzenia.

Otworzyłam oczy. Obok wózka stał - ubrany w dzinsy, znoszone tenisówki i wyblakły podkoszulek z napisem „CIOS MIŁOŚCI” - chłopak, którego widziałam wcześniej na Cyplu i na deptaku. Pojawił się zupełnie znikąd i po prostu stanął obok, uważnie przypatrując się Thisbe. Wykorzystałam tę okazję, żeby się mu przyjrzeć - miał opaloną twarz, zielone oczy, sięgające ramion ciemne włosy ściągnięte w niedbały kucyk na karku, szeroką wypukłą bliznę biegnącą wzdłuż przedramienia, a potem rozgałęziającą się na łokciu niczym rzeka na mapie.

Nie miałam pojęcia, dlaczego się przy nas zatrzymał, zwłaszcza po tym, jak chłodno mnie potraktował podczas ostatniego spotkania. Byłam jednak zbyt wyczerpana, żeby się teraz nad tym zastanawiać.

- Po prostu zaczęła krzyczeć - powiedziałam.

Nadal milczał, więc z jakiegoś powodu, Bóg jeden raczy wiedzieć dlaczego, poczułam potrzebę mówienia dalej.

- Tak naprawdę płacze cały czas - dodałam. - To kolka albo po prostu... nie mam pojęcia, co robić.

Nieznajomy nadal milczał. Tak samo jak przy naszych poprzednich dwóch spotkaniach. A najdziwniejsze było to, że choć nie s p o -

dziewałam się odpowiedzi, nie przestawałam mówić. Zupełnie nie w moim stylu, bo to ja zwykle...

- No cóż - odezwał się nagle chłopak, znowu kompletnie mnie zaskakując - zawsze jest jeszcze winda.

Przez chwilę po prostu się na niego gapiłam. -Winda?

Nieznajomy bez słowa nachylił się i wyjął Thisbe z wózka. I zanim zdążyłam go powstrzymać - a nie ulegało wątpliwości, że powinnam to zrobić - wziął małą na ręce. Najpierw przemknęło mi przez głowę, że to ostatnia rzecz, jakiej bym się po nim spodziewała. Potem przyszło zdumienie, jak świetnie radził sobie z moją siostrzyczką, lepiej niż ja, tata i nawet Heidi razem wzięci.

- To - powiedział, obejmując Thisbe rękami w pasie i odwracając ją tak, by mogła patrzeć na świat (oczywiście, nadal krzycząc), a nóżki, którymi kopała jak szalona, zwisały jej swobodnie - jest winda.

Przy tych słowach powoli ugiął nogi i znowu je wyprostował, a potem zrobił kolejne dwa przysiady. Przy czwartej powtórce Thisbe nagle przestała protestować, a na jej buzi pojawił się dziwny wyraz spokoju.

A ja po prostu tam stałam, z niedowierzaniem obserwując rozgrywającą się przede mną scenę. K i m był ten facet? Ponurym nieznajomym? Rowerowym czarodziejem? Zaklinaczem niemowlaków? A może...

- Eli! - zawołała Heidi, która nagle pojawiła się za jego plecami. - Tak mi się wydawało, że to ty.

Chłopak popatrzył na nią i lekko poczerwieniał, ale szybko odzyskał opanowany wyraz twarzy.

- Cześć - przywitał Heidi, przerywając zabawę w windę. Thisbe zamrugła oczami, a potem znowu wybuchła płaczem.

- Ojej. - Macocha wyciągnęła ramiona, żeby odebrać od niego córeczkę. A potem odwróciła się do mnie. - Gdzie twój ojciec?

- Zajął nam stolik. Właśnie mieliśmy siadać, kiedy mała zaczęła marudzić.

- Pewnie jest głodna — stwierdziła Heidi, zerknąwszy na zegarek. Thisbe na jej ramieniu zawodziła jeszcze głośniej, a ja popatrzyłam na Elięgo, próbując zrozumieć, co rozegrało się tu przed chwilą. - Co za dzień! Nie do wiary, z jakim bałaganem muszę sobie radzić w pracy. Książeczka czekowa została anulowana, jakimś cudem przegapiłam lokatę czy coś w tym stylu, dzięki Bogu dziewczyny są takie wyrozumiałe. Wiecie, nie żeby ich czeki były na jakieś oszałamiające sumy, ale mimo wszystko ciężko pracują, no i...

W trakcie tych tłumaczeń, którym wtórowały zawodzenia małej, dosłownie czułam, jak krew uderza mi do głowy. Dlaczego Heidi musiała robić z każdej drobnostki taki problem?

— Lepiej wróć do sklepu — powiedział Eli. — A tak przy okazji, moje gratulacje.

- Och, jesteś kochany, dziękuję — odparła Heidi, układając córkę wygodniej w objęciach. — No i cieszę się, że wpadliście na siebie z Auden! Nikogo tu nie zna, więc po cichu liczyłam, że znajdzie się ktoś, kto jej wszystkich przedstawi.

Poczułam, że się rumienię. Oczywiście musiała to powiedzieć, tak jakbym rozpaczliwie potrzebowała towarzystwa. Musiałam zatrzeć to wrażenie, więc nie zareagowałam, kiedy Eli skinął mi głową, po czym przeciął ulicę i zniknął we wnętrzu sklepu rowerowego.

— Thisbe, kochanie, już dobrze — uspokajała córeczkę Heidi, nie zwracając uwagi na to, co się dookoła niej dzieje. Dopiero kiedy przypięła małą z powrotem w wózku, odwróciła się do mnie: - To wspaniale, że jesteście z Elim przyjaciółmi!

— Nie jesteśmy — zaprzeczyłam. - Tak naprawdę wcale się nie znamy.

- Och. - Heidi zerknęła w kierunku sklepu z rowerami, jakby z tamtej strony spodziewała się potwierdzenia, a potem przeniosła wzrok z powrotem na mnie. — W każdym razie Eli to naprawdę kochany chłopak. Jego brat, Jake, jest chyba w tym samym wieku co ty, tak mi się zdaje. Jeszcze niedawno chodził z Maggie. To było paskudne rozstanie. Dziewczyna ciągle nie może się po tym pozbierać.

„Jego brat?” - pomyślałam, mocno się rumieniąc. Jak małe było to cholerne miasto? Tymczasem Heidi nie przestawała mówić.

- Wchodzimy do środka? - zapytała. - A może lepiej zabiorę Thisbe do domu, jest taka rozdrażniona. Jak myślisz? Co powinnam zrobić? To znaczy, cudownie byłoby zjeść kolację w restauracji, ale zastanawiam się...

- Nie wiem - przerwałam jej. Słowa popłynęły same, chociaż zdawałam sobie sprawę, że trzeba się było ugryźć w język. - Nie wiem, co powinnaś zrobić. W porządku? Wiem tylko, że jestem głodna i chcę zjeść posiłek w towarzystwie mojego ojca. I to właśnie zamierzam zrobić, jeśli nie masz nic przeciwko.

Heidi gwałtownie wciągnęła powietrze, a po jej minie poznałam, jak bardzo zabolęły ją moje słowa.

- Och - odezwała się po chwili. - Oczywiście. Jasne. Wiedziałam, że zachowałam się paskudnie. Wiedziałam, mimo

to okręciłam się na pięcie i poszłam sobie, zostawiając Heidi z zanoszącym się płaczem dzieckiem. Mogłabym jednak przysiąc, że ten szloch podążył za mną, wypełniając mi uszy nawet pośród tłumu ludzi na deptaku i w restauracji, całą drogę wąskim przejściem aż do stolika, przy którym siedział ojciec. Kiedy wśliznęłam się na krzesło naprzeciwko niego, podniósł wzrok znad talerza i przesunął menu w moją stronę.

- Po prostu się odpręż — powiedział. — W końcu jest piątkowy wieczór.

„Oczywiście - pomyślałam. — Nie ma sprawy". Kiedy parę minut później na stole pojawiły się krążki cebulowe, tak właśnie próbowałam zrobić. Tyle że z jakiegoś powodu tym razem nie smakowały tak samo. Były dobre. Ale nie pyszne jak poprzednio.

* * *

Wiedziałam z doświadczenia, kiedy jest już po awanturze, a kiedy kłótnia dopiero nabiera rozmachu. Po kolacji nie poszłam więc od razu do domu, tylko włączyłam się po plaży, a potem wracałam możliwie najdłuższą drogą. Ale to i tak nie wystarczyło, bo kiedy

dwie godziny później wstępowałam na schodki ganku, zza drzwi wciąż dobiegały podniesione głosy ojca i Heidi.

— ...rozumiem, czego chcesz ode mnie. Prosiłaś, żebym zrobił sobie przerwę w pracy i wybrał się z wami na kolację. Tak zrobiłem. A ty nadal jesteś niezadowolona.

- Chciałam, żebyśmy zjedli tę kolację wszyscy razem!

- I tak właśnie by było, gdybyś nas nie zostawiła i nie poszła do butiku. Sama podjęłaś decyzję.

Cofnęłam rękę, którą zdążyłam położyć na klamce, po czym wyszłam z zasięgu lampy na ganku. Sądząc z odgłosów, kłótnia toczyła się tuż za drzwiami, a ostatnią rzeczą, na którą miałam teraz ochotę, było wkroczenie w sam jej środek.

- Chciałabym po prostu... — zaczęła moja macocha łamiącym się głosem.

A potem zapadła cisza, niemal nie do zniesienia. Przerwał ją dopiero ojciec:

— Chciałabyś po prostu czego?

- Nie wiem - rzuciła niepewnie Heidi. - Zwyczajnie... myślałam, że będziesz więcej przebywał z nami.

— Jestem tutaj cały czas, Heidi — powiedział ojciec bezbarwnym tonem.

- Tak, ale w gabinecie. Nie poświęcasz czasu Thisbe, nie nawiązujesz z nią kontaktu. Nie kołyszysz jej, nie mówisz do niej...

— Rozmawialiśmy na ten temat na samym początku ciąży. — Ojciec podniósł głos. - Tłumaczyłem ci, że kiedy jestem niewyspany, nie potrafię normalnie funkcjonować, że muszę sypiać co najmniej dziewięć godzin na dobę. Wiedziałaś o tym.

- W porządku, ale mógłbyś się przecież zająć małą w ciągu dnia albo rano, żebym miała szansę uporać się z obowiązkami w sklepie. Albo nawet...

— A nie rozmawialiśmy o tym - przerwał jej ojciec - jakie to ważne, żebym skończył książkę tego lata? Ze nie mogę zrobić tego w trakcie roku akademickiego i że tylko teraz mam szansę popracować w spokoju?

— Tak, oczywiście, tylko...

- I właśnie dlatego - ciągnął ojciec, nie pozwalając jej dojść do głosu - nalegałem, żeby zatrudnić nianię. Albo opiekunkę na kilka godzin. Ale ty nie chciałaś.

- Nie potrzebuję niani. Po prostu muszę mieć wolną godzinkę od czasu do czasu.

- Więc poproś o pomoc Auden! Przecież dlatego chciałaś, żeby przyjechała, prawda?

Poczułam się tak, jakby ktoś wymierzył mi policzek. Do twarzy napłynęła mi krew.

- Nie zaprosiłam Auden po to, żeby opiekowała się małą - zaprotestowała Heidi.

- W takim razie dlaczego ona tu jest?

Zapadła kolejna chwila ciszy. Tym razem przyjął ją z radością, bo czasem pytanie potrafi zranić dotkliwiej niż odpowiedź. W końcu Heidi powiedziała:

- Z tego samego powodu, dla którego chcę, żebyś zajmował się małą. Ponieważ jest twoją córką, a ty powinienes mieć ochotę na spędzanie z nią czasu.

- Chryste! - jęknął ojciec. - Naprawdę myślisz...

Mieli sobie jeszcze wiele do powiedzenia, to było jasne. Ojciec nigdy nie ogranicza się do kilku słów tam, gdzie może mówić do woli. Ale tym razem nie zdołałabym go słuchać. Wyciągnęłam kluczyki z kieszeni i wskoczyłam do samochodu.

Trzy godziny kluczyłam po ulicach Colby, jeżdżąc wokół uniwersytetu, aż do nabrzeża i z powrotem. Miasteczko było zbyt małe, żeby się w nim zgubić, chociaż usilnie się o to starałam. A kiedy wróciłam wreszcie na podjazd pod domem taty i Heidi, zanim weszłam, upewniłam się, że wszystkie światła w środku są pogaszone.

Wewnątrz panował spokój, przynajmniej na ile zdążyłam się zorientować. Wózek stał koło schodów, na poręczy wisiała złożona szmatka, klucze ojca leżały na stoliku przy drzwiach. Jediną zmianę stanowił bałagan na kuchennym stole, gdzie piętrzyły się teraz pliki kartek, książeczka czekowa Heidi oraz kilka notatników. W jednym z nich znajdowały się zapiski świadczące o próbach rozwiązania tajemnicy, co mogło się stać z pieniędzmi na jej koncie.

„ZALICZKI NA PODATEK?", napisała u góry, a pod spodem dodała: „LOKATA Z 11 CZERWCA?" oraz „SPRAWDZIĆ WSZYSTKIE WYPŁATY OD KWIETNIA, POMYŁKI?". Sądząc z nieporządnego, wręcz chaotycznego wyglądu listy, nie posunęła się zbyt daleko.

Popatrzyłam na te stosy papierów i przypomniałam sobie zasmucony wyraz twarzy Heidi w chwili, kiedy na nią burknęłam. A potem pomyślałam o tym, co powiedziała na mój temat w trakcie awantury z ojcem. Nie spodziewałam się, że będę ją mieć po swojej stronie. Ale jeszcze bardziej zaskoczyło mnie, jak wielką - nawet jeśli tylko przelotną - wdzięczność czułam za to, że się za mną wstawiła.

Spojrzałam na zegarek. Kwadrans po północy, jak dla mnie bardzo wcześnie, bo miałam przed sobą całą noc. Ekspres stał na blacie. Warunki dalekie od tych panujących w barze Rays, ale musiało mi to wystarczyć. Nacisnęłam guzik, a kiedy kawa zaczęła spływać do dzbanka, usiadłam przy stole z książeczką czekową Heidi, żeby szukać tego, co jej umknęło.

pięć

- HEJ, AUD, TO JA! Co słyszeć?

Głos mojego brata, czysty i radosny, rozbrzmiewał teraz w moim telefonie na tle pulsujących basów. Bez wątpienia Hollis spędzał przynajmniej część czasu w miejscach innych niż bary, ale nigdy do mnie z nich nie dzwonił.

- Nic ciekawego - odparłam, zerkając na zegarek. Ósma trzydzieści, czyli u niego dobrze po północy. - Właśnie szykuję się do pracy.

- Pracy? - Hollis wymówił to słowo tak, jakby pochodziło z kompletnie obcego mu języka. Bo pewnie rzeczywiście tak było. - Myślałem, że w wakacje zamierzasz leniuchować, przesiadywać na plaży.

Uznałam, że nie przez przypadek właśnie tak się wyraził, niemal słowo w słowo powtarzając to, co usłyszałam podczas ostatniej rozmowy z mamą - jeśli Hollis mógł oddziaływać na jej sposób myślenia, ona zapewne miała na niego podobny wpływ. Łączyła ich niesamowita więź, tak silna, że wręcz fizycznie wyczuwalna, niczym fala przyływu. Matka twierdziła, że to efekt wszystkich tych nocy, kiedy czuwała samotnie przy małym Hollisie. A ja zastanawiałam się, czy to sprawiedliwe, że mój brat tak świetnie radził sobie z kobietami, poczynając od tej pierwszej, jaką w życiu poznał.

- No cóż, wcale tego nie planowałam - powiedziałam. Muzyka po drugiej stronie linii nagle zrobiła się głośniejsza, a potem znowu przycichła. - Po prostu tak wyszło.

- Do bani! - orzekł Hollis. — Na chwilę stracisz czujność, a zaraz przytrafia ci się coś takiego. Trzeba się mieć na baczności, no wiesz.

Wiedziałam. Chociaż cała ta sytuacja nie powinna mnie przecież dziwić. Ostatecznie nikt mnie do niczego nie zmuszał. Sama byłam sobie winna.

A wszystko wydarzyło się następnego dnia po tym, jak przejrzałam dokumenty ze sklepu.

- Nie wierzę! - krzyknęła Heidi, kiedy zjawiłam się na dole. Jak zawsze czyhała na mnie w kuchni, z Thisbe przypiętą pasami w no-sidełku. - Kiedy wczoraj wieczorem szłam spać, miałam tu straszny bałagan, a dzisiaj rano... wszystko było w porządku. Prawdziwa z ciebie cudotwórczym! Skąd w ogóle wiedziałaś, jak to zrobić?

- W zeszłe wakacje pracowałam trochę w biurze rachunkowym

- powiedziałam, wyjmując kawę z lodówki. Zanim wstanę, oboje z ojcem dawno już opróżniają dzbanek, więc zawsze zawczasu przygotowuję kolejny tylko dla siebie. - Drobnostka.

- Wczoraj spędziłam dwie godziny na przeglądaniu wyciągów — oznajmiła Heidi, sięgając po książeczkę, po czym pomachała nią w moją stronę. - I nie udało mi się dojść, gdzie tkwi błąd. Jakim cudem wpadłaś na to, że chodzi o podwójne opodatkowanie?

Włączyłam ekspres, żałując, że nie mogę przynajmniej wypić kawy, zanim będę musiała z kimkolwiek rozmawiać. Niestety, nie miałam tyle szczęścia.

- Z wyciągu wynikało, że coś podobnego wydarzyło się w maju

- wyjaśniłam. - Uznałam, że taka sytuacja mogła się powtórzyć, więc przejrzałam zeznania podatkowe...

- W których też panował straszny bałagan, sama nie mogłam w nich nic znaleźć! - przyznała Heidi. — A teraz wszystkie są posegregowane. Musiałaś spędzić mnóstwo czasu na ich porządkowaniu.

„Cztery godziny” - pomyślałam. Na głos powiedziałam jednak:

- Nie, skąd.

Heidi potrząsnęła tylko głową, obserwując mnie, podczas gdy ekspres wyprodukował wreszcie dosyć kawy na ćwierć filiżanki. Szybko przelałam ją do kubka.

— Wiesz - odezwała się w końcu Heidi - od miesięcy zastanawiam się nad zatrudnieniem kogoś, kto pomógłby mi w robocie papierkowej, ale dotąd się wahałam, to taka odpowiedzialna praca. Nie chciałam jej powierzać byle komu.

„O mój Boże - pomyślałam. - Błagam, dajcie mi po prostu wypić kawę!”.

-Jeśli jesteś zainteresowana - ciągnęła Heidi - obiecuję, żeby ci się to opłacało. Serio.

Wciąż czekałam, aż kofeina zacznie działać. Chciałam więc uciąć rozmowę:

— Hm, właściwie nie planowałam pracy w te wakacje. Poza tym nie za bardzo nadaję się do wstawania wcześniej rano...

— Och, ale wcale byś nie musiała zaczynać wcześniej! - zapewniła Heidi. — Dziewczyny codziennie wplacają utarg, a to jedyna rzecz, którą trzeba zrobić w określonym terminie. Resztę, czyli księgowość, listę płac i śledzenie operacji kasowych, mogłabyś robić później w ciągu dnia. Tak naprawdę to nawet lepiej, jeśli się z tym poczeka.

Oczywiście. Teraz nie miałam wyjścia, bo żaden dobry uczynek nie pozostanie bez kary. Większą tajemnicą było jednak to, skąd u mnie ten nagły wybuch zapędów dobrego samarytanina? Przecież wiedziałam, że podobne sytuacje nigdy nie ograniczają się do pomocy w jednej sprawie, że potem zawsze trzeba zrobić następny krok i kolejny.

— Propozycja jest naprawdę wspaniała - powiedziałam do Heidi -v ale...

Przerwał mi odgłos kroków za moimi plecami - a chwilę później do kuchni wkroczył tata z pustym talerzem w rękę i ustawioną na nim puszką po dietetycznej coli. Kiedy popatrzyli na siebie z Heidi, od razu zorientowałam się, że awantura z poprzedniego wieczora nie zakończyła się szczęśliwym pojednaniem. To nie było tylko ochłodzenie atmosfery, ale wręcz mróz ścinający krew w żyłach.

— No, no - powitał mnie ojciec, wkładając talerz do zlewu — widzę, że w końcu się obudziłaś. A tak przy okazji, o której chodzisz ostatnio spać?

— Późno — odparłam. — Albo wcześniej, zależy, jak na to spojrzeć.

Ojciec skinął głową, po czym opłukał talerz i odstawił go na suszarkę do naczyń.

- Ach, beztraska młodości. Móc nie spać całą noc, niczym się nie martwić. Zazdroszczę ci.

„Nie ma czego” — pomyślałam. Tymczasem Heidi stwierdziła:

- Tak naprawdę Auden poświęciła ostatnią noc na przejrzenie moich papierów firmowych. Znalazła pomyłkę, przez którą nie zgadzało mi się saldo.

- Naprawdę? - Ojciec posłał mi uważne spojrzenie.

- Próbuję ją przekonać, żeby zgodziła się popracować u mnie w butik — dodała Heidi. — Kilka godzin w biurze.

- Heidi - zaczął ojciec, opłukując ręce - Auden nie przyjechała tu do pracy, pamiętasz?

Krótką uwagą, za to obliczoną na maksymalny efekt. Zdziałało, i bo zobaczyłam, jak Heidi się krzywi.

- Oczywiście, że nie - potwierdziła. — Po prostu pomyślałam, że mogłaby...

- Powinna się cieszyć czasem spędzonym z rodziną - odparł ojciec, a potem uśmiechnął się do mnie. - Co powiesz, Auden? Może wybierzemy się razem na kolację dziś wieczorem?

Był naprawdę świetny, musiałam to przyznać. Nawet jeśli chodziło mu tylko o to, żeby odegrać się na Heidi za wczoraj. Tego przecież pragnęłam, tylko on i ja, nic więcej się nie liczyło. Prawda?

- Brzmi wspaniale - rzuciła Heidi. Kiedy na nią spojrzałam, posłała mi uśmiech, który wydał mi się odrobinę wymuszony. — I wcale nie musisz przejmować się tą pracą. Twój tata ma rację, powinnaś się cieszyć wakacjami.

Ojciec cały czas obserwował ją bacznie, dopijając ostatni łyk dietetycznej coli. Upłynęło trochę czasu, odkąd musiałam się przysłuchiwać awanturom rodziców, ale od tamtej pory nic się nie zmieniło. To samo napięcie, identyczne docinki. I tak dobrze mi znana mina ojca pewnego swojego zwycięstwa.

- Właściwie — rozpoczęłam, nie przemyślawszy, co wyprawiam - to przydałoby mi się trochę dodatkowej gotówki na studia. Jeżeli w grę nie wchodziłoby zbyt wiele godzin.

Heidi zrobiła zdumioną minę, potem zerknęła na męża - którego wyraz twarzy najlepiej oddawało słowo „wściekły” - a wreszcie zapewniła:

- Och, na pewno nie! Powiedzmy, jakieś piętnaście tygodniowo. Maksymalnie.

- Auden - wtrącił tata — nie czuj się zobowiązana. Jesteś naszym gościem.

Zdawałam sobie sprawę z tego, że gdybym poprzedniej nocy nie była świadkiem ich sprzeczki, ta rozmowa wyglądałaby zupełnie inaczej. Ale nie da się zapomnieć słów, które się usłyszało, nawet jeśli bardzo się chce. Zwyczajnie wiesz coś i już.

Wieczorem wybraliśmy się z ojcem do knajpki przy molo, gdzie zamówiliśmy pół kilograma gotowanych na parze krewetek, a potem siedzieliśmy przy stoliku, wpatrując się w ocean. Wciąż myślałam o tym, co powiedział, a on nadal był na mnie zły za przyjęcie propozycji Heidi (i tym samym stanięcie po jej stronie), dlatego początkowo dawało się wyczuć niezręczne napięcie. Ale kiedy tata wypił piwo i wciągnął mnie w bardzo nudną rozmowę, atmosfera nieco się rozluźniła. Wypytał o Defiriese i moje plany co do specjalizacji na studiach, ja w rewanżu wyciągnęłam z niego zwierzenia dotyczące jego książki („złożone studium człowieka próbującego uciec przed przeszłością swojej rodziny”) i postępów w pisaniu (musiał „wyrzucić cały środek, to się po prostu nie sprawdzało, ale nowy tekst był o wiele, wiele lepszy”). Trochę to trwało, ale gdzieś pomiędzy następną porcją krewetek a szczegółowymi wyjaśnieniami na temat konfliktu wewnętrznego głównego bohatera przypomniałam sobie wszystkie powody, dla których kocham tatę: jego oddanie pracy i umiejętność opowiadania o niej z taką pasją, że słuchacz zapomina o bożym świecie.

— Nie mogę się doczekać, żeby ją przeczytać - przyznałam, kiedy kelnerka przyniosła nam rachunek. Pomiedzy nami spoczywał ogromny stos pancerzyków, różowiących się w padających przez okno promieniach słońca. - Zapowiada się wspaniale.

— Przynajmniej ty rozumiesz, jakie to ważne - ucieszył się ojciec, ocierając usta. - Pamiętasz, jak sukces *Narwala* zmienił nasze życie.

Ta książka może zrobić to samo dla mnie, dla małej i Heidi. Żałuję tylko, że moja żona tego nie dostrzega. - Przy tych słowach zapatrzył się w butelkę, którą obracał w dłoniach.

- No cóż, może po prostu Heidi reaguje teraz zbyt emocjonalnie. Z powodu niewyspania i w ogóle.

- Może. — Ojciec upił kolejny łyk piwa. - Ale prawdę mówiąc, Heidi nie myśli tak jak my, Auden. Jej siłą jest biznes, gdzie liczą się tylko rezultaty, liczby. U naukowców i pisarzy wygląda to inaczej. Przecież sama wiesz.

Wiedziałam. Ale wiedziałam też, że matka, która pasowała do obu tych kategorii, traktowała dokładnie tak samo jego pracę nad dokładnie tą samą powieścią. Mimo wszystko przyjemnie było pomyśleć, że ojciec uważa mnie za kogoś, komu może się zwierzyć.

Po kolacji się rozdzieliliśmy. Ja poszłam do Clementines, żeby zorientować się w obowiązkach, zanim oficjalnie rozpocznę pracę. Z wielu powodów nie paliłam się zbytnio do tego zajęcia, więc choć raz byłam wdzięczna bratu za niespodziewany kontakt.

- Wiesz - zaczęłam, kiedy muzyka gdzieś za jego plecami znowu zaczęła dudnić - Tara jest bardzo miła.

- Kto?

< —Tara- powtórzyłam.-Twoja dziewczyna?

- A, tak. - Zapadło wymowne milczenie rozwiewające wszelkie wątpliwości w kwestii kolejnego związku Hollisa. - Czyli dostałaś prezent, co?

Pamięć natychmiast podsunęła mi ramkę na zdjęcia, upchniętą teraz gdzieś w mojej torbie podróżnej, z biegnącym pod uśmiechniętą twarzą Hollisa napisem: „NAJLEPSZE CHWILE”.

- Jasne - powiedziałam. - Jest świetna. Bardzo mi się podoba. : Hollis zachichotał: !

- Daj spokój, Aud. Kłamiesz.

- Wcale nie.

- A właśnie że tak. To straszna tandeta.

- No cóż - powiedziałam. - To jest...

- ... okropne — dokończył za mnie. — Tandetny badziew. Pewnie najdurniejszy na świecie prezent na zakończenie szkoły i właśnie dla-

tego ci ją podarowałem. — Roześmiał się tym swoim dudniącym śmiechem, który zawsze poprawiał mi nastrój. - Posłuchaj, uznałem, że nie mam szans konkurować z forszą, obligacjami i samochodami, które będziesz dostawać od całej reszty. Dlatego pomyślałem, że mój prezent powinien być przynajmniej wart zapamiętania.

- I jest — zapewniłam.

- Powinnaś zobaczyć inne ramki! - Kolejny wybuch śmiechu. — Miały rozmaite teksty. Na jednej był jaskrawożółty napis „WITAJ, PRZYJACIELU!”. Albo „KRÓLOWA IMPREZ” na różowo. Była też jedna z zielonym tekstem, kompletnie bez sensu: „SZALONY CZŁOWIEK”. Jakby ktoś miał ochotę wkładać w taką ramkę swoje zdjęcie.

- Tylko ty - stwierdziłam.

- Nie żartuj! — prychnął. — W każdym razie moim zdaniem najfajniejsze w tej ramce jest to, że możesz zmieniać zdjęcia. Bo przecież nie chcesz, żeby „NAJLEPSZE CHWILE” to była zawsze jedna rzecz. Musisz mieć mnóstwo takich najlepszych chwil, każda fajniejsza od poprzedniej. Rozumiesz?

- Jasne - przytaknęłam. Mój brat tak po prostu znowu to zrobił - chwycił jakąś myśl, na którą wpadł pewnie pod wpływem impulsu, i jakimś cudem zdołał nadać jej głębię, tak by stała się warta zapamiętania. Prawdziwy majstersztyk w wykonaniu Hollisa. Jak zwykle nieobliczalnego, ale to też miało swój urok. - Tęsknię za tobą.

- Je za tobą też - odparł. - Hej, posłuchaj, przyślę ci ramkę z SZALONYM CZŁOWIEKIEM. Włożysz do niej moje zdjęcie, postawisz obok swojego w ramce NAJLEPSZE CHWILE i będzie prawie tak, jakbyśmy w ogóle się nie rozstawali. Co o tym myślisz?

Uśmiechnęłam się.

- Umowa stoi.

- Super! - Usłyszałam jakiś przytłumiony hałas, a potem podniesione głosy. - Przepraszam, Aud, muszę pędzić, wybieramy się z Ramoną na imprezę. Ale niedługo znowu pogadamy, dobra?

- Jasne - odrzekłam. - Może...

Ale Hollis już się rozłączył, tak po prostu. Zanim zdążyłam go zapytać, kim dokładnie jest Ramona albo co wydarzyło się w Amster-

damie. To właśnie mój brat, ucieleśnienie stwierdzenia „ciąg dalszy nastąpi”. Podobnie jak książka taty, zawsze w trakcie stawania się.

Zatrzasnęłam klapkę komórki i wsunęłam telefon z powrotem do kieszeni. Rozmowa z Hollisem stanowiła doskonałą odskocznnię od rzeczywistości, ale gdy tylko otworzyłam drzwi butik i zobaczyłam Maggie stojącą przy kasie w towarzystwie Leah i Esther, żal, że zgodziłam się przyjąć tę pracę, natychmiast powrócił. Naprawdę nie ma nic bardziej deprymującego niż podejście do grupy dziewczyn, które zdążyły sobie wyrobić zdanie na twój temat. Człowiek czuje się jak skazaniec prowadzony na szafot - nie ma ucieczki.

- Witamy - zareagowała na mój widok Leah. Należała do gatunku tych wysokich seksownych rudzielców o mlecznobiałej cerze. Dzisiaj miała na sobie wydekoltowaną letnią sukienkę i sandały na obcasie. Jej głos nie był ani uprzejmy, ani nieuprzejmy, raczej obojętny: - Czym możemy służyć?

- Ona ma się zająć księgowością - wyjaśniła Maggie, nie odrywając ode mnie oczu. Kiedy jednak odwzajemniłam jej spojrzenie, zaczerwieniła się i przeniosła wzrok na papiery leżące przed nią na ladzie, po czym zaczęła je gorączkowo przekładać. - Heidi szukała kogoś, odkąd mała się urodziła, pamiętasz?

- Ach, tak - mruknęła Leah, po czym ulokowała się na blacie za jej plecami, krzyżując długie nogi. — Może teraz nasze czeki będą miały pokrycie.

- Nie żartuj — wtrąciła Esther, ubrana w czarną sukienkę na ramiączkach, dzinsową kurtkę i japonki. Zestawu dopełniała czapka o wojskowym kroju, wciśnięta tym razem nie na warkocze, ale na rozpuszczone włosy. - Żeby było jasne, uwielbiam Heidi. Ale odbieranie wypłaty przy bankomacie uważam za trochę nie w porządku.

- Przecież ci zapłaciła. Heidi jest dobrą szefową, to naprawdę tylko pomyłka - stwierdziła Maggie. Ostentacyjnie omijając mnie wzrokiem, wcisnęła przycisk w kasie, a potem wyciągnęła plik banknotów i zabrała się do ich rozprostowywania. Znowu była ubrana na różowo — łącznie z koszulą i japonkami — więc zaczęłam się zastanawiać, czy to nie jakiś jej znak rozpoznawczy. Na pewno tak. — W każdym razie ktoś powinien oprowadzić ją po sklepie.

- Kogo? - zapytała Leah. — Heidi?

- Nie. - Maggie zamknęła szufladkę i popatrzyła na mnie. Chwilę później Leah i Esther zrobiły to samo. Najwyraźniej dotarłam do swojego szafotu. Nie pozostało mi nic innego, tylko położyć głowę pod topór.

- Auden - powiedziałam.

Milczenie. A potem Leah zeskoczyła z kontuaru i rzuciła do mnie przez ramię:

- Chodź. Biuro jest tam.

Kiedy podążałam za nią obok wieszaków z džinsami, półek z butami i działu wyprzedaży do biura, czułam na sobie spojrzenie pozostałej dwójki.

- Tu mamy łazienkę. - Leah wskazała głową drzwi po lewej stronie wąskiego korytarza. - Oczywiście nie dla klientów, taka panuje u nas zasada. A tu biuro. Momencik, drzwi się trochę zacinają.

Chwyciła za gałkę i napała na drzwi, które po chwili ustąpiły z trzaskiem.

Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła mi się w oczy, był wszechobecny róż. Wszystkie ściany miały odcień ulubionego koloru Maggie i przypominały gumę balonową. A to, co nie było różowe (czyli na pierwszy rzut oka nie za wiele), pomalowano na pomarańczowo. Szaleństwa dopełniało mnóstwo dziewczęcych bibelotów stłoczonych na niewielkiej powierzchni: różowe pudełka, kubek na długopis z Hello Kitty, miska wypełniona po brzegi szminkami i błyszczkami. Nawet szafki na dokumenty - szafki na dokumenty! — miały różowe i pomarańczowe nalepki, a na ich szczycie leżało rozciągnięte boa z różowych piór.

- Rany! - jęknęłam, nie mogąc się powstrzymać.

- Wiem - przytaknęła Leah. - Czujesz się tu, jakbyś siedziała w pudełku balonowy. Więc tak, sejf jest pod biurkiem, książeczka czekowa mieszka w drugiej szufladzie po lewej, a wszystkie faktury lądują pod miśkiem.

- Miśkiem?

Leah podeszła do biurka i podniosła małego misia z różowego pluszu. Ubranego w pomarańczowy kapelusz.

— Tutaj - wyjaśniła, wskazując stos papierów. - Nic nie mów, już tak było, kiedy tu zaczynałam pracować. Coś jeszcze?

Miałam oczywiście kilka pytań, ale nie takich, na które mogłaby mi udzielić odpowiedzi.

— Nie. Dzięki.

— Nie ma sprawy. Zawołaj mnie, jakbyś czegoś potrzebowała. - Wyszła na korytarz, w którym nadal stałam, nie mając odwagi przekroczyć progu. Zdążyła odejść kawałek, zanim po namyśle dodała: - Aha, Auden?

— Tak? - Odwróciłam się na pięcie.

Zerknęła przez ramię za siebie, a potem zrobiła krok w moją stronę.

— Nie przejmuj się Maggie. Ona po prostu reaguje bardzo... emocjonalnie. Przejdzie jej.

— Och... — mruknęłam, zastanawiając się, co powinnam odpowiedzieć. Nawet dla mnie było jasne, że lepiej nie obmawiać żadnej dziewczyny za jej plecami, zwłaszcza kiedy rozmawia się z jej przyjaciółką. - Oczywiście.

Leah skinęła głową, a potem ruszyła z powrotem w stronę kasy, gdzie Esther i Maggie pochylały się nad pudełkiem okularów słonecznych, zajęte naklejaniem cen. Kiedy do nich podeszła, spojrzały na nią, a potem bez słowa się przesunęły, robiąc dla przyjaciółki miejsce.

Znów zerknęłam w głąb różowej klitki i pomyślałam o mamie. Była chyba jedyną znaną mi osobą, która miałaby jeszcze większe opory przed wejściem do tego pomieszczenia niż ja. Już widziałam jej minę, oczy zwięzające się z odrazą i to ciężkie wymowne westchnienie.

„Tu jest zupełnie jak w macicy! - jęknęłaby. - To otoczenie, podporządkowane stereotypom i oczekiwaniom dotyczącym płci, jest równie żalosne, jak każdy, kto zdecydował się w nim pracować”.

„Dokładnie tak” - pomyślałam. A potem weszłam do środka.

* * *

Wystrój biura Heidi może i był przesadnie słodki, ale w papierach nie miała bałaganu. Kiedy w poprzednie wakacje pracowałam dla

księgowego mamy, widziałam najbardziej nieprawdopodobne sposoby prowadzenia dokumentacji. Do biura przychodzili na przykład ludzie, w których księgach brakowało rachunków z całych miesięcy, albo prowadzący rozliczenia wyłącznie na pudełkach po zapalniczkach bądź serwetkach. Papiery Heidi były posegregowane, całkiem zresztą sensownie. Zauważyłam tylko kilka nieprawidłowości, wszystkie powstałe w ciągu ostatnich dziesięciu miesięcy. Może nie powinno mnie to dziwić, jeśli wziąć pod uwagę wzmiankę ojca na temat biznesowej smykałki mojej macochy. Ale dziwiło.

Nie zaskoczyło mnie natomiast, że początkowo kolorystyka biura potwornie mnie rozpraszała. Kiedy tam siedziałam, czułam wręcz lekkie mdłości, a sytuację dodatkowo pogorszyło zapalenie lampy na biurku, która miała pomarańczowy abażur, przez co wszystko wyglądało jeszcze bardziej idiotycznie. Ale po paru minutach spędzonych z kalkulatorem i książeczką czekową w ręku przestałam zwracać na to uwagę. Dotąd nie uświadamiałam sobie, jak bardzo brakowało mi prostoty pracy z liczbami, tego, jak dzięki sumowaniu i dzieleniu wszystko nabierało sensu. Zero emocji, żadnych komplikacji. Tylko cyfry na ekranie, układające się w idealnym porządku.

Rachunki tak mnie pochłonęły, że początkowo nawet nie słyszałam dobiegającej ze sklepu muzyki. Dopiero kiedy melodia buchnęła nagle z mocą, zupełnie jakby ktoś zniecka maksymalnie podkręcił głośność, oderwałam się od formularzy podatkowych, które akurat przeglądałam.

Zerknęłam na zegar - 9:01 - po czym wstałam od biurka i uchyliłam drzwi. Muzyka rozbrzmiewająca na końcu korytarza była wręcz ogłuszająca, jakaś piosenka disco o szybkim rytmie, wokalistka wyśpiewywała tekst o wakacyjnej miłości. Zastanawiałam się nawet, czy to nie problemy ze sprzętem, kiedy nagle zauważyłam, jak Esther tanecznym krokiem przesuwają się koło stojaka z džinsami, potrząsając rękami uniesionymi nad głowę. Chwilę później jej śladem poszła Leah, powoli kołysząc biodrami, a za nią Maggie, podskakująca na czubkach palców. Istny korowód trzech tancerek, które przemknęły niczym zjawy.

Wychyliłam się mocniej. Nie zauważyłam żadnych klientów, chociaż deptakiem przechodziło sporo spacerowiczów. Właśnie miałam się wycofać chyłkiem do biura, kiedy zza stojaka z kostiumami kąpielowymi wychynęła Esther, potrząsając głową, aż włosy kołysały się jej na boki, chwyciła Leah za rękę i przyciągnęła do siebie. Leah zawirowała i zrobiła kolejny obrót, by wrócić na miejsce, przy czym obie cały czas zanosily się śmiechem. Następnie dziewczyny się rozsunęły, a między nimi stanęła Maggie, która zaczęła potrząsać biodrami, podczas gdy koleżanki krążyły wokół niej w tanecznym rytmie.

Nie zdawałam sobie sprawy, że stoję tam, gapiąc się w nie bez słowa, dopóki Esther nie zwróciła na mnie uwagi.

- Hej! - zawołała. Policzki miała zarumienione. - To taniec godziny dziewiątej. Chodź.

Odruchowo potrząsnęłam głową.

- Nie, dzięki.

- Nie możesz odmówić! — krzyknęła Leah. Chwyciła przy tym Maggie za rękę, a ta obróciła się w tę i z powrotem. - Udział pracowników jest obowiązkowy.

„W takim razie rezygnuję” - pomyślałam, ale dziewczyny już ruszyły wężykiem w dalsze pląsy, tym razem z podskakującą Maggie na przodzie. Esther podążała za nią, pstrykając do rytmu palcami. Zamykająca korowód Leah zerknęła na mnie po raz ostatni, ale kiedy nawet nie drgnęłam, po prostu wzruszyła ramionami i dołączyła do przyjaciółek okrążających kolejne regały w drodze do drzwi.

Wróciłam do biurka. Dziewczyny na pewno uznały mnie za okropną nudziarę, ale mało mnie to obchodziło. Ich taniec przypominał wszystkie te rozrywki, którym oddawały się dzieciaki w porze lunchu — udawane zapasy sumo, zawody w jedzeniu ciasta, grę w twistera na dziedzińcu. Ja w takich zabawach nie uczestniczyłam, chociaż w duchu zastanawiało mnie, na czym właściwie polegały. Patrząc na dziewczyny, uznałam, że może jeśli człowiek bawił się sporo jako dziecko, w podobnych momentach dawał się ponieść nostalgii, urokowi chwili. Ale dla mnie wszystko to było nowe i właśnie dlatego takie przerażające.

Sięgnęłam po długopis, żeby wrócić do formularzy podatkowych. Chwilę później muzyka umilkła równie nagle, jak rozbrzmiała. Minęła kolejna godzina ciszy wśród liczb, po czym usłyszałam pukanie do drzwi.

— Zamykamy - poinformowała Esther, stając za moimi plecami z torbą z utargiem w ręku. - Mogę się dostać do sejfu?

Odsunęłam się razem z krzesłem, żeby zrobić jej miejsce. Esther przykucnęła i wsunęła klucz do zamka. Obserwowałam, jak wkłada torbę do środka, a potem zatrzaskuje drzwiczki. Wreszcie się wyprostowała.

— Wychodzimy za jakieś dziesięć minut - wyjaśniła, otrzepując kolana. - Idziesz z nami czy zamierzasz siedzieć do późna?

Chciałam jej powiedzieć, że dwudziesta druga nie jest dla mnie późną porą. Wiedziałam jednak, że tak naprawdę Esther wcale nie próbuje nawiązać rozmowy, dlatego rzuciłam tylko:

— Ja też prawie skończyłam.

— Super. Przyjdź do głównego wejścia, będziemy mogły zamknąć.

Skinęłam głową. Wychodząc, zostawiła otwarte drzwi, więc kiedy kończyłam tych parę rzeczy, które mi zostały, słyszałam, jak razem z Maggie i Leah gawędzą przy kasie.

— Skąd się wzięły te Skittles? - zapytała Esther.

— A jak ci się zdaje? - rzuciła Leah.

— Naprawdę? - W jej tonie, lekko żartobliwym, dało się wyczuć, że Esther się uśmiecha. — No więc, Mags, kolejne cukierki od Adama, co?

Maggie westchnęła.

— Mówiłam wam, dziewczyny, to nic nie znaczy. On uwielbia łązić po sklepach, jak wszystkie chłopaki.

— Może masz rację - stwierdziła Leah. - Ale to nie oznacza jeszcze, że za każdym razem musi kupować coś dla ciebie.

— Nie robi tego za każdym razem — mruknęła Maggie.

— Ale tak to wygląda - upierała się Esther. - A w przypadku chłopaka, który lubi włóczyć się po sklepach, to jest właśnie pierwszy sygnał. Dzięki temu po prostu wiesz.

- No właśnie - przytaknęła Leah.

- Nieprawda - rzuciła Maggie. - To tylko cukierki. Przestańcie doszukiwać się w całej sprawie jakichś niestworzonych rzeczy, bo to głupota.

Mogłam jej tylko przyklasnąć. Zdumiewało mnie, że spędziły razem cały wieczór, a jednak najwyraźniej nadal nie brakowało im tematów do rozmów. Nawet jeśli chodziło jedynie o słodycze i chłopaków.

Kiedy wyszłam z biura, stały przy drzwiach wejściowych, czekając na mnie.

- Zrozumiem, jeżeli nie będziesz chciała się z nim zadawać - mówiła akurat Leah. - W końcu to tylko licealista.

- Zdał maturę tak samo jak my, Leah - upomniała ją Esther.

- Jasne. Ale jeszcze nie jest studentem. Jedne wakacje robią ogromną różnicę.

- Skąd możesz to wiedzieć? Sama nie chcesz się umawiać z nikim poza facetami z college'u.

- Czemu tak cię to denerwuje? Przecież na studiach i tak wszystkie będziemy się umawiać z facetami z college'u. Więc co w tym złego, że zaczęłam wcześniej?

- Nic - odparła Esther, kiedy wyszłyśmy ze sklepu, a Maggie zatrzasnęła drzwi i wyciągnęła z torebki klucze. — Po prostu uważam, że coś cię ominęło, no wiesz, dlatego że nie chcesz się umawiać z nikim w swoim wieku.

- A cóż takiego niby mnie ominęło?

- Nie wiem. - Esther wzruszyła ramionami. - Po prostu jest coś fajnego w tym, że ma się tyle samo lat.

- Powiedziała ta, która nie była na randce od ponad roku - prychnęła Leah.

- Jestem wybredna - odcięła się Esther.

- Raczej grymaśna- stwierdziła Maggie. - Nikt nie jest dla ciebie wystarczająco dobry.

- Mam wysokie standardy. To lepsze niż umawianie się z byle kim.

Niespodziewanie zapadła niezręczna cisza, na tyle wymowna, że nawet ja zwróciłam na to uwagę. Maggie, która wkładała właśnie klucz do zamka, zeszywniała.

- Och, Mags — zaczęła pojednawczo Esther. - Przecież wiesz, że nie miałam na myśli Jake'a.

- W porządku - zbyła ją Maggie. - Lepiej w ogóle o tym nie rozmawiajmy.

„Ale to nie będzie łatwe” - uświadomiłam sobie, kiedy popatrzyłam na prawo, w stronę sklepu rowerowego. Obok ławeczki zauważyłam chłopaka z kręconymi włosami. Siedział na rowerze i rozmawiał z dwoma innymi, których nie znałam. Tuż za nim stał Jake, akurat wkładał kurtkę. Kiedy się obejrzał, spojrzał prosto na mnie.

„Super” — pomyślałam, pospiesznie odwracając się do niego plecami i w rezultacie stając twarzą w twarz z Esther i Leah, które właśnie próbowały ustalić, dokąd mają się wybrać.

- Zawsze można pójść na Cypel - stwierdziła Esther. - Obiło mi się o uszy, że dziś wieczorem ma być impreza z browarem.

- Mam dosyć piachu i zwietrzałego piwa - jęknęła Leah. - Wybierzmy się do klubu czy coś w tym stylu.

- Ty jedna masz dowód, zapomniałaś? i

- Jakoś was przemycę do środka.

- Zawsze tak mówisz - wypomniła jej Esther. - Ale nigdy ci się to nie udaje. Mags, a ty na co masz ochotę?

Maggie wzruszyła ramionami i wrzuciła klucze do torebki przewieszanej przez ramię.

- Wszystko mi jedno — powiedziała. - Równie dobrze mogę wracać do domu.

Leah zerknęła na Jake'a, a potem na mnie.

- Bzdura. Przynajmniej...

Przerwał jej chłopak z kędzierzawymi włosami, który nagle zahamował przy nas z piskiem.

- Drogie panie - przywitał się. Leah przewróciła oczami. — Któraś chętna na wyprawę na tor przeszkód?

- Boże, miej litość! - jęknęła Leah. - Błagam, żadnych rowerów. Ile my mamy lat, dwanaście?

- To nie są po prostu rowery - rzucił urażonym tonem chłopak. — Jak możesz w ogóle tak mówić?

- Bez problemu - odparła Leah. — A poza tym, Adam...

- Ja pojedę - przerwała jej Maggie.

Adam z uśmiechem opadł z powrotem na siodełko, podczas gdy Maggie sadowiła się na kierownicy, po czym położyła sobie torebkę na kolanach.

- No co? - zwróciła się do Leah, która tylko westchnęła. — To lepsze niż jakiś klub.

- Nie - odparła Leah obojętnym tonem - wcale nie.

- Och, rozchmurz się! - rzucił w jej stronę Adam, odpychając się od krawężnika, po czym zaczął pedałowac.

Maggie odchyliła się do tyłu i przymknęła oczy, pozostali rowerzyści spod sklepu pomknęli za nimi. Rozdrażniona Leah tylko potrząsnęła głową, ale w końcu pozwoliła Esther wziąć się pod rękę, po czym obie ruszyły pieszo za resztą towarzystwa. W rezultacie zostaliśmy tylko ja i Jake.

Odwróciłam się, chcąc odejść, ale moje wysiłki na niewiele się zdały. Dwa kroki i już miałam go znowu obok siebie.

- Posłuchaj - zaczął - o co w ogóle chodziło wtedy wieczorem? Strasznie szybko zniknęłaś.

Był zbyt pewny siebie, stał zbyt blisko, chciał zbyt wiele...

- O nic — mruknęłam.

- Ja odniosłem inne wrażenie - rzucił półgłosem. - Zresztą nadal myślę, że mogłoby coś z tego być. Masz ochotę na spacer i w ogóle?

Z trudem powstrzymałam dreszcz niechęci. Żałowałam tego, co między nami zaszło, jeszcze zanim dowiedziałam się, że Jake jest byłym Maggie i bratem Eliego. I czy to nie zabawne, że chociaż chciałam wiedzieć o tym miasteczku jak najmniej, teraz miałam wszystkie te informacje?

- Jake — zaczęłam - to, co się wydarzyło tamtej nocy, to była pomyłka, jasne?

- Nazywasz mnie pomyłką?

- Muszę iść - rzuciłam, ruszając chodnikiem przed siebie.
- Jesteś kopnięta, wiesz o tym? - zawołał, kiedy pochyliłam głowę, wpatrując się w koniec deptaka. - Szurnięta flirciara!

Więcej kroków, więcej przestrzeni. Skręciłam z deptaka na ulicę i nawet zdążyłam się trochę rozluźnić, kiedy nagle zauważyłam w oddali Eliego zbliżającego się z naprzeciwka. Szedł powoli za grupą starszych kobiet wystrojonych na wieczór na mieście, wszystkie za bardzo opalone i ubrane w zbyt jaskrawe rzeczy. Skuliłam ramiona, próbując stać się niewidzialna, ale on i tak spojrzał w moją stronę dokładnie w momencie, kiedy mnie mijał. „Błagam, po prostu idź dalej” — pomyślałam, wbijając wzrok w kraciastą koszulę faceta przede mną.

I tu Eli najwyraźniej różnił się od brata, bo doskonale rozumiał takie sygnały. Żadnego nawoływania, zero słów. Tak naprawdę nawet nie spojrzał na mnie ponownie, po prostu poszedł dalej.

sześć

-AUDEN? CZY JUŻ...

Zamarłam bez ruchu, nasłuchując. Czekałam. Ale jak zwykle po tych słowach zapadła cisza.

Z westchnieniem odłożyłam podręcznik do podstaw ekonomii, wstałam i otworzyłam drzwi sypialni. Oczywiście - Heidi z Thisbe w objęciach.

- Och, na miłość boską! - jęknęła, wpatrując się we mnie z konsternacją. — Przyszłam tu z konkretnego powodu! A teraz nie mam pojęcia, co to było. Możesz to sobie w ogóle wyobrazić?

Mogłam. Tak naprawdę kłopoty Heidi z pamięcią stały się częścią mojego dnia, równie niezmienną, jak poranna kawa i siedzenie do późna, bardzo późna w nocy. Ze wszystkich sił próbowałam trzymać się z boku, nie ingerować w życie jej i ojca, na ile to tylko możliwe, jeśli wziąć pod uwagę, że mieszkaliśmy pod jednym dachem. Na próżno. Dwa tygodnie i już byłam beznadziejnie zaangażowana, czy mi się to podobało, czy nie.

Tym sposobem doskonale wiedziałam, że humor ojca zależał od tego, jak poszło mu danego dnia pisanie: dobry poranek i był wesoły przez resztę dnia, kiepski, a zaraz zaczynał snuć się po domu z ponurą miną, mamrocząc coś pod nosem. Znałam wszystkie szczegóły ciągnącej się depresji poporodowej Heidi, takie jak zapominalstwo, szalone zmiany nastroju i wieczne zamartwianie się - o każdą cholerną rzecz, jaką robiło dziecko, czy było to spanie, jedzenie czy kupy. Byłam też świetnie obeznana z codziennym życiem Thisbe - od płaczu (który zdawał się nigdy nie milknąć) po skłonność do czkawek pojawiających się dokładnie w momencie, kiedy zapadała w sen. Mo-

ze ojciec i Heidi byli równie dobrze zorientowani w moich zwyczajach, ale wątpię.

Z powodu tego wszystkiego zaczęłam nawet z przyjemnością wpadać na tych kilka godzin do Clementines - czasami wręcz nie mogłam się doczekać wyjścia do pracy. To była okazja, żeby zrobić coś konkretnego, coś, co miało początek, środek i koniec. Zero emocjonalnych huśtawek, brak komentarzy na temat czyichś łazienkowych nawyków i żadnych czkawk. Jediną rzeczą, która sprawiała, że nie mogłam nazwać tych chwil czasem idealnym, była obecność Esther, Leah i Maggie oraz ich problemy. Ale dziewczyny przynajmniej zostawiały mnie w spokoju, kiedy zamykałam za sobą drzwi biura.

Wpatrywałam się w Heidi, która ciągle stała w progu ze zmarszczonymi brwiami, próbując sobie przypomnieć, po co przyszła na górę. Spoczywająca w jej ramionach Thisbe nie spała, tylko błędziła wzrokiem po suficie, pewnie zastanawiając się, kiedy znowu przyjdzie jej ochota na płacz.

— Czy to miało jakiś związek z pracą? — zapytałam, bo wiedziałam, że kilka wskazówek czasem wspomaga pamięć.

— Nie - odparła Heidi, przekładając Thisbe na drugie ramię. - Siedziałam na dole i myślałam, że niedługo będę musiała ułożyć małą do snu, a to ostatnio straszny kłopot, bo ona tak bardzo się denerwuje, że choćbym nie wiem co robiła i tak jest niespokojna...

Przestałam słuchać, zamiast tego powtarzając sobie w myślach układ okresowy pierwiastków, co zwykle zapewniało mi wystarczające zajęcie podczas monologów macochy.

— .. więc miałam zamiar spróbować ją położyć, ale tego nie zrobiłam, bo... — Heidi pstryknęła palcami. - Urządzenie do fal! O to chodziło. Nigdzie nie mogę go znaleźć. Widziałaś je może?

Już miałam zaprzeczyć. Dwa tygodnie temu, tuż po przyjeździe, tak właśnie bym zrobiła, bez poczucia winy ani chwili namysłu. Ale ponieważ zaplątałam się w ich życie, znalazłam odpowiedź na to pytanie:

— Zdaje się, że leży na stoliku przy drzwiach wejściowych.

— Och! Wspaniale. — Heidi westchnęła i popatrzyła na Thisbe, która właśnie ziewała. — Dobra, po prostu po nie pójdę i miejmy

nadzieję, że wszystko jakoś się ułoży. To znaczy, wczoraj próbowałam uśpić ją mniej więcej o tej porze, bo ewidentnie była wyczerpana, ale natychmiast zaczęła płakać. Daję słowo, zupełnie jak...

Zaczęłam zamykać drzwi, powoli, powoli, aż wreszcie zrozumiała aluzję i zawróciła w stronę schodów.

- .. życz nam szczęścia! - zawołała na odchodnym.

Usiadłam na łóżku i popatrzyłam na ciągnącą się za oknem plażę. Nie rozumiałam wielu rzeczy dotyczących życia ojca i Heidi. I wcale mi to nie przeszkadzało. Ale urządzenie do wytwarzania dźwięków fal? To kompletne szaleństwo.

Mieszkali zaledwie parę metrów od oceanu, mimo to Heidi uważała, że Thisbe potrafi zasnąć wyłącznie przy dźwiękach fal -oczywiście możliwie najgłośniejszych — generowanych przez to puchło. Co oznaczało, że musiałam znosić jego hałas także nocami. \ Pewnie nie widziałabym w tym problemu, gdyby pudło nie zagłuszało mi szumu prawdziwej wody. Zatem mieszkałam w domu nad brzegiem oceanu i słuchałam fałszywych fal — oto najlepsze podsumowanie tej absurdalnej sytuacji.

Na korytarzu znowu rozległy się kroki, potem dobiegło mnie skrzypienie otwieranych i zamykanych drzwi. A chwilę później, oczywiście, szum fal. Sztuczny, głośny, nieprzerwany.

Chwyciłam torbę i wyszłam na korytarz, żeby na paluszkach przemknąć obok uchylonych na parę centymetrów drzwi pokoju Thisbe. U szczytu schodów przystanąłam i zajrzałam do gabinetu taty. Drzwi jak zwykle były niedomknięte. Ojciec siedział przy biurku, twarzą do ściany, z puszką dietetycznej coli i nietkniętym jabłkiem obok laptopa. A więc dzień okazał się udany.

Jak wspomniałam, zdążyłam całkiem nieźle poznać jego zwyczaje. Z obserwacji wiedziałam, że codziennie po lunchu zabierał do gabinetu jabłko. Jeśli dzień był dobry, ojciec tak zatracił się w pracy, że jabłko nie zjadał. Natomiast w kiepskie dni zostawał tylko ogryzek, objedzony do ostatka, czasem nawet w dwóch kawałkach. W dni całego jabłko tata zjawiał się przy kolacji szczęśliwy i rozgadany. W dni ogryzkowe — zwłaszcza te dwuczęściowego ogryzka - jeśli w ogóle przychodził na kolację, lepiej było trzymać się od niego z daleka.

Zwykle zresztą i tak nie jadałam wieczorem w domu, bo o piątej wychodziłam do butiku, gdzie o jednej kanapce pracowałam aż do zamknięcia. Potem jakąś godzinę spacerowałam deptakiem, a w końcu wracałam po samochód, żeby pokręcić się jeszcze po miasteczku trzy lub cztery godziny.

Znalazłam pewien całodobowy lokal o nazwie Wheelhouse Diner, jakieś pięćdziesiąt pięć kilometrów od miasta, ale nawet nie umywał się do Ray's. Wąskie boksy cuchnęły wybielaczem, a zamiast kawy podawali jakąś lurę. Na dodatek kelnerki patrzyły krzywym okiem, jeśli siedziało się dłużej, niż zajmowało zjedzenie tego, co się zamówiło, mimo że zwykle bar i tak świecił pustkami. Najczęściej zattzy-mywałam się więc na stacji benzynowej, gdzie kupowałam duży kubek kawy, którą sączyłam potem w trakcie przejażdżek po okolicy. W ciągu zaledwie dwóch tygodni poznałam Colby od podszewki, chociaż na niewiele mi się to zdało.

Kiedy dotarłam do Clementine's, była prawie szósta i dziewczyny miały się właśnie zmienić. Co oznaczało, że jedna kończyła pracę i ustępowała pola drugiej, choć najczęściej z niezrozumiałych powodów ta, która mogła już iść do domu, i tak kręciła się po sklepie, dobrowolnie i oczekując za to wynagrodzenia. „Kręcenie się” wyglądało mi zresztą na główne zajęcie mieszkańców Colby. Dziewczyny spędzały czas na plotkach albo przeglądaniu czasopism o modzie w Clementine's, chłopcy przesiadywali na ławkach przed sklepem rowerowym, paplając albo czytając czasopisma dla rowerzystów. Śmieszne. A jednak tak to wyglądało, dzień po dniu.

— Cześć — powitała mnie w drzwiach Esther, najbardziej przyjaźnie nastawiona z dziewczyn. - Co słyhać?

— Super! - rzuciłam jak zawsze. Dawno podjęłam decyzję, że będę serdeczna, ale nie nadmiernie, żeby przypadkiem nie dać się wciągnąć w pogaduszki, która gwiazda trafiła na odwyk albo czy lepsze są sukienki na ramiączkach czy bez nich. - Jakies nowe dostawy?

— Tylko to. - Esther podała mi kilka świstków papieru. — Aha, z jakiegoś powodu dostałyśmy dzisiaj w banku dodatkowy rulon ćwierćdolarówek, kwitek z wpłaty położyłam pod miśkiem.

— Świetnie. Dziękuję.

— Nie ma sprawy.

Chwilę później znalazłam się w biurze, za zamkniętymi drzwiami, zupełnie sama. Dokładnie tak, jak lubiłam. Gdyby jeszcze tylko ściany miały barwę chłodnej bieli, wszystko byłoby idealnie.

Zwykle skupiona na pracy, nie zwracałam uwagi na to, co się dzieje w sklepie. Ale czasem między jednym wyliczeniem a drugim to i owo do mnie docierało. Leah podczas swojej zmiany bez przerwy paplała przez komórkę. Esther mnóstwo czasu spędzała na podśpiewywaniu pod nosem. A Maggie — no cóż, Maggie doradzała klientkom.

— Och, te wyglądają świetnie - usłyszałam koło wpół do ósmej, kiedy zabrałam się do sporządzania listy płac na ten tydzień. - Dżinsy z Petuni są najlepsze, słowo daję. Ja swoich praktycznie nie zdejmuję.

— No nie wiem — odezwał się kobiecy głos. — Podobają mi się kieszenie, ale mam wątpliwości co do tego odcienia.

— Rzeczywiście są trochę ciemne. — Umilkła na chwilę. — Ale z drugiej strony myślę, że zawsze warto mieć jedną parę dżinsów, do których pasuje coś bardziej eleganckiego, prawda? A ciemniejsze dają taką możliwość. Nie wszystkie dżinsy wyglądają dobrze ze szpilkami. A te będą pasować.

-Tak?

— Och, jak najbardziej. Ale jeśli odcień pani nie odpowiada, możemy wybrać parę sztuk innych firm. Pink Slingbacks mają super kieszenie. No i zawsze są jeszcze Courtney Amanda. W nich pani pośladki będą wyglądać jak marzenie.

Kobieta się roześmiała.

— W takim razie koniecznie muszę je przymierzyć.

— Załatwione, zaraz znajdę właściwy rozmiar... Przewróciłam oczami sama do siebie, wystukując kilka cyfr na

kalkulatorze. Za każdym razem, kiedy słyszałam, jak Maggie rozprawa na podobne tematy, dyskutuje o różnicach między markami japońskich albo zaletach i wadach szortów w porównaniu z majtkami od kostiumu, wydawało mi się to koszmarną stratą czasu. Tyle możliwości, żeby dowiedzieć się wielu wspaniałych rzeczy, a ona wybiera-

ła buty i ciuchy. Leah przynajmniej sprawiała wrażenie bystrej, z kolei Esther była prawdziwą indywidualistką żyjącą we własnym świecie. Za to Maggie okazała się, no cóż, dokładnie taka jak Heidi. Bardzo dziewczynska, sam róż, głupstewka i frywolność. Co gorsza, najwyraźniej jej to nie przeszkadzało.

- Są! - Usłyszałam. - Och, i znalazłam te koturny z Dapper, właśnie przyszła nowa dostawa. Będzie mogła pani zobaczyć, jak dzinsy wyglądają w bardziej eleganckiej wersji.

- Dzięki — powiedziała klientka. — Są piękne. Uwielbiam buty.

- To oczywiste! — odparła Maggie. - W końcu jest pani kobietą, prawda?

„Na miłość boską - pomyślałam. — Szkoda, że nie ma tu tego urządzenia do fal!”.

Chwilę później usłyszałam dzwonek. A zaraz potem rozległa się głośna dyskotekowa muzyka. Nie musiałam nawet patrzeć na zegarek. Od razu poznałam taniec godziny dziewiątej.

Rytuał odbywał się codziennie na godzinę przed zamknięciem, niezależnie od tego, czy były obecne wszystkie sprzedawczynie, czy tylko jedna, i zawsze trwał jedną piosenkę, nie dłużej. Nie miałam pojęcia, jak podchodzą do tego klientki, chociaż dobrze pamiętałam własną reakcję i właśnie dlatego pilnowałam, żeby nie wyściubiać nosa z biura.

Czas od 9:03 aż do 10:00 zawsze wypełniały wizyty klientek i mnóstwo paplaniny, zwykle dotyczącej planów na wieczór albo ich braku. Znowu starałam się tego nie słuchać, ale czasami się nie dało, dzięki czemu wiedziałam, że Leah zawsze proponowała wypad do klubu (większe szanse na poderwanie starszych chłopaków, których nie znały przez całe swoje dotychczasowe życie), podczas gdy Esther woląла słuchać muzyki (najwyraźniej ciągnęło ją do śpiewu i pisania tekstów). Maggie, z tego, co zauważyłam, ograniczała się do przesiadywania z chłopakami spod sklepu rowerowego. Pewnie ciągle opłakiwała Jake'a, chociaż zarzekała się na wszystkie świętości, że już nim zapomniała, absolutnie.

Ten wieczór nie odbiegał od normy, na ile zdołałam się zorientować, słuchając Leah:

- Dzisiaj w Tallyho dziewczyny mają darmowe wejście.
- Co sobie obiecałyśmy, kiedy byłyśmy tam ostatnim razem? - rzuciła Esther.

- Nic sobie...

- „Oho, żadnego Tallyho” - zagłuszyła ją Maggie. Któraś prychnęła kpiąco. A potem Leah odparowała:

- Nie rozumiem, co wam się w tym klubie nie podoba.

- Wszystko? - rzuciła Esther.

- To lepsze niż wieczór talentów w Ossify i słuchanie, jak facet recytuje swoją listę zakupów do wtóru perkusji.

- No nie wiem - zakpiła Maggie. - Jesteś pewna? Kolejne drwiące prychnięcie.

- Posłuchajcie — nie poddawała się Esther - wcale nie twierdzę, że musimy iść do Ossify. Po prostu nie mam dzisiaj ochoty uciekać przed zalotami jakichś pijanych turystów.

- Zawsze zostaje tor przeszkód — stwierdziła Maggie. Głośne jęki. — No co? Nic nie kosztuje, są tam faceci...

- Faceci, których znamy całe swoje cholerne życie - dodała Leah.

- ...i jest fajnie-dokończyła Maggie. - A do tego podobno w ten weekend będzie jeździł Eli.

Dodawałam akurat długi rząd liczb i właśnie w tym momencie pomyliłam się w ostatniej, którą wystukałam. Musiałam wyzerować kalkulator i zacząć od nowa.

- To plotka - stwierdziła Leah. - Pojawia się co tydzień.

- Możliwe, ale tym razem słyszałam to od Adama.

- Który usłyszał to od Eliego? — Maggie nie odpowiedziała. — No właśnie. Teraz to prawie jak yeti. Miejska legenda.

Przez dłuższą chwilę żadna się nie odzywała. Wreszcie Esther prze-
rwała milczenie:

- Minął ponad rok. Można by pomyśleć, że w końcu...

- Abe był jego najlepszym kumplem — rzuciła Leah. - Sama wiesz, jak bardzo się przyjaźnili.

- Wiem, ale mimo wszystko. Kiedyś będzie musiał do tego wrócić.

- Kto tak twierdzi?

- Przecież on tym żył — wtrąciła Maggie. - A teraz Eli po prostu tkwi tutaj i zajmuje się sklepem. Zupełnie jakby wszystko się skończyło.

Znowu milczenie.

- I dla niego pewnie tak właśnie było - odezwała się Leah.

W tym momencie za moimi plecami rozległo się pukanie do drzwi, aż podskoczyłam. Esther odłączyła się od przyjaciółek i przyszła do biura z gotówką z kasy.

- My właściwie już skończyłyśmy — powiedziała. Jak co wieczór odsunęłam się na bok, żeby mogła zanurkować do sejfu pod biurkiem. - A jak tam u ciebie?

- Prawie koniec - mruknęłam. Esther zatrzasnęła drzwiczki sejfu i wyciągnęła klucz. - Ja, hm, będę gotowa za sekundę.

- W porządku.

Kiedy wyszła, wróciłam do obliczeń na kalkulatorze, zaczynając wszystko od początku. Ale w połowie słupka liczb przerwałam i zaczęłam nasłuchiwać, czy rozmowa nie wróci do punktu, w którym została przerwana. Kiedy tak się nie stało, pochyliłam się z powrotem nad cyferkami, tym razem wystukując je powoli, jedna za drugą, żeby znowu się nie pomylić.

* * *

Do północy zdążyłam zaliczyć spacer deptakiem i rundkę po Colby, a nadal miałam do zabicia parę godzin, zanim w ogóle będę mogła pomyśleć o powrocie do domu. Ewidentnie potrzebowałam kawy, wybrałam się więc do Gas/Gro.

Ledwie zdążyłam zaparkować i zajrzeć do schowka w poszukiwaniu drobnych, usłyszałam nadjeżdżający samochód. Kiedy podniosłam wzrok, zobaczyłam, jak parę metrów ode mnie zatrzymuje się poobijany pikap. Zanim jeszcze zauważyłam rowery stłoczone na skrzyni, rozpoznałam w kierowcy tego samego krępego chłopaka, którego widziałam wcześniej na deptaku. Obok siedział Adam, znajomy Maggie. Obaj wysiedli z auta i sekundę później zniknęli w środku. Po chwili ruszyłam w ich ślady.

Gas/Gro był mały, ale czysty, ze schludnymi alejkami i niezbyt jaskrawym oświetleniem. Swoim zwyczajem skierowałam się prosto

do automatu z kawą i zabrałam do napełniania największego kubka. Adam i jego kolega wzięli sobie napoje z chłodziarek ustawionych na drugim końcu sklepu, po czym przeszli do działu ze słodyczami.

- Goobers - mówił Adam, kiedy dodawałam do kawy odrobinę śmietanki. - Twizzlers. I... niech pomyślę. Może junior mints?

- Wiesz - odezwał się jego kolega - wcale nie musisz wymieniać każdej nazwy na głos.

- W ten sposób działałam, w porządku? Podejmuję lepsze decyzje, kiedy wszystko głośno sobie powtórzę, więc tak właśnie robię.

- Ale to strasznie denerwujące. Przynajmniej rób to po cichu. Nałożyłam pokrywkę na kubek, sprawdziłam, czy jest szczelnie zakryty, a potem ruszyłam w stronę kasy, gdzie jakaś przysadzista kobieta kupowała właśnie losy na loterii. Chwilę później Adam i jego kolega stanęli za mną w kolejce. Widziałam ich odbicie w reklamie papierosów nad głową.

- Dolar czternaście - podsumował mój zakup sprzedawca. Przesunęłam po ladzie dokładnie odliczoną kwotę i zabrałam kubek, a kiedy się odwróciłam, stanęłam twarzą w twarz z Adamem.

- Hej, tak mi się właśnie zdawało, że wyglądasz znajomo — powiedział. — Pracujesz, hm... w Clementines, zgadza się?

Znałam to „hm”. To jasne, że moja jedyna noc kiepskich wyborów na zawsze naznaczyła mnie jako „dziewczynę, która obściskiwiała się z Jakiem”, chociaż Adam był na tyle miły, że o tym nie wspomniał, przynajmniej nie wprost.

- Aha - powiedziałam. — Tak właśnie.

- Adam — przedstawił się. - A to jest Wallace.

- Auden.

- Spójrz. — Adam szturchnął przyjaciela. — Kupiła tylko kawę. Cóż za wstrzemięźliwość!

- Bez żartów — mruknął Wallace, wykładając ich wspólne zakupy na ladę. - Kto wpada do Gas/Gro i kupuje jedną rzecz?

- No wiesz — podsumował Adam, kiedy sprzedawca zaczął kasować ich towary — ona nie jest stąd.

- To widać. - Wallace zerknął na mnie. - Bez urazy, oczywiście. Chodzi o to, że my...

- Lubicie wypadu na zakupy - dokończyłam za niego bez chwili namysłu.

Wallace zrobił zdumioną minę, a potem wymienił uśmiechy z Adamem.

- Racja.

- Piętnaście osiemdziesiąt pięć - rzucił sprzedawca, a kiedy Adam i Wallace sięgnęli do kieszeni i zaczęli wyciągać pomięte banknoty, skorzystałam z okazji, żeby wymknąć się ze sklepu. Chwilę później pojawili się na zewnątrz, każdy z torbą w ręku, po czym wsiedli do auta. Obserwowałam, jak wycofują się z parkingu, a potem odjeżdżają, na chwilę wyławiając reflektorami z mroku mój samochód.

Siedziałam tam jeszcze chwilę, popijając kawę i rozważając różne opcje. Zawsze mogłam wpaść do całodobowej kafejki. Albo zrobić kolejną rundkę wokół Colby. Spojrzałam na zegarek: dopiero kwadrans po północy. Tyle godzin do zapełnienia i tak niewiele do roboty. Może właśnie dlatego wycofałam auto z parkingu i ruszyłam w kierunku, w którym pojechali Adam i Wallace. Niekoniecznie na poszukiwanie Wielkiej Stopy. Albo mając jakikolwiek cel.

* * *

Tor przeszkód znalazłam bez trudu. Wystarczyło jechać za rowerami.

Były wszędzie. Tłoczyły się na wąskich chodnikach, zwisały podwieszane z tyłu aut albo wystawały spomiędzy prętów bagażników na dachach samochodów. Staralam się trzymać blisko starego volkswagena z jasnopomarańczową machiną przymocowaną do takiej konstrukcji, aż wreszcie dwie czy trzy ulice od plaży auto skręciło na duży plac. Przy parkowaniu zwróciłam uwagę na parę trybun otoczonych ogromnymi reflektorami, które oświetlały tory i rampy zrobione z kłoców drewna i piaska. Co jakiś czas ktoś wzbijał się tam w górę na rowerze, zawisał w powietrzu na ułamek sekundy, aby zaraz potem znowu zniknąć.

Zauważyłam też owalny tor utworzony z nasypów, po których jeździło kilka osób, dalej wznosiły się dwie wysokie, zakrzywione rampy, ustawione naprzeciwko siebie. Przez chwilę siedziałam w aucie, obserwując zawodnika w czarnym kasku, pędzącego w dół po

jednej stronie, a potem w górę po drugiej, w tę i z powrotem. Byłam wręcz zahipnotyzowana, zupełnie jakby ktoś kołysał mi przed oczami zegarkiem na łańcuszku. A potem rozległo się trzaśnięcie drzwiczek volkswagena, które wyrwało mnie z transu.

Sama nie wiedziałam, co tutaj robię. W końcu nie było to moje otoczenie ani towarzystwo. Na trybunach roilo się od dziewczyn, które pewnie właśnie teraz porównywały błyszczuki do ust i wzdychały do chłopaków szalejących poniżej. Oto dowód: kiedy popatrzyłam uważniej, zauważyłam Maggie siedzącą kilka rzędów wyżej, oczywiście całą na różowo. Nie przyglądałam się na tyle dokładnie, żeby stwierdzić, czy Jake był jednym z chłopaków mknących po torze, zresztą i tak mnie to nie obchodziło.

Opadłam z powrotem na siedzenie i sięgnęłam po kubek z kawą. Na plac co rusz podjeżdżały samochody, od czasu do czasu koło mojego auta przechodziły grupki rozgadanych nastolatków, dobitnie uświadamiając mi, gdzie się znalazłam. W takich momentach sięgałam do kluczyków, żeby włączyć silnik i stąd zniknąć, ale potem ludzie przechodzili, a ja cofałam rękę. Ostatecznie i tak nie miałam nic lepszego do roboty. A w ten sposób przynajmniej nie marnowałam benzyny.

- Hej! - rozległ się nagle okrzyk gdzieś z prawej strony. - Ślicznotko! Gdzie szykuje się impreza?

Od razu poznałam głos Jake'a. Oczywiście kiedy odwróciłam wzrok, zauważyłam go jakiś rząd przede mną, dwa samochody w bok. Opierał się o srebrnego sedana, ubrany w dżinsy i czerwoną koszulę z długimi rękawami, której poły powiewały na wietrze, kiedy popijał coś z niebieskiego plastikowego kubka. Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że wcale nie wołał do mnie, tylko do wysokiej blondynki, która przechodziła między autami parę rzędów dalej, z rękami wciśniętymi do kieszeni kurtki. Dziewczyna popatrzyła na niego i uśmiechnęła się nieśmiało, ale nie zwolniła kroku. Chwilę później Jake już ją doganiał, zaledwie kilka samochodów przede mną.

„Cholera” - pomyślałam, obserwując, jak demonstruje dziewczynie ten swój olśniewający uśmiech. Gdybym teraz odjechała, zwró-

ciłabym na siebie uwagę, ale nie miałam też ochoty siedzieć i patrzeć, jak na moich oczach rozgrywa się ponownie największa pomyłka moich ostatnich dni. Przez chwilę rozważałam rozmaite opcje, po czym ostrożnie otworzyłam drzwi i postawiłam stopy na żwirze. Następnie delikatnie zamknęłam samochód i lekko pochylona okrążyłam auto zaparkowane obok mojego, a potem kolejne i następne, zwiększając tym samym dystans między nami.

W rezultacie tej ucieczki zygziem wylądowałam daleko, na lewo od toru, w miejscu, w którym było tylko kilka stojaków na rowery i parę koślawych drzew. Teren znajdował się poza zasięgiem reflektorów ustawionych wokół trybun, skąd mogłam wszystko obserwować, sama nie będąc widzianą. Innymi słowy - idealnie.

Oparłam się o stojak na rowery i wróciłam do gapienia się na ludzi pokonujących kolejne garby na torze. Na pierwszy rzut oka wszyscy zawodnicy jechali tak samo, ale kiedy przyjrzałam się uważniej, dostrzegłam, że każdy zbliża się do przeszkód w innym tempie. Jedni ostrożnie zostawali blisko ziemi, natomiast inni śmiało wznosili się w górę, żeby na następnej hopie wyskoczyć jeszcze wyżej. Czasem od strony trybun dobiegały mnie oklaski i pokrzykiwania, ale poza tym panował dziwny spokój, tylko żwir chrzęścił pod oponami, a kiedy śmiałkowicie wzbijali się w powietrze, na chwilę zapadała cisza.

Po jakimś czasie zauważyłam Adama i Wallace'a na rowerach. Bez kasków na głowach, czekali w miejscu, w którym zawodnicy ustawiali się w kolejce przed startem. Wallace zajadał chipsy Pringles, natomiast Adam wpatrywał się w trybuny, machając do kogoś siedzącego tam, żeby do nich dołączył. Kiedy podążyłam za jego wzrokiem, znowu zobaczyłam samotną Maggie na ławce, uważnie obserwującą rampy. „Możesz sobie” wypatrywać — miałam jej ochotę powiedzieć — on najprawdopodobniej siedzi teraz pod trybunami, a nie przed nimi”. Naiwna dziewczyna.

Ledwie przemknęło mi to przez głowę, a Maggie już wstawała, zupełnie jakby usłyszała moje myśli. Ściągnęła ciemne włosy gumką, a potem wyjęła z leżącej obok torby kask i trzymając go za pasek, ruszyła do czekających chłopaków.

Muszę przyznać, że byłam zaskoczona. Jednak to, co zobaczyłam potem, wprawiło mnie w osłupienie - kiedy Maggie dotarła do Adama, ten zsiadł ze swojego roweru, ustępując jej miejsca. Maggie natychmiast wskoczyła na siodełko i nałożyła kask. Adam powiedział coś jeszcze, a ona skinęła głową i powoli wycofała rower, odpychając się nogami i mocniej zaciskając dłonie na rączkach kierownicy. Kiedy cofnęła się o kilka kroków, na moment stanęła na pedałach, skoncentrowana, po czym ruszyła na tor.

Najechała na pierwszy garb z umiarkowaną prędkością, wzbijając trochę kurzu, ale przed następnym zdążyła nabrać tempa. Za to przy trzecim wyskoczyła naprawdę wysoko, lekko pochylona nad kierownicą roweru, który zdawał się płynąć w powietrzu. Chociaż nie znałam się na tym sporcie, poznałam, że jest naprawdę dobra: najeżdżała prosto na garby i lądowała gładko, nie tak niezdarnie jak niektórzy z pozostałych zawodników. Wyglądało, jakby pokonanie całej trasy nie wymagało żadnego wysiłku, bo po chwili wróciła do miejsca, w którym czekali chłopcy. Wallace zaproponował jej chipsa, którego przyjęła, podnosząc osłonę twarzy, żeby wrzucić go do ust.

Byłam tak zajęta obserwowaniem rozgrywającej się przede mną sceny, że dopiero po dłuższej chwili zauważyłam chłopaka, który pojawił się z prawej strony. Eli. Miał na sobie džinsy i zielony T-shirt z długim rękawem, włosy opadały mu luźno na ramiona. Niestety, wpatrywałam się w niego na tyle długo, żeby przyciągnąć jego uwagę. Kiedy odwrócił głowę i popatrzył na mnie, skinęłam mu głową w nadziei, że wypadnie to dostatecznie niezobowiązująco.

Odpowiedział tym samym, wsuwając ręce do kieszeni, a mnie przypomniała się rozmowa dziewczyn o tym, że przestał jeździć oraz co - a raczej kto - kryło się za tą decyzją. Nie żeby to była moja sprawa. I tak za chwilę miałam iść.

Zawróciłam w stronę samochodu, co oznaczało, że musiałam przejść tuż obok niego. Kiedy znalazłam się bliżej, znowu na mnie spojrzął.

- Już się zbierasz — stwierdził tym samym obojętnym tonem, który zdążyłam tak dobrze poznać. - Nie dość ekscytujące dla ciebie?

- Nie o to chodzi - rzuciłam. - Po prostu... muszę jeszcze gdzieś wpaść.

- Mnóstwo zajęć - dodał domyślnie. Przytaknęłam.

W ogóle go nie znałam, ale zdążyłam zauważyć, że jego zachowanie niełatwo rozszyfrować. Trudno się było zorientować, czy mówi poważnie, czy żartuje. To mnie denerwowało. A może intrygowało. Albo po prostu i jedno, i drugie.

- Czy ty też skaczesz? - zapytałam po chwili, uznawszy, że niczym nie ryzykuję.

- Nie - odparł. - A ty?

Omam nie wybuchłam śmiechem, ale potem pomyślałam o Maggie i uświadomiłam sobie, że może to wcale nie był żart.

- Nie - powiedziałam. - Ja nawet nie... to znaczy, od wieków nie jeździłam na rowerze.

Na chwilę zamyślił się nad moją odpowiedzią, a potem spojrzał znów w stronę toru.

- Naprawdę?

Rzucił to obojętnie, bezbarwnym tonem, więc nie miałam żadnego punktu zaczepienia, ale sama czułam, że się tłumaczę, kiedy dodałam:

- Po prostu... w dzieciństwie nie przepadałam za zabawami na powietrzu.

- Zabawami na powietrzu — powtórzył.

- Oczywiście, wychodziłam na dwór - dodałam. - Nie byłam odludkiem czy coś w tym stylu. Po prostu nie jeździłam za często na rowerze. Ostatnio zresztą też nie.

- Jasne.

Nie krytykował mnie ani nie oceniał, ale uznałam, że muszę się bronić.

- A co - zaatakowałam — to jakaś zbrodnia? Taka sama jak kupowanie tylko jednej rzeczy w Gas/Gro?

Chciałam, żeby wypadło to kpiąco, ale mój głos zabrzmiał piskliwie. A może tylko idiotycznie.

- Co takiego? - zapytał Eli.

- Nie, nic. - Poczułam, że się rumienię. — Nieważne. Odwróciłam się, żeby sobie pójść. Ale ledwie wyciągnęłam kluczyki z kieszeni i zrobiłam dwa kroki, rzucił:

- Wiesz, jeśli nie umiesz jeździć na rowerze, nie ma się czego wstydzić.

- Umiem jeździć na rowerze - odparłam. I mówiłam prawdę. Nauczyłam się tej trudnej sztuki na podjeździe naszego domu w pewne Boże Narodzenie, kiedy miałam siedem lat, na należącym do Hollisa starym rowerku Schwinn z bocznymi kółkami. Z tego, co pamiętam, nawet mi się to podobało, a przynajmniej nie wydawało się okropne. Co nie tłumaczy, dlaczego nie potrafiłam sobie przypomnieć, żebym od tamtej pory często oddawała się tej rozrywce. Ani w ogóle kiedykolwiek. - Ja tylko... od jakiegoś czasu nie mam zbyt wielu okazji.

- Hm - mruknął.

Tylko tyle. „H m”. Chryste.

- No co?

Uniósł brwi. Pewnie dlatego, że mój głos znowu nabrał wysokich, z lekka niepewnych tonów. Zwykle w rozmowach z chłopakami robię się strasznie nerwowa, ale tym razem sprawy wyglądały inaczej. Eli sprawiał, że miałam ochotę mówić więcej, nie mniej. Chociaż może wcale nie było się z czego cieszyć.

- Chciałem ci tylko zwrócić uwagę - rzucił po chwili — że akurat jesteśmy na torze rowerowym.

Popatrzyłam na niego bez słowa, a potem oznajmiłam:

- Nie zamierzam jeździć na rowerze tylko po to, żeby ci udowodnić, że potrafię.

- Wcale cię o to nie proszę - odparł. — Ale jeśli szukasz możliwości... to właśnie taka ci się trafia. To tyle.

Jego uwaga nie była oczywiście pozbawiona sensu. Sama stwierdziłam, że nie miałam zbyt wielu okazji do jazdy na rowerze: a on zauważył tylko, że właśnie mam szansę to nadrobić. Dlaczego więc czułam taką irytację?

Odetchnęłam głęboko, potem jeszcze raz, dzięki czemu mój głos był opanowany, kiedy w końcu powiedziałam:

— Myślę, że raczej sobie daruję.

- W porzo - mruknął, wcale nieprzejęty.

I już szłam do samochodu. Koniec tematu. Ale „w porzo”? Co to miało znaczyć?

Kiedy znalazłam się wreszcie za kierownicą, ponownie popatrzyłam w stronę Eliego, obmyślając dziesiątki innych, lepszych sposobów poprowadzenia tej rozmowy. A potem odpaliłam silnik i wycofałam auto z parkingu. Ostatnim obrazem, jaki zobaczyłam przed odjazdem, był Eli stojący dokładnie tam, gdzie go zostawiłam, ze wzrokiem wbitym w rampy. Głowę miał lekko przechyloną, zupełnie jakby intensywnie nad czymś rozmyślał, a zawodnicy wzbijali się przed nim w niebo. Z takiej odległości nie dało się ich rozróżnić, rozpoznać konkretnych stylów czy sposobów najazdu. Wszyscy wydawali się identyczni, gdy przesuwali się miarowym ruchem, w górę, w dół, i znikali z pola widzenia.

siedem

JEŚLI CHODZIŁO o Thisbe, Heidi zamartwiała się o wszystko. Ile spała. Czy zjadła dosyć. A może za dużo. Co to za czerwona kropka na jej nóżce. (Grzybica? Egzema? Diabelskie piętno?). Czy nie zaszkodzi jej, że tyle płacze, czy nie wypadną jej włosy i czy jej kupy mają właściwy kolor. A teraz zamierzała jeszcze zafundować małej kryzys tożsamości.

- Mój Boże! - usłyszałam, jak woła, gdy któregoś dnia zesłam na kawę koło czwartej po południu. Siedziała razem z Thisbe w salonie, odbywając na podłodze obowiązkowy „czas brzuskowy”, którego przestrzegala z nabożeństwem, bo rzekomo miało to ustrzec dziecko przed spłaszczeniem główki. - Tylko spójrzcie, jaka jestem silna!

Początkowo byłam zbyt zaabsorbowana uzupełnianiem poziomu kofeiny w organizmie, żeby zwracać na nie uwagę. Poza tym ze zwykłej konieczności opanowałam sztukę ignorowania tego, co mówi Heidi. Ale kiedy wypiałam pół kubka kawy, zorientowałam się w końcu, że coś tu nie gra.

- Caroline - powtarzała Heidi śpiewnie, przeciągając każdą sylabę. — Kto jest moją śliczną córeczką Caroline?

Nalałam sobie ponownie, a potem weszłam do salonu. Heidi pochylała się nad córką, która leżała na brzuchu, próbując utrzymać w górze swoją dużą, potencjalnie płaską głowę.

- Caroline - powiedziała, łaskocząc małą w plecy. - Piękna panna Caroline West.

- Myślałam, że ma na imię Thisbe - zauważyłam.

Heidi podskoczyła przestraszona, a potem spojrzała na mnie.

- Auden... - wyjąkała - ja nie... nie słyszałam, jak weszłaś. Popatrzyłam na nią, później na małą, a potem z powrotem na Heidi.

-Tylko przechodziłam - wyjaśniłam i odwróciłam się na pięcie. Już myślałam, że jestem bezpieczna, ale przy schodach dobiegł mnie głos Heidi.

- „Thisbe” mi się nie podoba! — Kiedy się obejrzałam, patrzyła w sufit z zarumienioną twarzą, zupełnie jakby te słowa padły z ust kogoś innego. A potem z westchnieniem usiadła z powrotem na piętach. - Nie podoba - powiedziała powoli, nieco ciszej. - Chciałam ją nazwać Isabel. Na cześć mojej najlepszej przyjaciółki tu, w Colby; zawsze uwielbiałam to imię.

Popatrzyłam z tęsknotą w górę schodów, na drzwi gabinetu ojca, jak zwykle żałując, że nie ma go tutaj i że nie zajmie się problemem. Ale ostatnio praca nad książką pochłaniała go jeszcze bardziej niż zwykle, a stos niezjedzonych jabłek ciągle rósł.

- W takim razie dlaczego tego nie zrobiłaś? - zapytałam, podchodząc do Heidi, która zagryzła wargi i pogładziła córeczkę po plecach.

- Twój ojciec chciał, żeby miała literackie imię - wyjaśniła. - Powiedział, że Isabel jest za pospolita, za zwyczajna, że z takim imieniem mała nigdy nie będzie miała szansy nic osiągnąć. Ale mnie Thisbe wydaje się za bardzo niezwykła. Za egzotyczna. Trudno będzie żyć z imieniem, którego praktycznie nikt nie zna, nie sądzisz?

- No cóż - mruknęłam - niekoniecznie. Heidi otworzyła usta.

- Och, Auden! Nie chciałam powiedzieć, że twoje...

- Nie ma sprawy — przerwałam jej, podnosząc rękę, żeby powstrzymać przeprosiny, które zapewne ciągnęłyby się w nieskończoność. - Po prostu wiem z własnego doświadczenia, że tak naprawdę to nie jest kłopot.

Heidi skinęła głową, a potem opuściła wzrok z powrotem na Thisbe.

- No cóż — odrzekła - dobrze wiedzieć.

- Ale jeśli ci się nie podoba — dodałam — po prostu nazywaj ją Caroline. To znaczy...

- Kogo będziemy nazywać Caroline?

Podskoczyłam, a kiedy się odwróciłam, zobaczyłam ojca stojącego u stóp schodów. Najwyraźniej w tym domu nie tylko ja się skradam.

- Och - wyjąkałam. — Chodziło mi o to, że skoro to drugie imię małej...

- Drugie imię - powtórzył ojciec. - I tylko dlatego, że jej matka się uparła. Ja chciałem ją nazwać Thisbe Andromeda.

Kątem oka zauważyłam, jak Heidi się krzywi. i

- Naprawdę?! — zdziwiłam się.

- To imię ma w sobie siłę! - odparł ojciec, uderzając się dłonią w pierś dla podkreślenia swoich słów. - Zapada w pamięć. I nie da się go skrócić ani milutko zdrobnić, a takie właśnie powinno być imię. Gdybyś nazywała się Ashley albo Lisa zamiast Auden, czy twoim zdaniem byłabyś taka wyjątkowa?

Nie miałam pojęcia, co odpowiedzieć. Czy naprawdę oczekiwał z mojej strony potwierdzenia, że to jego decyzja o wyborze imienia, a nie moja ciężka praca zdecydowała o tym, kim jestem?

Na szczęście pytanie okazało się retoryczne, bo ojciec właśnie zmierzał do lodówki, żeby wziąć sobie piwo.

- Myślę - odezwała się Heidi, zerkając na mnie - że chociaż imię jest ważne, tak naprawdę to człowiek sam się określa. Więc jeśli Thisbe będzie Thisbe, w porządku. Ale gdy będzie wołała zostać Caroline, ma taką możliwość.

- Moja córka nie będzie Caroline - orzekł ojciec, otwierając piwo.

Wpatrywałam się w niego, zachodząc w głowę, kiedy dokładnie zamienił się w takiego pompatycznego, niemożliwego dupka. Przecież nie mógł taki być przez całe moje życie, bo chyba bym to zapamiętała. Prawda?

- Wiesz co, Auden - wyznała Heidi, biorąc małą na ręce, po czym weszła do kuchni — nawet nie wiem, jak masz na drugie imię. Powiesz mi jak?

Nie odrywając wzroku od ojca, odpowiedziałam spokojnie:

- Penelope.

- A widzisz? - powiedział do Heidi tata, jakby to dowodziło jego racji.
- Mocne. Literackie. Niepowtarzalne.

„Zawstydzające - pomyślałam. - Za długie. Pretensjonalne”.

- Ślicznie! - krzyknęła Heidi aż za bardzo entuzjastycznie. - Nie miałam pojęcia.

Nie odpowiedziałam. Dopiliśmy kawę i odstawiłam kubek do zlewu. Wciąż czułam na sobie spojrzenie Heidi, nawet kiedy ojciec wyszedł z piwem na ganek. Usłyszałam, jak moja macocha nabiera powietrza, najwyraźniej zamierzając coś powiedzieć, na szczęście ojciec wybrał sobie ten właśnie moment, żeby zapytać, co na kolację.

- Och, nie wiem — odparła, zerkając na mnie ukradkiem, kiedy wkładała Thisbe do stojącego na kuchennym stole fotelika. Przypięła córkę paskami, a potem rzuciła mi przepaszające spojrzenie i wyszła na ganek, żeby dołączyć do ojca. - A na co miałbyś ochotę?

Przez chwilę obserwowałam ich, jak stoją razem, wpatrzeni w ocean. Ojciec popijał piwo, a w pewnym momencie, słuchając tego, co mówi żona, objął ją w pasie i przyciągnął do siebie. Heidi położyła mu głowę na ramieniu. Czasem nie sposób pojąć, jak działają pewne mechanizmy, albo dopiero się tego uczęłam.

Siedząca w foteliku na stole Thisbe wydała z siebie gulgoczący dźwięk i zamachała rączkami. Podeszłam bliżej i spojrzałam na nią. Nie umiała jeszcze patrzeć prosto w oczy: na razie jej spojrzenie jakimś cudem zawsze koncentrowało się na środku mojego czoła.

Może jednak pozostanie Thisbe i nawet nie weźmie pod uwagę bycia Caroline. Ale myśl o wyrazie twarzy ojca, kiedy perorował na temat słuszności swojego wyboru, sprawiła, że nachyliłam się do jej ucha, żeby nadać jej nowe imię. Po części wybrane przez ojca, po części takie, którego chciała Heidi, ale całe moje.

- Cześć, Isby — szepnęłam. — Ależ z ciebie śliczna dziewczynka, Isby.

* * *

Jest coś wyjątkowego w mieszkaniu latem nad morzem. Człowiek tak przywyka do słońca i piasku, że zapomina o tym, jak wygląda reszta świata i roku. Kiedy parę dni później otworzyłam drzwi i uj-

rzałam ścianę wody, przez chwilę po prostu stałam bez ruchu, przyzwyczajając się do myśli, że istnieje coś takiego jak deszcz.

Ponieważ nie miałam żadnej kurtki nieprzemakalnej, musiałam pożyczyć jakąś od Heidi, która zaoferowała mi egzemplarze w trzech kolorach: jaskraworóżową, bladoróżową i, jak to sama ujęła, „przydymioną różową”, cokolwiek to miało znaczyć. Wybrałam tę najjaśniejszą, ale nadal czułam się idiotycznie, kiedy szłam szarym mokrym chodnikiem, wyraźnie odcinając się od otoczenia.

W Clementines za ladą stała Maggie w mini, japonkach i znoszonym T-shircie z napisem „ROWERY CLYDE'A”, ze szprychami wrysowanymi w litery O i D. Akurat nachylała się nad jakimś czasopismem, najpewniej swoim ukochanym „Hollyworld”, a kiedy weszłam, pomachała mi niemrawo.

- Ciągłe leje, co? - zapytała, sięgając do kasy po wydruki z całego dnia.

- Aha — przytaknęłam. - Jakież dostawy?

- Jeszcze nie.

Kiwnęłam głową, a Maggie wróciła do lektury. Podczas gdy Esther i Leah próbowały czasem wdawać się ze mną w dłuższe pogawędki, Maggie zawsze ograniczała się do minimum, co bardziej mi odpowiadało. Nie musiałyśmy udawać, że jesteśmy przyjaciółkami albo że łączy nas coś poza miejscem pracy. I chociaż muszę przyznać, że w głębi ducha nadal byłam zaskoczona jej wyczynami na torze przeszkód, chyba całkiem nieźle ją rozpracowałam. Ona pewnie myślała o mnie podobnie.

Poszłam do biura, gdzie z jakiegoś powodu panował straszny ziąb, więc nie zdejmując pożyczonej od Heidi kurtki, zabrałam się do pracy z kalkulatorem i książeczką czekową. Przez następną godzinę w sklepie panował zastój, wpadło tylko parę grupek dziewczyn, żeby przejrzeć stojaki z przecenionymi rzeczami i podumać nad butami. Od czasu do czasu słyszałam piknięcie telefonu Maggie informujące o nadejściu SMS-a, ale poza tym panowała zupełna cisza. A potem w okolicach szóstej zabrzączał dzwonek przy drzwiach.

- Witam - usłyszałam głos Maggie. — Szuka pani czegoś konkretnego?

Odpowiedź nie padła, więc zaczęłam się zastanawiać, czy klientka w ogóle ją usłyszała. A potem rozległ się głos, który znałam jak żaden inny na świecie.

- Och, dobry Boże, nie - powiedziała moja matka tonem, w którym dosłyszałam autentyczne przerażenie. - Chciałam po prostu zobaczyć się z córką.

- Pani jest mamą Auden? - rzuciła Maggie. - To wspaniale! Jest na zapleczu. Na pewno...

Wyprostowałam się na krześle, a potem zerwałam się od biurka i ruszyłam do drzwi. Ale nie byłam dość szybka. Zastałam mamę, jak zwykle całą w czerni - sukienka, zarzucony na ramiona sweter, włosy upięte do góry — przy stoisku z kosmetykami. Trzymała na wyciągnięcie ręki jakąś buteleczkę i spod zmrużonych powiek starała się odcyfrować etykietę.

- Seksowna jagoda - odczytała powoli, starannie akcentując każde słowo. A potem spojrzała znad okularów na Maggie. — A cóż to takiego?

- Perfumy - wyjaśniła Maggie i uśmiechnęła się do mnie. - A ściślej: mgiełka do ciała. Całkiem jak perfumy, ale zapach jest lżejszy i dłużej się utrzymuje, na co dzień.

- Oczywiście — odparła obojętnie. Odstawiła flakonik na półkę, a potem rozejrzała się po sklepie, nie kryjąc irytacji. Kiedy w końcu mnie zauważyła, wcale nie wyglądała na bardziej zadowoloną. - No, jesteś.

- Cześć! — rzuciłam. Poważne spojrzenie matki deprymowało mnie, tym bardziej że nadal miałam na sobie tę nieszczęsną różową kurtkę. - Ja, hm... Kiedy postanowiłaś przyjechać?

Matka westchnęła i odwróciła się od Maggie - z jakiegoś powodu cały czas szeroko uśmiechniętej - w stronę stojaka z kostiumami kąpielowymi, które zaczęła przerzucać z miną świadka jakiejś tragedii.

- Dziś rano - powiedziała, potrząsając głową, po czym wyciągnęła rękę, żeby dotknąć ozdobionych falbankami pomarańczowych majtek od bikini. — Strasznie chciałam wyrwać się z domu, ale chyba przywiozłam ze sobą kiepski nastrój i paskudną pogodę.

- Och, proszę się tym nie martwić — wtrąciła Maggie. - Do wieczora deszcz powinien ustać. Jutro będzie cudowne słońce, idealne na wypad na plażę! Jeszcze się pani opali.

Mama obejrzała się na nią, zupełnie jakby Maggie otrzymała nagle dar języków.

- Właśnie — rzuciła tonem, po którym poznałam, że z trudem powstrzymuje się przed powiedzeniem, co tak naprawdę myśli. -Czyż nie byłoby wspaniale?

- Jadłaś coś? - zapytałam. Zabrzmiało to aż nazbyt gorliwie, odechnęłam więc głęboko, a potem spokojniej dodałam: — Kawalek dalej jest naprawdę fajne miejsce. Chyba mogłabym sobie zrobić godzinę przerwy.

- Oczywiście, że tak! — powiedziała Maggie. — Jak najbardziej powinnaś spędzić ten czas z mamą. Robota papierkowa nie ucieknie.

Mama znowu zmierzyła Maggie wzrokiem, jakby wątpiła, że ta potrafi rozpoznać słowo pisane, nie mówiąc o jego odczytaniu.

- W każdym razie przydałoby mi się coś mocniejszego - rzuciła i rozejrzała się kolejny raz po sklepie, zanim ruszyła do wyjścia. Całą sobą wyrażała dezaprobatę. - Prowadź.

Zerknęłam na Maggie, która przypatrywała się mamie z fascynacją.

- Niedługo wrócę, dobra? <

- Nie spiesz się! - odparła. - Naprawdę. Poradzę sobie sama. Mama prychnęła lekko na takie stwierdzenie, a potem, dzięki

Bogu, znalazłyśmy się wreszcie na zewnątrz, z powrotem w strugach deszczu. Gdy tylko drzwi się za nami zamknęły, mama rzuciła:

- Och, Auden. Jest nawet gorzej, niż przypuszczałam. Poczułam, że się rumienię, chociaż nie byłam zaskoczona jej bezpośredniością.

- Potrzebowałam kurtki przeciwdeszczowej — powiedziałam. -Normalnie nie...

- To znaczy — ciągnęła - wiedziałam, że żaden biznes, który prowadzi Heidi, raczej nie przypadnie mi do gustu, ale Seksowna jagoda? A te lolitkowate kostiumy kąpielowe? Czyżbyśmy przerabiali

teraz kobiety na małe dziewczynki? Albo małe dziewczynki, żeby wyglądały jeszcze młodziej, dla podkreślenia ich niewinności? Co z niej za kobieta, a tym bardziej matka, że akceptuje coś takiego?

Po tych słowach rozluźniłam się odrobinę, bo znałam tyrady mamy równie dobrze jak dziecięce rymowanki.

- No cóż - powiedziałam - Heidi zna rynek. Te rzeczy naprawdę się sprzedają.

- Oczywiście! Ale to nie oznacza bynajmniej, że podobne postępowanie jest właściwe. - Mama westchnęła i otworzyła parasolkę, a potem podała mi ramię, żebyśmy mogły razem schronić się przed deszczem. — No i cały ten róż. Zupełnie jakby człowiek znalazł się w ogromnej wagninie.

Zdusiłam śmiech, zasłaniając usta ręką.

- Chociaż podejrzewam, że Heidi zdecydowała się na taki wystrój celowo - dodała matka, znowu wzdychając. - Ale to strasznie irytujące, takie najpłytsze, najbardziej prostackie wyobrażenie kobiecości. Sam cukier i szczypta pieprzu, a wszystko umieszczone w ładniutkim, łatwym do sprzedania opakowaniu, zero treści.

Znalazłyśmy się wreszcie pod Last Chance, gdzie choć raz nie było kolejki.

- To tutaj - powiedziałam, wskazując głową lokal. — Ich krążki cebulowe są po prostu zabójcze.

Mama zerknęła do środka.

- O, nie, nie. Żądam przynajmniej obrusów na stołach i karty win. Szukajmy dalej.

Ostatecznie wylądowałyśmy z powrotem w hotelu, w którym się zatrzymała, niewielkim wytwornym budynku o nazwie Condor, niedaleko deptaka. Restaurację mieli tam maleńką, zaledwie parę stolików, a wrażenie ciasnoty dodatkowo pogłębiały ciężkie czerwone zasłony w oknach i dywan w tym samym odcieniu. Mama zajęła miejsce, z uznaniem pokiwała głową na widok migoczącej na stole świecy, po czym zamówiła u kelnerki kieliszek caberneta, przy okazji zrzucając sweter z ramion. Pod jej wymownym spojrzeniem zdjęłam kurtkę Heidi i upchnęłam ją pod torbę, poza zasięgiem jej wzroku.

- A więc - odezwała się mama, kiedy podano wino i mogła wreszcie upić potężny łyk. — Opowiedz mi o książce ojca. Pewnie już skończył i szykuje się, żeby wysłać ją swojemu agentowi. Pozwolił ci przeczytać?

Opuściłam wzrok na swoją szklankę z wodą, którą przesuwiałam powoli po obrusie.

- Jeszcze nie — odparłam ostrożnie, bo wiedziałam, że oczekuje czegoś więcej niż tylko odpowiedzi na swoje pytanie. - Ale pracuje dniami i nocami.

- Bardziej wygląda mi to na pisanie niż doszlifowywanie - zauważyła mama i sięgnęła po menu, po czym odłożyła je na bok, pobieżnie przejrzawszy spis dań. Milczałam. - Ale z drugiej strony twój ojciec zawsze miał dziwaczne nawyki przy pracy. Pisanie nigdy nie przychodziło mu tak łatwo jak niektórym.

„Jasne - pomyślałam. - Pora na zmianę tematu”.

- Mała jest całkiem fajna - powiedziałam. - Chociaż nadal sporo płacze. Heidi uważa, że to kolka.

- Jeśli uważasz, że to kolka, pewnie chodzi o coś innego - zauważyła mama, upijając kolejny łyk wina. — No wiesz. W przypadku Hollisa nie było żadnych wątpliwości. Od pierwszego dnia wrzeszczał, co sił w płucach. I tak przez trzy miesiące.

- Thisbe rzeczywiście jest dosyć grymaśna... — dodałam.

- Thisbe. - Matka potrząsnęła głową. - Nadal nie mogę uwierzyć, że tak ma na imię. Twój ojciec i te jego sny o potędze. Jak dał jej na drugie? Persephone? Beatrice?

- Caroline.

- Naprawdę?

Przytaknęłam.

- Interesujące. I zupełnie nie w jego stylu.

- Najwyraźniej Heidi się przy tym uparła.

- Powinna się bardziej postarać — orzekła mama. — Ostatecznie to tylko drugie imię.

W tym momencie zjawił się kelner z pytaniem, czy życzymy sobie przystawki. Kiedy mama sięgnęła znowu po menu, żeby ostatecznie zamówić dla nas sałatkę ceviche z przegrzebkami i talerz serów, spoj-

rzałam na kurtkę Heidi, ledwo widoczną na de ciemnej czerwieni obić i dywanu. Przypomniałam sobie moją macochę tamtego dnia, kiedy rozmawialiśmy o imionach, to, jak pospieszyła z pochwałami mojego uciążliwego drugiego imienia, tylko dlatego żeby poprawić mi humor.

- Z drugiej strony - dodała mama, kiedy kelner sobie poszedł - nie sądzę, żeby ojciec wybrał Heidi ze względu na silny charakter. Tak naprawdę pewnie było wręcz przeciwnie. Myślę, że potrzebował dziewczyny beztroskiej i mało zdecydowanej, żeby zawsze go słuchała.

Wiedziałam, że pewnie ma rację. Ostatecznie w czasie tych paru tygodni mojego pobytu w Colby Heidi nie wykazała się jakąś szczególną stanowczością. A potem nagle usłyszałam własny głos:

- Heidi nie jest taką kompletną idiotką.

- Nie?

Pokręciłam głową.

- Tak naprawdę całkiem bystra z niej bizneswoman.

Matka odwróciła twarz i popatrzyła mi w oczy.

- Doprawdy?

- Aha. Wiem to, bo zajmuję się jej dokumentami. — Zdążyłam zapomnieć, jak przenikliwe potrafi być spojrzenie matki. Szybko się zmieszałam i wbiłam wzrok w szklankę z wodą. - Butik mógłby być tylko sezonowym interesem, ale jakimś cudem udaje się jej zarabiać przez cały rok. Poza tym ma całkiem niezły zmysł, jeśli chodzi o wyłapywanie nowych trendów. Mnóstwo rzeczy, które zamówiła w zeszłym roku, okazało się prawdziwym hitem.

- Rozumiem - odparła powoli mama. - Na przykład Seksowna jagoda?

Zaczerwieniłam się. Dlaczego w ogóle bronię macochy?

- Chciałam tylko powiedzieć - zaczęłam się tłumaczyć — że Heidi wcale nie jest taka, jak się wydaje.

- Nikt nie jest - orzekła matka. Po raz kolejny to jej przypadło w udziale ostatnie słowo, a jednocześnie wyglądało to tak, jakby cały czas miała rację. Nie mogłam pojąć, jak ona to robi. - Ale dosyć już o Heidi. Porozmawiajmy o tobie. Jak tam lektury na studia? Masz sporo do zrobienia.

- Staram się - powiedziałam. - Chociaż wolno mi idzie. Te skrypty są strasznie suche, zwłaszcza do ekonomii. Ale myślę, że...

— Auden, nie możesz oczekiwać, że jakkolwiek przedmiot uprości się specjalnie dla ciebie - przerwała mi. - Zresztą nawet nie powinnaś tego chcieć. Wyzwania pomagają zapamiętywać informacje.

- Wiem - przytaknęłam. - Ale trochę trudno czytać to wszystko bez żadnych wskazówek ze strony wykładowcy. Myślę, że kiedy zacznę chodzić na zajęcia, łatwiej będzie mi się zorientować, co jest naprawdę ważne.

Mama potrząsnęła głową.

- Tylko że wcale nie powinnaś tego potrzebować. Zbyt często miewam studentów, którzy ciągle czekają, żeby im wytłumaczyć, co oznaczają w kontekście sztuki dane fragmenty dialogu czy didaskalia. Nie przyjdzie im do głowy, żeby spróbować samemu je zinterpretować. A przecież w czasach Szekspira miało się tylko tekst. Od czytelnika zależało, jak odcyfruje znaczenie. To jedyny sensowny sposób uczenia się.

Ewidentnie zaczynała się zapalać do tematu. I pewnie dlatego nie należało go drażnić.

— Ale to ekonomia, a nie literatura. Tu jest inaczej - zaproponowałam mimo wszystko.

Teraz naprawdę wzięła mnie na cel, zmrużywszy oczy.

— Nie, Auden, nie masz racji. O tym właśnie mówię. Czy kiedykolwiek kazałam ci, żebyś brała pod uwagę opinię innych ludzi w jakiegokolwiek sprawie?

Tym razem byłam mądrzejsza i się nie odezwałam. Na szczęście przyniesiono nasze zamówienie i mama znowu miała swoje ostatnie słowo.

Potem atmosfera tak naprawdę niewiele się poprawiła. Matka zarzuciła myśl, że mogłabym być równorzędnym partnerem do rozmowy, i zamówiła sobie kolejny kieliszek wina, a wreszcie zagłębiła się w przydługą relację na temat dyskusji o planie zajęć, która najwyraźniej kosztowała ją wiele czasu i energii. Słuchałam jednym uchem, w odpowiednich momentach wydając potakujące pomruki

i dziobiąc przy tym swoją sałatkę z makaronem. Kiedy skończyliśmy posiłek, było po ósmej. Po wyjściu okazało się, że deszcz przestał padać, a na niebie pojawiły się różowe smugi.

- Patrzcie państwo — powiedziała na ten widok mama. - Twój ulubiony kolor.

Poczułam się tak, jakbym nieoczekiwanie dostała klapsa, ale to właśnie był jej cel.

- Nie lubię różu - rzuciłam sztywno, cała spięta.

Matka uśmiechnęła się do mnie, a potem wyciągnęła rękę i zmierzwiła mi włosy.

- Za bardzo protestujesz - zauważyła. — Twój dobór ubrań zdaje się mówić co innego.

Popatrzyłam na kurtkę Heidi.

- To nie moje, mówiłam ci.

- Och, Auden, wyluzuj. Tylko żartuję. — Wzięła głęboki oddech, a potem powoli wypuściła powietrze, przymykając oczy. - Poza tym należało się chyba spodziewać, że trochę się zmienisz, przebywając z Heidi i resztą tego towarzystwa. Pewnie nie mogę oczekiwać, że na zawsze zostaniesz moim wiernym odbiciem. W końcu zapragniesz spróbować Seksownej jagody, że się tak wyrażę.

- Wcale nie — zaprzeczyłam i tym razem usłyszałam w swoim głosie rozdrażnienie. Ona też to chyba zauważyła, bo otworzyła szerzej oczy, choć zaledwie odrobinę. - To znaczy, nie zmienię się. Po prostu tam pracuję, to wszystko.

- Kochanie, w porządku - odparła, znowu wicherząc mi włosy, ale tym razem odsunęłam się przed jej dotykiem. Nie podobała mi się ta protekcyjność, sposób, w jaki się uśmiechnęła, wzruszając ramionami. — Wszyscy mamy nasze małe brzydkie sekrety, prawda?

Czysty przypadek, nic więcej, sprawił, że właśnie w tym momencie spojrzałam ponad ogrodzeniem w stronę hotelowego basenu, nad którym siedziała tylko jedna osoba. Chłopak w okularach o czarnych, kwadratowych oprawkach, ze skórą tak bladą, że niemal przezroczystą. Ubrany w czerwone spodenki, czytał książeczkę w twardej oprawie, po której na pierwszy rzut oka widać było, że to Literatura. Zerknęłam na matkę, a kiedy podchwyciłam jej spojrzenie, po-

patrzyłam z powrotem na niego, wiedząc, że podąży wzrokiem za mną. Po czym powiedziałam:

- Też mi się tak zdaje.

Próbowała zachować pokerową twarz, ale zdradził ją mimowolny skurcz mięśni, dowodzący, że riposta była celna. Wcale nie czułam się jednak z tego powodu szczęśliwa. W ogóle nic nie czułam.

- No cóż - odezwała się po chwili matka. - Pewnie musisz wracać do pracy. - Wycedziła to ostatnie słowo tonem, jakim wcześniej wspomniała o książce ojca, jasno dając mi do zrozumienia, że wątpi w wartość literacką, a wręcz w istnienie tego dzieła.

Potem nachyliła się, podsuwając mi policzek do pocałunku, a kiedy nawet nie drgnęłam, uśmiechnęła się do mnie znowu i dodała:

- Och, kochanie, nie bądź rozgoryczona. Tak zachowują się ludzie słabi.

Przygryzłam wargę i bez słowa odwróciłam się, wciskając ręce głębiej do kieszeni kurtki Heidi, jakbym chciała zerwać z niej cały ten róż. Ktoś inny mógłby zawołać za mną, ale wiedziałam, że matka tego nie zrobi. To do niej musiało należeć ostatnie słowo, nic więcej się nie liczyło.

Wracałam do butiku ze spuszczoną głową, próbując przełknąć twardą gulę, jaką czułam w gardle. Najwyraźniej moja obrona Heidi wyprowadziła ją z równowagi, chociaż powiedziałam tylko tyle, że moja macocha nie jest głupią gęsią, a potem dorzuciłam dwa skromne komplementy. Ale w oczach matki to wystarczyło, żeby upchnąć mnie w wielkim różowym obozie. Jeśli nie zgadzałam się z nią całkowicie, równie dobrze mogłabym sprzymierzyć się z Heidi. Nie było nic pośrodku.

Te rozmyślenia sprawiły, że do oczu napłynęły mi łzy, akurat w momencie gdy otwierałam drzwi Clementines. Na szczęście Esther i Leah tłoczyły się przy ladzie razem z Maggie, jak zwykle dyskutując o planach na wieczór. Nie zwróciły na mnie uwagi, kiedy przechodziłam obok, zmierzając do biura, gdzie opadłam na krzesło, zdeterminowana zająć się na powrót pracą. Ale po jakichś dwudziestu minutach ocierania wierzchem dłoni łez, przez które nie widziałam dobrze liczb, uznałam, że na dzisiaj dam sobie spokój.

Zanim wyszłam z biura, ściągnęłam włosy gumką, a potem próbowałam przybrać najbardziej obojętny wyraz twarzy. Dwa głębokie oddechy i już kierowałam się w stronę drzwi.

- Rzecz w tym — mówiła Leah, kiedy wkroczyłam do części sklepowej - że nigdy nie poznam seksownego faceta w kawiarni.

- Kto tak twierdzi? - zapytała Esther.

- Podstawowe zasady logiki. Tacy faceci po prostu tam nie przychodzą.

- A co z seksownymi, wrażliwymi facetami o artystycznych ciągach? Tacy praktycznie mieszkają w kawiarniach.

- Tylko widzisz - tłumaczyła Leah - artyści w ogóle mnie nie kręcą.

- Och, racja. Tobie podobają się wyłącznie nażelowani chłopcy z bractw studenckich - rzuciła Esther.

- Tłuste włosy to raczej specjalność twoich artystów, którzy nie przepadają za kąpielami.

Łudziłam się, że zaaferowane dyskusją w ogóle nie zwrócą na mnie uwagi. Ale nie miałam tyle szczęścia. Kiedy mnie dostrzegły, natychmiast stałam się obiektem ich zainteresowania.

- Muszę już iść - rzuciłam niedbale. - Paragony rozliczone, jutro wpadnę wcześniej, żeby dokończyć listę płac.

- W porządku - powiedziała Maggie. - Hej, dobrze się bawiłaś ze swoją...

- Wiesz co... - Esther nagle odwróciła się do Leah. - Nie podobała mi się twoja uwaga. Nigdy nie chodziłam z nikim, kto miałby równie tłuste włosy jak ten pilot, z którym spotykałaś się w zeszłe wakacje.

- To nie był tłuszcz - odparła Leah, sięgając po komórkę i zerkając na wyświetlacz — tylko żel do włosów.

- Myślę, że to i tak się liczy. -Nie.

- Jesteś pewna? Bo...

Na szczęście dzięki tym słownym przepychankom mogłam udać, że nie dosłyszałam urwanego w połowie pytania Maggie i wymknąć się bez dalszych wyjaśnień. Zresztą i tak nic nie zauważyła. Kiedy się

obejrzałam, akurat zaśmiewała się ze słów Leah, a Esther przewracała oczami, cała trójka jak zawsze bezpieczna w swoim różowym świecie.

Wpadłam do Beach Beans po dużą kawę, a potem znalazłam sobie miejsce na plaży i piłam ją, oglądając zachód słońca. Kiedy wysączyłam ostatnią kropelkę, wyciągnęłam komórkę i nacisnęłam jedynekę.

- Doktor Victoria West.

- Cześć, mamó, to ja.

Chwila milczenia, a potem:

- Auden, tak myślałam, że może się odezwiesz. Niezbyt dobry początek, mimo to ciągnęłam:

- Chciałam tylko sprawdzić, czy nie miałabyś jutro ochoty na wspólne śniadanie.

Mama westchnęła.

- Och, kochanie, bardzo bym chciała, ale z samego rana ruszam w drogę powrotną. Szczerze mówiąc, ta podróż to chyba był zły pomysł. Zapomniałam, jak bardzo nie znoszę plaży. Wszystko jest takie...

Czekałam na przymiotnik, który wypełni lukę, świadoma, że najprawdopodobniej będzie on określał również mnie. Ale matka nie dokończyła, oszczędzając i wybrzeże, i córkę.

- W każdym razie - dodała po chwili aż nazbyt znaczącej ciszy — wspaniale było cię zobaczyć. Informuj mnie, jak tam twoje wakacje. Chcę wiedzieć wszystko.

Zauważyłam, rzecz jasna, że to samo powiedziała mi w dniu mojego wyjazdu. Z drugiej strony obie zdawałyśmy sobie sprawę, że chodzi jej o krwawe, nadające się do wyśmiania szczegóły z głupiego życia ojca i Heidi. Życia, które z powodu jednej różowej kurtki przeciwdeszczowej jej zdaniem również ja teraz prowadziłam.

- Będę dzwonić - obiecałam. - Jedź ostrożnie. ?

- Oczywiście. Do widzenia, kochanie.

Zatrzasnęłam klapkę telefonu, a potem tak po prostu siedziałam dalej na piasku, podczas gdy coś znowu ścisnęło mnie za gardło.

Zawsze musiałam tak ciężko pracować, żeby zasłużyć na zainteresowanie matki, walczyłam o nie z jej pracą, współpracownikami, studentami, własnym bratem. Często zastanawiałam się, czy to nie idiotyczne. Ale najwyraźniej instynkt mnie nie mylił: jej zainteresowanie trudno było zdobyć, ale jeszcze trudniej utrzymać.

Tkwiłam tak bez ruchu przez długi czas, obserwując ludzi kręcących się po plaży. Rodziny z dziećmi biegnącymi z przodu i uskakującymi przed falami. Pary trzymające się za ręce. Grupki dziewczyn, grupki chłopaków, surferzy znaczący fale przybojowe w oddali, mimo zapadającego zmierzchu. W końcu plaża się wyludniła, a w domach na nabrzeżu w oddali zaczęły się zapalać światła. Noc dopiero nadciągała, a do rana ciągle było tak daleko. Sama myśl o tym sprawiła, że poczułam się zmęczona, tak bardzo zmęczona.

- Auden?

Aż podskoczyłam, a kiedy odwróciłam głowę, zobaczyłam Maggie. Wiatr rozwiewał jej włosy, przez ramię miała przerzuconą torbę, a deptak za jej plecami zamienił się w rząd świateł, jedno obok drugiego.

- Wszystko w porządku? - zapytała. Nie odpowiedziałam, więc dodała: - Kiedy wychodziłaś, wyglądałaś na smutną.

Przypomniała mi się matka, ten pogardliwy sposób, w jaki patrzyła na Maggie, dół od bikini, Seksowną jagodę, a potem i na mnie, dobitnie pokazując, że to wszystko nie jest w jej guście. Miejsce, którego tak długo starałam się unikać, było rozległe, niezmierzone niczym ta plaża. A teraz, kiedy mimo wszystko się w nim znalazłam, uświadomiłam sobie, że cieszę się z towarzystwa.

- Nie - powiedziałam. — Tak naprawdę chyba nic nie jest w porządku.

Sama nie wiem, jakiej reakcji się spodziewałam. Od tego momentu wszystko, co się wydarzyło, stanowiło dla mnie zupełną nowość. Ale najwyraźniej nie dla Maggie. Można to było poznać po wprawie, z jaką rzuciła torbę na piasek i usiadła obok. Nie zamknęła mnie jednak w mocnym, pocieszycielskim uścisku ani nie wypowiedziała ociekających lukrem słów otuchy - jedno i drugie

na pewno skłoniłoby mnie do wzięcia nóg za pas. Zamiast tego zaoferowała mi swoje towarzystwo, rozumiejąc, zanim sama to sobie uświadomiłam, że tego właśnie potrzebuję.

osiem

- ODKRYŁAM - oznajmiła Maggie - że kiedy kupuje się gumę, zawsze trzeba wziąć coś jeszcze. Bo guma tak naprawdę nie jest przekąską.

- Święte słowa - przytaknęła Esther.

- Jeśli już kupuję gumę, zawsze biorę też chipsy, a czasem dodaję dwupak ciastek. Dzięki temu zawsze masz jedzenie i coś odświeżającego na potem.

Leah potrząsnęła głową.

- No nie wiem - zaoponowała. - A co z tic tacami? Są jak guma, ale zdarzało mi się je zjadać zamiast posiłku.

- Mimo wszystko tic taki połykasz — zauważyła Esther. — Tic taki są na własność. Guma to tylko pożyczka.

- Robi wrażenie. — Maggie odwróciła się do niej z uśmiechem.

- Dziękuję - odparła Esther. - W Gas/Gro zawsze nachodzi mnie natchnienie.

Ja natomiast wcale nie byłam jak natchniona. Ani pod wrażeniem. Właściwie czułam się kompletnie nie na miejscu, niczym obcy w obcym świecie. Dopiero co siedziałam zupełnie sama na plaży, a po chwili byłam tutaj, jak zwyczajna dziewczyna, może nawet stała klientka.

Kiedy Maggie usiadła obok mnie na piasku, nie wiedziałam, czego się spodziewać. W różnych szkołach, do których chodziłam, miałam koleżanki, ale nigdy nie robiłam z nimi dziewczynskich rzeczy. Nasze relacje ograniczały się zwykle do akademickich dysput, tego pewnego wspólnego gruntu. Cała moja wiedza w kwestii babskich rozrywek pochodziła zatem z urywków filmideł puszcanych

w kablówce, w których kobiety zdawały się zacieśniać więzi, pijąc za wiele, słuchając muzyki disco lub razem tańcząc - bądź robiąc wszystkie te trzy rzeczy naraz. Ponieważ nigdy, nawet w depresji, nie miałam ochoty na żadną z nich, mogłam się tylko zastanawiać, co dalej. Ale kiedy Maggie w końcu się odezwała, zdołała mnie zaskoczyć. Znowu.

- Twoja mama jest trochę upierdliwa, co?

Odwróciłam się, żeby na nią spojrzeć. Wpatrywała się w wodę, z włosami powiewającymi wokół twarzy i kolanami podciągniętymi pod brodę.

- To świetne określenie - potwierdziłam.

Uśmiechnęła się, po czym sięgnęła po torbę, położyła ją między nami i zaczęła przetrząsać zawartość. W końcu wyciągnęła jakieś czasopismo, a ja już zaczęłam szykować się na jakąś analogię ze świata gwiazd, Boże uchronij, dopóki ku swojemu zaskoczeniu nie zorientowałam się, że to folder z ofertą naukową uniwersytetu. Tymczasem Maggie rozłożyła go sobie na kolanach i zaczęła przerzucać kartki, aż dotarła do takiej z zagiętym na dole rogiem. Wtedy mi go podała.

„ANGIELSKI NA POZIOMIE UNIWERSYTECKIM I TY”, brzmiał nagłówek. Trochę trudno było mi czytać w świetle padającym z okien domu za naszymi plecami. Ale zdjęcie mamy — siedzącej przy stole seminaryjnym z okularami w rękę, najwyraźniej w trakcie wykładu — poznałabym w każdych warunkach i z każdej odległości.

- Skąd to masz? — zapytałam zaskoczona.

- Dostałam w pakiecie zgłoszeniowym. Wydział literatury angielskiej to główny powód, dla którego złożyłam tam papiery.

- Będiesz studiować na uniwersytecie?

Potrząsnęła głową, a mnie zrobiło się głupio, że w ogóle zapytałam, bo niedostanie się na studia musiało być bolesnym tematem.

- Ale przeprowadziłam niezłe rozeznanie. Od razu wiedziałam, że twoja mama wygląda znajomo. Nie mogłam sobie tylko przypomnieć dlaczego, dopóki nie wróciłam do domu i nie znalazłam tego.

Popatrzyłam znów na zdjęcie mamy, a potem powoli zamknęłam prospekt.

- Ona jest... skomplikowana - powiedziałam. - Nie zawsze łatwo być jej córką.

— Tak sobie myślę - odparła - że czasem to zwyczajnie trudne, niezależnie od tego, czyim jest się dzieckiem.

Zastanowiłam się nad tym i oddałam prospekt, który Maggie schowała do torby. Przez chwilę po prostu siedziałyśmy w milczeniu, patrząc na wodę. Po głowie cały czas tłukła mi się myśl, że ze wszystkich osób poznanych dotąd w Golby Maggie była ostatnią, którą brałabym pod uwagę jako towarzyszkę do wspólnego siedzenia w takiej chwili. Co przypomniało mi o jeszcze jednej sprawie.

- Wiesz... - odezwałam się w końcu. - Jake naprawdę nic dla mnie nie znaczył. Głupio mi, że w ogóle miałam z nim do czynienia.

Powoli skinęła głową.

- On często działa tak na ludzi.

— Ale naprawdę. I gdybym miała to powtórzyć... — Odetchnęłam głęboko. - Nie zrobiłabym tego.

— A spędziłaś z nim tylko jeden wieczór. — Maggie wyciągnęła przed siebie nogi. — Teraz wyobraź sobie, że zmarnowałaś z nim dwa lata, jak ja.

Oczywiście nie byłam w stanie tego zrobić. Nigdy nie miałam prawdziwego chłopaka, nawet byle jakiego. Ale na głos powiedziałam tylko:

— Musiałaś go naprawdę kochać.

— Tak było. — Wyznane po prostu, bez wahania. Sama prawda. - Ale chyba każdy musi przez to przejść, no nie?

— Przez co?

- Pierwszą miłość. I tę pierwszą, która łamie ci serce. Tak się złożyło, że w moim przypadku chodziło o jedną i tę samą osobę. Przynajmniej jestem efektywna, co? - Znowu zaczęła czegoś szukać w torbie, a po chwili wyjęła z niej paczkę gum, jak się ku jej niezadowoleniu okazało - pustą. - Chyba najwyższy czas odwiedzić Gas/Gro - mruknęła i wstała, a po otrzepaniu się z piasku sięgnęła po torbę.

- Cóż, dzięki - powiedziałam. - Za sprawdzenie, co ze mną.

- Nie idziesz? - zapytała.

- Do Gas/Gro?

- Albo gdzie indziej. - Zarzuciła torbę na ramię. - Jeśli chcesz, oczywiście możesz tu zostać. Ale nie wiem, czy samotność to dobry pomysł. Zwłaszcza jeśli czujesz się paskudnie.

Przez chwilę po prostu wpatrywałam się w nią bez słowa. Chyba powinnam powiedzieć szczerze, że lubię być sama, nawet kiedy jestem w okropnym nastroju, a czasem wręcz tej samotności szukam. Ale potem przypomniałam sobie, co czułam, kiedy tak siedziałam, obserwując zachodzące słońce, i zawahałam się, czy nadal jest to prawda. Może tak. A może nie. Trudna decyzja, zwłaszcza w takim momencie. Zamiast tego uciekłam się więc do jedynej prawdy, w którą nigdy nie zwątpiłam.

- No cóż - stwierdziłam - chyba przyda mi się kolejna kawa.

I jakimś cudem byłam znów na nogach. Wyrzuciłam pusty kubek do kosza, a potem podążyłam za Maggie przez piasek, obok grupki turystów na deptaku, aż do Gas/Gro, gdzie Esther i Leah czekały na nas, usadowione na zderzaku zdezelowanego volkswagena jetty.

Obserwowałam, jak Maggie chwyta paczkę ciastek i swoją gumę, a potem zamiera z ręką nad opakowaniem twizzlers, żeby ostatecznie z nich zrezygnować. Tymczasem stojąca obok niej Esther uważnie studiowała napisy na torebce nasion słonecznika.

- Cały wieczór o nich myślałam — powiedziała. - Ale teraz, tutaj i dokładnie w tym momencie, po prostu nie jestem pewna, czy mają w sobie dosyć przekąskowego kopa.

- Przekąskowego kopa? — zdziwiłam się.

- To ilość smaku i wartości odżywczych, jakich może ci dostarczyć przekąska - wyjaśniła Maggie, a Leah złapała pudełko tic taców i nim potrząsnęła. — A więc na przykład nasiona słonecznika mają tego bardzo mało, za to suszona wołowina całe mnóstwo.

- Wiecie co — przyznałam się — muszę być z wami szczerą. Po prostu tego nie chwytam.

- Czego? - zainteresowała się Leah.

- Całej tej obsesji na punkcie sklepów, przekąsek, najdrobniejszych szczegółów każdego wyboru i zasad dobierania się w pary - odparłam.

— O co w tym chodzi?

Wszystkie trzy wymieniły spojrzenia. A potem Esther powiedziała:

- Nie mam pojęcia. Chyba o to, że jest zupełnie tak, jakbyśmy dokądś wyruszały. Nigdy nie wiesz, co się wydarzy. Więc zatrzymujesz się po prowiant.

- Najpierw wyprawa do sklepu - dodała Maggie - a potem przygoda.

Skierowały się do kasy, a ja sięgnęłam po świeży kubek, żeby napęlić go GroRoast. Proste - nie potrzebowałam niczego więcej. Ale po drodze do kasy niespodziewanie dla siebie samej zgarnęłam z półki opakowanie zawierające dwie czekoladowe babeczki. Wiedziałam, że to zbędny łakoć, bomba kaloryczna, wyrzucanie pieniędzy w błoto. Musiałam jednak zadać sobie pytanie, czy przypadkiem w słowach dziewczyn nie było trochę racji. Kiedy nie wiesz, dokąd zmierzasz, może to wcale nie taki zły pomysł mieć przy sobie więcej, niż potrzebujesz.

* * *

- O Boże! - jęknęła Esther. - Że też nigdy wcześniej t u nie byliśmy.

Stałyśmy na podjeździe wielkiego domu tuż przy samej plaży. Ludzie tłoczyli się na schodach od frontu, przesuwali się cieniem na tle oświetlonych okien, zapełniali oba tarasy i wylewali aż na piasek. Wciąż nadjeżdżały nowe samochody. Parkowały za tymi, które stały w wąskim zaułku, kompletnie go korkując. W ciągu dwóch minut minęło nas co najmniej piętnaście osób zmierzających w stronę domu.

- A ponieważ wizytę mamy już za sobą — ciągnęła Esther, podczas gdy za naszymi plecami pojawiło się następne auto, tym razem z radiem ryczącym na cały regulator - głosuję za tym, żebyśmy się stąd zabierały, dopóki pozostało nam jeszcze trochę godności.

- Nie zamierzam zachowywać się niegodnie - odparła Leah, otwierając opakowanie tic taców i wrzucając jeden do ust. - Po prostu chcę się dobrze bawić.

- Wychodzi na to samo.

- Och, na litość boską, wcale nie - obruszyła się Leah. - Wyluzuj choć raz. Może być fajnie.

- Takie imprezy nigdy nie są fajne - upierała się Esther. - Chyba że lubisz, jak oblewają cię piwem albo jak jakiś gruby facet łapie cię za tyłek w tłoku. Co najwyraźniej w twoim przypadku się zgadza.

Leah westchnęła, zdmuchując pasmo włosów z twarzy.

- Posłuchaj. Wczoraj wieczorem poszłam do Club Caramel i siedziałam tam, a jakaś grająca na ksylofonie dziewczyna odśpiewała dziesięć pieśni na temat komunizmu. I narzekałam?

- Tak - potwierdziły jednocześnie Maggie i Esther. A Esther dodała jeszcze: - Bardzo głośno.

- Ale tam poszłam - ciągnęła Leah, ignorując te uwagi. - W zamian za to mam prawo wybrać, co będziemy robić dzisiaj. I stawiam na tę imprezę. Więc lepiej już się ruszmy.

Nie czekając na ich zgodę, wsunęła pudełko tic taców do kieszeni i zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę domu. Esther podążyła za nią, o wiele mniej entuzjastycznie, natomiast Maggie zerknęła na mnie.

- Nie będzie tak źle - pocieszyła. - Czeka nas po prostu typowa weekendowa prywatka. Sama wiesz.

Nie wiedziałam. Nie miałam pojęcia, ale nie zamierzałam się do tego przyznawać. Po prostu ruszyłam za Maggie, ostrożnie omijając puszki po piwie, których całe mnóstwo leżało na podjeździe i schodach.

W korytarzu pod obiema ścianami tłoczyli się ludzie. Przejść można było tylko przez wąski tunel pośrodku, mieściła się tam akurat jedna osoba, choć i tak trzeba się było niezle rozpychać. Wszędzie unosił się zapach wody kolońskiej, potu i piwa, z każdym krokiem coraz silniejszy. Staralam się patrzeć przed siebie, ale czasem zauważałam kątem oka jakiegoś chłopaka z kropelkami potu na czole, wlepiającego we mnie oczy, albo słyszałam zaczepki w stylu: „Hej, maleńka, jak leci?“, może skierowane do mnie, a może do kogoś innego.

W końcu dotarliśmy do salonu, gdzie było trochę więcej miejsca i o wiele więcej ludzi. Huczała muzyka, jakaś grupka nawet tańczyła, głównie dziewczyny, podczas gdy faceci przyglądali im się z boku.

W kuchni po prawej zauważyłam beczkę z piwem i mnóstwo butelek z różnymi alkoholami na blacie koło zlewu. O dziwo stały tam również dwie tace z deserami: jedna z przepięknymi babeczkami, ewidentnie ręcznie przybrzany różyczkami, druga z kawałkami różnych ciast - cytrynowego, z czekoladowymi wiórkami i malinowego - starannie ułożonymi na małych papierowych serwetkach.

Maggie zauważyła, że patrzę w tamtą stronę. Gestem dłoni kazała mi się nachylić, a potem powiedziała mi do ucha:

- Rodzice Belissy prowadzą cukiernię Sweet Petite. To jej dom.

Wskazała głową dziewczynę o długich ciemnych włosach z jaśniejszymi pasemkami, ubraną w biały top i dżinsy, która roześmiana tańczyła w salonie. Głowę odrzuciła do tyłu, a na ustach miała jaskrawoczerwoną szminkę dokładnie w tym samym odcieniu co małe różyczki na każdej z babeczek.

- Potrzebujemy piwa - oznajmiła Leah stojąca po drugiej stronie Maggie, po czym wręczyła mi zdobyte skądś czerwone kubki.

- Masz. Jesteś najbliżej.

Popatrzyłam na kubki, a potem na beczkę z piwem. Tymczasem Leah i Maggie wdały się w pogawędkę - Esther gdzieś przepadła

- więc żadna z nich nie zauważyła mojego wahania, zanim ostatecznie ruszyłam w stronę beczki, z której, jak przypuszczałam, miałam nalać piwa. Zadanie wydawało się proste, więc sięgnęłam do kranika i przekręciłam kurek. I nic.

Rozejrzałam się wokół. Leah i Maggie nadal były zajęte rozmową, a jedyni obecni w pobliżu ludzie - para obściskująca się pod lodówką - nie zwracali uwagi ani na mnie, ani w ogóle na cokolwiek. Znowu pokręciłam kranikiem — bez rezultatu — po czym poczułam, jak rumienię się z zażenowania. Nigdy nie byłam dobra w proszeniu o pomoc, zwłaszcza w trywialnych sprawach. Nalewanie piwa, ta prosta, idiotyczna czynność, było dla mnie kompletną nowością.

Odetchnęłam głębiej i już miałam spróbować ponownie, kiedy ponad moją ręką pojawiła się czyjaś dłoń, palce nacisnęły na kranik i piwo w końcu popłynęło do trzymanego przeze mnie kubka.

- Niech zgadnę - powiedział Eli tym swoim spokojnym, niewzruszonym tonem. - Picie piwa też podpada pod kategorię: na świeżym powietrzu.

Przez chwilę bez słowa wpatrywałam się w niego. Miał na sobie dżinsy i tę samą niebieską bluzę z kapturem, w której widziałam go po raz pierwszy.

Było mi wstyd i może dlatego od razu się wściekłam.

- A jesteśmy na świeżym powietrzu? - rzuciłam. Rozejrzał się wokół, jakby musiał się upewnić.

: - Nie.

- W takim razie nie. - Odwróciłam się z powrotem w stronę beczki.

Zabrał rękę z kranika i tylko obserwował, jak napełniam kolejny kubek.

- Wiesz co, zauważyłem, że często przyjmujesz postawę obronną.

- A ja zauważyłam, że masz skłonność do osądzania innych.

- Och! - mruknął. - Czyli ciągle jesteś zła z powodu tej sprawy z rowerem.

- Umieć jeździć na rowerze! - warknęłam.

- Ale nie nalać sobie piwa z beczki. Westchnęłam.

- A interesuje cię to, bo...? Wzruszył ramionami.

- Taki tu wymóg. Jak kupowanie więcej niż jednej rzeczy w Gas/ Gro.

Byłam pod wrażeniem, że zapamiętał, co mówiłam przy torze - miło być godnym zapamiętania, nawet jeśli sytuacja, z jaką nas kojarzono, nie odbyła się do końca po naszej myśli - zignorowałam jednak tę zaczepkę i ruszyłam z piwem w stronę Maggie i Leah. Kiedy do nich dotarłam, obie wpatrywały się we mnie oczami jak spodki.

- No co? - zapytałam, ale one tylko wzięły swoje kubki i odsunęły się lekko ode mnie, przy pierwszym łyku wymieniając porozumiewawcze spojrzenie.

Wróciłam do beczki, żeby napełnić ostatni kubek. Dziewczyny nadal przyglądały mi się dziwnie, upiłam łyk. Piwo było ciepłe i lek-

ko zwietrzała. Najwyraźniej nie straciłam wiele, nie pijając go wcześniej.

Stojący obok Eli przyglądał się teraz uważnie ciastkom, a ja uświadomiłam sobie, że może byłam dla niego trochę zbyt opryskliwa. Dlatego rzuciłam pojednawczo:

- Najwyraźniej ludzie, do których należy ten dom, mają cukiernię.

Spojrzał na mnie.

- Naprawdę?

Pociągnęłam kolejny łyk, sama nie wiedząc dlaczego, bo piwo smakowało okropnie.

- Gospodyni to ta dziewczyna w białym podkoszulku, o tam. Ta z pomalowanymi czerwona szminką ustami.

Popatrzył we wskazanym kierunku i przez chwilę obserwował grupkę tańczących.

- A tak, widzę.

Dziewczyna naprawdę się rozkręciła. Rozpuszczone włosy falowały, kiedy kołysała biodrami. Obok tańczył podchmielony facet z naželowaną fryzurą.

- Kurczę - westchnęłam. - To naprawdę coś.

- To znaczy?

Wzruszyłam ramionami. Dziewczyna odwróciła głowę i nasze spojrzenia się spotkały.

- Po prostu... - Upiłam kolejny łyk piwa. - Czasem mniej oznacza więcej. Rozumiesz?

Wargi drgnęły mu w grymasie przypominającym uśmiech, jakbym powiedziała coś zabawnego, a ja lekko się zirytowałam. Spojrzałam na Maggie i Leah, które z jakiegoś powodu wpatrywały się teraz we mnie z wybałuszonymi oczami?

- Co wcale nie oznacza - powiedziałam do Eliego - że nie powinieneś zjeść jednej z jej babeczek. Wyglądają wspaniale.

- Nie - rzucił — daruję sobie.

- Wiesz, jeśli nie umiesz jeść babeczek, nie ma się czego wstydić.

Tym razem naprawdę się uśmiechnął.

- Umiem jeść babeczki.

- Jasne.

- Umiem — odparł. - Po prostu na żadną nie mam ochoty.

- Tak? - Odstawiłam kubek, a potem sięgnęłam do torby po opakowanie ciastek, które kupiłam w Gas/Gro. - Udowodnij - zażądałam, stawiając je na blacie pomiędzy nami.

- Naprawdę chcesz, żebym to zrobił?

- Taki tu wymóg. Jak jazda na rowerze.

Przez chwilę nie odrywał wzroku od mojej twarzy, a potem sięgnął po ciastka, rozerwał opakowanie i wyjął jedną babeczkę. Miałam wypić kolejny łyk piwa, kiedy poczułam, jak czyjeś palce zaciskają się na moim ramieniu.

- Ewakuujemy się! - wysyczała mi do ucha Maggie. - Ewakuacja, ewakuacja, ale już!

Chciałam zapytać, co się stało, ale ledwie otworzyłam usta, Maggie pociągnęła mnie za sobą, na tylny taras. Leah torowała nam drogę w tłumie.

Eli obserwował nas, przeżuając ciastko.

- Szybciej! - zawołała Leah przez ramię, a Maggie tylko kiwnęła głową, nie zwalniając uścisku. - Myślę, że jeśli zejdziemy schodami od tej strony, prędzej się stąd zmyjemy i może uda się tego uniknąć.

- Racja — przytaknęła Maggie - zdecydowanie należy tego uniknąć.

- O czym wy mówicie? - zapytałam, kiedy Maggie ściągnęła mnie po paru stopniach na niższy taras, który okazał się nieco mniej zatłoczony.

- Uniknąć czego?

Maggie odwróciła się, jakby chciała mi odpowiedzieć, ale nie miała szansy, bo właśnie wtedy przeszklone drzwi po prawej stronie otworzyły się i stanęła w nich dziewczyna z parkietu - Panna Czerwona Szminka, babeczki i mniej nie oznacza więcej. Chwilę później dołączyły do niej jej dwie koleżanki, z którymi tańczyła — rudzielec w czarnej sukience i niższa puciołowata blondynka.

Dziewczyna podniosła ręce, zastępując nam drogę, i zapytała nosowym, piskliwym głosem:

- Co tu się wyprawia? Kto to, do licha, jest?!

Wpatrywała się we mnie, podobnie jak obie jej przyjaciółki, i poczułam, że oblewa mnie zimny pot. Nigdy w życiu czegoś podobnego nie doświadczyłam. Maggie puściła wreszcie moje ramię i powiedziała:

- Belissa, to naprawdę nic takiego.

- Nic takiego?! - Belissa zrobiła krok w moją stronę. Z bliska zauważyłam nierówną powierzchnię jej skóry, nos pewnie nieco zbyt spiczasty, niżby sobie życzyła. - Jak się nazywasz, zdiro?

Początkowo myślałam, że to jednocześnie pytanie - „Jak się nazywasz?” - i odpowiedź. A potem uświadomiłam sobie, że ona naprawdę czeka, co powiem.

- Auden - odparłam. Zmrużyła oczy.

- Auden - powtórzyła w taki sposób, jak się wypowiada słowa w rodzaju „moszna” czy „ekskrementy”. - A co to za imię?

- No cóż... - zaczęłam.

- To bez znaczenia - przerwała mi Leah. - Jak powiedziała Maggie, nic się nie stało.

- Czy mi się zdaje, czy ona próbowała rwać Eliego? - dociekała Belissa.

- Ależ skąd - stwierdziła Leah rzeczowym tonem. Z przekonaniem. Blondynka i rudzielec wymieniły spojrzenia. - Ona nie jest stąd, nikogo tu nie zna.

- I nic nie wie — dodała Maggie, odrobinę mniej pewnie. Belissa spojrzała na nią. - Rozumiesz, co mam na myśli.

- Widziałam, jak z nią rozmawiał - wycedziła Belissa. Niesamowicie, że wpatrywała się we mnie, a jednocześnie kompletnie mnie ignorowała. - Uśmiechał się, na miłość boską!

- Nie wolno mu się uśmiechać? — zapytała Leah, a kiedy Maggie rzuciła jej twarde spojrzenie, dodała: - Belissa, posłuchaj, to naprawdę była pomyłka, a my już sobie idziemy. Dobra?

Belissa zamyśliła się na moment, a potem podeszła do mnie bliżej.

- Nie wiem, kim jesteś - powiedziała, dla podkreślenia swoich słów wymachując palcem, tak że niemal dotykała mojej piersi. -

I wcale mnie to nie obchodzi. Ale lepiej trzymaj się z dala od mojego chłopaka, zwłaszcza pod moim dachem. Zrozumiano?

Spojrzałam ponad jej ramieniem na Maggie, która energicznie pokiwała głową.

- W porządku - odrzekłam.

- W porządku — powtórzyła Belissa. Za jej plecami Leah z westchnieniem popatrzyła w niebo. — A teraz wynoś się z mojego domu!

Maggie znowu złapała mnie za ramię i pociągnęła schodami na dół. Nie rozluźniła morderczego uścisku, kiedy podążałyśmy za Leah na plażę, szłyśmy wokół wydmy, między budynkami i z powrotem ulicą, dopóki nie dotarłyśmy do samochodu, przy którym czekała Esther.

- Gdzie ty się, u licha, podziewałaś?! - zapytała Leah. - Bardzo byś się nam przydała tam w środku.

- Niech zgadnę - zaczęła Esther, kiedy obie z Maggie wsuwałyśmy się na tylne siedzenie. - Jakaś wpadka?

- Jeśli nazwać wpadką popis Auden, dzięki któremu wykopali nas wszystkie - zauważyła Leah - to owszem. - Zatrzasnęła drzwiczki, a potem obróciła się w moją stronę. - Oszalałaś? Flirtować z Elim Stockiem na oczach Belissy Norwood, w jej domu i do tego zajadając się jej babeczkami?

Teraz wpatrywały się we mnie wszystkie.

- Nie jedliśmy jej babeczek — sprostowałam.

Leah podniosła wysoko ramiona zniecierpliwionym gestem i odwróciła się, a Esther zdołała w końcu uruchomić silnik. Maggie rzuciła:

- Hej, dziewczyny, ona o tym wszystkim nie wiedziała.

- O tobie i Jake'u też nie wiedziała - odparła Leah. - Co nie zmienia faktu, że chciałaś zetrzeć ją na miazgę, kiedy się z nim zadała.

- Prawda - przytaknęła Maggie. - Ale tak jak Belissa nie miałam racji. Ona i Eli nie są już razem. Eli może rozmawiać, z kim mu się żywnie podoba.

- W tym właśnie rzecz - powiedziała Leah, znowu oglądając się na mnie. - Eli nie rozmawia. Z nikim. Nigdy. Więc dlaczego rozmawia z nią?

Zapadło milczenie. W końcu odchrząknęłam i wydukałam:

- No cóż, nie mam pojęcia. Po prostu to robi, od tamtej nocy, kiedy widziałam go, jak jeździł na rowerze.

Cisza. Wszystkie wpatrywały się teraz we mnie, nawet Esther, która skorzystała w tym celu ze wstecznego lusterka.

- Widziałaś Eliego na rowerze? - zapytała ostrożnie Maggie. - Co robił?

Wzruszyłam ramionami.

- Nie wiem, sztuczki? Po prostu skakał na końcu deptaka. Maggie i Leah wymieniły spojrzenia.

- Wiecie co - powiedziała Leah - myślę, że chyba pora...

- Masz rację — rzuciła Esther, włączając kierunkowskaz, kiedy na horyzoncie pojawiło się Gas/Gro. - Z całą pewnością potrzebujemy do tego przekąskowego kopa.

* * *

- Rzecz w tym — zaczęła Maggie - że jeśli mamy opowiedzieć ci o Elim, najpierw musimy ci wyjaśnić, jak to było z Abeem.

Siedziałyśmy rzędkiem na ławce na samym końcu mola, wpatrując się w wodę. Po drodze minęłyśmy paru wędkarzy, uważnie obserwujących spławiki unoszące się na falach. Tutaj byłyśmy zupełnie same, jeśli nie liczyć wiatru i pluskania wody w dole.

- Abe i Eli - tłumaczyła Maggie - byli nierozłączni. Najlepsi kumple od czasów przedszkola. Rzadko kiedy widywało się ich oddzielnie.

- Chociaż bardzo się od siebie różnili - dodała Esther. - No wiesz, Eli to taki mroczny, milczący typ, a Abe był.

Na chwilę umilkły. A potem Leah dokończyła:

- Kompletnym wariatem.

- Kompletnym - przytaknęła Maggie. - No wiesz, najbardziej szalony człowiek, jakiego znasz. Każdego potrafił rozśmieszyć.

- Nawet Eliego.

- Zwłaszcza Eliego. - Leah aż się uśmiechnęła. - Boże, pamiętacie w ogóle Eliego sprzed śmierci Abe'a? Właściwie to był nawet... zabawny.

- Abe umarł? - zapytałam.

Maggie skinęła z powagą głową, otwierając paczkę gumy.

- To było w maju zeszłego roku. Razem z Elim pojechali do Brockton na zawody w Concrete Jungle. Już od paru lat mieli sponsora. Zaczynali od udziału w zwykłych BMX-ach. Potem Eli zajął się half-pipe'em, a Abe flatlandem, przynajmniej na zawodach. Obaj naprawdę dobrze radzili sobie w strecie, chociaż to nie dziwne, zważywszy na to, skąd pochodzili.

Wpatrywałam się w nią osłupiała. I dopiero Leah wtrąciła:

- Maggie, poza tobą żadna z nas nie rozumie tej rowerowej gadaniny. Mów po ludzku.

- Och, przepraszam. - Maggie włożyła listek gumy do ust. - Eli i Abe byli naprawdę, naprawdę świetni. Tak dobrzy, że dostawali pieniądze za występy na różnych imprezach w całym kraju. Dlatego wybrali się do Brockton.

- To właśnie po tych zawodach - wyjaśniła Esther - zdarzył się wypadek. Kiedy wracali.

- Wypadek - powtórzyłam. Leah skinęła głową.

- Eli prowadził. Abe zginął.

- O mój Boże! — wyrwało mi się bezwiednie.

- No właśnie. - Maggie złożyła papierek po gumie na pół i znów na pół, aż do maleńkiego kwadracika. — Miałam randkę z Jakiem, kiedy Eli zadzwonił. Siedzieliśmy u nich w domu, więc słyszałam tę rozmowę. Eli był w szpitalu, próbował mówić, ale ja pamiętam tylko ten okropny jęk...

Nie dokończyła, zapatrzona w ciemną wodę, która rozciągała się wokół.

- To nie była jego wina — wyjaśniła Esther. — Przejeżdżali przez skrzyżowanie, a ktoś po prostu wymusił pierwszeństwo i ich staranował.

- Jakiś pijak — dodała Leah. Esther kiwnęła głową.

- Eli naprawdę się załamał, poważnie. Zupełnie jakby Abe zabrał ze sobą jakąś częśćkę niego, rozumiesz? Od tamtej pory zupełnie się zmienił.

— Zrezygnował ze sponsorowanych występów, z jeżdżenia, ze wszystkiego - wyjaśniła Maggie. — Dostał się do college'u, a potem na uniwersytet, ale nadal nie chciał rywalizować, więc nie poszedł na studia. Po prostu znalazł sobie pracę w sklepie z rowerami i przestał w ogóle jeździć.

Leah zerknęła na mnie.

— Albo tak nam się wydawało.

— Po prostu widziałam go pewnej nocy jeżdżącego po deptaku

— powiedziałam. — Naprawdę późno. Czy może raczej wcześniej.

— No cóż - wtrąciła Maggie — to pewnie coś oznacza. Nie wiem jeszcze co, ale coś na pewno.

Niespodziewanie za naszymi plecami powstało jakieś poruszenie

— kiedy się odwróciłam, zobaczyłam, jak jeden z wędkarzy wyciąga coś ponad barierką mola. Ryba trzepotała się, połyskując w świetle, a po chwili mężczyzna odłożył ją gdzieś za skrzynię ze sprzętem, poza zasięgiem mojego wzroku. Inni wędkarze też szybko stracili zainteresowanie i wrócili do obserwacji własnych spławików.

— A Belissa...? - zapytałam, ogrzewając dłonie o kubek z kawą.

— Co to za historia?

— Chodzili ze sobą od drugiej klasy liceum - poinformowała mnie Leah. - Była z nim w czasie pogrzebu i jeszcze parę miesięcy potem, ale w końcu wszystko się posypało. Rzuciła go, z tego, co słyszałam. Chociaż najwyraźniej ona widzi to inaczej.

— Najwyraźniej - mruknęłam.

Leah z uśmiechem potrząsnęła głową.

— Przysięgam, kiedy zapytała cię, „co to za imię”, a ty właśnie miałaś jej odpowiedzieć... chciałam zwać i zostawić cię na pastwę losu.

— Zadała mi pytanie — odparłam.

— Ale nie oczekiwała odpowiedzi.

— W takim razie po co pytała?

— Ponieważ szykowała się, żeby dać ci w twarz. Boże! Czy ty nie; wiesz, jak radzić sobie z zazdrosnymi byłymi? - zdziwiła się Leah.

— Nie - odparłam. - Nie bardzo. Maggie się uśmiechnęła.

- No cóż, w takim razie właśnie przeszłaś chrzest bojowy.
- Przy czym „bojowy” jest tu słowem kluczowym - dodała Leah - Widziałas, jaka była wkurzona? A kiedy ci powiedziała, żebyś spadała, bo jak nie... a ty na to rzuciłaś...
- „W porządku” - dokończyła Maggie. Esther zrobiła wielkie oczy.
- Nie.
- Tak właśnie powiedziała. I to takim tonem, jakby robiła Belissie łaskę, że się zgadza.
- Wcale nie - broniłam się. Leah i Maggie tylko na mnie popatrzyły. - Naprawdę tak zrobiłam?
- Aha. - Leah potrząsnęła kubkiem, a potem pociągnęła kolejny łyk napoju przez słomkę. - Co było albo niesamowicie odważne, albo niesamowicie głupie. Ciągłe nie mogę się zdecydować.
- Esther roześmiała się, a ja po prostu siedziałam, wbijając wzrok w swoją kawę, i myślałam, jak bardzo nie na miejscu czułam się podczas tej imprezy. Nigdy wcześniej tak dobitnie sobie nie uświadamiałam, że spędziłam całe życie na nauce, ale nie umiałam wielu rzeczy. Na tyle wielu, że narobiłabym sobie kłopotów, gdyby nie było przy mnie dziewczyn, które pospieszyły mi na pomoc.
- To było głupie - wypowiedziałam na głos pierwszą myśl, jaka przyszła mi do głowy. Dziewczyny popatrzyły na mnie. — To, co powiedziałam. A tak jeśli mam być szczerą, w liceum nie prowadziłam zbyt bujnego życia towarzyskiego. Ani kiedykolwiek, jeśli już o tym mowa.
- Zapadło niezręcznie długie milczenie. A może tylko ja tak to odebrałam.
- Wiesz co - stwierdziła Leah - to naprawdę sporo tłumaczy.
- Rzeczywiście - przytaknęła Maggie.
- A co to niby ma znaczyć? - zapytałam.
- Nic takiego - rzuciła szybko. A potem, zerkając na Leah, dodała: - Wiesz, zjawiałaś się w mieście i od razu zadałaś z Jakiem, a potem byłaś zdziwiona, że ludzie, hm... wyrobili sobie na twój temat określoną opinię.
- A mówiąc „ludzie” - wtrąciła Leah — ona ma na myśli nas.

- Załapałam - mruknęłam. - Dzięki.

- No i - dodała Esther - chodzi jeszcze o to, że zawsze trzymasz się na uboczu.

- Aż do dzisiaj - zauważyła Leah.

- Aż do dzisiaj - przytaknęła Maggie. - Uznałyśmy, że uważasz się za kogoś lepszego od nas. A ty może po prostu nie wiedziałaś, jak to jest się z kimś kumplować.

Chciałam wierzyć, że chodzi o to ostatnie. Ale w głębi serca, w najskrytszym zakamarku duszy, czułam się od nich lepsza. W przypadku Maggie od pierwszego spojrzenia.

- Jak wspomniałam - ciągnęła Leah - tylko dziewczynie, która nigdy nie miała prawdziwych przyjaciółek, mogło przyjść do głowy, żeby odpowiadać na pytanie: „A co to za imię?”.

- Myślałam, że naprawdę chce wiedzieć! - broniłam się.

- Wątpię, żeby Belissa Norwood była zainteresowana poszerzaniem wiedzy o życiu współczesnego poety znanego z utworów o polityce, przyrodzie i nieodwzajemnionej miłości - zauważyła Maggie.

Odwróciłam się w jej stronę.

- Znasz Audena?

- Na maturze pisałam pracę o toposie straty w jego wierszach — odparła. - Dzięki temu dostałam się do Defiriese. Hej, Leah, zostały! ci jakieś tic taki?

Leah wyciągnęła pudełeczko i podała je Maggie, podczas gdy ja siedziałam w milczeniu, oszołomiona. Ten dzień był dla mnie pełen niespodzianek: zjawiała się mama, prawie oberwałam i poznałam przeszłość Eliego. Ale dopiero ta ostatnia informacja odebrała mi mowę. Maggie wybierała się do Defiriese. Tak jak ja.

- Cholera! — rzuciła Esther, zerknąwszy na zegarek. — Już po północy. Muszę wracać do domu. Podwieźć którąś?

- Wygląda na to, że mnie. - Leah wstała i otrzepała džinsy. - Skoro nie udało mi się dzisiaj poderwać seksownego faceta, który odwiózłby mnie do domu po imprezie.

- Przepraszam - powiedziałam.

- Och, przeżyje - stwierdziła Esther, otaczając Leah ramieniem, kiedy ruszyliśmy z powrotem przez molo. - Jutro wybierzemy się

do Bentleys na wieczór talentów, może znajdzie sobie jakiegoś miłego artystę z tłustymi włosami.

- Może i znajdę - odcięła się Leah. - Tylko po to, żeby zrobić ci na złość.

- A ty, Auden? - zapytała Maggie, doganiając mnie. - Podrzucić cię? Popatrzyłam poprzez całą długość mola w stronę deptaka i ulicy za nim, gdzie światło latarni wdzierało się w mrok.

- Nie - odparłam. - Chyba najpierw wpadnę gdzieś na kawę.

- Kawę? - zdumiała się Esther, mierząc wzrokiem mój kubek, - fe I to nie powoduje u ciebie bezsenności?

Potrząsnęłam głową. - Skąd.

Pożegnałyśmy się na końcu mola, po czym dziewczyny poszły do auta. Słyszałam, że nadal toczyły dyskusję, wiatr niósł ich głosy, kiedy odwróciłam się i ruszyłam z powrotem do Gas/Gro, gdzie byłam jedyną klientką. Napełniłam nowy kubek kawą, dodałam mleko, wrzuciłam mieszadelko, a potem po chwili wahania sięgnęłam po batonik. Kasjerka, starsza kobieta z blond włosami i plakietką z imieniem WANDA, rozwiązywała akurat krzyżówkę, ale odłożyła ją, żeby mnie obsłużyć.

- Długa noc - zagadnęła, tłumiąc ziewnięcie, kiedy podałam jej pieniądze.

- Jak wszystkie inne, prawda? — odparłam.

Na parkingu ciepły wiatr dał z ogromną siłą, więc przymknęłam oczy i przez chwilę po prostu stałam, wystawiając twarz na podmuchy. Wcześniej tego wieczora wybrałam samotność, by potem ku swojemu zdumieniu odkryć, że tak naprawdę potrzebuję właśnie towarzystwa. Maggie na pewno nie było łatwo mnie poszukać, nie mogła przecież przewidzieć mojej reakcji. Najprościej byłoby po prostu zostawić mnie w spokoju. Ale ona nie poszła na łatwiznę.

Ja też nie bałam się wyzwania. A przynajmniej tak lubiłam o sobie myśleć. Postanowiłam więc poszukać Eliego.

Po drodze powoli minął mnie radiowóz, z którego dobiegło mnie trzeszczenie policyjnego radia, potem spotkałam dwie idące ramię

w ramię dziewczyny - jedna co chwila się potykała, druga ciągnęła koleżankę. Z otwartych drzwi barów, do których zamknięcia została jeszcze jakaś godzina, wylewali się ludzie i rozbrzmiewała muzyka. Sklepy były pogrążone w mroku, ale w głębi rowerowego dostrzegłam światło.

Chciałam zastukać do drzwi, ostatecznie jednak zrezygnowałam. Spędziłam jeden wieczór w towarzystwie dziewczyn, wielka mi rzecz. Czy to naprawdę oznaczało, że cokolwiek się zmieniło, zwłaszcza ja? Kiedy tak stałam pełna wątpliwości, zauważyłam sylwetkę w otwartych drzwiach na tyłach sklepu: ciemne włosy, niebieska bluza. I zanim się zorientowałam, co robię, już pukałam w szybę.

Eli podniósł głowę, nieufny. A kiedy podszedł i zobaczył, że to ja, wcale nie wyglądał na uspokojonego. Ani zaskoczonego. Przekręcił klucz w zamku i otworzył.

- Niech zgadnę - mruknął. - Chcesz się nauczyć jeździć na rowerze i to nie może zacząć do rana.

- Nie - rzuciłam. Opuścił rękę i po prostu stał w drzwiach, przyglądając mi się bez słowa, a ja zdałam sobie sprawę z tego, że czeka na wyjaśnienia. - Byłam w okolicy i zauważyłam światło. - Podniosłam do góry kubek z kawą, jakby to cokolwiek tłumaczyło. — Po prostu długa noc...

Przez chwilę przyglądał się uważnie mojej twarzy.

- Jasne - odparł w końcu. - No cóż, wejdź.

Kiedy przekroczyłam próg, z powrotem przekręcił klucz w zamku, a potem poprowadził mnie przez pogrążony w mroku sklep na zaplecze, gdzie mieściło się coś w rodzaju warsztatu naprawczego. Na stojakach wisiały części rowerowe, koła stały oparte o stół, na blacie leżał stos kół zębatach i wszędzie pełno było narzędzi. W jednym kącie znajdował się częściowo roemontowany rower, nad nim widniał odręczny napis: „MIEJSCE ADAMA - DOTKNIĘCIE GROZI ŚMIERCIA!” z trupa czaszką i skrzyżowanymi piszczelami pod spodem.

- Siadaj. - Eli machnął ręką w stronę stołka dokładnie obok napisu.

- To chyba niebezpieczne.

Eli zerknął na znak i przewrócił oczami. -Skąd.

Usiadłam z kubkiem w rękę, a Eli wsunął się za biurko, zaśmiecone papierami, częściami rowerowymi oraz, co wcale mnie nie zaskoczyło, kolekcją pustych opakowań po napojach i rozmaitych artykułach spożywczych.

- A więc - zaczął, sięgając po jakąś kopertę, po czym opuścił na nią wzrok — twierdzisz, że nie przyszedłeś tu po rower.

- Nie.

- W takim razie po co? Chyba nie spacerujesz sobie tak po prostu deptakiem w środku nocy?

„Eli nie rozmawia - powiedziała Leah. - Z nikim. Nigdy". Ale ze mną tak i może to coś znaczy, choć nie bardzo wiadomo co.

- Nie wiem - odrzekłam. - Po prostu... pomyślałam, że miałbyś ochotę pogadać czy coś w tym stylu.

Eli powoli zamknął szufladę, a potem popatrzył na mnie. Kliknięcie zamka wydało mi się strasznie głośne.

- To gadaj - uciął obojętnym tonem.

- Jasne. - Po prostu tam siedział, wpatrując się we mnie z twarzą bez wyrazu, a ja poczułam się prawie tak jak wtedy, kiedy mama brała mnie na celownik. Pomyślałam, że jeszcze chwila i zacznę się wić jak robak. - Ty nie śpisz, ja nie śpię. Po prostu uznałam...

- Och, rozumiem... — mruknął, kiwając głową. — Jasne. Już wiesz...

- Wiem... - zaczęłam. Potrząsnął głową.

- Powinienem domyślić się od razu, kiedy zobaczyłem cię pod drzwiami. Nie wspominając o imprezie. Maggie nie słynie z dyskrecji.

Przez chwilę siedziałam bez słowa, nie wiedząc, gdzie podziać oczy, a w końcu wyjąkałam:

- Posłuchaj, przepraszam. Po prostu wydawało mi się...

- Wiem, co ci się wydawało. - Eli zaczął przerzucać dokumenty. — Nawet doceniam to, że chciałaś mi pomóc. Ale ja nie potrzebuję pomocy. Jasne?

Mechanicznie skinęłam głową. Nagle oświetlenie wydało mi się zbyt jasne, jakby podkreślało moją wpadkę. Wstałam.

- Powinam już iść — powiedziałam. - Zrobiło się późno.

Eli spojrzał w moją stronę. Przypomniałam sobie, jak tamtej pierwszej nocy sprawił na mnie wrażenie kogoś udręczonego, chociaż wtedy nie wiedziałam, że rzeczywiście taki jest.

- Chcesz wiedzieć, dlaczego z tobą rozmawiam? — zapytał. - Tak.

- Ponieważ byłaś inna — wyjaśnił. — Nigdy nie chodziłaś wokół mnie na paluszkach, nie zachowywałaś się dziwnie, nie użalałaś nade mną i nie patrzyłaś tak na mnie.

-Jak?

- Tak jak teraz - powiedział, wskazując na moją twarz. Poczułam, że się czerwienię. — Byłaś po prostu... normalna. Aż do dzisiaj.

„Aż do dzisiaj” — pomyślałam. W uszach wciąż dźwięczały mi dokładnie te same słowa, wypowiedziane zaledwie godzinę temu przez Maggie i Leah.

Eli nadal grzebał w szufladzie z pochyloną głową, a ja przypominałam sobie tamten dzień na deptaku z Thisbe, to, z jaką łatwością wziął małą na ręce. Jest mnóstwo sposobów, żeby kogoś pocieszyć. Często niestandardowych.

- Wiesz - powiedziałam i oparłam się o futrynę - właściwie to nawet mi ulżyło, że tak mówisz. Bo wcale nie mam ochoty cię żałować.

- Nie? - mruknął, nie podnosząc głowy.

- Nie. Tak naprawdę to jestem na ciebie wściekła.

- Wściekła? - Skinęłam głową, kiedy w końcu podniósł wzrok: tym razem przyciągnęłam jego uwagę. - A czemuż to?

- Bo przez ciebie o mało dzisiaj nie oberwałam.

- Naprawdę? Przewróciłam oczami.

- Jakbyś nie wiedział, że mówiłam wtedy o twojej dziewczynie - rzuciłam. - Nie wspominając o patrzeniu na nią, kiedy o niej mówiłam.

- Chwileczkę — zaprotestował. — To nie jest...

- Pozwoliłeś, żebym tam stała i plotła, co mi ślina na język przyniesie
- ciągnęłam, ignorując jego protesty - a potem, kiedy się na mnie rzuciła...

- Rzuciła się na ciebie?

- Dźgnęła mnie palcem w klatkę piersiową i nazwała zdzirą - dodałam. Eli uniósł brwi. - A ty w tym czasie zaszyłeś się gdzieś w kącie, żeby zajadać babeczki.

- Przepraszam - obruszył się, zatrząskując szufladę - ale to ty kazałaś mi je zjeść.

- Bo wtedy nie wiedziałam jeszcze, że moje życie znalazło się w niebezpieczeństwie! - Westchnęłam. - Zostawiłeś mnie tam na pastwę losu. To nie było zbyt fajne.

- Posłuchaj, Belissa nie jest moją dziewczyną.

- Może powinieneś jej to wyjaśnić. Jeśli zdołasz, no wiesz, znaleźć chwilę w trakcie zajadania babeczek.

Eli po prostu wpatrywał się we mnie z nieprzeniknioną twarzą, a ja znowu czułam, że wiję się pod jego spojrzeniem. Chociaż tym razem z innego powodu. Zupełnie innego.

- Co ty w ogóle robisz poza domem tak późno? - zapytał.

- Nie śpiam nocami.

- Dlaczego?

- Kiedyś dlatego, że rodzice też nie spali, tylko się kłócili - wyjaśniłam. — Ale teraz... sama nie wiem.

Odpowiedź przyszła odruchowo, rzucona bez zastanowienia. Eli skinął głową, a potem zapytał:

- Więc co robisz, żeby zabić czas? Poza niejeżdżeniem na rowerze?

Wzruszyłam ramionami.

- Czytam. Kręcę się po mieście samochodem. Tam, gdzie mieszkam, jest taka całodobowa knajpka, którą naprawdę lubię, ale tutaj znalazłam tylko Wheelhouse, niestety daleko mu do ideału.

- Jeździłaś do Wheelhouse? - Potrząsnął głową. - Kawę dają tam okropną.

- Wiem. Do tego kelnerki są wredne.

— Choć nie zajmujesz stolika, przy którym ktoś inny chciałby usiąść. - Westchnął. - Powinnaś wybrać się do mojego ulubionego lokalu. Otwartego dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu, świetna kawa, no i ciasto.

— Serio? - zachwyciłam się - Trzy niezbędne atuty.

— Wiem.

— Ej, chwileczkę. Przeszukałam w Google'u całą okolicę w promieniu osiemdziesięciu kilometrów i nie znalazłam nic poza Wheelhouse.

— Bo mój lokal - odparł - to miejscowy sekret.

— Och, racja. — Oparłam się z powrotem o futrynę. - Oczywiście. Znowu te lokalne tajemnice.

— Aha — przytaknął, a potem sięgnął po leżącą obok biurka płócienną torbę i zarzucił ją sobie na ramię. - Ale nie martw się. Chyba dam radę przemycić cię do środka.

* * *

— To nie jest knajpka... - stwierdziłam.

Co było oczywiste, kiedy spojrzało się na pralki na monety ustawione wzdłuż jednej ściany i suszarki wzdłuż drugiej. Nie wspominając o stołach do składania prania pośrodku, paru plastikowych krzeselkach i automacie z maleńkimi opakowaniami proszku i płynu zmiękczającego, na którym ktoś przyczepił napis: „NIECZYNNE”.

— Nie mówiłem, że to knajpka - powiedział Eli, po czym podszedł do jednej z pralek i położył na niej swoją torbę.

— Nie wspomniałeś też, że to pralnia samoobsługowa - wytknęłam.

— To prawda. - Wyciągnął z torby butelkę płynu do prania, a potem wrzucił zawartość torby do pralki. Kiedy wrzucił do maszyny parę ćwierćdolarówek, a za szybką zaczęła się przelewać spieniona woda, zakomenderował: — Chodź.

Ruszyłam za nim z pewnym wahaniem, między rzędami pralek i suszarek, aż do wąskiego korytarza, na którego końcu znajdowały się zwyczajne białe drzwi. Eli zapukał dwa razy, a potem je otworzył i gestem zaprosił mnie do środka. Początkowo miałam opory, ale

potem poczułam zapach kawy. I to wystarczyło, żebym przekroczyła próg.

Odniosłam wrażenie, jakbym znalazła się w innym świecie. Linoleum i lśniące urządzenia zniknęły. Wokół panował półmrok, ściany miały barwę ciemnego fioletu. Było tylko jedno okno, z przymocowanym u góry sznurem różnokolorowych lampek, i kilka małych stolików. Tuż przy otwartych tylnych drzwiach, przez które wpadał ciepły wiatr, znajdował się niewielki bar. Siedział za nim starszy facet o ciemnych, oproszonych siwizną włosach, czytający gazetę. Kiedy weszliśmy, podniósł oczy i na widok Eliego natychmiast się rozpromienił.

- Hej! — zawołał. — Tak myślałem, że możesz się dzisiaj zjawić.

- Koszule mi się kończyły - odparł Eli.

- W takim razie - facet odłożył gazetę i wstał, zacierając ręce - co mogę podać?

- To zależy. - Eli podszedł do baru i wyciągnął stołek. Już miałam pójść w jego ślady, kiedy wskazał mi go dłonią, a ja uświadomiłam sobie, że odsunął ten stołek dla mnie. — Co mamy dzisiaj w menu?

- No cóż - powiedział facet, robiąc krok do tyłu i zaglądając pod ladę - niech zobaczę... ciasto rabarbarowe. Szarlotkę. I maligodowe.

- Maligodowe? Skinął głową.

- **Z** malinami i jagodami. Trochę kwaśne, trochę słodkie. Dostyc wyraziste. Ale warte spróbowania.

- Brzmi świetnie. - Eli spojrzał na mnie. - Co wybierasz?

- Kawę? - rzuciłam.

- Samą kawę? - zapytał zdziwiony gospodarz.

- Ona nie jest stąd - wyjaśnił Eli. A do mnie powiedział: - **Zaufaj** mi, masz ochotę na ciasto.

- Och... - Obaj wpatrywali się we mnie, więc dodałam: - W **takim** razie, hm, poproszę szarlotkę.

- Świetny wybór - stwierdził Eli, a facet za barem odwrócił się, zdjął ze stojaka dwa kubki i zaczął napełniać je kawą. Potem na naszych oczach wyciągnął spod lady dwa talerze, a chwilę później dwa rodzaje ciasta. **Z** każdego ukroił po sporym kawałku, ułożył wpraw-

nie na talerzach, które następnie pchnął w naszą stronę, dołożywszy po widelcu.

Najpierw sięgnęłam po swój kubek, żeby upić maleńki łyżeczek. Eli nie przesadzał - kawa była niesamowita. Ale nie tak dobra jak ciasto. Słodki Jezu.

- A nie mówiłem? - odezwał się Eli. - Bije Wheelhouse na głowę.

- Wheelhouse? A kto tam jada? - rzucił gospodarz. Eli wskazał ruchem głowy na mnie. - O rany. Przykro mi to słyszeć.

- Clyde - wyjaśnił mi Eli — to facet, który ciasta traktuje bardzo poważnie.

- No cóż - rzucił Clyde mile polectany — to znaczy, staram się. Ale jeśli chodzi o to całe pieczenie, jestem dopiero początkujący. Późno zacząłem.

- Clyde to właściciel sklepu rowerowego - dodał Eli. - I tej pralni. I jeszcze ze czterech innych lokali w Colby. To prawdziwy rekin biznesu.

- Wolę określenie: człowiek renesansu - wtrącił Clyde, sięgając z powrotem po gazetę, którą, jak dopiero teraz zauważyłam, okazał się egzemplarz „Gourmet”. — A to, że znam się na biznesie, nie oznacza, że potrafię upiec idealny kruchy spód. Tego się przynajmniej ostatnio dowiedziałem.

Ugryzłam kolejny kęs ciasta - które moim zdaniem było bardzo bliskie ideału - i znów rozejrzałam się dookoła.

- Musisz przyznać — powiedział Eli, podczas gdy Clyde przerzucił kartkę i zabrał się do studiowania przepisu na zapiekane ziemniaki - że to lepsze niż czytanie albo jeżdżenie autem.

- O wiele - przytaknęłam.

- Ona też nie sypia — wyjaśnił Eli Clyde'owi, a kiedy ten skinął głową, powiedział do mnie: - Clyde kupił to miejsce tylko po to, żeby mieć co robić nocami.

- Aha - przytaknął Clyde. - Ale kawiarnia to pomysł Eliego.

- A skąd. - Eli potrząsnął głową.

- Właśnie że tak. - Clyde przewrócił kolejną kartkę. - W dawnych czasach siadywaliśmy sobie razem podczas wirowania przy kawie z termosu i ciście. A potem Eli przekonał mnie, że może nie my

jedni potrzebujemy jakiegoś lokalu poza barem, gdzie można by wpaść późno w nocy. ę, Eli wbił widelec w spód ciasta.

- Wirujące Koła - powiedział. - Całkiem niezłe.

- Hm. - Clyde zamyślił się na moment. - Masz rację. Zapisz to.

Eli wyciągnął portfel i wyjął z niego złożoną na czworo żółtą kartkę. Na pierwszy rzut oka widać było, że to jakaś lista, na dodatek dosyć długa. Eli wziął od Clyde'a długopis, a potem dodał na samym jej dole: „WIRUJĄCE KOŁA”.

- Potrzebujemy nowej nazwy dla sklepu rowerowego - wyjaśnił mi Clyde. - Od wieków próbujemy coś wymyślić.

Od razu przypomniałam sobie swój pierwszy dzień w Colby i strzępy rozmowy między Jakiem, Wallace'em i Adamem, zasłyszane na deptaku.

- A jak się teraz nazywa?

- Sklep Rowerowy - odparł obojętnym tonem Eli. Uniosłam brwi. - Niezłe, co?

- Tak naprawdę nazwa brzmi Rowery Clyde'a - wtrącił gospodarz i sięgnął po mój kubek, żeby dolać kawy. - Ale podczas huraganu Beatrice w zeszłym roku zerwało nam sztyld, a kiedy zabrałem się do robienia nowego, pomyślałem, że chyba najwyższy czas zmienić nazwę. ...

- .. .co od tamtej pory staramy się zrobić - dodał Eli. - Tyle że Clyde nie może się zdecydować.

- Będę wiedział, która nazwa jest właściwa, kiedy ją usłyszę - odparł Clyde, wcale nieprzejęty krytyką. - A na razie nie przeszkadza mi, że wszyscy mówią Sklep Rowerowy. Ostatecznie to jest sklep rowerowy, prawda?

W tym momencie zadzwonił stojący za nim telefon. Clyde odwrócił się, żeby odebrać. Kiedy chwilę później wyszedł na zewnątrz ze słuchawką przyciśniętą do ucha, Eli rzucił do mnie:

- A nie mówiłem? Całkiem fajny lokal, co?

- Owszem — przytaknęłam. - Poza tym miałeś też rację w innej sprawie. Nigdy w życiu bym go nie znalazła, nawet za milion lat.

- No właśnie.

Przez chwilę w milczeniu delektowaliśmy się ciastem. Zza ściany dobiegał łoskot suszarki, w której wirowało pranie: bum, bum, bum. Mój zegarek pokazywał drugą piętnaście.

- Więc hm... - odezwałam się w końcu - jakie jeszcze atrakcje tu macie?

* * *

Zawsze myślałam, że całkiem nieźle potrafię zapełnić sobie czas w bezsenne noce, ale Eli okazał się w tej sztuce prawdziwym mistrzem.

Po wizycie w pralni wróciliśmy do jego auta - starej półciężarówki z kabiną pełną części rowerowych, które pobrzękiwały i grzechotały na każdym zakręcie - i ruszyliśmy do całodobowego Park Mart, położonego dwadzieścia trzy kilometry na zachód od miasta. Tam o trzeciej nad ranem można było nie tylko zaopatrzyć się w artykuły spożywcze, pościel i drobny sprzęt AGD, lecz także wyważyć koła. Krążyliśmy z wózkiem po sklepowych alejkach i rozmawialiśmy. Nie na temat Abe'a. Ale o wszystkim innym już tak.

- Defriese - rzucił Eli, porównując różne marki popcornu do przygotowywania w mikrofalówce. — Chyba tam wybiera się Maggie?

- Tak mi się zdaje — mruknęłam.

Eli zdjął z półki pudełko, żeby przeczytać skład.

- W takim razie to musi być naprawdę dobra uczelnia. Ta dziewczyna jest genialna - rzucił, a kiedy nie odpowiedziałam, dodał: - Stąd wniosek, że ty też musisz być genialna, co?

- Aha - bąknęłam pod nosem. - Raczej.

Popatrzył na mnie z uniesioną brwią, upychając jednocześnie pudełko w wózku.

- A skoro taka z ciebie mądrała - kontynuował - to jakim cudem nie wiedziałaś, że nie należy flirtować z chłopakiem innej dziewczyny w jej własnej kuchni?

- Moja wiedza jest książkowa, nie obejmuje praktycznych wskazówek, jak przeżyć w miejskiej dżungli - stwierdziłam.

Eli się skrzywił.

- Nie umieściłbym Belissy w kategorii „życie na ulicy”. Ona nawet dzinsy oddaje do pralni chemicznej.

- Naprawdę? Skinął głową. -Rany.

- Dokładnie.

Przeszliśmy jeszcze kawałek. Eli nie miał listy, mimo to najwyraźniej doskonale pamiętał, czego potrzebuje.

- Ale tak serio - powiedziałam. - Racja. Byłam trochę...

Urwałam. Eli się nie odezwał, zmuszając mnie, bym doprecyzowała, co mam na myśli. Uświadomiłam sobie, że nawet mi się to podoba.

- Zdaje się, że sporo mnie ominęło w liceum - wyjaśniłam. - Przy-
najmniej jeśli chodzi o życie towarzyskie.

- Wątpię - odparł Eli, przystając na chwilę, żeby dorzucić do wózka rolkę ręczników papierowych. - Mnóstwo z tych rzeczy jest mocno przereklamowanych.

- Mówisz tak, bo sam byłeś w szkole popularny.

Spojrzał na mnie uważniej. Akurat skręciliśmy do alejki z zupami, w połowie której stał facet w długim płaszczu, mamroczący coś pod nosem. To właśnie urok krążenia po mieście o tak późnej (a właściwie tak wczesnej) porze. Dziwacy też nie śpią. Kiedy zerknęłam na Elie-go, zauważyłam, że ma taką samą taktykę jak ja, opierającą się na trzech zasadach: nie gap się, omijaj z daleka i staraj się zachowywać naturalnie.

- Dlaczego sądzisz, że byłem popularny?

- Och, daj spokój - odparłam. - Taki mistrz rowerowych akrobacji jak ty? To chyba oczywiste.

- Do twojej wiadomości — stwierdził — w ogóle nie udzielałem się towarzysko.

Rzuciłam mu wymowne spojrzenie.

- No dobra, w porządku. Wcale nie byłem takim odludkiem. -Sięgnął po puszkę zupy pomidorowej z ryżem, potem po następną. — Ale wielka mi rzecz. Ostatecznie nie ma to przecież żadnego znaczenia.

- A ja myślę, że może jednak ma. — Pochyliłam się nad wózkiem, żeby sprawdzić jego zawartość. — Wiesz, robiłam już wszystko, co

związane z nauką. Ale nigdy nie miałam zbyt wielu przyjaciół, więc mnóstwa rzeczy jeszcze nie wiem.

- Na przykład...

- Na przykład, żeby nie rozmawiać z chłopakiem dziewczyny w jej własnej kuchni.

Opuściliśmy alejkę z facetem w płaszczu, który nadal coś mamrotał, i ruszyliśmy do działu z nabiałem, po drodze mijając sennego sprzedawcę wykładającego wędliny na półki.

- No cóż — podsumował Eli — nie ma to jak prawie dostać w tyłek, żeby nauka wryła się w pamięć. Teraz na pewno o tym nie zapomnisz.

- Jasne - odparłam. - Ale co z całą resztą?

- Czyli?

Wzruszyłam ramionami i nachyliłam się nad wózkiem. Eli zdjął z półki karton mleka, żeby sprawdzić datę ważności. Przez głowę przemknęło mi, jak nietypowe były te nasze wspólne zakupy. A jednak wcale nie czułam się nieswojo. To właśnie jeden z uroków nocy. Sprawy, które w świetle dnia wydają się dziwaczne, gdy minie pewna godzina, przestają takie być. Zupełnie jakby ciemność wszystko wygładzała, zmieniała.

- Myślę, że na niektóre rzeczy już chyba za późno. Na wszystko to, co powinnam była robić przez ostatnich osiemnaście lat, na przykład chodzenie na piżamowe prywatki, łamanie rodzicielskich zakazów, jeśli chodzi o późne powroty do domu w piątkowe wieczory, czy...

- ... jazdę na rowerze - dokończył. Zatrzymałam się.

- Co ty masz z tymi rowerami? - prychnęłam.

- No cóż, ostatecznie pracuję w tej branży. Poza tym to ważny element dorastania - rzucił Eli, przechodząc do działu serów. - I wcale nie jest za późno.

Nie odzywałam się, kiedy zmierzaliśmy do jedynej czynnej o tej porze kasy. Stojąca za nią dziewczyna z uwagą oglądała rozdwojone końcówki swoich włosów.

- Oczywiście - dodał Eli, wykładając zakupy na taśmę - nie jest też za późno na nocowanie u przyjaciółek ani całą tę resztę. Ale łamanie „godziny policyjnej” chyba możesz wykreślić z listy.

- Czemu?

- Bo mamy czwartą nad ranem, a ty robisz zakupy w Park Marcie - powiedział, a kasjerka zaczęła przesuwać towary nad czytnikiem. — Moim zdaniem ten punkt zaliczyłaś.

Zamyśliłam się nad jego słowami, obserwując jabłka przesuwane się na taśmie.

- No nie wiem - stwierdziłam. - Może rzeczywiście wszystkie te atrakcje, które mnie ominęły, są przereklamowane. Dlaczego w ogóle się tym przejmuję? Gdzie tu sens?

Eli przez chwilę milczał.

- A kto mówi, że to musi mieć sens? — zapytał. - Albo przyczynę. Może to po prostu coś, co należy zrobić.

Przesunął się i zaczął pakować zakupy do toreb, a ja stałam bez ruchu, analizując jego słowa. „Po prostu coś, co należy zrobić”. Nie potrzeba żadnych wymówek ani powodów. Nawet mi się to spodobało.

Z Park Martu pojechaliśmy do hipermarketu budowlanego Lumber and Stone który, jak poinformował mnie Eli, otwierano bardzo wcześnie. Co prawda nie wyglądaliśmy na klientów, co najwyraźniej nikogo nie obchodziło, bo bez problemu wpuszczono nas do środka. Snułam się za Elim, który spakował do wózka nowy zestaw narzędzi, pudełko gwoździ i spory zapas żarówek - a kiedy płacił za zakupy, przysiadłam na ławeczce przy drzwiach wejściowych i zapatrzyłam się na słońce wschodzące nad parkingiem. Była już prawie szósta i reszta świata zaczynała się właśnie budzić.

- Widziałem to — powiedział Eli, kiedy siadając do auta, stłumiłam ziewnięcie.

- Zwykle mniej więcej o tej porze kładę się spać.

- Jeszcze tylko jeden przystanek, ostatni - odparł.

Było nim oczywiście Gas/Gro, gdzie za ladą stała ta sama starsza kobieta co zawsze. Tym razem czytała gazetę, przyciskając jednocześnie do ucha komórkę.

- Potrzebujesz czegoś? — zapytał Eli.

Potrząsnęłam głową i zsunęłam się odrobinę niżej na siedzeniu. Wyskoczył na zewnątrz i ruszył w stronę sklepu, a kiedy był już przy

drzwiach, kilka miejsc dalej zaparkowała niebieska honda. W trakcie kolejnego ziewnięcia zobaczyłam, że kierowca wysiada, również pozostawiając pasażera w aucie. Wysoki mężczyzna w pogniecionych spodniach khaki, kraciastej koszuli i okularach w czarnych oprawkach.

Nachyliłam się, żeby przyjrzeć się jego profilowi, kiedy wchodził do sklepu. A potem popatrzyłam na hondę, gdzie w fotelu pasażera siedziała moja matka. Miała zmęczoną twarz, zaczesane do góry włosy, a na ramiona zarzucony ulubiony czarny sweter. W sklepie jej magistrant akurat nalewał sobie kawę. Patrzyłam, jak chłopak bierze paczkę gumy i kawałek szarlotki, po czym podchodzi do kasy, gdzie Eli gawędził właśnie z pracownicą podliczającą jego zakupy. „Coś takiego - pomyślałam. - Moja matka umawia się z bywalcem marketów”.

Eli wynurzył się wreszcie ze sklepu z butelką wody i paczką Do-ritos w ręku. Kiedy przechodził obok hondy, przyglądałam się, jak matka obserwuje go uważnie spod zmrużonych powiek, w mgnieniu oka oceniając jego zbyt długie włosy, znoszony T-shirt i sposób, w jak żonglował kluczykami od auta. Wiedziałam, że od razu go zaklasyfikowała: wykształcenie średnie, nie wybiera się na studia, nawet nie jest nimi zainteresowany, robotnik. Szczerze mówiąc, kiedyś pomyślałabym dokładnie tak samo. Ale teraz byłam o jedną noc i wiele godzin dalej od mojej matki. Nawet jeśli fizycznie dzielił nas tak niewielki dystans.

Może obserwowała nas nadal, kiedy Eli wszedł do auta i zatrzasnął drzwiczki. Nie wiem, bo odwróciłam się w jego stronę, plecami do niej, nierozpoznawalna. Dla matki byłam teraz po prostu jakąś dziewczyną, kiwająca głową w odpowiedzi na pytanie, czy jest gotowa wrócić w końcu do domu.

dziewięć

- GOTOWE!

Otworzyłam oczy, zamrugałam, a potem na powrót zacisnęłam powieki. Może to tylko sen. Ale chwilę później usłyszałam to znowu:

- Gotowe! Skończyłem! - Jakież drzwi otworzyły się i zamknęły, potem usłyszałam kroki. - Hej? Gdzie są wszyscy?

Usiadłam na łóżku i spojrzałam na zegarek. Dochodziło piętnaście po czwartej, a ja byłam wczoraj na nogach do szóstej rano. Właściwie dzisiaj. Ostatnio trudno mi to rozróżnić.

Wstałam z łóżka i wyjrzałam na korytarz. Ojciec akurat zatrzymał się pod drzwiami pokoju Thisbe.

- Cześć! — powitał mnie. - Wiesz co, właśnie...

Z prędkością światła wyciągnęłam rękę, żeby zatrzymać jego dłoń, sięgającą do klamki.

- Zaczekaj - szepnęłam. - Nie rób tego.

- Czego?

Pociągnęłam go do swojego pokoju i delikatnie zamknęłam za nami drzwi. Potem skinęłam na ojca, żeby podszedł ze mną do okna, jak najdalej od ściany dzielącej moją sypialnię od pokoju Thisbe.

- Auden - powiedział ojciec, nawet nie ściszywszy głosu - co ty wyprawiasz?

- Mała miała w nocy silną kolkę — wyszeptałam. — Dzisiaj rano też. Ale w końcu zasnęła. Heidi na pewno też się położyła.

Ojciec zerknął na zegarek, a potem na zamknięte drzwi.

- Skąd wiesz, że śpi?

-Kto?

- Thisbe. Albo Heidi.

- A słyszysz płacz? - odpowiedziałam pytaniem.

Przez chwilę oboje nasłuchiwaaliśmy. Dobiegał nas tylko hałas z urzędzenia do fal.

- Ech, to takie deprymujące - stwierdził po chwili ojciec. - Wreszcie ukończyłem moją książkę i nikogo to nie obchodzi.

- Skończyłeś książkę? — ucieszyłam się. — To wspaniale. „*Teraz się uśmiechnął.*

- Właśnie napisałem ostatni akapit. Chcesz posłuchać?

- Żartujesz? Oczywiście, że tak. ;:

- W takim razie chodź.

Otworzył drzwi i wyszedł na korytarz. Ruszyłam za nim — na paluszkach — aż do jego gabinetu, gdzie właściwie mieszkał przez ostatnich kilka tygodni. Czego najlepszym dowodem była kolekcja kubków, pustych butelek po wodzie mineralnej i połamanych ogryzków jabłek w różnym stadium rozkładu, które zauważyłam zaraz po przekroczeniu progu.

- W porządku - mruknął ojciec, zasiadając przed laptopem, po czym nacisnął kilka klawiszy, a kiedy na ekranie pojawił się wreszcie dokument, tata zatarł ręce i przewinął stronę na dół, do kilku ostatnich linijek. - Gotowa?

Skinęłam głową.

- Gotowa. Ojciec odchrząknął.

- „Ścieżka była teraz węższa, przypominające misterną koronkę gałęzie drzew nachylały się ku sobie, kiedy szedłem pod ich baldachimem. Gdzieś tam przede mną rozciągało się morze”.

Przez chwilę oboje milczeliśmy, pozwalając słowom wybrzmieć. Wielka chwila, chociaż sama byłam lekko rozkojarzona, bo dałabym głowę, że w głębi korytarza rozległ się płacz.

- Kurczę - powiedziałam z nadzieją, że jednak się myliłam. — Wspaniale.

- Długo to trwało, bez wątpienia. - Ojciec odchylił się z powrotem na oparcie krzesła, które zaskrzypiało pod jego ciężarem. - Dziesięć lat, wszystkie prowadzące do tych dwudziestu czterech

słów. Tak naprawdę wciąż nie mogę uwierzyć, że to wreszcie koniec.

- Gratuluję — powiedziałam.

Teraz nie było wątpliwości, że Thisbe płacze, krzyk stawał się coraz głośniejszy. Na ten dźwięk ojciec wyprostował się i rzucił:

- Wygląda na to, że wstały! Chodźmy podzielić się z nimi dobrą nowiną, dobrze?

Po czym zerwał się z krzesła i dziarskim krokiem ruszył w stronę pokoju Thisbe. Gdy tylko otworzył jego drzwi, płacz przeszedł z poziomu niskiego na pełne obroty.

- Kochanie, zgadnij, co się stało? — oznajmił, akurat kiedy go dogoniłam. — Właśnie skończyłem swoją książkę!

Wystarczyło jedno spojrzenie na Heidi, aby zrozumieć, że kompletnie jej to nie obeszło. Ciągle była w piżamie składającej się z dresowych spodni i pomiętego podkoszulka z wilgotną plamą na przodzie. Włosy miała matowe i w strąkach, a oczy zaczerwienione -popatrzyła na ojca i na mnie, jakby nie mogła sobie przypomnieć, skąd nas zna.

- Och, Robercie! - wydusiła w końcu, podczas gdy Thisbe cały czas wiała się w jej ramionach z wykrzywioną czerwoną buzią - to wspaniale.

- Moim zdaniem taka okazja zasługuje na uczczenie, nie sądzisz? - zapytał, a potem odwrócił się, żeby szukać potwierdzenia u mnie. Zanim jednak zdecydowałam, czy powinnam przytaknąć, dodał: — Pomyślałem, że może zjedlibyśmy miłą kolacyjkę tylko we dwoje. Co ty na to?

Trudno było zignorować krzyczącą Thisbe. Doskonale to wiedziałam, bo próbowałam tak zrobić od dnia przyjazdu. A jednak mój ojciec jakimś cudem potrafił tego dokonać. Najwyraźniej.

- No nie wiem - odpowiedziała powoli Heidi, patrząc na małą, która ewidentnie była wściekła. — Nie sądzę, żebym mogła zabrać ją w takim stanie...

- Oczywiście, że nie — przytaknął ojciec. — Znajdziemy kogoś do opieki. Czy to nie Isabel mówiła, że bardzo chętnie wpadnie któregoś wieczora, żeby ci pomóc?

Heidi zamrugła oczami. Wyglądała zupełnie jak więźniowie z czasów wojny, których zdjęcia oglądałam w książkach historycznych, taka zdezorientowana i ogłuszona.

- Owszem - rzuciła. — Ale...

- W takim razie zadzwońmy do niej — zaproponował ojciec. — Niech zapracuje na swoją rolę matki chrzestnej. Ja zatelefonuję, jeśli chcesz. Jaki jest do niej numer?

- Isabel wyjechała z miasta - odparła Heidi.

- Och. - Ojciec się zadumał. A potem powoli odwrócił się w moją stronę. — Cóż... Auden? Myślisz, że mogłabyś nam pomóc?

Heidi popatrzyła na mnie, a potem potrząsnęła głową.

- O, nie, to nie byłoby fair. Nie możemy stawiać cię w tak trudnej sytuacji.

- Auden na pewno nie ma nic przeciwko - upierał się ojciec. Zwrócił się do mnie: - Prawda? To tylko kilka godzin.

Taka niefrasobliwość powinna mnie zdenerwować, ale szczerze mówiąc, kiedy patrzyłam na Heidi, zgoda wydawała mi się po prostu uczynkiem miłosierdzia. Powiedziałam więc:

- Jasne, nie ma sprawy.

- Musisz przecież iść do butiku - zaniepokoiła się Heidi, przekładając Thisbe na drugie ramię, co nawet na moment nie uciszyło małej. - Papiery... jutro wypłata.

- No cóż. — Ojciec spojrzał na mnie znowu. — Może... »
Zauważyłam, że bardzo często tak robi — urywa w pół zdania, pozostawiając innym (w tym przypadku mnie) zadanie dokończenia za niego myśli. Zupełnie jak w tej grze Mad Libs, tyle że w pasywno-agresywny sposób.

- Po prostu zabiorę ją ze sobą — powiedziałam do Heidi. — Wpadniecie po nią w drodze powrotnej.

- No nie wiem. - Heidi wciąż się wahała, lekko podrzucając Thisbe. - Nie jest w najlepszej formie na takie wypadki.

- Morskie powietrze dobrze jej zrobi! - rzucił ojciec i przejął córeczkę od żony. Z uśmiechem popatrzył na wykrzywioną buzię małej, po czym usiadł w fotelu bujanym i ułożył sobie Thisbe w zagłębieniu ramienia. Heidi nie odrywała od nich wzroku, obserwu-

jąc całą scenę z nieprzeniknioną twarzą. - Tobie też, kochanie. Wskakuj pod prysznic, nie musisz się spieszyć. My się wszystkim zajmiemy.

Heidi spojrzała na mnie, a kiedy kiwnęłam głową, w końcu ruszyła w stronę drzwi. Z korytarza obejrzała się jeszcze na ojca, jakby nie była pewna, co to za facet, który kołysze teraz jej córkę, ze stoickim spokojem przyjmując grymaszenie małej. Szczerze mówiąc, w tamtym momencie ja też nie byłam.

W skrytości ducha spodziewałam się zresztą, że kiedy Heidi sobie pójdzie, ojciec natychmiast odda mi Thisbe. Ale tego nie zrobił. Siedział w fotelu, kołysząc maleństwo i poklepując je dłonią po pleckach. Nie wiem nawet, czy zdawał sobie sprawę, że go obserwuję, chociaż stałam w drzwiach naprawdę długo. Zastanawiałam się, czy robił tak, kiedy Hollis i ja byliśmy mali. Jeśli wierzyć matce, to nie. Zresztą zaledwie dziesięć minut temu nie pomyślałabym, że potrafi tak dobrze zająć się dzieckiem. Może jednak ludzie się zmieniają albo przynajmniej próbują to zrobić. Wokół zaczynałam dostrzegać na to dowody, choć trudno mi było tak od razu w to uwierzyć.

* * *

Minął tydzień od tamtej bezsennej nocy, a moja wiedza na temat nocnego życia Colby stopniowo się pogłębiała. Wszystkie te wieczory spędzane w samotności na wyprawach do Wheelhouse czy krążeniu samochodem po mieście z krótkim przystankiem w Gas/Gro były równie nudne jak beczynność. Dopiero teraz, razem z Elim, odkrywałam prawdziwą noc.

W pralni nad kawałkiem ciasta i kawą słuchałam Clyde'a opowiadającego o swoich ostatnich kulinarnych eksperymentach. W Park Mart unikałam dziwaków, szukając nici dentystycznej, dzwoneczków wietrznych lub czegokolwiek innego, co Eli miał na liście zapisanej w głowie. Spacerowałam po deptaku, gdzie facet o imieniu Mohammed rozstawiał przed najpopularniejszymi klubami stoisko i po dolara pięćdziesiąt za kawałek sprzedawał najlepszą pizzę serową, jaką kiedykolwiek jadłam. Łowiłam ryby na molo i obserwowałam poświatę rozświetlającą wodę. Wychodziłam z butiku razem z dziew-

czynami, spędzałam z nimi trochę czasu na pogaduszkach, a potem przepraszałam je i wybierałam się gdzieś sama. Piętnaście minut, pół godziny czasem godzinę później w Gas/Gro albo Beach Beans natykałam się na Eliego i rozpoczynała się przygoda.

- Jakim cudem można dożyć osiemnastki - powiedział do mnie poprzedniego wieczora - nie znając kręgli?

Byliśmy w Ten Pin, otwartej do rana kręgielni w jednym z miasteczek niedaleko Colby. Tory były wąskie, ławki się kleiły i wołałam nie myśleć, kto wcześniej nosił buty, które musiałam wypożyczyć. Ale Eli nalegał na tę wyprawę, gdy tylko dowiedział się, że gra w kręgle to jedna z wielu rzeczy, które mnie ominęły.

- Mówiłam ci - rzuciłam, kiedy usadowił się przy torze i wsunął kartkę na wyniki pod zardzewiały klips - moi rodzice nie przepadali za sportem.

- Ale w kręgle gra się pod dachem — zauważył. - Więc powinnaś być w tym zawodowcem.

Skrzywiłam się.

- Wiesz co, kiedy mówiłam ci, jak wiele rzeczy mnie ominęło, wcale nie miałam na myśli, że wszystkich bez wyjątku mi żal.

- Naprawdę byś żałowała, gdybyś nigdy nie spróbowała gry w kręgle — odparł Eli, wyciągając w moją stronę kulę, którą dla mnie wybrał. — Proszę. — Wzięłam ją i włożyłam palce w otwory dokładnie tak, jak mi pokazał, a potem ruszyłam za nim na koniec toru. - Kiedy byłem mały, uczyliśmy się w ten sposób, że kucaliśmy i po prostu popychaliśmy kulę do przodu obiema rękami.

Rozejrzałam się wokół. Tory po obu stronach były puste - nic dziwnego, dochodziła druga nad ranem. Jedyni klienci poza nami siedzieli przy barze za naszymi plecami, ledwie widoczni poprzez chmurę papierosowego dymu.

- Nie zamierzam kucać - zapowiedziałam stanowczo.

- W porządku. W takim razie musisz się nauczyć właściwego wypuszczania. - Eli uniósł rękę z nieistniejącą kulą, zrobił krok do przodu, opuszczając jednocześnie rękę do boku, po czym rozchylił palce daleko przed sobą. - Dokładnie tak. Jasne?

- Jasne. Podniosłam kulę do góry. Eli nadal stał tuż obok, więc rzuciłam

mu wymowne spojrzenie, na co tylko wzruszył ramionami i wycofał się z powrotem na lepką ławeczkę.

Od czasu tamtego pierwszego wypadu tydzień wcześniej wszystkie nasze spotkania wyglądały niemal identycznie. Bez przerwy się przekomarzałyśmy - czasami na poważnie, ale zwykle żartem - od zmroku aż po wschód słońca. Wiedziałam, że gdybym spędzała z Elim tyle samo czasu w ciągu dnia, a nawet wieczorem, też pewnie dobrze bym go poznała. Ale nie aż tak. Noc zmieniała wszystko, poszerzała perspektywę. To, co mówiliśmy, rzeczy, które wspólnie robiliśmy, wszystko to zyskiwało w ciemnościach głębsze znaczenie. Zupełnie jakby czas zarazem przyspieszał i zwalniał.

I może właśnie dlatego, kiedy wędrowaliśmy po zalanych jarzeniowym światłem sklepowych alejkach albo popijaliśmy kawę w pograżonej w półmroku knajpcie czy też po prostu jechaliśmy przez puste ulice do któregoś z tych tajemniczych miejsc, nasze rozmowy zawsze schodziły na temat czasu. Rozmawialiśmy więc o czasie przed nami, na przykład o college'u, i czasie za nami, czyli dzieciństwie. Przede wszystkim jednak dyskutowaliśmy o nadrabianiu straconego czasu, zastanawiając się, czy to w ogóle możliwe. Eli uważał, że tak, przynajmniej w moim przypadku.

- Wiesz, co się mówi - stwierdził parę nocy wcześniej, kiedy o trzeciej nad ranem delektowaliśmy się Slurpees w Gas/Gro. - Nigdy nie jest za późno na to, żeby mieć szczęśliwe dzieciństwo.

Zaczęłam dziobać słomką różową breję w kubku.

- Ale ja wcale nie uważam, że miałam nieszczęśliwe dzieciństwo. Chociaż może nie było ono...

Eli czekał, zatrzasnąwszy pokrywkę na swoim kubku.

- .. .zbyt dziecinne - dokończyłam. Upiłam łyk napoju, a potem dodałam odrobinę niebieskiego aromatu. Tej sztuczki nauczył mnie kilka nocy wcześniej Eli. - Mój brat mocno nadwyreżył cierpliwość rodziców, jeśli chodzi o wszystkie te dziecięce kaprysy. Nie mieli ochoty przeżywać tego jeszcze raz.

- Ale ty byłaś dzieckiem — zauważył.

- To prawda — przytaknęłam. - Tyle że ich zdaniem mogłam to zmienić, jeśli tylko starałam się wystarczająco mocno.

Eli rzucił mi jedno ze swoich spojrzeń, które potrafiłam już rozszyfrować, tę mieszaninę konsternacji i szacunku. Trzeba je zobaczyć, żeby zrozumieć, jak wygląda. A potem powiedział:

- W naszym domu było dokładnie na odwrót. Dzieciaki w centrum uwagi, na okrągło.

- Naprawdę?

- Aha. Wiesz, że w każdej okolicy jest taki dom, do którego wszyscy chodzą nocować, jeździć na rowerach, oglądać kreskówki i budować chatkę na drzewie?

- Jasne - przytaknęłam, a potem dodałam: - To znaczy, słyszałam o takich rzeczach.

- To właśnie nasz dom. Była nas czwórka dzieciaków, zawsze gotowych do gry w nogę czy dwa ognie. Do tego mama cały czas na miejscu, dzięki czemu mieliśmy najlepsze jedzenie na świecie. Jej naleśniki z ciasta na pizzę stały się legendarne.

- Rany - mruknęłam, kiedy zmierzaliśmy do kasy. Kasjerka, ta sama starsza kobieta co zawsze, podniosła wzrok znad gazety i posłała Eliemu uśmiech, po czym zabrała się do podliczania zakupów. — Twoja mama wygląda na świetną osobę.

- Bo jest świetna - powiedział rzeczowo Eli, podając Wandzie kilka banknotów. - Tak dobra, że trudno jej przekonać kogokolwiek, by się wyprowadził. Z trudem pozbyła się mojej siostry i starszego brata. A Jake to jeszcze dzieciak, do tego kompletnie rozpuszczony, więc pewnie będzie się musiała się z nim męczyć, dopóki nie pojawi się dziewczyna na tyle głupia, żeby wziąć z nim ślub.

Na te słowa zaczerwieniłam się, bo przypomniła mi się tamta pospieszna, niezdarna chwila na wydmach. Akurat płaciłam za swój napój, więc przetykając nerwowo ślinę, próbowałam skoncentrować się wyłącznie na kasjerce.

Gdy wyszliśmy, Eli rzucił nieoczekiwanie:

- Posłuchaj, nie gniewaj się. O to, co powiedziałem na temat Jake'a. Wiem, że wy dwoje...

- Nie czuję się urażona — przerwałam mu, zanim zdążył dodać coś więcej. — Tylko upokorzona.

- Możemy w ogóle o tym nie rozmawiać.

- Super. — Pociągnęłam długi łyk napoju przez słomkę. W milczeniu dotarliśmy do auta i dopiero wtedy usprawiedliwiłam się: -Na swoją obronę dodam tylko, że nie mam zbyt wielkiego doświadczenia z, hm... facetami. I dlatego...

- Nie musisz mi się tłumaczyć - przerwał mi Eli, otwierając samochód. - Naprawdę. Mój brat potrafi zaleźć za skórę. I tak to zostawmy.

Posłałam mu pełen wdzięczności uśmiech i wsiadłam.

- Ja też mam brata, który potrafi zaleźć za skórę. Tyle że on jest w Europie. I od ładnych paru lat na odległość żeruje na rodzicach.

- Da się tak robić z zagranicy?

- Hollis to potrafi - odparłam. - Uczynił z wyciągania od nich pieniędzy prawdziwą sztukę.

Eli zamyślił się na chwilę.

- Trochę to chyba samolubne z jego strony — zauważył. — Jeśli wziąć pod uwagę, że tylko on miał prawdziwe dzieciństwo.

Nigdy nie patrzyłam na tę sprawę w taki sposób.

- Cóż, jak sam powiedziałeś, może nie jest jeszcze dla mnie za późno. Na szczęśliwe dzieciństwo i w ogóle.

- Nie jest - rzucił Eli.

- Wydajesz się strasznie tego pewny — wytknęłam mu. — Tak pewny, że zaczynam się zastanawiać, czy przypadkiem sam nie nadrabiałeś czasu.

- Skąd. - Potrząsnął głową, pociągając łyk napoju przez słomkę. - Tak naprawdę to mam odwrotny problem.

- Czyli?

- Za dużo dzieciństwa. Wiecznie zbijałem baki. Zdołałem nawet zrobić z zabawy źródło utrzymania.

- Z tymi rowerami. Eli pokiwał głową.

- A potem człowiek budzi się pewnego pięknego dnia i po tych wszystkich latach nie ma ludziom nic wartościowego do przekaza-

nia. Tylko parę głupich historyjek, które z upływem czasu wydają się coraz głupsze.

Popatrzyłam na niego ponad dachem auta.

- Jeśli naprawdę tak czujesz, czemu zachęcasz mnie do robienia tego wszystkiego? — zapytałam.

- Zawsze możesz zlekceważyć „godzinę policyjną” albo urządzić pizamową prywatkę - odparł. - Nigdy nie jest za późno. Dlatego powinnaś spróbować, bo...

Urwał. Zdażyłam się nauczyć, że nie należy wypełniać tej przerwy niepotrzebnymi słowami.

- ..nie w każdym przypadku to możliwe — dodał. — Albo tego się przynajmniej ostatnio dowiaduję.

A teraz mrugały do mnie światła umieszczone ponad rządkiem kręgli, to zapalając się, to gasnąc. Tor ciągnął się daleko, z lekko podniszczonym, ale starannie wyfroterowanym parkietem, a ja próbowałam wyobrazić sobie, o ile dłuższy musiałby się wydawać małemu dziecku, niemal bezkresny.

- Za długo myślisz - zawołał Eli za moimi plecami. - Po prostu ją rzuć.

Zrobiłam krok do tyłu, próbując sobie przypomnieć jego postawę, a potem cisnęłam kulę przed siebie, aż pofrunęła w powietrzu — co, tu nie miałam żadnych wątpliwości, nie powinno się wydarzyć — po czym wylądowała z głośnym łup na sąsiednim torze, żeby w końcu sturlać się powoli do rynny.

- Hej! - wrzasnął jakiś głos z części dla palących. - Ostrożniej tam!

Poczułam, że rumienię się ze wstydu, a tymczasem kula pomknęła aż na koniec toru i zniknęła za kręglami. Chwilę później rozległo się głuche stuknięcie, po czym Eli stanął znowu obok mnie, wyciągając kulę w moją stronę/

- Chyba zrezygnuję - powiedziałam. - Najwyraźniej nie jestem w tym najlepsza.

- To twój pierwszy rzut - odparł. - A co, myślałaś, że od razu strącisz wszystkie pionki?

Przełknęłam ślinę. W głębi ducha tak właśnie sądziłam. A przynajmniej taką miałam nadzieję.

- Ja... — wyjąkałam. - Naprawdę kiepsko mi poszło.

- Bo nigdy tego nie robiłaś. - Ujął moje ręce i włożył w nie kulę.

- Spróbuj jeszcze raz. Tylko teraz wypuść ją wcześniej.

Wrócił na ławkę, a ja odetchnęłam głęboko, próbując opanować nerwy. „To tylko gra”, tłumaczyłam sobie. A potem zrobiłam krok do przodu i wypuściłam kulę. Nie wyglądało to ładnie - toczyła się krzywo i bardzo powoli - ale udało mi się strącić dwa kręgle z prawej strony. Czyli...

- Nieźle - pochwalił Eli, kiedy maszyna ponownie ustawiła piony. - Zupełnie nieźle.

Rozegraliśmy dwa mecze, podczas których Eli strącał wszystkie kręgle za pierwszym, góra drugim rzutem, podczas gdy ja skupiałam się na utrzymaniu kuli w torze. Mimo wszystko zaliczyłam kilka dobrych rund, co ku mojemu zdumieniu naprawdę mnie ucieszyło. I to tak bardzo, że kiedy wychodziliśmy, wyciągnęłam kartkę z wynikami z kosza, do którego wyrzucił ją Eli, po czym złożyłam ją starannie w kwadracik. Kiedy podniosłam wzrok, dostrzegłam, że mój towarzysz bacznie mi się przygląda.

- Dokumentacja - wyjaśniłam. — To ważne.

- Jasne - mruknął, nie odrywając ode mnie oczu, kiedy wsuwałam kartkę do kieszeni. - Oczywiście.

Wyszliśmy na zewnątrz i ruszyliśmy przez śliski od deszczu parking w stronę mojego auta, pozostawiając za sobą kręgielnię z mrugającym neonem.

- Więc na razie zaliczyłaś kręgle, złamanie „godziny policyjnej” i ostre starcie na imprezie - powiedział Eli. - Co jeszcze masz na liście?

- Nie wiem - wyznałam. - A co ty robiłeś przez pierwszych osiemnaście lat życia?

- Jak już mówiłem - zastrzegł się, kiedy otwierałam samochód

- nie wiem, czy powinnaś brać ze mnie przykład.

- Dlaczego?

- Bo są rzeczy, których żałuję - odparł. - Poza tym jestem facetem. A faceci robią inne rzeczy.

- Jak jeżdżenie na rowerze? — zapytałam.

- Nie. Jak urządzenie bitew na jedzenie — wyjaśnił. - Albo niszczenie różnych przedmiotów. Odpalanie petard na gankach ludzi. I...

- Dziewczyny nie mogą odpalać petard na gankach? - zdumiałam się, rozruszając silnik.

- Mogą. Ale są na tyle mądre, żeby tego nie robić. Ot, cała tajemnica.

- No nie wiem — zawahałam się. — Myślę, że bitwy na jedzenie i niszczenie rozmaitych rzeczy to rozrywki koedukacyjne.

- W porządku. Ale jeśli zamierzasz się bawić w odpalanie petard, jesteś zdana wyłącznie na siebie. Tylko tyle chciałem ci powiedzieć.

- A co, boisz się czy coś w tym stylu?

- Nie. — Eli opadł na oparcie siedzenia. — Po prostu znam to z doświadczenia. Mam też za sobą wizytę na komisariacie z tego powodu. Doceniam, że podjęłaś się swojej misji, ale musisz gdzieś wyznaczyć granicę.

- Chwileczkę - mruknęłam, podnosząc rękę. - Jakiej misji? Odwrócił się w moją stronę. Staliśmy na czerwonym świetle, żadnych innych samochodów w zasięgu wzroku.

- Aha - mruknął. - No wiesz, jak we *Władcy pierścieni* czy *Gwiezdnych wojnach*. Starasz się odnaleźć coś, co straciłaś albo czego potrzebujesz. To misja.

Patrzyłam na niego bez słowa.

- A może to wyłącznie męska rzecz — dodał. - W porządku, więc nie misja, tylko inne trele-morele, nieważne. Rzecz w tym, że piszę się na tę zabawę, ale w granicach rozsądku. To wszystko.

No proszę, a ja myślałam, że po prostu wyglupiamy się we dwójkę, zabijamy czas. W każdym razie niezależnie od tego, czy miało to jakiś związek z płcią, czy nie, spodobał mi się pomysł z odnajdywaniem czegoś, co się straciło albo czego się potrzebuje. A może nawet i jedno, i drugie.

Światło w końcu zmieniło się na zielone, ale nie wcisnęłam gazu. Zamiast tego zapytałam:

- Trele-morele?

- A co? Nie mówiłaś tak w dzieciństwie?

- „Trele-morele”? - powtórzyłam. Eli skinął głową. - Hm, nie?

- Rany. — Potrząsnął głową. — C o ty robiłaś przez całe swoje życie?

Do głowy przychodziło mi milion odpowiedzi. Istniały dziesiątki sposobów spędzania czasu, doskonale o tym wiedziałam, a żaden z nich nie był dobry albo zły. Kiedy jednak trafiała się okazja na zrobienie czegoś od nowa, inaczej, któż mógłby odmówić? Ja nie. Nie w tym momencie. Może to szaleństwo albo inne trele-morele. Ale w granicach rozsądku czy nawet poza nimi - ja też się na to pisałam.

* * *

- No, no - zauważyła Maggie - to się dopiero nazywa interesujący strój.

Wszystkie patrzyłyśmy na Thisbe przypiętą pasami w spacerówce. Nadal trwała w transie, w jaki wpadła, gdy tylko wytoczyłam wózek na podjazd. Siedziała z szeroko otwartymi oczami, za to w kompletnym milczeniu.

- Interesujący? - powtórzyłam. - O co ci chodzi?

- Heidi tak ją ubrała? — zapytała Leah, przykucając, przez co znalazła się na poziomie wzroku małej.

- Nie, ja. - Leah spojrzała na Maggie, która tylko uniosła brwi. - No co? Moim zdaniem wygląda ślicznie.

- Jest ubrana na czarno - wytknęła Maggie. - No i?

- A jak często widzisz niemowlaki ubrane na czarno?

Znowu popatrzyłam na swoją siostrę. Kiedy ojciec poszedł szykować się do wyjścia na kolację, uświadomiłam sobie, że małą też pewnie trzeba przebrać, więc zaczęłam szukać w komodzie świeżych śpioszków. Wszystkie ubranka były różowe albo miały przynajmniej jakieś wstawki w tym kolorze, dlatego przekornie przekopałam zawartość szuflady do samego dna, gdzie znalazłam wreszcie gładkie

czarne body i jasnozielone spodenki. Moim zdaniem Thisbe wyglądała w tym całkiem rockandrollowo, ale sądząc po spojrzeniach, które rzucały mi teraz dziewczyny - nie mówiąc o dziwnej minie, jaką zrobiła Heidi, kiedy się zegnałyśmy — może nie miałam racji.

- No wiecie - tłumaczyłam - fakt bycia dziewczynką wcale nie oznacza, że trzeba się ubierać na różowo.

- Nie — przytaknęła Leah — ale nie trzeba się też nosić jak kierowca tira.

- Ona wcale nie wygląda jak kierowca tira - obruszyłam się. — Boże. Leah przechyliła głowę na bok. :>>

- Masz rację. Wygląda jak rolnik. Albo budowlaniec.

- Bo nie ma różowego ubranka?

- To niemowlak - wtrąciła Maggie. - A niemowlaki noszą ubranka w pastelowych kolorach.

- Kto tak twierdzi? - zapytałam. Esther już otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale ją ubiegłam: - Społeczeństwo. To samo społeczeństwo, jeśli wolno mi dodać, które zakłada, że dziewczynki powinny być zawsze grzeczne, miłe i słodkie, co nie pozwala im nauczyć się asertywności. A stąd prosta droga do niskiego poczucia własnej wartości, które może powodować zaburzenia odżywiania, zwiększoną tolerancję wobec domowej i seksualnej przemocy, jak również skłonność do uzależnień oraz akceptacji podobnych zachowań.

Teraz cała trójka wpatrywała się we mnie.

- I to wszystko - zapytała po chwili Leah - z powodu różowych śpioszków?

Dokładnie w tym momencie Thisbe zaczęła popłakiwać, kręcąc główką na boki.

- Oho. - Zaczęłam prowadzić spacerówkę w przód i w tył. - To nie wróży nic dobrego.

- Jest głodna czy coś w tym stylu? - zapytała Esther.

- Może to wina niskiej samooceny - zauważyła Leah. Zignorowałam obie i nachyliwszy się nad wózkiem, wypięłam

małą, żeby wziąć ją na ręce. Miała ciepłą skórę, a kiedy obróciłam ją buzią w stronę sklepu i przykucnęłam, jej płacz coraz bardziej przy-

bierał na sile. W górę i w dół, w górę i w dół. Przy trzecim przysiadzie Thisbe milczała jak zaklęta.

- Rany - powiedziała Maggie. - Masz rękę do dzieci, co?

- To się nazywa winda - wyjaśniłam. - Działa za każdym razem.

Przez chwilę wszystkie trzy patrzyły na mnie jak zahipnotyzowane, po czym Esther stwierdziła:

- Wiecie co, myślę, że Auden ma rację. Czerń wcale nie jest dziwna, tylko trochę radykalna.

- Nic dziwnego, że ty tak twierdzisz - orzekła Leah. - Wystarczy na ciebie spojrzeć.

Esther rzuciła okiem na swój ciemny T-shirt.

- To nie czerń, to granat.

Pozostała dwójka tylko prychnęła, po czym Leah zwróciła się do mnie:

- Tak właśnie mówiła, kiedy uważała się za gotkę i nie chciała nosić niczego poza czernią. Czarne ciuchy, czarne buty...

- Czarna kredka do oczu, czarna szminka — dodała Maggie.

- Czy wy, dziewczyny, dacie z tym kiedykolwiek spokój? — westchnęła Esther. - To była taka faza, jasne? Jakbyście same nigdy nie zrobiły w liceum nic, czego żałujecie.

- Dwa słowa - odparła Maggie. — Jake Stock.

- Absolutnie - przytaknęła Leah.

7 - A ty - stwierdziła Esther, wskazując ją palcem - ufarbowałaś Sobie włosy na blond dla Joego Parkera. Czego...

- ... żaden rudzielec nie powinien nigdy robić - dokończyła Leah. - Ciągle głupio mi z tego powodu.

Podczas tej wymiany zdań cały czas robiłam przysiady z Thisbe w ramionach. Mała znowu zapadła w swój trans, cichutka jak myszka, i przez chwilę wszystkie po prostu patrzyłyśmy, jak frunie w górę i w dół.

- Czy to nie dziwne? - odezwała się w końcu Maggie. - Pomyśleć, że kiedyś wszystkie byłyśmy takie malutkie.

- No właśnie. — Leah uściśnęła rączkę Thisbe. - Jest jak czysta karta, żadnych błędów.

- Szczęściara - stwierdziła Esther. A potem nachyliła się bliżej i dodała: - Dam ci dobrą radę: lepiej nie baw się w gota. Nigdy nie pozwolą ci o tym zapomnieć.

- I nie zmieniaj się dla facetów - dorzuciła Leah. - Jeśli są coś wari, spodobaś się im taka, jaka jesteś.

- Zawsze zakładaj kask na torze rowerowym - dodała Maggie.

- Nie jedz suszonej wołowiny przed przejażdżką na diabelskim młynie — poradziła Leah.

- Kolczyk w nosie - dołączyła Esther - nie u każdego dobrze wygląda. Możesz mi wierzyć.

Thisbe słuchała tego wszystkiego z niezmiennie poważną miną. Ułożyłam ją wygodniej, przy okazji nachylając się, żeby poczuć jej zapach, mieszaninę mleka i szamponu dla dzieci.

- No dalej, Auden - zachęciła mnie Leah. — Na pewno masz jakieś dobre rady do przekazania.

Zastanowiłam się przez chwilę.

- No i nie flirtuj z chłopakiem dziewczyny w jej własnej kuchni - odezwałam się w końcu. - I nie odpowiadaj na pytanie: „A co to za imię?”.

- Bo wiadomo, że ktoś ją o to zapyta — zauważyła w tym momencie Leah. — Z imieniem takim jak Thisbe ma to jak w banku.

- A co powiecie na to - dorzuciła Maggie - trzymaj się z daleka od przystojnych chłopaków na rowerach. Zawsze złamią ci serce. — Spojrzałam na nią, a ona odpowiedziała uśmiechem. - Oczywiście, łatwiej powiedzieć, niż zrobić, prawda?

Spojrzałam na Maggie bez słowa, zastanawiając się, o co mogło jej chodzić. Nikomu nie wspomniałam o Elim i o mnie, głównie dlatego że każdy uznałby, że zwyczajnie obściskujemy się w samochodzie. Co innego można robić z chłopakiem całymi nocami? Sam fakt, iż istniało tyle odpowiedzi na to pytanie, sprawiał, że miałam ochotę pozostawić je, zadane przez Maggie i jednocześnie niezadane, zawieszony w powietrzu.

- Boże, Maggie — mruknęła Leah — myślałam, że dałaś sobie spokój z Jakiem.

- Bo dałam - powiedziała Maggie.

- Więc dlaczego znowu to Auden wypominasz? - Leah pokręciła głową.

- Nie to chciałam...

Nagle przerwał jej hałas dobiegający od strony drzwi wejściowych. Wszystkie spojrzaliśmy w tamtym kierunku, akurat żeby zobaczyć Adama odsuwającego się od szyby i rozcierającego ramię.

- Pociągnij do siebie! - zawołała Maggie, a potem dodała, podczas gdy Leah przewróciła tylko oczami: - Nigdy o tym nie pamięta. To takie dziwne.

- Nikt mi nie zarzuci, że nie potrafię wejść w wielkim stylu. — Adam podszedł do nas z plastikową torbą na zakupy w rękę, wcale niespieszony tym, co można by uznać za publiczne upokorzenie. — A więc, moje panie, ważna informacja.

Leah spojrzała podejrzliwie na jego reklamówkę.

- Znowu sprzedajesz batony, żeby zebrać fundusze na działalność kółka matematycznego?

Adam rzucił jej wymowne spojrzenie.

- To było w ósmej klasie — stwierdził. — A poza tym szkoła się skończyła, zapomniałaś?

- Nie zwracaj na nią uwagi — przykazała mu Maggie, a Leah wzużyła tylko ramionami i wróciła za ladę. - Co to za informacja?

Adam z uśmiechem sięgnął do torby.

- Impreza z hot dogami - oznajmił, wyciągając dużą paczkę parówek. — Pierwsza tego lata. Po pracy, u mnie i Wallace'a. Przynieście własne dodatki.

- Mnie nie liczcie - odparła Esther, sadowiac się na blacie. - Jestem wegetarianką.

Adam ponownie sięgnął do torby i wyjął drugą paczkę parówek.

- *Voilà!*- Zawołał, potrząsając nimi w jej stronę. — Parówki z to-fu! Wyłącznie dla ciebie!

- Toaleta będzie czysta? - zapytała Leah. — A nie jest zawsze?

- Nie — odparły zgodnie Leah, Maggie i Esther.

- Więc dziś wieczorem będzie. Wyciągnę domestos i całą resztę.

Maggie uśmiechnęła się, podczas gdy Adam wrzucił parówki z powrotem do torby.

- Upłynęło sporo wody od ostatniej imprezy z hot dogami - zauważyła. — Co to za okazja?

- Parapetówka, o której zapomnieliśmy dwa miesiące temu, kiedy się wprowadzaliśmy - wyjaśnił Adam. — Poza tym minęło już trochę od... no, wiecie. Chyba najwyższy czas.

- Eli też przyjdzie? - zapytała Esther.

- Zobaczymy, w każdym razie został zaproszony. Maggie odwróciła się w moją stronę i wyjaśniła:

- Imprezy z hot dogami były jedną z wielkich tradycji Abe'a. Urządzali je u siebie z Elim co tydzień. Hot dogi, fasolka w sosie pomidorowym. ..

- ...chipsy ziemniaczane zamiast sałatki - dorzuciła Leah.

- I lizaki na deser. Abe nazywał to idealnym posiłkiem na lato. - Maggie zaczęła owijać na palcu jeden ze swoich loków. - Zawsze kupowali z Elim jedzenie hurtowo w Park Mart, żeby mogli urządzić wszystko na poczekaniu.

- ZIHD — dodała Ester, a kiedy uniosłam pytająco brwi, wyjaśniła: - Zaimprovizowana impreza hotdogowa.

- Jasne - rzuciłam. Kolana zaczęły mnie boleć, więc przerwałam zabawę w windę, przekładając Thisbe na prawe ramię. Adam podszedł bliżej, robiąc do małej śmiesznej minę.

- Ty możesz być za młoda na ZIHD - powiedział i połaskotał ją w brzusek, po czym zawrócił w stronę drzwi. - Jeśli chodzi o resztę, dziewczyny, to spodziewam się was z własnymi dodatkami u Wallace'a, po zamknięciu. Żadnych wymówek.

- Wiesz - westchnęła Leah - wolałam cię, kiedy sprzedawałeś batony.

- Do zobaczenia! — zawołał Adam. Tym razem otworzył drzwi bez problemów i do wtóru dzwonek zniknął w tłumie na deptaku.

- Super - mruknęła Leah, zerkając na Maggie. - Napalił się na ciebie i przez to teraz wszystkie musimy jeść parówki.

- Wcale się na mnie nie napalił - obruszyła się Maggie i podeszła do szafki z kolczykami, żeby poprawić kilka par.

- No cóż, ja nie idę. - Leah nacisnęła przycisk na kasie, a kiedy szuflada się otworzyła, wyjęła plik banknotów i zaczęła je rozprostowywać. — Minęła prawie połowa wakacji, a jedyni faceci, z jakimi się zadaję, to ci, których znam od podstawówki. To się robi śmieszne.

- Może na imprezę przyjdą jacyś nowi - pocieszyła ją Esther.

- Och, proszę cię - jęknęła Leah.

- Hej, mają parówki z tofu. Wszystko jest możliwe.

Ale to nie nowi faceci interesowali mnie przez następną godzinę, kiedy przeglądałam w biurze paragony z całego dnia, przesuwając nogą w tę i z powrotem wózek z Thisbe. Obchodził mnie tylko jeden, ten sam, o którym zawsze zaczynałam myśleć coraz intensywniej w miarę zbliżania się pory zamknięcia sklepu.

Im później się robiło, tym niecierpliwiej wyczekiwałam wieczora, zastanawiając się, co przyniesie on Eliemu i mnie. Tego właśnie dotąd mi brakowało - oczekiwania, jeśli chodzi o drugiego człowieka. Nawet jeśli pomysł imprezy z hot dogami wydawał się super i może nawet idealnie pasował do mojej misji - byłam absolutnie pewna, że skoro Eliego miało na niej zabraknąć, sama też nie chciałam się tam znaleźć. Nawet dla parówek z tofu.

Wpół do dziewiątej zjawili się tata z Heidi, żeby zabrać małą. Ich przybycie zaanonsował wybuch pisków w sklepie.

- O mój Boże, wyglądasz świetnie! — zawołała Maggie. — Super, bardzo schudłaś!

- Proszę cię — odezwała się Heidi. — Nie wcisnęłabym się w żadną z rzeczy w tym sklepie, nawet w poncho.

- Przestań - zgromiła ją Esther. - Jesteś piękna!

- Tak jak Thisbe - dodała Leah. - A tak przy okazji, podoba nam się jej imię.

- Widzisz? - usłyszałam ojca. - Mówiłem ci. To mocne imię. Ma prezencję.

- Chociaż - dodała Maggie - historia Thisbe to właściwie tragedia. Śmierć ukochanego i dusza rozkwitająca w drzewku morwy.

Nawet przez dzielące nas zamknięte drzwi wyczuwałam, pod jak wielkim wrażeniem był ojciec, kiedy zapytał:

- Znasz historię Thisbe?

- Czytaliśmy ją na zajęciach z literatury klasycznej, kiedy omawialiśmy postacie kobiece w mitach — wyjaśniła Maggie.

- Myślałam, że to z Szekspira - wtrąciła Heidi.

- Szekspir powtórzył ją w komediowej wersji - odparł ojciec. - Ale ta młoda dama ma rację. To faktycznie raczej smutna historia.

- Cała nasza Maggie - rzuciła Leah. — Ekspert od wszystkiego, co tragiczne.

- Auden u siebie? - Usłyszałam głos Heidi, która chwilę później zastukała do drzwi i wsunęła głowę do środka. Na widok Thisbe przysypiającej w wózku uśmiechnęła się szeroko. - Patrzcie państwo. A ja zamartwiałam się, że przez cały czas krzyczała, ile sił w płucach.

- Nie przez cały - odparłam. - Jak się udała kolacja?

- Wspaniale. - Heidi ziewnęła, przesłaniając usta dłonią. — Dobrze, że wyszliśmy z domu, żeby to uczcić. To wielkie osiągnięcie twojego taty. Tak ciężko pracował przez tych ostatnich kilka tygodni.

Spojrzałam na Thisbe.

- Ty też - zauważyłam.

- Och, cóż. - Zbyła uwagę machnięciem ręki, a potem ostrożnie przepchnęła wózek przez drzwi. - Nawet nie wiesz, jak bardzo jestem ci wdzięczna, Auden, naprawdę. Już nie pamiętam, kiedy ostatnio wyszliśmy gdzieś razem, tylko we dwoje.

- Żaden problem.

- Mimo wszystko strasznie ci dziękuję. - Wyrzała do sklepu. - Lepiej zabiorę stąd twojego ojca, dopóki jest w takim radosnym nastroju. Twierdzi, że dostaje tutaj migreny. Za dużo rózu. Dasz wiarę? *

Dałabym. Ale nic nie powiedziałam, tylko skinęłam głową, podczas gdy Heidi pchała spacerówkę z Thisbe korytarzem, machając mi na pożegnanie.

Przez następne dwie godziny skupiałam się wyłącznie na pracy, ledwie zwracając uwagę na klientów, którzy zjawiali się i znikali (japonki cieszyły się ogromnym wzięciem), taniec o dziewiątej (tym

razem Elvis z czasów rockabilly) i nieustającą dysputę na temat udziału w hotdogowej imprezie (Maggie była za, Leah przeciw, Esther nie mogła się zdecydować). Punktualnie o dziesiątej zamknęłam sejf, a później drzwi biura, żeby dołączyć do dziewczyn, które wychodziły ze sklepu, nawet na moment nie przerywając dyskusji. Wszystko to stało się dla mnie częścią codziennej rutyny, podobnie jak i to, co nastąpiło potem — wykręcanie się od wspólnych zajęć, żeby ruszyć na poszukiwanie Eliego.

- Mogłybyśmy tam wpaść dosłownie na chwilę - przekonywała Maggie. - Tylko żeby się pokazać.

- Och - mruknęłam - myślę, że po prostu...

Miałam zamiar wykorzystać jedną ze standardowych wymówek, coś w rodzaju: „pójdę do domu” albo „załatwię jeszcze parę spraw”, ale dokładnie w tym momencie spojrzałam ponad ramieniem Maggie w stronę sklepu z rowerami, pozamykanego na cztery spusty i pogrążonego w mroku. Na ławce przed nim siedział Eli. Choć raz nie muszę go szukać. Pozostawał tylko drobiazg - Eli nie był sam.

Przed nim stała Belissa Norwood, z rękami w kieszeniach i włosami powiewającymi wokół twarzy. Strój miała mało imprezowy — dzinsy i prosty niebieski top, do tego sweter zawiązany w pasie — a mnie natychmiast uderzyła myśl, o ile ładniej teraz wyglądała. Mniej rzeczywiście znaczy więcej.

Mówiła do Eliego, który nie patrzył na nią, pochylony do przodu z brodą wspartą na dłoni. Potem dodała coś jeszcze i wtedy wreszcie podniósł na nią wzrok, po czym powoli skinął głową. A ja po prostu tam stałam i patrzyłam, jak Belissa opada na ławkę obok niego, kolaniem dotykając jego nogi, żeby chwilę później położyć mu głowę na ramieniu i przymknąć oczy.

- Auden? — zapytała Leah, a widząc wyraz mojej twarzy, obejrzała się za siebie. Dokładnie w tej samej chwili z pobliskiego Jumbo Smoothie wyszła grupka barczystych facetów w dresach i zasłoniła widok. - O co chodzi?

- O nic - zapewniłam pospiesznie. - Piszę się na to.

Mieszkanie Wallace'a mieściło się na parterze zielonego budynku dwie ulice od plaży. Podwórko z ubitej ziemi ożywiało zaledwie kilka kępek trawy, na ganku z boku stała pralka, a nad garażem widniał, nie wiedzieć czemu, napis: „PODRÓŻ SENTYMENTALNA”.

- Interesującą nazwa - stwierdziłam, podążając podjazdem za Maggie i Ester. W rękę ścisłałam torbę z zakupami z Gas/Gro: keczupem, musztardą, majonezem i sosem czekoladowym. Leah została z tyłu, z komórką przy uchu.

- To nie zależało od chłopaków - rzuciła przez ramię Maggie. - Właściciele ją wybrali. Taki plażowy zwyczaj, no wiesz, nadawanie domom imion. Poprzedni, w którym mieszkał Wallace, nazywał się MEWI KRZYK.

- Okropnie - wtrąciła Esther. - Hej, Mags, pamiętasz tę norę na Fourth Street, w której mieszkali Eli i Abe? Jak ona się...

- LETNIA MIŁOŚĆ - dokończyła za nią Maggie, kiedy wchodziliśmy na stopnie. -1 nie było tam nic godnego cieplejszych uczuć. Koszmarna nora.

Dokładnie w tym momencie w otwartych drzwiach stanął Adam.

- Hej - zaprotestował z oburzeniem, kładąc dłoń w rękawicy kuchennej na piersi. - Nawet nie weszłyście do środka!

- Nie mówiłam o tym domu - wyjaśniła mu Maggie, kiedy odsunął się, żeby nas przepuścić. - Tu jest... bardzo miło.

Lekka przesada. W niewielkim salonie tłoczyły się zniszczone, przypadkowo dobrane meble: kanapa w szkocką kratę, pasiasty fotel bujany i mocno sponiewierany stolik z licznymi, nakładającymi się na siebie śladami po szklankach. Najwyraźniej jednak ktoś podjął próbę uczynienia tego miejsca bardziej odświętnym: na stole leżała miska orzeszków, a na blacie oddzielającym kuchnię paliła się pachnąca świeca.

- Wystrój - zauważył Adam, przyłapawszy mnie na przyglądaniu się jej - naprawdę robi różnicę, nie sądzicie?

- Nadal śmierdzi tu piwem - oznajmiła Leah, wchodząc do środka i chowając komórkę do torebki.

- Czy to oznacza, że nie masz ochoty na jedno?! - krzyknął z kuchni Wallace.

- Ależ skąd - odparła Leah.
- Tak myślałem - skwitował Wallace, wynurzając się z dwunastopakiem puszek, po czym zaczął je rozdawać gościom. Miała zamiar podziękować, ale ostatecznie wzięła jedno, bo wypadało.
- Po lewej są podkładki - poinformował Adam.
- Podkładki? - zdumiała się Leah, otwierając piwo. - Na ten stolik? Przecież tu jest mnóstwo śladów po szklankach.
- Adam spojrzał na stolik, a potem na nią.
- Nawet jeśli coś zostało zniszczone, nie znaczy, że nie należy traktować tego z szacunkiem.
- Adam, to tylko stolik, nie sierota z domu dziecka - zakpił Wallace.
- Esther parsknęła śmiechem, ale Maggie, jak można się było spodziewać, sięgnęła po podkładkę i położyła ją na stoliku, zanim postawiła tam piwo. Tymczasem Adam złapał aparat leżący obok kuchenki za jego plecami i podniósł go do oka, mówiąc:
- Nasza hotdogowa impreza. Po prostu muszę pstryknąć wam fotkę.
- Zebrani zareagowali w sposób szybki i jednomyślny - dosłownie wszyscy poza mną podnieśli ręce, żeby zasłonić twarz. Towarzyszące temu słowa były bardziej zróżnicowane. Usłyszałam wszystko, od „proszę, nie” (Maggie) przez „Jezu Chryste” (Wallace) po „przestań, jeśli ci życie miłe” (to akurat chyba oczywiste).
- Adam westchnął i opuścił aparat.
- Ludzie - jęknął - dlaczego nie pozwalacie zrobić jednej fotki raz od wielkiego dzwonu?
- Bo tak się umawialiśmy — odparł Wallace głosem stłumionym przez palce, którymi ciągle zasłaniał usta.
- Umawialiśmy? - zainteresowałam się.
- Maggie rozsunęła kciuk i palec wskazujący, po czym wyjaśniła:
- Przez ostatnie dwa lata Adam redagował rocznik szkolny. Jako fotograf okazał się bezlitosny.
- Współpracowała ze mną tylko jedna osoba! - zaprotestował Adam. - Nie miałem wyboru. Ktoś musiał robić zdjęcia.

- Więc powiedzieliśmy mu - ciągnął Wallace, nadal przez palce
- że będziemy to znosić, dopóki nie przygotuje rocznika.

Ale później ...

- ...ani jednej fotki więcej - dodała Maggie.

- Nigdy - dorzuciła Leah.

Adam z ponurą miną odłożył aparat.

- W porządku - mruknął i wszyscy w końcu opuścili ręce. - Ale po latach, kiedy któremuś z was przyjdzie ochota wspominać to lato i nie będziecie mogli tego zrobić z powodu braku dokumentacji, nie miejcie do mnie pretensji.

- Zostaliśmy w pełni udokumentowani - odparła Maggie. - Na tych robionych z zaskoczenia fotkach, jakie umieściłeś w roczniku, jesteśmy wyłącznie my.

- Powinniście się cieszyć, nigdy nie zapomnicie najdrobniejszego szczegółu — upierał się Adam. — Ale to już historia. Teraz mówimy o terażniejszości.

- Terażniejszości, w której oszczędzono nam bycia fotografowanymi. — Leah sięgnęła po swoje piwo - bez podkładki - i upiła łyk, po czym dodała: - Kto jeszcze ma wpaść na tę balangę?

- No wiesz, to samo towarzystwo co zawsze - odparł Wallace, sadowiac się w fotelu, który wyraźnie zapadł się pod jego ciężarem.

- Chłopaki ze sklepu, paru miejscowych z toru, ślicznotka z Jumbo Smoothie i...

Przerwało mu dudnienie kroków na schodach.

- Hej! - ryknął nowo przybyły. - Lepiej, żebyście mieli tu piwo, bo jestem gotowy...

Jake Stock — w opinającym sylwetkę czarnym podkoszulku, z opalenizną mocniejszą niż kiedykolwiek - umilkł i zamarł bez ruchu w drzwiach na widok Maggie i mnie siedzących ramię w ramię na kanapie. Chyba ktoś tu właśnie zepsuł imprezę.

- Gotowy na co? - zainteresowała się Leah, popijając piwo. Jake spojrział na nią, a potem na Wallace'a, który tylko wzruszył ramionami.

- Super, że nic się nie zmieniłaś - rzucił do Leah Jake, a potem wyminął towarzystwo i skierował się do kuchni. Kątem oka zerk-

nęłam na Maggie, ale ona wpatrywała się z nieprzeniknionym wyrazem twarzy w piwo stojące przed nią na podkładce.

— Jeszcze nie jest za późno na wypad do klubu — podsunęła jej Leah. — Nowi faceci, nowe możliwości.

— Grill gotowy! — zawołał w tym momencie od strony tylnych drzwi Adam. — Kto chce pierwszego hot doga?

Maggie wstała i sięgnęła po swoje piwo.

— Ja! - krzyknęła, przechodząc obok opartego o barek Jake'a, który akurat wachał świecę. - Ja chcę.

Godzinę później miałam już za sobą jedno piwo, dwa hot dogi z parówkami z tofu i mimo wysiłków, żeby włączyć się w rozmowę, o wiele za dużo czasu na rozmyślanie nad scenką z udziałem Eliego i Belissy, którą widziałam na deptaku. Spojrzałam na zegarek - była prawie północ. Zeszłej nocy o tej porze Eli i ja wychodziliśmy właśnie od Clydea, gdzie Eli wyprał sobie białe rzeczy i gdzie zjedliśmy do spółki kawałek ciasta z karmelem i migdałami. Popatrzyłam na stojącą przede mną nietkniętą miskę orzeszków, po czym upiłam kolejny łyk piwa.

Naprawdę, to przecież głupie spodziewać się czegokolwiek. Kilka spotkań późno w nocy to jeszcze nie zwyczaj. Ani związek.

W tym momencie zadzwoniła moja komórka, a ja zawstydziałam się pośpiechu, z jakim ją odebrałam, myśląc, że może to Eli. Który, jak uświadomiłam sobie ułamek sekundy później, nie znał mojego numeru. Otworzyłam klapkę tylko po to, aby przekonać się, że to inny z facetów, którzy ciągle nie przestawali mnie zadziwiać — mój brat.

— Aud! - krzyknął, gdy tylko odebrałam. - To ja! Zgadnij, gdzie jestem?

Ponieważ bawiliśmy się w tę grę wcześniej, a ja zawsze przegrywałam, powiedziałam po prostu:

— Oświeć mnie. - W domu!

Początkowo myślałam, że powiedział „w doku”. Dopiero gdy na moją prośbę powtórzył, uświadomiłam sobie, że dzieli go ode mnie zaledwie trzysta pięćdziesiąt kilometrów, a nie wiele tysięcy.

- W domu? - zdziwiłam się. - Od kiedy?

- Od jakichś dwóch godzin - roześmiał się Hollis. - I strasznie cierpię z powodu różnicy czasu, tyle ci powiem. A ty gdzie jesteś?

- Na imprezie - wyjaśniłam i wstałam, żeby wyjść na ganek.

- Na imprezie? Naprawdę?

Wydawał się taki zaszokowany, że chyba powinnam się obrazić. Z drugiej strony zaledwie kilka tygodni temu sama byłabym zdziwiona.

- Aha - przytaknęłam, schodząc niżej, żeby usiąść na stopniu. - Więc... co cię sprowadza z powrotem?

Chwila przerwy. Aby podnieść napięcie, jak się okazało.

- Nie co - odparł Hollis. - Tylko kto.

- Więc kto?

- Aud... - zrobił kolejną pauzę. A potem dodał: - Zakochałem się.

Akurat patrzyłam w górę, na jasne światło ulicznej latarni brzęczącej nad głową. Krążyło wokół niej kilka owadów, drobinki materii wysoko nade mną.

- Serio?

- Aha. - Znowu się roześmiał. - To szaleństwo, wiem. Ale miałem już dosyć wszystkiego. Tak dosyć, że skróciłem podróż i wskoczyłem w samolot, żeby tu za nią przylecieć.

Podróż trwała kilka lat, więc raczej nie nazwałabym jej krótką. Ale w przypadku Hollisa zawsze liczyła się szersza perspektywa.

- I któż to taki? — zapytałam.

- Ma na imię Laura i jest niesamowita! Poznałem ją w schronisku młodzieżowym w Sewilli. Pojechałem tam na tę wielką trzydniową imprezę slashową...

Przewróciłam oczami w ciemnościach.

- ...a ona tam była, na jakiejś konferencji genetycznej. Zajmuje się nauką, Aud! Robi magisterkę na naszym uniwerku, akurat tutaj. Uczyła się w bibliotece, w której właśnie przysypiałem. Powiedziała, że moje chrapanie przeszkadza jej w pracy, więc muszę się stamtąd wynieść. Totalny odjazd, co? Tę historyjkę będziemy kiedyś opowiadać naszym wnukom!

- Hollis — zaczęłam - nabijasz *się teraz ze mnie*, prawda? Jesteś w Paryżu czy gdzieś tam i po prostu...

- Co? — oburzył się mój brat. - Nie! Boże, nie. To prawda. Chwilczkę, zaraz ci to udowodnię.

Rozległ się jakiś stłumiony hałas i szum, a potem w końcu dobiegł mnie z oddali opanowany, beznamiętny głos matki:

- Tak, to prawda. Twój brat jest zakochany i stoi teraz w mojej kuchni.

- Słyszałaś? - tryumfował Hollis, podczas gdy ja siedziałam jak ogłuszona bez ruchu. — To nie żart!

- Hollis... - zaczęłam, wciąż próbując dojść do siebie - jak długo zamierzasz zostać?

- Jak długo Laura będzie mnie chciała. Szukamy razem mieszkania, zamierzam zapisać się jesienią na zajęcia. Może nawet wybiorę wydział literatury angielskiej, kto wie? - Znowu parsknął śmiechem. - Ale serio, wcześniej chcę do was wpaść, odwiedzić ciebie, tatę, Heidi i tego małego szkraba, przedstawić wszystkim moją dziewczynę. Powiadom ich, dobrze?

- Jasne — odpowiedziałam powoli. — Cieszę się, że wróciłeś, Hollis.

- Ja też. Do zobaczenia wkrótce!

Rozłączyłam się, a potem popatrzyłam na pogrążoną w ciszy ulicę, z oceanem rozciągającym się gdzieś w mroku. Nic się nie zmieniło, a jednak po sytuacji, w jakiej zobaczyłam Elię, i po tym dziwnym powrocie mojego brata do domu po raz pierwszy od bardzo dawna poczułam, że jedyne, na co mam teraz ochotę, to wczłgać się do łóżka. Naciągnąć kołdrę na głowę, zaszyć się w mroku i obudzić dopiero wtedy, gdy noc dobiegnie końca.

Z tą myślą wróciłam do środka, żeby się pożegnać, ale w salonie było pusto. Sprzęt nadał grał, a na stoliku stało mnóstwo puszek po piwie - w większości bez podkładek. Zabrałam swoją torebkę i przeszłam przez kuchnię do tylnego wyjścia, skąd miałam doskonały widok na towarzystwo zebrane na tarasie. Adam stał przy grillu z Maggie tuż obok, Leah i Esther siedziały ramię w ramię na barierce. Wallace właśnie otwierał fasolkę w sosie pomidorowym,

a Jake przyglądał się temu wszystkiemu z pordzewiałego krzeselka.

- Przecież wiedziałeś, że raczej nie przyjdzie - tłumaczył właśnie Adamowi zajętemu odwracaniem parówek. - Odkąd to się stało, jest kompletnie aspołeczny.

- Przecież minął ponad rok - odparł Adam. - W końcu będzie musiał zacząć znowu spotykać się z ludźmi.

- Może się z kimś spotyka, tylko nie z tobą - wtrąciła Maggie.

- To znaczy? — zainteresował się Wallace. Cofnęłam się za otwarte drzwi, czekając na odpowiedź Maggie, ale ona milczała. - Bełissa? Możesz mi wierzyć, na pewno n i e.

- Serio? - prychnął Jake. - Zerwali ładnych parę miesięcy temu, idioto.

- No tak, ale ona ciągle ma bzika na jego punkcie — odparł Wallace. - Chociaż dzisiaj wpadła do niego do sklepu, żeby mu powiedzieć, że ma nowego chłopaka. Jakiś facet z uniwerku, który pracuje na wakacjach w barze w Cadillac. Stwierdziła, że chciała go o tym poinformować osobiście, żeby nie dowiedział się od kogoś innego.

Na chwilę zapadła cisza. A potem Leah zapytała:

- A ty skąd niby o tym wiesz?

- Tak się składa, że akurat byłem w sklepie i sprawdzałem ciśnienie w rowerach na wystawie.

Ktoś prychnął, a Adam zauważył:

- Straszny z ciebie plociuch, Wallace. Gorszy niż baba.

- Hej! - obruszyła się Esther.

- Przepraszam, tak się mówi - powiedział Adam. - A poważnie, Maggie może mieć rację. Niewykluczone, że Eli spotyka się z kimś gdzie indziej. Bo kiedy go dzisiaj zapraszałem, powiedział, że spróbuje wpaść, ale już się umówił na załatwianie jakichś spraw.

- Załatwianie spraw? - zdziwiła się Leah. - Kto załatwia cokolwiek w nocy?

- Mnie też wydało się to bez sensu - przytaknął Adam. - Ale tak właśnie powiedział.

Rozejrzałam się po kuchni, po czym podeszłam do najbliższej szafki i wysunęłam górną szufladę, potem tę poniżej. Wreszcie w trze-

ciej znalazłam to, czego szukałam: książkę telefoniczną Colby. Mia-
steczko małe, więc była tam tylko jedna pralnia.

- Pralnia, mówi Clyde, słucham.

Wyrzłam znowu na zewnątrz, a potem przysunęłam się bliżej
lodówki.

- Cześć, Clyde, tu Auden. Zastałam Eliego?

- Jasne. Chwileczkę.

Trochę trzasków, krótka wymiana zdań przy przekazywaniu słu-
chawki, a potem Eli powiedział:

- Właśnie przepadł ci kawałek naprawdę niezłej szarlotki z
kruszonką.

- Zostałam zaciągnięta na imprezę z hot dogami — wyjaśniłam.

Chwila milczenia.

- Naprawdę? >!

- Aha. — Odwróciłam się i zamknęłam książkę telefoniczną. —
Najwyraźniej to bardzo ważny element inicjacji. Więc uznałam, że
powinnam to potraktować jako część mojej misji.

- Jasne - odparł.

Przez chwilę oboje milczeliśmy, a ja uświadomiłam sobie, że po raz
pierwszy od bardzo dawna czuję się nieswojo z powodu Eliego.
Spędziliśmy razem wszystkie te szalone noce, robiąc tyle nieprawdo-
podobnych rzeczy. A jednak najtrudniejsza okazała się zwykła roz-
mowa telefoniczna.

- Niech zgadnę — odezwał się w końcu. — Mniej więcej właśnie
teraz Adam przygotowuje kolejne hot dogi, chociaż nikt nie ma na nie
ochoty.

Wyrzłam na zewnątrz. Rzeczywiście, Adam stał przy grillu i ot-
wierał kolejne opakowanie parówek. ;

- Hm - mruknęłam — masz rację.

- Leah i Esther pewnie zaczynają się spierać na temat wyjścia.
Kolejny rzut oka potwierdził i to przypuszczenie - dziewczyny
wyglądały na pogrążone w ożywionej dyskusji. W każdym razie Leah
mocno gestykulowała.

- Zgadza się. Ale skąd...

- A mój brat - ciągnął Eli - który wpadł na imprezę, przechwalając się, że nieźle zabalował i zaliczył parę dziewczyn, przysypia gdzieś' pijany. Sam.

Popatrzyłam na Jake'a. Z całą pewnością miał zamknięte oczy.

- Wiesz co — powiedziałam z wyrzutem - tyle czasu spędziliśmy razem, a ty nawet się nie zająknąłeś, że jesteś jasnowidzem.

- Bo nie jestem - odrzekł. - Chcesz, żeby cię gdzieś podwieźć?

- Tak - odparłam bez wahania.

- Będę za dziesięć minut.

Siedemnaście minut później siedziałam razem ze wszystkimi na tarasie, przysłuchując się kłótni Leah i Maggie.

- Umowa była taka - mówiła Leah lekko bełkotliwym głosem - że przyjdę, jeśli w którymś momencie będziemy mogły się wyrwać i zrobić coś innego.

- Jest po północy! — rzuciła Maggie. — Za późno, żeby gdzieś iść.

- I taki właśnie mieliście plan. Zwabić mnie tutaj, spać.

- Sama się upiłaś — wytknął jej Adam.

- .. .i zatrzymać. Jak zawsze - dokończyła Leah. - Co się stało z naszymi planami wielkich rozrywkowych wakacji przed pójściem na studia? Lata pełnego nowych doświadczeń i wspaniałych wspomnień, które zabierzemy ze sobą, kiedy rozproszymy się po świecie? To miały być... miały być...

Urwała, ewidentnie szukając właściwych słów.

- Najlepsze chwile - podsunęłam.

- O, właśnie! - Leah pstryknęła palcami. - Najlepsze chwile! Co się z tymi planami stało?

Wszyscy zamilkli. Myślałam? że po prostu zastanawiają się nad pytaniem Leah. A potem zorientowałam się, że w otwartych drzwiach kuchni za moimi plecami właśnie stanął Eli.

- Mnie nie pytajcie - rzucił, kiedy tak wpatrywaliśmy się w niego wszyscy. — Wpadłem tylko na hot dogi.

- Hot dogi! - krzyknął podekscytowany Adam. - Mamy hot dogi! Całe tony hot dogów! Proszę! Trzymaj!

Chwycił bułkę, dołożył parówkę, po czym wyciągnął całość w stronę Eliego, który uniósł brew i wziął przygotowane naprędce jedzenie.

- Dzięki.

- Nie ma sprawy! - odparł Adam. - Zostało nam jeszcze całe mnóstwo. Do tego chipsy, fasolka w sosie pomidorowym i...

- Adam - przerwał mu Wallace ściszym głosem. - Wyluzuj.

- Jasne - rzucił Adam równie głośno, co poprzednio. A potem nieco ciszej dodał: — Są też lizaki.

Wszyscy znowu spojrzeli na Eliego. Sytuacja była niezręczna i napięta, zupełnie jakby chodziło nie o imprezę z grilem, a o stypę. Z drugiej strony może właśnie w stypie uczestniczyliśmy.

- Co tam, Eli? - odezwała się po chwili Maggie. — Jak tam sprawy w sklepie? Wymyśliłeś już jakąś nazwę?

Eli spojrzał na nią, a potem na trzymanego w ręku hot doga.

- Temat wciąż pozostaje w fazie dyskusji.

- Osobiście - wtrącił Adam - podoba mi się Gang Łańcuchowy.

- Przypomina nazwę zespołu - rzucił Wallace. - Kiepskiego zespołu - dodała Leah.

- To i tak lepsze niż Bombowe Bicykle.

- A co jest nie tak z tą nazwą? - obtuszył się Wallace. - Bombowe Bicykle są super.

- Te cykle kojarzą się z menstruacją — rzucił Adam. Esther pacnęła go w ramię. - No co? Tak właśnie jest.

- Moim zdaniem — odezwał się Jake, zaskakując wszystkich; byliśmy przekonani, że mocno śpi - potrzebujemy czegoś z pazurem. Czegoś mrocznego, trochę niebezpiecznego.

- Na przykład? - spytał Eli.

- Na przykład — ciągnął Jake, nie otwierając oczu - Rowery jak Żylety. Albo Zabójcze Rowery.

Adam przewrócił oczami.

- Nie możesz nazwać sklepu z rowerami dla turystów Zabójcze Rowery.

- A dlaczego nie?

- Bo ludzie na wakacjach chcą myśleć o czymś miłym, relaksującym. Kiedy wypożyczają rower, nie mają ochoty zastanawiać się nad tym, że mogą zginąć w wypadku.

Poznałam po minie Adama - rozluźnionej, zawziętej, po czym najpierw zaszokowanej, a chwilę później zawstydzonej - że nie zastanowił się nad tym, co mówi. Teraz było już za późno.

Znowu zapadła cisza. Adam poczerwieniał, Maggie i Esther wymieniły z lekka rozpaczliwe spojrzenia, Eli zaś po prostu stał za moimi plecami. Niezręczna atmosfera była wręcz namacalna. A ja myślałam tylko o tym, że to przeze mnie Eli się tu znalazł, że to z mojej winy doszło do takiej sytuacji. Nie miałam pojęcia, jak się zachować, dopóki nie zauważyłam puszki z fasolką w sosie pomidorowym na stole.

W ułamku sekundy zapadła decyzja z rodzaju tych, które podejmuje się w najbardziej niebezpiecznych albo przełomowych momentach życia. Chociaż ta sytuacja z pewnością nie należała do niebezpiecznych czy przełomowych. Zadziałałam bez namysłu, kiedy sięgnęłam ręką do puszki i wyłowiłam porządną garść fasoli. A potem, zanim zdążyłam się nad tym jeszcze raz zastanowić, odwróciłam się i rzuciłam w Eliego.

Fasolka trafiła go w sam środek czoła, a potem rozbryzgnęła się na włosach. Kilka ziaren spadło na taras, tuż koło jego stóp. Usłyszałam, jak wszyscy wciągają gwałtownie powietrze, zaszokowani. Ale ja nie odrywałam wzroku od Eliego, który zamrugał oczami, po czym otarł dłonią kawałki fasolki przyklejone do czubka nosa.

- Rany! - Wykrztusił zaskoczony. - Sama tego chciałaś.

A potem tak po prostu sięgnął obok mnie i błyskawicznie chwycił puszkę z fasolą. Jeden płynny ruch - zbyt szybki, żebym w ogóle zdążyła go zarejestrować, nie wspominając o jego powstrzymaniu — i zawartość wylądowała na mojej głowie. Poczułam ciepło na włosach, coś lepkiego zaczęło spływać mi do oczu. Bez namysłu złapałam pozostawiony przez kogoś talerz i cisnęłam niedojedzonym hot dogiem w Eliego.

- Co do licha... - rozległ się głos Leah, ale reszty nie dosłyszałam, bo Eli zaczął mnie bombardować bułkami z torby, którą porwał

z blatu. Pochyliłam głowę - wciąż umazaną fasolką - i przebiegłam przez taras, po drodze chwytając zapas amunicji: paczkę chipsów.

- Chwila! - wrzasnął Adam. - To moje śniadanie na ten tydzień!

- Och, nie złość się - zawołała Maggie, po czym złapała garść surówki z białej kapusty ze swojego talerza i rzuciła w niego. Kiedy Leah jęknęła, kolejną cisnęła w jej kierunku.

Leah otworzyła usta ze zdumienia, a potem popatrzyła na swoją koszulę i z powrotem na Maggie.

- Kurczę — jęknęła, sięgając po puszkę piwa i potrząsając nią naprawdę mocno przed otwarciem - radzę ci wiać.

Maggie zapiszczała i rzuciła się do ucieczki po schodach, Leah ją goniła, wymachując puszką spienionego piwa. Adam i Wallace rozpętali bitwę na orzeszki, podczas gdy Esther, osłaniając głowę ramionami, schowała się za Jake'a, śpiącego z twarzą obsypaną kawałkami białej kapusty. Wszystko to zauważyłam w ułamku sekundy, zanim wpadłam z powrotem do domu, starając się uchylać przed lizakami, którymi obrzucał mnie Eli, i jednocześnie ciskając w niego chipsami. Byłam tak zajęta obroną i prowadzeniem ataku, że nie zorientowałam się, kiedy zaczął mnie osaczać w kuchni, dopóki nie było za późno.

- Zaczekaj - powiedziałam, z trudem chwytając oddech, po czym oparłam się o lodówkę i podniosłam ręce. — Przerwa.

- W bitwach na jedzenie nie ma przerw — poinformował mnie Eli i rzucił kolejnym rozmiękłym kawałkiem lizaka, który trafił mnie w ramię, przy okazji strącając z niego parę ziaren fasoli.

- W takim razie jak się kończą?

- Ten, komu pierwszemu zabraknie jedzenia, musi się oficjalnie poddać - oświadczył.

Popatrzyłam na swoje dłonie - pokryte resztkami fasoli i kawałkami chipsów, ale poza tym puste.

- Nie jestem dobra w poddawaniu się.

- Nikt nie jest - odparł. - Ale czasem się przegrywa. I nie można z tym nic zrobić, tylko się do tego przyznać.

Staliśmy brudni, z fasolą we włosach i kawałkami jedzenia na ubraniu. Ostatni moment, o którym pomyślelibyście, że mógłby mieć

znaczenie, a jednak jakimś cudem tak właśnie było. Pośród całego tego zamieszania wreszcie znalazłam właściwą chwilę, aby wyznać to, co chciałam powiedzieć od samego początku:

- Naprawdę mi przykro z powodu twojego przyjaciela.

Eli skinął powoli głową, patrząc mi w oczy. Nie oderwał wzroku nawet na moment, kiedy mówił:

- Dzięki.

Na zewnątrz ktoś pisał, inne bitwy nie ustały. Ale w jasnym świetle kuchennej lampy liczyliśmy się tylko my. Tak jak we wszystkie te noce, choć dziś czułam, że jest jakoś inaczej. Nie żebyśmy się zmienili, po prostu mogliśmy to zrobić. Byliśmy gotowi.

Wpatrywałam się w Elię, rozmyślając o tym wszystkim, a on patrzył na mnie i tak łatwo przyszło mi wyobrazić sobie, jak wyciągam rękę, żeby odgarnąć mu włosy z twarzy. Czułam niemal jego skórę pod moimi palcami, kosmyki włosów muskające moją dłoń, jego ręce obejmujące mnie w pasie. Zupełnie jakby to już się działo. A potem niespodziewanie usłyszałam skrzypnięcie drzwi za moimi plecami.

- Hej! - zawołał Adam. Odwróciłam się i zobaczyłam, że znowu trzyma w ręku aparat, wycelowany prosto w nas. - Uśmiech!

Kiedy trzasnęła migawka, uświadomiłam sobie, że pewnie nigdy nie zobaczę tego zdjęcia. Zresztą i tak nie odnalazłabym na nim tego wszystkiego, co właśnie czułam. Gdybym jednak dostała kiedyś odbitkę, miałam dla niej idealne miejsce — niebieską ramkę z wyrytym na dole napisem: „NAJLEPSZE CHWILE”.

dziesięć

- Z NOGAWKAMI ROZSZERZANYMI czy prostymi? - Na chwilę zapadła cisza, a potem dobiegło mnie pytanie: - Jak pani myśli, które leżą lepiej?

- No, wie pani, to nie jest kwestia tego rodzaju wyboru. Chodzi raczej o to, jak mają wyglądać nasze pośladki.

Westchnęłam, a potem schowałam księgę depozytową do sejfu i zatrzasnęłam nogą drzwiczki. Kolejny dzień, kolejna okazja do wysłuchania dzinsowych porad Maggie. Lubiłam ją - co mogło się wydać zaskakujące - ale nadal z trudem znosiłam te jej poważne przemowy na dziewczynskie tematy. Takie jak ta.

-Widzi pani? — Usłyszałam chwilę później, kiedy klientka ponownie wynurzyła się z przymierzalni. — Rozszerzane nogawki tworzą taką ładną linię od uda do kostki. A wywinięte mankiety przyciągają wzrok, odwracając uwagę od innych obszarów.

- Te inne obszary — wymruczała klientka — to mój największy problem.

- Mój też - westchnęła Maggie. - Ale luźniejsze dzinsy też mają swoje zalety. Powinna je pani przymierzyć dla porównania.

Kobieta powiedziała coś, czego nie dosłyszałam, bo właśnie rozległ się dzwonek przy drzwiach, po czym w biurze zjawiała się Esther. Była ubrana w bojówki oraz czarny top i miała bardzo poważną minę, kiedy bez słowa opadła na krzesło za moimi plecami.

- Hej - zagadnęłam - czy wszystko...

Nagle w otwartych drzwiach stanęła Maggie z szeroko otwartymi oczami, ściskając komórkę w rękę. Zerknęła na wyświetlacz telefonu, a potem na Esther.

- Właśnie dostałam twojego SMS-a! Czy to prawda? Hildy... nie żyje?

Esther skinęła głową, nadal bez słowa.

- Nie mogę w to uwierzyć. - Maggie potrząsnęła głową. - Przecież ona była, no wiesz, jedną z nas. To znaczy, po tylu latach...

Otworzyłam usta, żeby coś powiedzieć, przekazać wyrazy współczucia. Ale zanim zdążyłam to zrobić, Esther w końcu się odezwała.

- Wiem - wykrztusiła. - To był wspaniały samochód. Drzwi przymierzałni znowu zaskrzypiały.

- Samochód? — zapytałam. Obie popatrzyły na mnie.

- Najlepsza jetta na świecie - odparła Maggie. - Hildy stanowiła nasz jedyny środek transportu w liceum. Należała do naszej paczki.

- Świetna maszyna — przytaknęła Esther. — Kupiłam ją za trzy tysiące dolarów, ze stu trzydziestoma tysiącami kilometrów na liczniku, a ona nigdy nas nie zawiodła.

- Cóż — wtrąciła Maggie - tego bym nie powiedziała. A pamiętasz, co się zdarzyło na międzystanowej, w drodze do World of Waffles?

Esther rzuciła jej wymowne spojrzenie.

- Naprawdę zamierzasz to wywlekać? Teraz? W takiej chwili?

- Przepraszam - zaczęła się mitygować Maggie. W sklepie drzwi przymierzałni znowu się otworzyły. - O kurczę. Momencik.

Zniknęła z powrotem w korytarzu, a chwilę później usłyszałam słowa klientki:

- Nie jestem do nich przekonana. Teraz moje kostki wydają się strasznie grube.

- To dlatego, że jest pani przyzwyczajona do rozkloszowanych nogawek - przekonywała Maggie. - Ale proszę spojrzeć, jak świetnie wyglądają pani uda!

Esther przy drzwiach odchyliła głowę do tyłu i popatrzyła w sufit.

- I co teraz? - spytałam. - Będiesz chodzić pieszo?

- Nie ma takiej opcji - stwierdziła Esther. - Niedługo wyjeżdżam na studia, muszę mieć samochód. Zaoszczędziłam trochę pieniędzy, ale to za mało.

- Mogłabyś wziąć pożyczkę.

- I jeszcze bardziej się zadłużyć? - Esther westchnęła. - I tak będę spłacać college aż do śmierci.

- No nie wiem - dobiegł nas głos klientki. - Jak dotąd żadne nie wyglądały, tak jak trzeba.

- Bo dobranie właściwych dzinsów musi trochę potrwać — odparła Maggie. - Mówiłam już, trzeba znaleźć takie, które do pani przemówią.

Znowu przewróciłam oczami, a potem sięgnęłam po długopis i wróciłam do swoich zestawień. Chwilę później usłyszałam, jak klientka wchodzi z powrotem do przymierzalni, a Maggie znowu stanęła w drzwiach biura.

- W porządku, w takim razie porozmawiajmy o możliwych opcjach — zwróciła się do Esther, która nadal wpatrywała się w sufit. — Co powiesz na pożyczkę?

- I tak będę spłacać college aż do śmierci — powtórzyła Esther bezbarwnym głosem. — Pozostaje spieniężyć obligacje oszczędnościowe od dziadków.

- Och, Esther! Nie wiem, czy to dobry pomysł. Wiedziałam, że tak naprawdę to nie moja sprawa, ale było mi żal

Esther. Uznałam więc, że ktoś powinien się wtrącić.

- Esther nie chce zaciągać kolejnych długów - wyjaśniłam Maggie, żałując, że nie potrafię wymyślić żadnej analogii pomiędzy tą sytuacją a wyborem dzinsów. - Jeśli weźmie pożyczkę, będzie winna bankom więcej pieniędzy.

Drzwi przymierzalni trzasnęły po raz kolejny.

- Jakoś nie mam do nich przekonania... - rozległ się głos klientki. — Czy moje nogi powinny wyglądać jak parówki?

- Nie! - odkrzyknęła Maggie, potrząsając głową. — Proszę przymierzyć te drugie z rozszerzanymi nogawkami, co mają zdobione kieszenie, dobrze?

Drzwi się zamknęły. Esther westchnęła. A ja ponownie zwróciłam się do Maggie:

- Więcej pieniędzy pożyczonych to więcej pieniędzy do oddania, podstawowa zasada.

- Fakt - przytaknęła Maggie. - Ale auto to dobro konsumpcyjne, a nie środek trwały. Esther nie inwestuje pieniędzy, które za niego zapłaci, bo od momentu zakupu samochód automatycznie zaczyna tracić na wartości. Więc chociaż myśl o upłynnieniu oszczędności i sprzedaniu obligacji wydaje się kusząca, lepszym rozwiązaniem będzie chyba wykorzystanie możliwości, jakie daje kredyt konsolidacyjny.

- Tak myślisz? - zainteresowała się Esther.

- Oczywiście - ciągnęła Maggie. - Ile wynosi teraz stopa procentowa, jakieś 5,99 czy coś koło tego? Więc weź pożyczkę, a obligacje zostaw na rachunku oszczędnościowym, gdzie zachowają pełną wartość rynkową. To najbardziej rentowny sposób wykorzystania pieniędzy.

Popatrzyłam na nią w milczeniu. Kim jest ta dziewczyna?

- A te? - zawołała klientka.

Maggie zerknęła w głąb korytarza, po czym na jej twarz wypłynął szeroki uśmiech.

- O rany - powiedziała, składając ręce. - A jak pani myśli?

- Myślę - odparła kobieta — że te dzinsy przemawiają do mnie.

Maggie roześmiała się i ruszyła z powrotem w stronę przymierzalni, zostawiając mnie przy biurku. Patrzyłam za nią i próbowałam zrozumieć, czego właśnie byłam świadkiem. Miałam z tym problem. Szczerze mówiąc, później, gdy Maggie zajrzała do biura przed zamknięciem sklepu, nadal nad tym rozmyślałam.

- Te sprawy finansowe — zagaiłam, kiedy położyła kasetkę z pieniędzmi na biurku. — Skąd to wszystko wiesz?

Podniosła na mnie wzrok.

- Och, głównie z czasów, kiedy jeszcze jeździłam. Mama nie bardzo chciała wspierać takie hobby, więc musiałam sama jakoś finansować sobie rowery, cały sprzęt i wszystko.

- Robi wrażenie.

- Może - przyznała. - Szkoda, że nie na mojej mamie.

- Nie? - zdziwiłam się. Potrząsnęła głową.

- A czym dałoby się jej zaimponować?

- Och, nie wiem - mruknęła Maggie. - Może gdybym się zgodziła na ten bał debutantek, tak jak chciała. Albo występowała w paradach, zamiast jeździć na wyczynowych rowerach z bandą umorusanych chłopaków. Zawsze ją pytałam: „Dlaczego nie mogę robić i jednego, i drugiego?”. Kto powiedział, że trzeba być albo ładnym, albo mądrym, zajmować się tylko babskimi rzeczami albo sportem? Życie nie powinno się składać z takich wykluczających wyborów. Możemy osiągnąć znacznie więcej, no wiesz.

Najwyraźniej ona wiedziała. Szkoda, że wcześniej tego nie zauważyłam.

- Aha - przytaknęłam. — To ma sens.

Maggie uśmiechnęła się, po czym chwyciła kluczyki z biurka i wsunęła je do kieszeni.

- Pójdę posprzątać dzinsy. Znalezienie wąskich dzwonów dla tamtej babki sprawiło mi sporo kłopotów. Ale było warto. Kiedy stąd wychodziła, jej tyłek wyglądał świetnie.

- Nie wątpię - podsumowałam, a chwilę później Maggie wracała do sklepu, żeby składać rozrzucone spodnie. Siedziałam przez moment bez ruchu w swoim różowo-pomarańczowym pokoju, rozmyślając o tym, co robiło wrażenie na mojej mamie, i sytuacji „albo-albo”, w której tkwiłam od tak dawna. A jeśli to prawda, jeśli bycie dziewczyną może oznaczać wiedzę na temat stóp procentowych i wąskich dzinsów, jeżdżenie na rowerach i ubieranie się na różowo? Nie jedną konkretną rzecz, ale wiele różnych.

* * *

W ciągu następnych kilku tygodni moje życie toczyło się według ustalonego schematu. Poranki poświęcałam na sen, wieczory - na pracę. A noce Eliemu.

Nie musiałam już udawać, że wpadam na niego przypadkiem. Było oczywiste, że kiedy skończę pracę, spotykamy się w Gas/Gro, gdzie oboje uzupełnialiśmy zasoby paliwa (kawa) i zapasy żywnościowe (nigdy nie wiadomo, co się człowiekowi przyda), a potem planowaliśmy, co będziemy robić. Co oznaczało załatwianie rozmaitych spraw, jedzenie ciasta w towarzystwie Clyde'a i realizację mojej misji, jedno zadanie naraz.

- Serio? - zapytałam pewnej nocy koło pierwszej, kiedy staliśmy przed Tallyho, ulubionym klubem Leah. Napis w oknie głosił „HOLA MARGARITAS!”, a siedzący na stołku przy drzwiach napakowany bramkarz ze znudzoną miną sprawdzał wiadomości w swojej komórce.

- Naprawdę uważasz, że powinnam to zrobić?

- Aha - przytaknął Eli. - Wizyta w klubie to kolejny element inicjacji. Na dodatek dostajesz dodatkowe punkty, jeśli klub jest wyjątkowo kiepski.

- Ale ja nie mam dowodu tożsamości - stwierdziłam, kiedy podeszliśmy bliżej, mijając zataczającą się dziewczynę z podpuchniętymi oczami, ubraną w czerwoną sukienkę.

- Nie będzie ci potrzebny.

- Jesteś pewny?

Zamiast odpowiedzieć, po prostu złapał mnie za rękę, a ja poczułam, jak przeszywa mnie prąd. Od tamtej hotdogowej imprezy staliśmy się sobie bliżsi, ale dopiero teraz doszło do pierwszego naprawdę fizycznego kontaktu pomiędzy nami. Na dodatek tak zajęłam się rozważaniami, co to wszystko może oznaczać, że dopiero po chwili uświadomiłam sobie, jak naturalny i właściwy wydał mi się dotyk jego dłoni. Jakby nie był niczym nowym, ale równie znajomym, co czynność powtarzana często i całkiem niedawno.

- Hej! — zawołał Eli do bramkarza. — Ile za wejście?

- Masz jakiś dowód tożsamości?

Eli wyciągnął portfel i podał ochroniarzowi prawo jazdy. Facet zerknął na nie, a potem znów na Eliego, w końcu oddał mu dokument.

- A ona?

- Zapomniała prawka - odparł Eli. - Ale nie ma problemu, poręczę za nią. *

Facet rzucił mi pozbawione wyrazu spojrzenie.

- System honorowy tu nie obowiązuje, przykro mi.

- Jasne - powiedział Eli. - Ale może da się zrobić wyjątek? Spodziewałam się ostrej reakcji ze strony bramkarza, ale ten sprawiał wrażenie jeszcze bardziej znudzonego niż poprzednio.

- Nie ma prawka, nie ma wyjątków.

- W porządku - powiedziałam do Eliego. - Naprawdę. ' Eli podniósł rękę, żeby mnie uciszyć. A potem się odezwał:

- Proszę posłuchać. Nie chcemy niczego pić. Nie mamy nawet zamiaru długo zostawać, interesuje nas góra pięć minut.

Teraz bramkarz wyglądał na wkurzonego.

- Którego słowa ze zdania „nie ma prawka, nie ma wejścia” nie rozumiesz?

- A gdybym powiedział - naciskał Eli, podczas gdy ja zaczęłam się niespokojnie wiercić, bo ręką, którą nadal ścisnął w swojej dłoni, bardzo mi się spociła - że chodzi o misję?

Facet popatrzył na niego bez słowa. Z wnętrza klubu dobiegał głuchy odgłos basów.

-Jaką misję? - spytał w końcu ochroniarz.

„To nic nie da - pomyślałam. - Po prostu nie da”.

- Ona nigdy niczego nie robiła - wyjaśnił Eli, wskazując na mnie. — Żadnych imprez w liceum, żadnych zabaw na zakończenie szkoły, żadnego balu maturalnego. Zero życia towarzyskiego. - Bramkarz popatrzył na mnie, a ja starałam się sprawiać wrażenie odpowiednio niedorozwiniętej kulturalnie. - Więc próbujemy nadrobić stracony czas, po jednej rzeczy naraz. To jest na liście.

- Tallyho jest na liście?

- Wizyta w klubie - odparł Eli. - Nie picie w klubie. Nawet nie siedzenie w nim. Po prostu wejście do niego.

Bramkarz spojrział na mnie jeszcze raz.

- Pięć minut - rzucił.

- Może nawet cztery - obiecał Eli.

A ja po prostu tam stałam, czując, jak wali mi serce. Tymczasem facet wyciągnął z kieszeni na piersi gumową pieczętkę i ostemplował mi rękę, po czym skinął na Eliego, żeby zrobić to samo.

- Trzymajcie się z dala od baru - powiedział. - Macie pięć minut.

- Super - zgodził się Eli, po czym pociągnął mnie do środka.

- Zaczekaj — sapnęłam, kiedy szliśmy ciemnym, wąskim korytarem. - J a k ty to zrobiłeś?

- Mówiłem ci — rzucił EH przez ramię. Musiał przekrzykiwać muzykę, która z każdą chwilą stawała się coraz głośniejsza. - Każdy rozumie wagę misji.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Zresztą i tak mówienie czegokolwiek nie miałyby sensu, bo właśnie weszliśmy do sali pełnej migających świateł, w której panował taki hałas, że nie usłyszałabym własnego głosu. Było to jedno pomieszczenie, kwadratowe, z boksami wzdłuż trzech ścian i barem przy czwartej. Pośrodku znajdował się parkiet do tańca pełen ludzi: dziewczyn w obcisłych bluzkach trzymających butelki piwa oraz facetów z mocną opalenizną ubranych w pseudosurferskie ciuchy.

- To kompletne szaleństwo! - krzyknęłam do Eliego, który nadal nie wypuszczał mojej ręki. Albo nie usłyszał, albo po prostu nie odpowiedział, prowadząc mnie dalej wzdłuż parkietu.

Próbowałam omijać nogi i torebki, ale ledwie mi się to udawało, bo podłoga wibrowała pod moimi stopami z każdym uderzeniem basów. Powietrze było gęste, lepkie, cuchnęło perfumami i dymem, a ja zdążyłam spłynąć potem, chociaż weszliśmy tu przed zaledwie kilkoma sekundami.

- Ostatni taniec! — krzyknął głos gdzieś ponad naszymi głowami, wdzierając się w dudniącą muzykę. - Łapcie partnera i na parkiet, mamy nowy dzień!

Niespodziewanie w pół dźwięku melodia zmieniła się, przechodząc w kawałek o spokojniejszym, wręcz zmysłowym rytmie. Gdzieś wśród tańczących rozległo się niezadowolone buczenie, tłum przetasował się, część osób zeszła z parkietu, reszta potworzyła pary, do których dołączały coraz to nowe. Byłam tak zaabsorbowana tym wszystkim, że kiedy Eli skrzyknął gwałtownie w lewo, pociągając mnie za sobą, straciłam równowagę i o mało się nie przewróciłam.

- Chwileczkę! - zawołałam, kiedy precyzyjnie się obok jednej objętej parki, a zaraz potem prawie wpadliśmy na kolejną. Dziewczyna na szczęście zdołała utrzymać piwo, kołysząc butelkę w dwóch palcach. - Nie wiem, czy ja...

Eli się zatrzymał. Zahamowałam gwałtownie, z ręką nadal w jego dłoni, i uświadomiłam sobie, że znajdujemy się pośrodku parkietu.

Popatrzyłam w górę na stroboskopowe lampy obracające się nad naszymi głowami, potem rozejrzałam się wokół, a wreszcie spojrzałam znowu na Eliego.

- Nie daj się prosić — zamruczał. A potem podszedł bliżej i puściwszy moją rękę, objął mnie dłońmi w pasie. - Nadal mamy dobre dwie minuty.

Mimo woli uśmiechnęłam się do niego, a potem poczułam, jak stopy same przesuwały się, zmniejszając dystans. Wszystko przyszło tak naturalnie. Otoczyłam ramionami szyję Eliego, splatając palce razem, po czym po prostu zaczęliśmy tańczyć.

- To szaleństwo — stwierdziłam, rozglądając się dookoła. — To...

- ...warte zrobienia choć raz — dokończył za mnie Eli. -1 tylko raz.

Znowu posłałam mu uśmiech. I właśnie wtedy, w samym środku Tallyho, w samym środku nocy i wszystkiego, Eli mnie pocałował. Było inaczej, niż sobie wyobrażałam, a jednak absolutnie idealnie.

Kiedy chwilę później się odsunął, piosenka dobiegała końca. Ale wszyscy i tak nadal tańczyli, obejmując się, aż po kres melodii. Oparłam głowę o pierś Eliego, pozwalając chwili trwać. Wiedziałam, że DJ miał rację. Nastął nowy dzień. Tak coś czułam, że ten będzie naprawdę dobry.

* * *

Kiedy w południe wreszcie się obudziłam, w domu panowała cisza. Żadnego szumu fal, żadnego płaczu. Zupełnie nic, poza...

- Żartujesz? Oczywiście, że będę. W życiu bym tego nie przegapił!

Zamrugałam oczami, przekręciłam się na bok i w końcu zwlokłam z łóżka, żeby pójść do łazienki, gdzie dobudziłam się wreszcie, myjąc zęby. Z głębi korytarza dobiegał głos ojca. Teraz słyszałam go jeszcze wyraźniej.

- Nie, nie, jest parę dziennych lotów... — Usłyszałam stukot klawiszy.

-Jasne. Czas nie mógłby być lepszy. Przyniosę konspekt. Tak. Świetnie! W takim razie do zobaczenia.

Kiedy dziesięć minut później zeszli na kawę, był już w kuchni, krążył tam i z powrotem, podczas gdy okropnie zmęczona Heidi siedziała przy stole z Isby w ramionach.

- ...doskonała okazja, żeby moje nazwisko znowu zaczęło coś znaczyć - tłumaczył ojciec. — Mnóstwo ludzi z branży, dokładnie tych, z którymi powinienem nawiązać kontakt. Idealny moment.

- Dziś wieczorem? - zapytała Heidi. - Nie zostało za mało czasu?

- A jakie to ma znaczenie? Po prostu zarezerwuję bilet, polecę tam na jedną noc i wrócę.

Wyjęłam kubek z szafki, obserwując przy okazji Heidi rozważającą słowa ojca. Dokładnie tak samo wyglądał każdy ranek po bezsennej nocy Isby, kiedy mała całymi godzinami zanosila się płaczem. Brak snu przytępił wszelkie zdolności Heidi, zwłaszcza poznawcze.

- Kiedy? - zapytała w końcu.

- Kiedy co?

Isby w jej objęciach zakwiliła, a Heidi skrzywiła się i przełożyła małą przez ramię.

- Kiedy wrócisz?

- Jutro, nie wiem, o której dokładnie. Może wieczorem. - Ojciec cały czas krążył podekscytowany po kuchni. — Skoro tam będę, równie dobrze mogę odbyć parę spotkań. Przynajmniej umówić się na lunch.

Heidi przełknęła ślinę, a potem popatrzyła na Isby, która posapywała jej w ramię.

- Ja po prostu... — urwała. — Nie jestem pewna, czy to dobry moment, żebyś wyjeżdżał.

- Co takiego? - rzucił ojciec. - Czemu nie?

Upiłam łyk kawy, cały czas pilnując, żeby się nie odwrócić.

- Cóż - odezwała się po chwili Heidi - po prostu mała ostatnio naprawdę marudzi. Od tak dawna nie śpię... Nie wiem, czy dam radę...

Ojciec się zatrzymał.

- Chcesz, żebym został.

To nie było pytanie, ale Heidi odpowiedziała:

- Robert, ja tylko się zastanawiam, czy nie mógłbyś zaczekać z tym jeszcze kilka tygodni. Aż uda nam się wreszcie ustalić jakiś rytm zajęć.

- Ta-impieza-jest-dziś-wieczorem - wycedził ojciec. - W tym cały problem.

- Wiem. Tak sobie myślę...

- W porządku.

Chwyciłam dzbanek, żeby dolać sobie kawy, chociaż upiłam z kubka ledwie dwa łyki.

- Robert...

- Nie. Po prostu zadzwonię do Petera, przeproszę i powiem, że nie dam rady przyjechać. Na pewno za parę tygodni znowu będzie jakaś impreza związku pisarzy.

Nie chciałam brać w tym udziału. W ogóle kiedykolwiek, a zwłaszcza w ten dzień, rozpoczęty tak szczęśliwie na parkiecie w Tallyho razem z Elim. Starannie unikałam więc patrzenia na tatę i Heidi, kiedy przemykałam przez kuchnię i z powrotem na górę do swojego pokoju, gdzie otworzyłam okno i przycupnęłam na parapecie, pozwalając, aby ocean zagłuszył wszystko, co mogłabym usłyszeć.

Wcale się jednak nie zdziwiłam, kiedy po paru godzinach zesłam do kuchni i przy drzwiach zobaczyłam niewielką podręczną walizkę. Może ojciec starał się być odbierany tak, jakby był gotów iść na kompromis. Ale znowu postawił na swoim.

Kiedy wybierałam się do pracy, jego już nie było, a Heidi siedziała w różowym pokoju, bujając się z Isby w fotelu. Przystanąłam pod drzwiami, zastanawiając się, czy nie sprawdzić, jak sobie radzi, ale ostatecznie zrezygnowałam. W końcu o nic mnie nie prosiła. A ja miałam dosyć oferowania pomocy z własnej woli.

W Clementines zajęłam się pracą, cały czas rozmyślając o Elim i czekającej nas *nocy*. Maggie cierpliwie obsługiwała nieprzerwany potok klientek, który zawdzięczałyśmy koncertowi odbywającemu się właśnie na deptaku, a koło dziewiątej trzydzieści wsunęła głowę przez drzwi.

- Wiesz coś o specjalnym zamówieniu Barefoot? Podniosłam na nią wzrok, mając w głowie nadal pełno liczb.

- O czym?

- Japonki z Barefoot? — wyjaśniła. — Przyszedł klient i mówi, że całe wieki temu złożył u Heidi specjalne zamówienie na dwadzieścia par. Nigdzie nie mogę znaleźć żadnego kwitu.

Potrząsnęłam głową.

- Dzwoniłaś do niej?

- Nie chciałam jej przeszkadzać. Thisbe może spać.

- Mało prawdopodobne - stwierdziłam, po czym podałam jej telefon, wybrawszy najpierw numer.

Maggie wyjrzała do sklepu, ze słuchawką przyciśniętą ramieniem do ucha, a ja wróciłam do listy płac.

- Heidi? Cześć, tu Maggie. Posłuchaj, ja tylko... wszystko w porządku?

Przyciągnęłam kalkulator bliżej i wyzerowałam wyświetlacz. Ze sklepu dobiegały piski jakichś dziewczyn przeglądających wieszak z obniżkami.

- Nie, po prostu zabrzmiałaś tak... — Maggie urwała. - Co takiego? Jasne, potrafię to poznać. Mała naprawdę daje popalić, co? Posłuchaj, przepraszam, że ci przeszkadzam, ale chodzi o ro specjalne zamówienie...

„Eli” - pomyślałam, wystukując liczbę. „Dziś wieczorem. Nacisnąć znak dodawania. Nie mój problem, wynik częściowy, suma całkowita”. Nim Maggie zakończyła rozmowę, zdążyłam wykonać trzy transakcje.

- Heidi mówi, że klapki są w magazynku, w jednym z pudeł po dzinsach - poinformowała, oddając mi telefon. — Przynajmniej wydaje mi się, że tak powiedziała. Trudno było ją zrozumieć przez ten płacz.

- Aha — mruknęłam, znowu wyzerowując wyświetlacz. — Isby potrafi dać niezły koncert.

- To nie mała - odparła Maggie. - Tylko Heidi. Chyba jest nie-szczęśliwa. Wszystko u niej w porządku?

Odwróciłam się, żeby na nią spojrzeć.

- Heidi płakała?

- Udawała, że nie. Ale to się słyszy, no wiesz. - Znowu zabrzmiał dzwonek przy drzwiach. - Kurczę, muszę tam wracać. Możesz poszukać dla mnie tego pudła?

Skinęłam głową. Przez moment siedziałam bez ruchu, po czym odsunęłam krzesło i poszłam do magazynku, żeby znaleźć klapki, które leżały dokładnie tam, gdzie mówiła Heidi. Wzięłam pudło i zaniiosłam je do sklepu, a Maggie powitała mnie wdzięcznym spojrzeniem. Kiedy zostawiłam je na kontuarze, po prostu pchnęłam drzwi wejściowe i ruszyłam w stronę domu.

* * *

Szczerze mówiąc, poczułabym się lepiej, gdybym przy wejściu usłyszała znajomy krzyk Isby, ale w domu panowała cisza. Ciemnym korytarzem dotarłam do kuchni, gdzie paliła się tylko jedna lampka nad zlewem. Salon też był pogrążony w mroku, tak gęstym, że początkowo w ogóle nie zauważyłam Heidi.

Siedziała na kanapie z Isby w ramionach i płakała. Nie szlochała głośno, tak jak mnie się to czasem zdarza, ale zalewała się bezgłośnie łzami. Na ten widok po plecach przebiegł mi dreszcz. Chwila była tak intymna, osobista, że miałam ochotę zawrócić i zostawić macochę w spokoju. Wiedziałam jednak, że nie mogę tego zrobić.

- Heidi... - zaczęłam cicho.

Nie odpowiedziała. Podeszłam do niej i przykucnęłam. Kiedy jej dotknęłam, rozplakała się jeszcze żałośniej, a łzy zaczęły kapać mi na rękę. Spojrzałam na Isby, która nie spała, wpatrując się z uwagą w matkę.

- Daj mi małą — poprosiłam.

Potrząsnęła głową. Nadal nie przestawała płakać, szloch wstrząsał jej ramionami.

- Heidi, proszę cię.

Żadnej odpowiedzi. Przeraziła mnie, wyciągnęłam więc rękę i odebrałam jej Isby. Kiedy to zrobiłam, natychmiast zwinęła się w kulkę, podciągając kolana pod brodę, i odwróciła twarz w przeciwną stronę.

Popatrzyłam na nią, a potem na Isby. Nie miałam pojęcia, co robić. I chociaż wiedziałam, że pewnie powinnam zadzwonić do

ojca albo przynajmniej do matki, po prostu poszłam do kuchni i wybrałam numer jedynej osoby, która według mnie mogła tu pomóc.

- Gas/Gro, Wanda przy telefonie.

Oczyrna duszy widziałam kasjerkę, która zawsze była w sklepie o tej porze w nocy, z jej długimi kolczykami i blond włosami. Odchrząknęłam.

- Cześć, Wanda. - Podrzuciłam lekko prychającą Isby do góry. —Ja, hm... mówi Auden, często wpadam mniej więcej o tej porze na kawę. Próbuję znaleźć Elięgo Stocka. To trochę pilne, to znaczy, może nie do końca... W każdym razie Eli ma jakieś dwadzieścia lat, ciemne włosy, jeździ czarnym...

- Halo?

Na dźwięk głosu Elięgo poczułam, jak jakaś maleńka cząstka mnie wreszcie się rozluźnia.

- Cześć, to ja. — Urwałam, a potem dodałam: - Auden.

- Domyśliłem się - odparł. - Nikt inny nie zadzwoniłby do mnie do Gas/Gro.

- Aha — przytaknęłam, zerkając na zwiniętą na kanapie Heidi, ledwo widoczną w mroku salonu. - Przepraszam. Po prostu mam tu mały problem i nie bardzo wiem, co robić.

- Problem... - powtórzył. — Co się dzieje?

Wyszłam na korytarz, kładąc sobie Isby na ramieniu, i wyjaśniłam mu, w czym rzecz. Cały czas słyszałam daleki, słaby płacz Heidi.

- Nie martw się - pocieszył Eli, kiedy skończyłam. - Coś na to zaradzimy.

* * *

Dwadzieścia minut później rozległo się pukanie do drzwi. Kiedy je otworzyłam, zobaczyłam Elięgo z czterema kubkami GroRoast i paczką babeczek.

- Kawa? - zdziwiłam się. - To jest to twoje rozwiązanie?

- Nie - odparł. — Ale to już tak.

I wszedł do środka, odsłaniając stojącą za nim niską kobietę w średnim wieku o krótkich ciemnych włosach. Miała znajomo wyglądającą oliwkową cerę i zielone oczy, a ubrana była w prak-

tyczny kardigan i spodnie. Do tego nieskazitelnie białe tenisówki i torebka przełożona przez szyję.

- Mamo, to jest Auden. Auden, moja mama, Karen Stock.

- Dobry wieczór - odpowiedziałam. - Dziękuję, że pani przyjechała. Ja po prostu... nie wiem, co robić.

Mama Eliego uśmiechnęła się do mnie, a potem nachyliła, żeby spojrzeć na Isby, która właśnie zaczynała popłakiwać.

- Ile ma dziecko?

- Sześć tygodni.

- A gdzie jego mama?

- W salonie - wyjaśniłam, odsuwając się od drzwi. - Ciągle płacze, nie chce ze mną nawet rozmawiać.

Pani Stock weszła do środka. A potem popatrzyła na Eliego i powiedziała:

- Zabierz małą na górę i opatul ją. Ja zaraz przyjdę. Eli skinął głową, a potem spojrzał na mnie.

- Może powinnam... — zaczęłam. - Właściwie...

- Nic jej nie będzie - zapewniła pani Stock. - Zaufaj mi.

I, co dziwne, to właśnie zrobiłam. Nie czułam niepokoju, nawet kiedy tam stałam, obserwując, jak obca kobieta wchodzi do salonu. Mama Eliego odłożyła torebkę na kuchenny stół, a potem podeszła do kanapy i usiadła obok Heidi. Nie dobiegło mnie nawet słowo z tego, co mówiła. Ale Heidi najwyraźniej jej słuchała, bo po chwili pozwoliła, żeby pani Stock ją objęła, poklepując po plecach. Wreszcie to ona mogła być tą, której należy się pociecha.

* * *

Zanim dotarliśmy do różowego pokoju, Isby rozplakała się na dobre. Eli wszedł do sypialni małej, zapalił światło i w końcu spytał:

- Masz jakiś kocyk?

- Kocyk? - Skinął głową. - W komodzie. Chyba w trzeciej szufladzie?

Lekko kołyszając Isby, patrzyłam, jak Eli podchodzi do mebla, przez chwilę szuka, a w końcu wyciąga różowy kocyk w brązowe ciapki. Obejrzał go uważnie, po czym zamknął szufladę.

- Potrzebujemy łóżka - oznajmił. - Czegoś płaskiego. Gdzie jest twój pokój?

- Następne drzwi - wyjaśniłam. - Ale ja nie...

Eli skierował się w stronę mojego pokoju, więc ruszyłam za nim. Kiedy tam dotarł, rozpostarł koc na łóżku, a potem zawinął jego górny róg.

- W porządku — powiedział, wyciągając ręce. — Daj ją tutaj. Rzuciłam mu powątpiewające spojrzenie.

- Co robisz?

- Nie słyszałaś, co mówiła mama? Masz mi zaufać.

- Mówiła, żebym zaufała jej - wytknęłam.

- Nie ufasz mi?

Popatrzyłam na niego, potem na koc i na Isby, która krzyczała już na cały głos, i przypomniałam sobie, jak Eli niecałą dobę temu prowadził mnie na parkiet w Tallyho. Podałam mu małą.

Isby płakała żałośnie, a jej buzia robiła się coraz bardziej czerwona. Eli położył ją ostrożnie na kocu, główką na zwiniętym rogu. A potem, podczas gdy mała wiała się rozpaczliwie, przycisnął lewą rączkę do boku i zawinął dolny róg koca do góry, przykrywając ją, po czym wsunął go pod jej ramię. Z każdym kolejnym ruchem Isby rozpaczała coraz głośniej.

- Eli - podniosłam głos, żeby przekrzyczeć małą. - Tylko pogarszasz sytuację.

Nie usłyszał mnie, zajęty rogiem koca, którym owijał małą ciasno w pasie. Isby wrzeszczała co sił w płucach.

- Eli! - zawołałam znowu, podczas gdy on zawinął mocno ostatni róg koca i wcisnął go w jedną z pozostałych fałd. - Przestań! Ona nie...

I wtedy zapadła cisza. Tak nieoczekiwana, że przez chwilę myślałam nawet, że Isby nie żyje. Ale kiedy na nią spojrziałam, okazało się, że po prostu leży zawinięta niczym małe burrito i wpatruje się w nas, mrugając oczami.

- ...płacze - dokończyłam. Eli podniósł małą i podał mi ją z powrotem. - Jak to zrobiłeś?

- To nie moja zasługa - odparł, kiedy usiadłam ostrożnie na łóżku. Isby otworzyła buzię, ale tylko ziewnęła, a potem umościła się wygodniej. -Tylko sposobu zawijania. Działa cuda. Moja mama jest jego prawdziwą zwolenniczką.

- Niesamowite. Skąd ona to wszystko wie?

- Pracowała jako pielęgniarka na oddziale położniczym - odparł Eli. - Rok temu odeszła na emeryturę. Poza tym mój brat i siostra mają czwórkę dzieci. Dodaj do tego jeszcze jej własne dzieci, a zbierze się całkiem niezła gromadka.

Rozległo się delikatne pukanie do drzwi, po czym pani Stock wsunęła głowę do środka.

- Teraz Heidi trochę odpocznie - poinformowała. - Chodźmy na dół.

Podążyliśmy za nią korytarzem, obok pokoju Heidi, gdzie pod zamkniętymi drzwiami zauważyłam jasną smugę. Kiedy ruszyliśmy na dół, światło zgasło.

W kuchni pani Stock podeszła do zlewu i umyła ręce, po czym osuszyła je papierowym ręcznikiem.

- W porządku - powiedziała, odwracając się do mnie z uśmiechem. — Daj mi malutką.

Podaliśmy jej Isby, a ona usiadła na krześle i przesunęła palcami po czole dziecka.

- Dobre zawinięcie - stwierdziła.

- Eli to prawdziwy zawodowiec - poinformowałam ją.

- Kwestia wprawy - odparł Eli, a potem oboje patrzyliśmy, jak jego mama powoli kołysze Thisbe, poklepując ją po plecach.

- Dziękuję, że pani przyjechała — powiedziałam wreszcie. - Heidi przechodzi ostatnio trudny okres. Ale kiedy dzisiaj wróciłam do domu i zastałam ją w takim stanie... nie wiedziałam, co robić.

- Niedawno została mamą — stwierdziła pani Stock, nadal nie odrywając wzroku od Isby. — Jest wyczerpana.

- Tata próbował namówić ją, żeby znaleźć kogoś do pomocy, ale nie chciała się zgodzić.

Pani Stock poprawiła lekko kocyk.

- Kiedy urodziłam Stevena, najstarszego syna, moja mama przyjechała i zamieszkała z nami na miesiąc. Bez niej bym sobie nie poradziła.

- Mama Heidi zmarła kilka lat temu.

- Coś wspomniała — przytaknęła pani Stock, a ja pomyślałam o wykrzywionej twarzy Heidi, kiedy tak przywarła do mamy Eliego, tam, w ciemnościach. Ciekawe, co jeszcze mówiła. - Bycie mamą to najtrudniejsze zajęcie na świecie. Ale Heidi sobie poradzi. Po prostu potrzebuje trochę odpoczynku.

Wszyscy się nad tym zamyśliliśmy, a Isby zamknęła oczy. Pani Stock popatrzyła na Eliego.

- Ty chyba też powinieneś się położyć - zauważyła. — Nie idziesz przypadkiem rano do pracy?

- Tak - mruknął Eli. - Ale...

- W takim razie wracaj do domu - przykazała mu mama. - Zostaw mi kluczyki, a samochód możesz odebrać jutro.

- Mam iść pieszo? - zapytał. Rzuciła mu beznamiętne spojrzenie.

- Eli Josephie, to tylko cztery przecznice. Przeżyjesz.

Eli jęknął, ale kiedy kładł kluczyki na stole, na jego twarzy gościł uśmiech.

- Dzięki, mamó - powiedział, a potem cmoknął ją w podsunięty policzek i ruszył w stronę drzwi. Odprowadziłam go na ganek.

- Hmm - mruknęłam, oglądając się w stronę kuchni, gdzie pani Stock nadal kołysała Isby - wygląda na to, że dzisiaj wcześniej położysz się do łóżka.

- Chyba tak — potwierdził. — Mama nie wie o moich nocnych zwyczajach.

- Nie spodobałoby się jej to?

- Nie. - Eli potrząsnął głową. - Jej zdaniem po północy nie może się wydarzyć nic dobrego.

Podniosłam na niego wzrok, a potem się uśmiechnęłam.

- Cóż, muszę przyznać, że twoja mama jest niesamowita. Ale z jej zdaniem na temat północy się nie zgadzam.

- Jest niesamowita - przytaknęła. — I też się z nią nie zgadzam.

Nachylił się, żeby mnie pocałować, a ja objęłam go ramionami za szyję i przyciągnęłam bliżej. Mogłabym tak stać całą noc, nieważne, czy dobrą, czy nie, ale on już się odsunął, zerkając ponad moją głowę w stronę kuchni.

— Lepiej sobie pójdę. Skinęłam głową.

— Do zobaczenia jutro.

Uśmiechnął się, po czym zbiegł po stopniach i ruszył przed siebie podjazdem. Pomachałam mu po raz ostatni, a potem patrzyłam za nim, dopóki nie zniknął w ciemnościach rozciągających się tuż za kręgiem światła ulicznej latarni. Kiedy wróciłam do swojego pokoju, wychyliłam się przez okno i spojrzałam w stronę, w którą odszedł. Ulica była długa, równa, a im później się robiło, tym mniej widać było na niej świateł, ledwie tu i tam. Wybrałam jedno, które wydawało mi się oddalone o cztery przecznice. A potem obserwowałam je niczym rozjarzoną gwiazdę, aż do świtu.

jedenście

UPLYNĄŁ TYDZIEŃ. Tego dnia około piątej po południu miał zjawić się Hollis. O czwartej trzydzieści odezwała się moja komórka.

- Dzwonię tylko po to - oznajmiła matka - żeby cię przestrzec.

Nie rozmawialiśmy od czasu jej wizyty w Colby, która zakończyła się tak katastrofalnie, ale sądząc po tej konwersacji, najwyraźniej miałyśmy to za sobą. Mimo wszystko byłam ostrożna, kiedy zapytałam:

- Przestrzec przed czym?

Zapadła cisza, w której matka upiła łyk jakiegoś napoju. Zdaje się, że właśnie delektowała się swoją wczesno popołudniową szklaneczką wina.

- Przed tą Laurą.

Sam zaimek powinien mi wystarczyć, mimo to zapytałam:

- A co? Nie lubisz jej?

- Auden - zgromiła mnie matka. Niemal słyszałam, jak wzdraga się z obrzydzeniem. - Ona jest okropna. Okropna. Nie mam pojęcia, w co wpakował się twój brat, kiedy tam mieszkał, ale najwyraźniej doznał przy tym uszkodzenia mózgu. Ta dziewczyna, ona jest... jest...

Mamie rzadko kiedy brakowało słów. Szczerze mówiąc, zaczynałam się trochę martwić.

- ...naukowcem - dokończyła matka. - To jeden z tych chłodnych metodycznych typów zainteresowanych wyłącznie hipotezami i grupami kontrolnymi. Na dodatek to jej przeświadczenie, że innych jej dziedzina też musi pasjonować. Niezrównane. Wczoraj wieczorem

przez całą kolację zanudzała nas opowieściami o komórkach mielinowych.

- O czym?

- No właśnie - ucieszyła się matka. - W tej dziewczynie nie ma odrobiny serca, duszy. Jest tylko parę lat starsza od twojego brata, a zachowuje się jak purytańska nauczycielka. Nie mam wątpliwości, że wyssie z Hollisa wszystko, co w nim wyjątkowe. To przerażające.

Wyjrzałam przez otwarte drzwi. W głębi korytarza Heidi sprzątała akurat gabinet ojca przerobiony na drugi pokój gościnny. Thisbe siedziała w foteliku i obserwowała mamę.

Od czasu tamtej przełomowej nocy sytuacja nieco się poprawiła. Pani Stock została wtedy na noc, żeby zająć się Isby. Kiedy rano zbiegłam na dół, dopiero co wyszła. Znalazłam Heidi w kuchni, z małą w ramionach opatuloną w kocyk. Wyglądała na wypoczętą bardziej niż kiedykolwiek w czasie ostatnich kilku tygodni.

- Ta kobieta - rzuciła zamiast powitania - to cudotwórczym. -Tak?

Heidi skinęła głową.

- Dziś rano spędziła tu jakieś trzy godziny, a już wiem o sto procent więcej niż wczoraj. Miałaś pojęcie, że zawijanie dzieci sprawia, że czują się bezpieczniej i mniej grymaszą?

- Nie - odparłam. - Ale wygląda na to, że to prawda.

- Poza tym pomogła mi podnieść zagłówek materaca małej, dzięki czemu Thisbe nie będą męczyć wzdęcia, i powiedziała, że powinnam kupić bujaczek do usypiania. A potem doradziła mi jeszcze, co pomoże na moje obolałe sutki!

Skrzywiłam się.

- Heidi, proszę...

- Przepraszam, przepraszam. — Pomachała wolną ręką w moją stronę. - Ale naprawdę, jestem ci taka wdzięczna, że ją tutaj sprowadziłaś. Właściwie zaproponowała nawet, że znowu wpadnie, gdybym potrzebowała pomocy, ale sama nie wiem, czy to dobry pomysł. Ta ostatnia noc była dziwna. Nie mam pojęcia, co się stało. Czułam się taka zmęczona...

- W porządku - rzuciłam, jak zawsze próbując uniknąć wybuchu emocji. - Po prostu cieszę się, że czujesz się lepiej.

- To prawda - przytaknęła Heidi, spoglądając znowu na Isby. -i Naprawdę czuję się lepiej.

Od tamtej pory w ogóle zdawała się mieć lepszy nastrój, a Isby więcej sypiała, z pożytkiem dla wszystkich. Mimo to pani Stock wpadła jeszcze parę razy, chociaż zawsze się z nią rozmijałam. Ale za każdym razem bez trudu poznawałam, że była z wizytą. Po prostu w takie dni Heidi sprawiała wrażenie szczęśliwszej.

W odróżnieniu od mojej matki, która nie przestawała narzekać na Laurę, rzekomo wysysającą radość życia z mojego brata, po jednej komórce mielinowej naraz.

- No nie wiem — powiedziałam teraz do niej. - Hollis chyba naprawdę ją lubi.

- Twój brat lubi wszystkich! To zawsze była jego największa wada, która w końcu go zgubi. - Kolejne pełne mrocznych przeczuć westchnienie. - Sama zobaczysz, kiedy ją poznasz, Auden. Ona po prostu jest...

Wyrzłam przez okno, w momencie kiedy na podjeździe zatrzymała się srebrna honda.

- .. .tutaj - przerwałam mamie. - Muszę kończyć.

- Niech Bóg ma cię w opiece - mruknęła w odpowiedzi. — Zadzwoń do mnie później.

Obiecałam, że tak zrobię, a potem zatrzasnęłam klapkę telefonu i wyszłam na korytarz. Tata krzyczał już z dołu do Heidi, że Hollis przyjechał.

- Gotowa na spotkanie z bratem? — rzuciła do Thisbe Heidi, odpinając szelki i wyjmując małą z fotelika. Razem ruszyliśmy w stronę schodów, podczas gdy ojciec otwierał drzwi wejściowe.

Patrzyłam, jak Hollis wyskakuje z auta. Chociaż odkąd wyjechał z domu, minęło ponad dwa lata, wyglądał dokładnie tak samo. No, może był trochę szczuplejszy, z włosami rozwichrzonymi bardziej niż kiedyś. Kiedy od strony pasażera wysiadła Laura, ona też wydała mi się znajoma, chociaż początkowo nie potrafiłam powiedzieć dlaczego. Dopóki Heidi nie jęknęła:

— O mój Boże, ona wygląda zupełnie jak twoja matka!

I miała rację. Te same długie ciemne włosy, te same ciemne ciuchy, identyczna blada cera. Laura okazała się nieco niższa od mamy i nie tak szczupła, mimo to podobieństwo było uderzające. Im bliżej oboje z Hollisem podchodzili, tym bardziej mnie to denerwowało.

— Oto i on! - zawołał ojciec i chwycił mojego brata w objęcia, gdy tylko ten przekroczył próg domu. - Globtroter powraca!

— Proszę, proszę, a to nasz dumny tatuś! - rzucił z szerokim uśmiechem Hollis. - Gdzie mała?

— Tutaj — odpowiedziała Heidi i ruszyła po schodach w dół. Zmusiłam się, żeby pójść za nią, chociaż do domu akurat wkroczyła Laura, zdejmując okulary przeciwsłoneczne, które następnie starannie złożyła. Oczy też miała ciemne. - To jest właśnie Thisbe.

Hollis natychmiast wziął małą na ręce i podniósł wysoko nad głowę. Thisbe popatrzyła na niego uważnie, jakby zastanawiała się, czy nie wybuchnąć płaczem.

— O rany - zauważył Hollis. - Będą z tobą kłopoty, już to widzę.

Ojciec i Heidi roześmiali się, ale ja nie odrywałam wzroku od Laury, która stała nieco z boku, nadal trzymając w ręku okulary, i obserwowała tę scenę z wręcz klinicznym zainteresowaniem. A po chwili, którą Hollis poświęcił na robienie pociesznych min do Thisbe, cicho - ale znacząco - odchrząknęła.

— Rany, skarbie, przepraszam! - Hollis oddał Thisbe ojcu, a potem otoczył dziewczynę ramieniem i przyciągnął bliżej do siebie. - Kochani, to jest moja narzeczona, Laura.

— Narzeczona? - zdziwił się ojciec. — Przez telefon nic nie wspominałeś. Kiedy się...

Laura uśmiechnęła się zaciśniętymi wargami.

— Nie zaręczyliśmy się - zaprotestowała. - Hollis jest po prostu. ..

— .. .pewny siebie — dokończył za nią mój brat. - I gotowy. Nawet jeśli ona nie jest.

— Ciągłe powtarzam Hollisowi, że małżeństwo to poważna sprawa - tłumaczyła Laura. Jej głos brzmiał czysto, spokojnie, jakby

przywykła do tego, że skupia na sobie uwagę słuchaczy. - Nie można tak po prostu wskoczyć w nie jak do samolotu.

Staliśmy z ojcem i Heidi bez słowa, nie wiedząc, jak zareagować, ale Hollis tylko się roześmiał.

- Moja dziewczyna! Ciekawe, czy uda jej się złamać mój impulsywny charakter!

- Och, proszę tego nie robić - powiedział do Laury ojciec, znowu poklepując Hollisa po ramieniu.-To właśnie uwielbiamy w tym facecie.

- Spontaniczność z pewnością jest czarująca — przytaknęła Laura. - Ale rozwaga też miewa wiele zalet.

Ojciec uniósł brwi.

- Tak naprawdę to ja... - powiedział tonem nieco ostrzejszym niż poprzednio.

- Musicie być wyczerpani po podróży - wtrąciła Heidi, wyciągając ręce, żeby odebrać od ojca Thisbe. — Może napijecie się czegoś chłodnego. Mamy lemoniadę, piwo, wino...

Odwróciła się i ruszyła w stronę kuchni. Ojciec i Hollis natychmiast poszli w jej ślady, zostawiając mnie sam na sam z Laurą. Obserwowałam, jak dziewczyna z uwagą ogląda okulary, a potem ujmuje róg swojej czarnej koszuli, żeby powoli wytrzeć do czysta jedną z soczewek. Potem podniosła na mnie wzrok, jakby zdziwiona, że nadal tu stoję.

- Naprawdę wspaniale cię poznać - rzuciłam z braku lepszego pomysłu. - Hollis wydaje się... bardzo szczęśliwy.

Skinęła głową.

- Twój brat jest wyjątkowo pogodną osobą - powiedziała, chociaż z jej tonu nie zdołałam się zorientować, czy jej zdaniem to zaleta, czy wada.

- Kochanie! - zawołał Hollis. - Chodź tutaj! Musisz zobaczyć ten widok!

Laura rzuciła mi kolejny zasznurowany uśmiech, po czym weszła do salonu. Oczekałam chwilę, a potem ruszyłam za nią. Na moment zatrzymałam się w kuchni, gdzie ojciec i Heidi tłoczyli się przy zlewie, nalewając lemoniadę do szklanek.

- ...to jej pierwsze spotkanie z nami - usprawiedliwiała Heidi. —
Pewnie jest po prostu zdenerwowana.

- Zdenerwowana? Ty to nazywasz zdenerwowaniem?! - obruszył się ojciec.

Heidi rzuciła coś jeszcze, ale nie dosłyszałam co, bo całą uwagę skoncentrowałam na moim bracie i Laurze. Stali w otwartych przeszklonych drzwiach na taras, z niebieską taflą oceanu rozpościerającą się przed nimi. Hollis obejmował Laurę ramieniem, gestykulując przy tym drugą ręką, kiedy perorował na temat horyzontu, ale nawet z tyłu dało się zauważyć, że na Laurze nie wywarło to szczególnego wrażenia. Świadczyła o tym jej postawa, sposób, w jaki lekko przechylała głowę na bok. Jasne, była tu obca. Ale ja widziałam coś podobnego już wcześniej.

* * *

- Nie spodobała ci się.

Spojrzałam na Eliego.

-Tego nie powiedziałam.

- Nie musiałaś.

Zdjął karton mleka z półki i włożył go do wózka. Była pierwsza trzydzieści nad ranem, a my robiliśmy właśnie drobne zakupy w Park Marcie. Jak w każdy poniedziałek, mieliśmy praktycznie cały sklep wyłącznie dla siebie, a ja naprawdę potrzebowałam spokoju po męczącej dwugodzinnej kolacji w rodzinnym gronie, zdominowanej przez kłótnię między ojcem a Laurą, dotyczącą kary śmierci. Sprzeczka stanowiła efekt ich ożywionej dyskusji przy koktajlach na temat funduszy uniwersyteckich (nauki humanistyczne kontra przedmioty ścisłe), która z kolei wynikała z długiej dysputy o polityce ochrony środowiska naturalnego w czasie lunchu. Dla mnie było to jak oglądanie adaptacji ostatnich paru lat małżeństwa moich rodziców, tyle że kto inny grał teraz rolę mamy.

- Chodzi o to - powiedziałam do Eliego, popychając wózek, żeby wyjechać z działu spożywczego i przejść do części turystycznej - że jest naprawdę inna niż wszystkie dziewczyny, z którymi spotykał się Hollis.

- A jakie były tamte?

Przed oczami mignął mi rozmyty kolaż pięknych, sympatycznych twarzy.

- Miłe — stwierdziłam w końcu. - Słodkie. Bardziej podobne do Hollisa.

Eli zatrzymał się, żeby obejrzeć kuchenkę turystyczną, a potem ruszył dalej.

- Ale z żadną z tamtych nie chciał się żenić, tak? Zastanowiłam się nad tym, kiedy mijaliśmy dział rękawic baseballowych.

- Nie dłużej niż przez parę minut.

- I uważa, że Laura jest tą jedyną. - Zbliżyliśmy się właśnie do działu z rowerami. Były ustawione w rzędzie od najmniejszych, dziecięcych, po duże modele dla dorosłych. Eli zdjął ze stojaka jeden średnich rozmiarów i odbił parę razy na przednim kole. - Więc, jak na moje oko, nie ma znaczenia, co ty, twoja mama czy tata myślicie. Związki nie zawsze mają sens. Zwłaszcza kiedy patrzy się na nie z boku.

- Ale to Hollis — upierałam się. — On nigdy do niczego nie podchodził poważnie.

Eli wskoczył na siodełko, po czym stanął na pedałach i powoli ruszył do przodu.

- No cóż - próbował mnie przekonać - może po prostu znalazł właściwą osobę. Ludzie się zmieniają.

Krążył wokół mnie i wózka, a ja pomyślałam o matce, z równym przekonaniem wypowiadającej coś wręcz przeciwnego.

- Wiesz - rzuciłam w końcu - wszyscy myślą, że już nie jeździsz.

- Bo nie jeżdżę.

Przewróciłam oczami, bo akurat mijał mnie po raz kolejny.

- Więc jakim cudem widzę jak robisz to właśnie w tym momencie?

- Nie wiem - rzucił. — A ty co myślisz?

Szczerze mówiąc, nie byłam pewna. Ale chciałam wierzyć, że ludzie mogą się zmienić. Z całą pewnością to łatwiejsze, jeśli samemu się tego doświadczy. Właśnie tak było ze mną, kiedy tkwiłam pośrodku sklepu, Eli mnie okręzał, a ja za każdym razem czułam lekki po-

wiew powietrza mknącego ku mnie niczym fala, tworzącego wrażenie ruchu.

* * *

Siedziałam w Clementines od ponad godziny, nadrabiając zaległości w pracy papierkowej, kiedy poczułam wyraźnie, że ktoś mnie obserwuje. Tym kimś okazała się Maggie.

- Cześć - powitała mnie, kiedy podniosłam wzrok. Stała w uchylonych drzwiach biura, ubrana w obrzeżoną koronką białą sukienkę na ramiączkach i pomarańczowe japonki. Włosy miała ściągnięte na karku, w rękę trzymała metkownicę. — Masz chwilę?

Kiwnęłam głową, a Maggie zerknęła jeszcze raz w głąb sklepu, po czym weszła do biura i po zdjęciu z krzesła stosu katalogów usiadła.

Nic nie powiedziała, ja też milczałam. Słyszałam tylko dobiegającą z wnętrza popową piosenkę. Coś o kolejkach górskich i słodkich, orzeźwiających pocałunkach.

- Słuchaj - zaczęła - jeśli chodzi o ciebie i Eliego...

To nie było pytanie. Nawet nie stwierdzenie, ledwie część zdania, co stanowiło dla mnie doskonałą wymówkę, żeby nic nie mówić. Jak w ogóle można dać odpowiedź na nieistniejące pytanie?

- Wiem, że spędzacie razem całe noce, chyba codziennie - ciągnęła Maggie. - I to nie do końca moja sprawa, ale...

- Jakim cudem? — przerwałam jej. Zamrugnęła oczami.

- Jakim cudem to nie moja sprawa?

- Jakim cudem się tego dowiedziałas?

- Po prostu się dowiedziałam.

- A co, teraz stałaś się wszechwiedząca i wszytkowidząca? — zapytałam. - Kim ty jesteś, Big Brotherem?

- To małe miasteczko, Auden. Pod wieloma względami mikroskopijne. Wieści szybko się rozchodzą. - Westchnęła, spoglądając na metkownicę. — Posłuchaj, chodzi o to, że znam Eliego od bardzo dawna. Nie chcę patrzeć, jak cierpi.

Naprawdę nie miałam pojęcia, do czego zmierza. Najmniejszego. Ale kiedy usłyszałam ten tekst, poczułam się jak idiotka, że tego nie przewidziałam.

- Myślisz, że go skrzywdzę? Maggie wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Po tym, co się wydarzyło z Jakiem...

- To było coś zupełnie innego - rzuciłam.

- Ale ja nie wiem tego na pewno. — Maggie odchyliła się na oparcie krzesła i skrzyżowała nogi. - Muszę się opierać na tym, co widzę. I chociaż sprawa z Jakiem mnie wkurzyła, bo czułam się zazdrosna, było w niej coś karmicznego. Jake na to zasłużył. Eli nie.

- My po prostu... — urwałam, niepewna, czy naprawdę mam ochotę się z tego tłumaczyć. - Jesteśmy przyjaciółmi.

- Może. - Maggie znowu spuściła wzrok na metkownicę, poprawiając ją sobie na kolanach. — Ale obie wiemy, że to dla ciebie pojawił się na tamtej imprezie z hot dogami. Słyszałam, jak do niego dzwoniłaś.

Uniosłam brwi.

- A jednak jesteś jak Wielki Brat.

- Akurat siedziałam w łazience. Ściany mają tam strasznie cienkie! Czasami nie potrafię się nawet wysikać, kiedy ktoś chodzi po kuchni. - Machnęła ręką. - W każdym razie była jeszcze ta sprawa z rowerem, no i to, że rzuciłaś w niego fasolą, a on w ogóle się o to nie wkurzył...

- To tylko bitwa na jedzenie.

- Nie rozumiesz - rzuciła Maggie. - Odkąd Abe umarł, Eli nie robił takich rzeczy. Żadnych imprez, żadnych kumpli, rzadko kiedy zamienił z kimś ze starych znajomych parę słów. No i z całą pewnością nie interesowały go bitwy na jedzenie. Było z nim aż tak źle. A potem nagle zjawiłaś się ty i wszystko się zmieniło. I to jest wspaniałe.

- Ale... - powiedziałam, bo zawsze zostaje jakieś „ale”.

- Ale - ciągnęła Maggie - jeśli faktycznie zamierzasz go wykorzystać, żeby się zabawić, uważaj, bo Eli może się nie pozbierać tak szybko jak Jake. Teraz gra idzie o znacznie wyższą stawkę, a ja po prostu nie miałam pewności, czy zdajesz sobie z tego sprawę. Więc chciałam ci to powiedzieć. Bo od tego właśnie są przyjaciele.

Zamyśliłam się nad jej słowami, podczas gdy muzyka w sklepie zmieniła się na wolniejszą, bardziej romantyczną.

- No cóż - stwierdziłam - Eli to prawdziwy szczęściarz, że ma w tobie przyjaciółkę.

- Nie mówiłam o Elim. Podniosłam na nią wzrok.

- Co takiego?

- My jesteśmy przyjaciółkami — wyjaśniła, wskazując ręką na przemian siebie i mnie. - A przyjaciele są ze sobą szczerzy. Nawet jeśli prawda boli. Zgadza się?

Pewnie tak, ale szczerze mówiąc, nadal nie wiedziałam, co o tym myśleć. Wszystko to było dla mnie nowe. Dlatego powiedziałam tylko:

- Nie musisz się martwić. Nikt nie ucierpi. My po prostu... kumplujemy się. Nic więcej.

Powoli skinęła głową.

- W takim razie w porządku. To wszystko, co chciałam wiedzieć. Od strony sklepu dobiegło brzęknięcie dzwonka sygnalizujące nadejście kolejnego klienta. Maggie wstała i wysunęła głowę przez drzwi.

- Witam! - zawołała. - Za chwileczkę do pana przyjdę.

- Nie ma pośpiechu - rozległ się głos, który natychmiast rozpoznałam. — Tylko powiedz Auden, żeby przywlokła tu swój tyłek!

Maggie odwróciła się w moją stronę.

- To mój brat — wyjaśniłam, odsuwając krzesło.

- Masz brata?

- Chodź i sama się przekonaj.

Kiedy znalazłyśmy się w sklepie, Hollis stał przy pudle z przece-nionymi o połowę kostiumami kąpielowymi i oglądał uważnie fio-letowe stringi od bikini.

- Nie twój rozmiar - rzuciłam, podchodząc bliżej. - Kolor też nie.

- Szkoda - westchnął. - Moim zdaniem wyglądałbym w tym super, nie sądzisz?

- Myślę, że powinieneś pozostać przy spodenkach - odparłam.

- Tak naprawdę - wtrąciła Maggie — w Europie mężczyźni noszą się bardziej w stylu bikini. Każdego lata zjawia się u nas co najmniej jedna grupa niemieckich turystów ubranych właśnie tak.

- Bez żartów - rzucił w odpowiedzi Hollis. - Tam idzie się po prostu na plażę nudystów. Garnitur niepotrzebny i kropka!

- To jest Maggie - dokonałam prezentacji. - Maggie, to mój brat, Hollis.

- Byłeś na plaży nudystów? - zapytała Maggie. - Serio?

- Jasne, czemu nie? Wiesz, jak to się mówi. Jeśli wszedłeś między wrony... Czy tam kruki. — Wrzucił stringi z powrotem do pudełka. — No jak, Aud, gotowa na maleńki superpóźny lunch albo ekstrawczesną kolację? Tata mówi, że macie tu gdzieś knajpkę ze świetnymi krążkami cebulowymi, których koniecznie muszę spróbować.

- Last Chance — wyjaśniła Maggie. - Na końcu deptaka, po lewej. Polecam grillowane kanapki z tuńczykiem i serem.

Hollis westchnął.

- Uwielbiam je. Tego nie znajdziesz w Europie. Nawet jeśli jesteś nago.

Zerknęłam z powrotem w kierunku biura.

- Tak naprawdę to mam mnóstwo pracy...

- Och, daj spokój! Nie widziałaś mnie dwa lata. — Hollis potrząsnął głową i rzucił w stronę Maggie: - Ta moja siostra. Najwyraźniej tylko ona jedna w naszej rodzinie ma zamiłowanie do roboty.

- Idź — przekonywała mnie Maggie. - Najwyżej potem zostaniesz trochę dłużej albo coś w tym rodzaju.

- Słuchaj się Maggie - przytaknął Hollis. Wymówił jej imię tak swobodnie, jakby znali się od lat. - Nie daj się prosić. Chodźmy zacieśniać więzi.

Na deptaku panował złoty czas popołudnia, kiedy upał jest już wspomnieniem, ale wieczorny chłód nie zdążył jeszcze nadciągnąć. Minęliśmy grupkę kobiet z wózkami, których koła turkotały wesoło na deskach.

- A gdzie Laura? - zapytałam. - Nie lubi krążków cebulowych?

- Uwielbia je - odparł Hollis, zakładając okulary przeciwsłoneczne. - Ale ma trochę pracy. Wiosną zamierza ubiegać się o jakiś grant, więc musi napisać parę artykułów.

- Rany - mruknełam. - Wygląda na ambitną kobietę.

- A jak. Idzie jak burza.

Odchylił głowę do tyłu i zapatrzył się na sznur pelikanów przelatujących po niebie w stronę wody, więc skorzystałam z okazji, żeby przyjrzeć mu się uważniej. A potem powiedziałam:

- Wydaje się naprawdę miła.

- Bo taka jest. - Hollis uśmiechnął się do mnie. - Nie przypomina dziewczyn, z którymi spotykałem się wcześniej, co?

Nie byłam pewna, jak zareagować. Ale zapytał, więc odparłam:

- Nie, nie bardzo.

- Powinnaś słyszeć mamę - rzucił, wybuchając śmiechem. - Przez całe lata suszyła mi głowę, że spotykam się tylko z pustymi, bezmyślnymi latawicami - to oczywiście jej słowa...

- Oczywiście.

- .. a teraz, kiedy zjawiam się z kimś mądrym i naprawdę niesamowitym, zaczyna świrować. Szkoda, że nie widziałaś jej przy kolacji, kiedy Laura opowiadała o swojej pracy. Była taka zazdrosna, że prawie zaczęła pluć jadem.

„Rany” - pomyślałam. A na głos powiedziałam:

- Zazdrosna? Tak myślisz?

- Och, daj spokój, Aud. Wiesz, że mama przyzwyczała się do bycia najmądrzejszą kobietą w towarzystwie. To jej działka. — Poprawił okulary. - Bez przerwy odciągała mnie na bok, powtarzała, że robię błąd, że zbyt szybko zacząłem traktować Laurę poważnie. Jakbym miał ochotę pytać ją o radę w kwestii związków... biorąc pod uwagę tego studenciaka kręcącego się wszędzie i kimającego w samochodzie pod domem jak jakiś psychofan.

- Co takiego?

Hollis zerknął na mnie.

- Och, no wiesz. Sypiała z jakimś magistrantem, on się w niej zadurzył i chciał czegoś więcej, więc go pogoniła, a on kręci się teraz w pobliżu i liże rany.

Przed oczami mignął mi obraz chłopaka w okularach o ciemnych oprawkach, przesiadującego z książką nad basenem. Nie znałam nawet jego imienia.

- Strasznie mi było szkoda gościa - dodał Hollis. - Chociaż Bóg mi świadkiem, że powinien się tego spodziewać. Przecież postąpiła tak nie pierwszy raz.

Chwilę zajęło mi przetrwanie tego wszystkiego, więc skupiłam wzrok na sklepie rowerowym, do którego właśnie się zbliżaliśmy. Widziałam Wallace'a i Adama siedzących na ławce przy wejściu i palących chipsy z jednej paczki.

- Myślisz, że często tak robi?

- Och, Boże, jasne. W każdym razie od czasu rozwodu. — Hollis wsunął ręce do kieszeni, a potem spojrzał na mnie. - To znaczy, wiedziałś o tym, prawda? Nie mogłaś nie wiedzieć...

- Jasne - przytaknęłam szybko. - Jak najbardziej.

Hollis obserwował moją twarz przez chwilę. A potem powiedział:

- Nie żebym miał prawo ją krytykować. Ostatecznie sam byłem kiedyś dokładnie taki jak ona.

I znowu zabrakło mi słów. Jak zareagować, kiedy w końcu słyszy się wszystko to, co się zawsze myślało? Tym razem nie musiałam jednak odpowiadać, bo Adam właśnie nas dostrzegł.

- Hej, Auden! Chodź rozsądzić nasz spór! Hollis popatrzył na niego i Wallace'a.

- Znajomi?

- Aha - przytaknęłam, podczas gdy Adam nie przestawał kiwać na nas ręką. Hollis zrobił zaskoczoną minę, czego starałam się nie traktować zbyt osobiście. — Chodź.

Przedstawiłam chłopakom brata, po czym Adam zeskoczył z ławki i wylądował tuż przed nami.

- Dobra - oświadczył, podnosząc ręce. - W końcu jesteśmy bliscy znalezienia nowej nazwy dla sklepu.

- Co oznacza - wtrącił Wallace zza jego pleców, z ustami pełnymi chipsów - że zawężaliśmy listę możliwości do dziesięciu.

- Dziesięciu? — powtórzyłam.

- Ale tylko pięć ma jakiś sens - dodał Adam. - Więc przeprowadzamy nieformalną ankietę, żeby sprawdzić, komu które się podobają.

Hollis, zawsze zwarty i gotowy, spojrział w górę na pustą markizę nad wejściem.

- A jak nazywa się teraz?

- Sklep Rowerowy - wyjaśnił Wallace. Hollis uniósł brwi. - To tylko tymczasowe.

- Od trzech lat — dorzucił Adam. — Dobra. Lista przedstawia się następująco, kolejność przypadkowa: Odrzutowe Rowery, Gang Łańcuchowy, Bicykle Colby...

Przestałam go słuchać, bo ze sklepu właśnie wyszedł Eli, prowadząc różowy rowerek na czterech kółkach. W wolnej ręce trzymał kask, tuż za nim podążała para z małą dziewczynką.

- ...Korba i Gaz do Dechy - dokończył Adam. - Co myślicie? Hollis nie zastanawiał się długo.

- Gang Łańcuchowy albo Korba — rzucił. — Ta z odrzutowymi jest nudna, Bicykle Colby zbyt ogólne...

- To samo mówiłem! - zawołał Wallace.

- A ten Gaz do Dechy... W ogóle nie wiem, co o tym myśleć. Adam westchnął.

- Nikomu się nie podoba. A została na liście tylko dlatego, że to moja ulubiona nazwa. Auden, a ty jak uważasz?

Ale ja nadal nie odrywałam wzroku od Eliego, który pochylał się nad różowym rowerkiem, poprawiając jeden z pedałów. Dziewczynka, dla której najwyraźniej pojazd był przeznaczony, mały rudzielec w niebieskich szortach i podkoszulku z żyrafą, stała obok z niepewną miną, mocno ściskając rękę mamy.

- Jak już mówiłem - tłumaczył Eli - to bardzo dobry model na początek.

- Córnka chce się nauczyć jeździć - powiedziała mama, gładząc małą po głowie. - Ale trochę się denerwuje.

- Nie ma czym. - Eli wyprostował się, a potem popatrzył na dziewczynkę. - Dodatkowe kółka będą cię podtrzymywać, dopóki nie załapiesz, o co chodzi. Aż wreszcie któregoś dnia po prostu nie będziesz ich potrzebować.

- Ile to zwykle trwa? - zapytał ojciec, facet w baseballowej czapce i skórzanych sandałach. - Jaka jest norma?

- U każdego inna — odparł Eli. - Kiedy przyjdzie czas, sama będzie wiedziała.

- I co powiesz, kochanie? — Zagadnęła kobieta. — Chcesz go wypróbować?

Mała powoli skinęła głową, a potem podeszła bliżej. Patrzyłam, jak Eli wyciąga rękę i pomaga jej wsiąść na rower, a potem zapina pasek kasku pod brodą. Dziewczynka położyła ręce na kierownicy i ostrożnie zacisnęła na niej palce.

- W porządku, słoneczko — powiedział jej tata. — Po prostu pedałuj tak jak na rowerku trzykołowym.

Postawiła stopy na pedałach i niepewnie je nacisnęła, posuwając się do przodu o parę milimetrów, po czym obejrzała się na rodziców, którzy uśmiechem dodawali jej otuchy. A potem spróbowała jeszcze raz. Koła znowu obróciły się odrobinę, tym razem jednak Eli położył rękę z tyłu siodełka i minimalnie popchnął rower do przodu. Dziewczynka nawet tego nie zauważyła, zaciekle pedałując, ale kiedy wreszcie ruszyła na dobre, popatrzyła na Eliego z szerokim uśmiechem.

- Auden?

Odwróciłam głowę. Adam wpatrywał się we mnie z wyrazem wy-czekiwania na twarzy.

- Hm — mruknełam — tak naprawdę żadna z nich mi się nie podoba, jeśli mam być szczerą.

- Nawet Korba? - Adam zmarkotniał. Potrząsnęłam głową.

- Nie bardzo.

- Mówiłem ci, że wszystkie są do bani - rzucił Wallace.

- Jemu dwie się podobały! - odciął się Adam.

- Właściwie to tak sobie - wyznał Hollis. - Adam opadł z westchnieniem na ławkę, a ja pomachałam im na

pożegnanie, po czym wreszcie ruszyliśmy z bratem do Last Chance. Ale po kilku krokach znowu obejrzałam się na dziewczynkę. Po tamtej początkowej pomocy naprawdę ruszyła do przodu i zdążyła minąć dwa sklepy, tak że znalazła się prawie przed Clementines. Jej mama szła nieco z tyłu, blisko, ale nie za bardzo, podczas gdy córka powoli podążała naprzód, zupełnie samodzielnie.

Choć raz w Last Chance nie było tłoku i bez czekania dostaliśmy boks przy oknie. Kiedy Hollis zabrał się do studiowania menu, ja wyjrzałam na deptak, żeby popatrzeć na przechodniów.

- Słuchaj, Aud - zaczął po chwili mój brat. - Będę szczerzy, naprawdę cieszę się, że to zrobiłaś.

Spojrzałam na niego.

- Ale co?

- To - rzucił, zataczając ręką. — Wyjechałaś na wakacje, zaczęłaś chodzić na imprezy, znalazłaś przyjaciół. Martwiłem się, że spędzisz to lato tak jak wszystkie inne.

- Jak wszystkie inne? - powtórzyłam.

- No wiesz. - Sięgnął po szklanke i upił łyk wody. - Będiesz przesiadywać w domu z mamą, dolewać wina do kieliszków na jej kolacyjkach dla snobów, uczyć się do zajęć, które nawet się nie zaczęły.

Poczułam, jak cała sztywnieję.

- Nigdy nikomu nie dolewałam wina.

- Ale chwytasz klimat. — Hollis uśmiechnął się do mnie, najwyraźniej nieświadomy tego, że mógł mnie obrazić. Albo przynajmniej zranić moje uczucia. - Chodzi mi o to, że tutaj jesteś inna.

- Hollis, przyjechałam zaledwie miesiąc temu.

- Mnóstwo rzeczy może się wydarzyć w ciągu miesiąca - odparł. — Do licha, w dwa tygodnie zdążyłem poznać moją przyszłą żonę, pchnąć swoje życie na zupełnie nowe tory i kupić pierwszy krawat.

- Kupiłeś krawat?! - zdziwiłam się. Bo szczerze mówiąc, ta informacja chyba najbardziej mnie zaszokowała.

- Aha. - Roześmiał się. - Ale poważnie. Kiedy cię tu widzę, z przyjaciółmi... jestem naprawdę szczęśliwy.

- Hollis... - zaczęłam. Znowu czułam się niezręcznie, z wielu powodów. O mojej rodzinie dało się powiedzieć wiele, ale nie to, że jest sentymentalna. - Daj spokój.

- Mówię serio! — Hollis popatrzył na menu, a potem znowu na mnie.

- Posłuchaj, Aud. Wiem, że bardzo przeżyłaś rozwód. A późniejsze życie z mamą na pewno okazało się jeszcze trudniejsze. Nasza matka nie za bardzo nadaje się do wychowywania dzieci.

— Nie byłam dzieckiem - zaprotestowałam. - Miałam szesnaście lat.

— Dla rodziców zawsze jest się dzieckiem — odparł. — Chyba że sami zachowują się jak dzieci. Wtedy nie ma się wyjścia. Wiesz, o czym mówię?

Nagle uświadomiłam sobie, że rzeczywiście wiem. I chyba rozumiałam, dlaczego mój brat wyjechał na tak długo, tak daleko, żeby dzielił go od nas ocean. W przeciwieństwie do większości rodzin, w naszej trzeba było opuścić dom, żeby cieszyć się dzieciństwem. To powrót sprawiał, że człowiek stawał się dorosły raz na zawsze.

Kiedy o tym myślałam, deptakiem przemknęli na rowerach Adam i Wallace, klucząc między przechodniami.

— A propos - rzucił Hollis — wcale nie jest za późno.

— Za późno na co?

— Żeby nauczyć się jeździć na rowerze. - Ruchem głowy wskazał sklep. — Założę się, że twoi przyjaciele mogliby ci pomóc.

— Umie jeździć na rowerze — obruszyłam się.

— Tak? A kiedy się nauczyłaś? Zgromiłam go wzrokiem.

— Kiedy miałam sześć lat — wydusiłam w końcu. — Na naszym podjeździe.

Zamyślił się na chwilę.

— Jesteś pewna?

— Oczywiście, że tak.

— Bo ja pamiętam tylko, że dostałaś rower, od razu z niego spadłaś, a potem leżał w garażu i powoli rdzewiał, aż wreszcie tata go komuś oddał.

— To wcale nie było tak. Dotarłam aż do końca podjazdu.

— Naprawdę? - Hollis zmrużył oczy, intensywnie myśląc. - No cóż, pewnie masz rację. Bóg mi świadkiem, że w ciągu ostatnich kilku lat wykończyłem parę szarych komórek.

To prawda - nie ulegało wątpliwości, czyja pamięć w przypadku nas dwojga zasługuje na większe zaufanie. I czyż nie ja sama najlepiej znałam własną historię? Mimo wszystko nawet kiedy składaliśmy zamówienie, nie potrafiłam przestać myśleć o tym, co powiedział.

Paplał na temat Laury, Europy, a ja słuchałam jednym uchem, sięgając pamięcią daleko, daleko w przeszłość, do tamtego dnia na podjeździe. Wspomnienie było tak wyraźne - wspięcie się na siodełko, naciśnięcie na pedały, jazda do przodu - że to musiała być prawda. Na pewno.

dwanaście

- WIEŚĆ niesie - oznajmiła matka w swój oficjalny, chłodny sposób - że się zmieniłaś.

Wyjęłam z ust szczoteczkę do zębów i rzuciłam z niepokojem:

- Zmieniłam?

Ostatnio zawsze dzwoniła w okolicach piątej, akurat kiedy ja się budziłam, a ona kończyła pracę. Chciałam wierzyć, że to dlatego że za mną tęskni albo ponieważ uświadomiła sobie wreszcie, jak ważna dla niej jestem. Ale wiedziałam, że tak naprawdę potrzebowała kogoś, kto wysłucha, jak wylewa swój żal na Hollisa, który wrócił do domu i znowu działał jej na nerwy, nadal szaleńczo zakochany w Laurze.

- Na lepsze, jeśli o to pytasz - dodała, chociaż jej ton sugerował brak przekonania. - Zdaje się, że twój brat użył dokładnie słowa „rozkwitła”.

Spojrzałam na swoje odbicie w lustrze: *włosy* miałam potargane, na ustach resztki pasty, a na sobie ten sam podkoszulek z dekoltem w szpic, w którym szalałam ostatniej nocy w kręgielni, cały przesiąknięty papierosowym dymem. Ładny ze mnie kwiatek.

- Cóż — powiedziałam - to miłe. Chyba.

- Twoje życie towarzyskie zrobiło na Hollisie ogromne wrażenie. Najwyraźniej masz teraz tłumy przyjaciół i chłopaka na poważnie?

Fakt, że tę ostatnią część ujęła w pytanie, świetnie oddawał to, co osobiście sądziła na ten temat.

- Nie mam chłopaka - obruszyłam się.

- Tylko kolegę, z którym spędzasz noce. - Tym razem było to stwierdzenie.

Znowu spojrzałam na swoje odbicie w lustrze.

- Aha - rzuciłam. - To by się zgadzało.

Do wielu zmian, jakie zaszły w moim bracie, należała i ta, że Hollis stał się rannym ptaszkiem — Hollis, który zawsze sypiał do południa - oraz fanem porannych przebieżek. Oboje z Laurą truchtali codziennie o wschodzie słońca, a potem wracali do domu, żeby ćwiczyć jogę i medytować. Chociaż najwyraźniej Hollis wcale nie angażował się szczególnie w powtarzanie *om* i *namaste*. Gdy tylko rankiem po swoim przyjeździe usłyszał, że wracam do domu, natychmiast przyszedł sprawdzić, co się dzieje.

- Auden Penelope West - rozpoczął kazanie, kiwając na mnie palcem, kiedy ostrożnie zamykałam za sobą drzwi. - Gdzie ty się szlajasz nocami, wstydz się!

- Nie mam powodu - rzuciłam, chociaż w głębi ducha wolałabym, żeby mówił ciszej.

- A cóż to za młodzieniec cię odwozi? - zapytał Hollis, odsuwając firankę, żeby zerknąć na Eliego, który akurat wycofywał auto z podjazdu. — Nie powinien przypadkiem się przedstawić, poprosić o moją zgodę, zanim rozpocznie starania o ciebie?

Popatrzyłam na niego bez słowa. Z salonu dobiegał monotony śpiew Laury.

- Moja mała siostrzyczka - rzucił Hollis, kręcąc głową - spędza całą noc poza domem, z chłopakiem. A jeszcze wczoraj bawiłaś się lalkami Barbie i skakanką.

- Hollis, proszę cię - jęknęłam. - Mama uważa Barbie za symbol szowinizmu, a skakanek nikt nie używa od lat pięćdziesiątych.

- Po prostu nie mogę w to uwierzyć - ciągnął Hollis, nie zwracając uwagi na moje protesty. - Tak szybko dorastasz. Zanim się obejrzę, będziesz mężatką z dzieckiem na rękach.

Zignorowałam tę uwagę i wyminąwszy go, ruszyłam w stronę schodów, ale to Hollisa nie powstrzymało, ani wtedy, ani w kolejne poranki. Zawsze na mnie czekał i otwierał mi drzwi, zanim zdążyłam sięgnąć do klamki. Któregoś dnia, kiedy podjechaliśmy pod dom, siedział nawet na ganku, w ten sposób zmuszając mnie do przedstawienia mu Eliego i pogawędki we troje.

- Miły chłopak - podsumował, kiedy w końcu go odciągnęłam,. - Ale skąd ma te blizny na ramieniu? -

- Wypadek samochodowy - wyjaśniłam.

- Naprawdę? A co się stało?

- Właściwie to sama niewiele wiem.

Hollis rzucił mi powątpiewające spojrzenie, po czym otworzył przede mną drzwi frontowe.

- To chyba trochę dziwne, jeśli wziąć pod uwagę, ile czasu spędzacie razem.

Wzruszyłam ramionami.

- Nie bardzo. Po prostu nie było okazji o tym pogadać. Widziałam, że mi nie uwierzył, ale mało mnie to obchodziło.

Dawno temu przestałam czuć potrzebę tłumaczenia komukolwiek, nawet sobie, jakie relacje łączą mnie z Elim. To nie była jedna rzecz, ale wiele powiązanych spraw: bezsenne noce, wyprawy do Park Mar-tu i sklepu budowlanego, ciasto u Clyde'a, kręgle nad ranem i moja misja. Nie rozmawialiśmy o bliznach, tych, które można dostrzec gołym okiem, i tych niewidocznych. Zamiast tego bawiłam się i szalałam za wszystkie czasy, noc po nocy.

Matka upiła kolejny łyk wina, a ja wyszłam z łazienki i ruszyłam z powrotem do swojej sypialni. Drzwi pokoju Thisbe były lekko uchylone, dobiegał zza nich miarowy szum fal rozbijających się o brzeg. Wciąż od nowa.

- No cóż - zauważyła mama - szczerze mówiąc, cieszę się, że nie angażujesz się w żadne związki. Ostatnia rzecz, jakiej ci trzeba przed wyjazdem do Defriese, to jakiś chłopak błagający cię, żebyś została. Mądra kobieta wie, że przelotny romans to najlepsze rozwiązanie.

Był taki czas, kiedy myśl, że matka może uznać nas za podobne, sprawiłaby mi przyjemność. Nawet tego pragnęłam. Teraz jednak poczułam dziwne ukłucie w sercu. To, co łączyło mnie z Elim, w ogóle nie przypominało jej związków ze studentami.

Zmieniłam temat, pytając:

- Jak tam Hollis? Westchnęła ciężko, przeciągle.

- Oszalał. Kompletnie oszalał. Wiesz, co wyprawiał, kiedy wróciłam wczoraj do domu?

- Nie mam pojęcia.

- Założył krawat. - Odczekała chwilę, żebym pojęła ogrom tragedii, po czym dodała: - Zmusiła go do pójścia na rozmowę w sprawie pracy, i to w banku. Twojego brata, który w zeszłym roku o tej porze mieszkał w namiocie na zboczach góry w Niemczech!

W tym okresie aż nazbyt łatwo było odwrócić uwagę mamy od moich spraw. Jedna wzmianka o Hollisie wystarczyła, żeby ją nakręcić.

- W banku - powtórzyłam za nią. - I kim tam będzie, kasjerem czy kimś takim?

- Och, nie wiem - rzuciła poirytowana. - Z przerażenia nawet nie pytałam. Wyjaśnił mi jednak z własnej inicjatywy, że zdaniem Laury stałe zajęcie pomoże mu stać się „bardziej odpowiedzialnym” i „lepiej przygotowanym do ich wspólnej przyszłości”. Jakby to było coś dobrego. Moim zdaniem to nawet nie związek, to ich patologiczna relacja. Nie wiem, jak to w ogóle nazwać.

- Może po prostu trele-morele - rzuciłam bez namysłu.

- Co takiego?

„Za późno” uświadomiłam sobie.

- Nie, nic — zapewniłam mamę.

Usłyszałam kroki, więc wyjrzałam na korytarz. Tata i Heidi akurat szli po schodach. Na pierwszy rzut oka dało się zauważyć, że oni też toczą ożywioną dyskusję - tata, wyraźnie zdenerwowany, wymachiwał rękami, podczas gdy Heidi tylko potrząsała głową. Ostrożnie zamknęłam drzwi i przełożyłam telefon do drugiego ucha.

- .. idiotyczne - mówiła akurat mama. - Dwa lata poznawania różnych kultur i podróży - i na co to wszystko? Żeby siedzieć za biurkiem i przez cały boży dzień zajmować się lokatami? To takie przygnębiające.

Naprawdę miała smutny głos. Mimo to nie mogłam się powstrzymać, żeby nie zauważyć:

- Mamo, większość ludzi w wieku Hollisa ma stałą pracę. Zwłaszcza jeśli się nie uczą.

- Nie wychowałam was, żebyście byli tacy jak wszyscy — odparła. - Jeszcze o tym nie wiesz?

Przez głowę przemknęło mi wspomnienie wizyty w dziale zabawek Park Marcie. Eli zatrzymał się przy stoisku z gumowymi piłkami, po czym wyciągnął jedną i zaczął odbijać ją o podłogę:

- O, tak - powiedział. - Słyszysz to?

- Odgłos odbijania?

- To coś więcej - wyjaśnił — niż tylko odgłos odbijania. To odgłos nadciągającego bólu.

Popatrzyłam na piłkę, poruszającą się w górę i w dół pod jego otwartą dłoń.

- Bólu?

- W zbijanym — wyjaśnił. — Albo w kickballu, nie wiem, czy grałaś w niego tak jak my.

- Chwileczkę! - Uniosłam rękę. - Grałam w zbijaka. I kickball.

- Serio? - Kiwnęłam głową. - Jestem pod wrażeniem. Przecież to nie są sporty uprawiane pod dachem.

- Och, właściwie to graliśmy w szkolnej sali gimnastycznej. - Eli uniósł brwi. — No co? Gra pozostaje ta sama. .;

- Niestety nie - rzucił w odpowiedzi.

- Daj spokój.

- Serio. Są reguły szkolne i reguły ulicy, które bardzo się od siebie różnią.

- Kto tak twierdzi?

- Każdy, kto grał w oba rodzaje - odparł Eli, rzucając piłkę z powrotem na stos. - Możesz mi wierzyć.

Mama pociągnęła kolejny łyk wina.

- Och, prawie bym zapomniała — powiedziała. — Przyszedł do ciebie list. Z Defriese. Informacje organizacyjne, jak przypuszczam. Chciałabyś, żebym go otworzyła?

- Jasne - odparłam. - Dzięki.

Usłyszałam odgłos rozdieranego papieru, potem szelest kartek.

- Tak jak przypuszczałam - westchnęła matka. - Informacje o wyżywieniu, uaktualniony wykaz zajęć, kwestionariusz dotyczący za

kwaterowania... który najwyraźniej należy odesłać do końca tego tygodnia.

- Naprawdę?

- Na miłość boską! - jęknęła. - To prawie jak test zgodności w biurze matrymonialnym. „Jakie rozrywki preferujesz?“, „Jesteś raczej pracoholikiem czy masz swobodne podejście do nauki?“. Co to ma być, studia czy randki internetowe?

- Po prostu włóż wszystko do poczty dla mnie — poprosiłam. — Odeślę to najszybciej, jak będę mogła.

- A jeśli się spóźnisz, pewnie wylądujesz w jednym pokoju z jakąś „swobodną“, rozrywkową współlokatorką. Lepiej wypełnić to od razu - wymamrotała. — Och, momencik. Jest jeszcze druga strona, gdzie możesz wystąpić o „inne formy zakwaterowania“.

- Czyli?

Przez chwilę mama milczała, zajęta lekturą. A potem powiedziała:

- Są oddzielne piętra, a nawet całe akademiki dla osób o określonych zainteresowaniach, takich jak języki obce czy sporty. Niech no tylko... aha. Idealny.

Usłyszałam skrzyp pióra na papierze.

- Co jest idealne?

- Program Pembleton - odparła. - Właśnie cię tam zapisałam.

- Co takiego?

Matka odchrząknęła, a potem zaczęła czytać na głos:

- Zorganizowany w domu studenckim z dala od głównego kampusu Program Pembleton zapewnia studentom z najlepszymi wynikami otoczenie poświęcone wyłącznie nauce. Dzięki jednoosobowym pokojom, dostępnym na miejscu materiałom do pracy oraz bliskości obu bibliotek członkowie Pembleton mogą skupić się na pracy, nierozpraszeni przez zwyczajowe zakłócenia życia akademickiego.

- Co oznacza...

- Zero współlokatorek, zero imprez, zero bzdur. Tego właśnie potrzebujesz.

- Hm... - mruknęłam. — No nie wiem. Brzmi trochę restrykcyjnie, nie sądzisz?

- A skąd - odparła. - Nie będziesz się musiała użerać z pijanymi chłopakami z bractw studenckich i plotkującymi dziewczynami, w których buzują hormony. Idealne otoczenie. Teraz tylko wpiszę tu twoje nazwisko i możemy...

- Nie rób tego - zaprotestowałam szybko. Czułam jej zdumienie, widziałam ją po tamtej stronie słuchawki, jak siedzi z piórem w ręku i uniesionymi brwiami. - Właściwie nie jestem pewna, czy mam ochotę tam mieszkać.

Zapadła cisza, a potem matka wycedziła:

- Auden, zdaje się, że nie rozumiesz, jak niekomfortowe może być mieszkanie w normalnym akademiku. Są ludzie, którzy idą na studia wyłącznie ze względów towarzyskich. Naprawdę chcesz znaleźć się w jednym pokoju z kimś takim?

- Nie - odpowiedziałam. - Ale nie mam też zamiaru spędzać każdej sekundy na nauce.

- Och! - rzuciła bezbarwnym głosem mama. - To pewnie jeszcze jeden element twojego „rozwoju”? Nagle studia przestały być ważne, teraz liczą się tylko chłopcy, koleżanki i ciuchy?

- Oczywiście, że nie. Ale... Usłyszałam jej głośnie westchnienie.

- Powinam była wiedzieć, że lato spędzone w towarzystwie Heidi tak na ciebie podziała - uznała. - Poświęciłam osiemnaście lat na nauczenie cię, jakie to istotne, żeby zawsze traktować siebie poważnie, a ty w ciągu paru tygodni zaczynasz nosić różowe bikini i szaleć za chłopakami.

- Mamo! Tu nie chodzi o Heidi.

- Nie - rzuciła. - Tylko o twój nagły brak determinacji i celu. Jak mogłaś sobie na coś takiego pozwolić?

W tym momencie pomyślałam o ojcu przypisującym wszystkie moje osiągnięcia imieniu, które dla mnie wybrał. Wszystko, co dobre, to ich zasługa, a co złe - moja wina. Przygryzłam wargę.

- Wcale się nie zmieniłam — wyjaśniłam. - Taka właśnie jestem. Cisza. I już wiedziałam - podobna możliwość wydawała się jej znacznie gorsza od chłopaków z bractw studenckich czy różowego bikini.

— No cóż, po prostu prześlę ci wszystko. - Matka wciągnęła głęboko powietrze, wyniosła, oficjalna. — Sama podejmiesz decyzję.

Przełknęłam ślinę.

— W porządku.

Przez chwilę obie milczałyśmy. Zastanawiałam się, co dalej. Jak możemy wycofać się z tego impasu, wypełnić tę ogromną przepaść, która ziała między nami. Musiały istnieć miliony sposobów na załagodzenie sytuacji, co do tego nie miałam wątpliwości, ale mama zaskoczyła mnie, nie wybierając żadnego z nich. Po prostu się rozłączyła, pozostawiając mnie z tym jednym kliknięciem, ostatnim słowem i kompletną pustką w głowie.

* * *

Kłótnie najwyraźniej były zaraźliwe, bo kiedy dwadzieścia minut później wychodziłam do pracy, z pokoiku Thisbe zamiast szumu fal dobiegały odgłosy awantury.

— Oczywiście, że należy ci się wypad do miasta - mówił ojciec. - Po prostu nie wiem, czy dzisiejszy wieczór to dobry moment, nic więcej.

— A czemu niby miałby być niedobry? - zapytała Heidi. W tle słyszałam Thisbe. — Wrócę, żeby nakarmić małą o dziewiątej...

— O dziewiątej! Jest dopiero wpół do szóstej!

— Robert, wybieramy się na koktajl i kolację...

— Gdzie? Do Stambułu? - rzucił ojciec. - Nie ma mowy, żeby to trwało aż trzy i pół godziny.

Zapadła długa cisza. Mogłam sobie wyobrazić wyraz twarzy Heidi. Potem ojciec dodał:

— Kochanie, chcę, żebyś się rozerwała. Ale minęły wieki, odkąd byłem sam z noworodkiem przez tak długi czas, i po prostu...

— Thisbe nie jest noworodkiem. A poza tym to twoja córka. - Thisbe zagulgotała, jakby przytakując mamie. - Wychowałeś dwoje wspólnych dzieci. Poradzisz sobie. A teraz zabierz małą, żebym mogła przygotować się do wyjścia.

Usłyszałam, że ojciec mówi coś jeszcze, ale drzwi zaczęły się otwierać, więc rzuciłam się do przodu, żeby zniknąć z pola widzenia. Najwyraźniej za wolno.

- Auden? - zawołał ojciec. — Mogłabyś...

- Nie, nie mogłaby — rzuciła przez ramię Heidi, a potem pchnęła mnie lekko. - Idź. Ojciec sobie poradzi.

Kiedy dotarliśmy do schodów, obejrzałam się na nią. Zamiast Heidi w dresie, z kucykiem i z wiecznie podkrążonymi oczami, do której widoku przywykłam, miałam przed sobą zupełnie inną kobietę. Włosy gładko zaczesane, staranny makijaż, ciemne dżinsy, buty na obcasie i obcisły czarny top, do tego srebrny naszyjnik z kluczykiem wysadzany czerwonymi kamykami. Ten ostatni element rozpoznałam bez trudu - identyczne błyskotki pojawiły się w sklepie w zeszłym tygodniu i kupowało je mnóstwo klientek.

- Kurczę! - westchnęłam z podziwem. - Wyglądasz super.

- Tak sądzisz? - Heidi obrzuciła spojrzeniem swoje ubranie. - Nie nosiłam tych rzeczy od tak dawna, że nie wiedziałam, czy będą jeszcze pasować. Ale zdaje się, że stres pozwala spalić mnóstwo kalorii.

W głębi korytarza słychać było, jak Thisbe zaczyna popłakiwać. Heidi spojrzała w tamtą stronę, a potem obróciła się na pięcie i ruszyła w stronę swojej sypialni. Poszłam za nią i wsparta o drzwi patrzyłam, jak sięga po leżącą na łóżku torebkę.

- Muszę przyznać - zauważyłam, kiedy grzebała w środku, żeby w końcu wyciągnąć błyszczak do ust - że wydajesz się teraz zupełnie inna. I nie chodzi wyłącznie o ciuchy.

Thisbe płakała już na cały głos. Heidi przygryzła wargę, a potem zdjęła nakrętkę i zaczęła się malować.

- Masz rację - odparła. - Ja po prostu... zrozumiałam w trakcie tych ostatnich kilku tygodni, że potrzebuję czasu dla siebie. Ostatnio był to częsty temat naszych rozmów.

- Twoich i taty?

- Moich i Karen.

- Naprawdę? - zdumiałam się.

Heidi skinęła głową i wrzuciła błyszczak z powrotem do torebki.

- Od początku po urodzeniu małej miałam wątpliwości, czy prosić twojego tatę o pomoc. Przyzwyczaiałam się do robienia wszystkiego samodzielnie, zresztą on też nie wyrywał się za często z takimi propozycjami.

- W ogóle tego nie robił - uściśliłam.

- Dopiero Karen mi uzmysłowiła, że przecież świetnie poradził sobie z tak wspaniałą dwójką jak ty i twój brat. Powiedziała, że do robienia dzieci potrzeba dwojga i przynajmniej tyle samo do ich wychowywania. Zwykle więcej - dodała z uśmiechem Heidi. - Kazała mi obiecać, że w końcu wyjdę gdzieś z przyjaciółkami. Ale ja wciąż się wahałam, dopóki Laura nie powiedziała mi mniej więcej tego samego. Uznałam, że obie z Karen nie mogą się mylić.

Patrzyłam, jak sprawdza fryzurę przed lustrem, poprawiając niesforne pasmo z przodu.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że tak świetnie dogadywałyście się z Laurą, kiedy była tu z Hollisem.

- Och, na początku właściwie w ogóle ze sobą nie rozmawialiśmy - odparła Heidi, sięgając po torebkę. — Szczerze mówiąc, ta dziewczyna mnie przerażała. Niezbyt przyjacielsko nastawiona, rozumiesz, co mam na myśli?

Skinęłam głową.

- Jasne.

- Ale potem w noc przed ich wyjazdem siedziałam do późna z Thisbe, a ona zeszła napić się wody. Na początku tylko nam się przyglądała, aż w końcu zapytałam ją, czy nie chciałaby potrzymać małej. Przytaknęła, więc podałam jej Thisbe i zaczęłyśmy rozmawiać. Jest o wiele fajniejsza, niż się w pierwszej chwili wydaje.

- Powinnaś to powiedzieć mojej mamie - rzuciłam. - Ona nienawidzi Laury.

- To jasne, w końcu są do siebie takie podobne. Obie mają w sobie coś z zimnej, podejrzliwej wobec innych jędzy. Zupełnie jak dwa odpychające się magnesy.

Pomyślałam o swojej rozmowie z matką sprzed zaledwie paru minut, o jej ostrym, pełnym pogardy tonie. Skoro nie stanowiłam jej wiernego odbicia, wcale nie miała ochoty poznawać mnie bliżej.

- Więc uważasz, że moja mama też jest fajniejsza, niż się wydaje? — Oczywiście. Musi taka być.

— Dlatego że...

Heidi spojrzała na mnie.

- Dlatego że wychowała kogoś takiego jak ty. I Hollis. A poza tym przez długi czas kochała waszego ojca. Naprawdę zimne jędrze nie są do tego zdolne.

- A do czego są?

- W końcu zawsze zostają same. Uniosłam brwi.

- Jak na mój gust całkiem sporo na ten temat wiesz.

- Fakt - rzuciła. - Może dlatego, że kiedyś sama taka byłam.

- Ty? - zdziwiłam się. — Niemożliwe. Heidi uśmiechnęła się szeroko.

- Któregoś dnia wszystko ci opowiem. Ale teraz muszę pędzić, by ucałować moją córeczkę i spróbować wyjść bez załamania nerwowego. W porządku?

Kiwnęłam głową, ale nie ruszyłam się z miejsca, nadal próbując to wszystko ogarnąć. A tymczasem Heidi przystanąła jeszcze na moment i cmoknęła mnie w czoło, po czym odeszła, pozostawiając za sobą zapach perfum. Może tym całusem chciała zaakcentować swoje słowa. Albo po prostu zadziałał instynkt. W każdym razie było to zaskakujące. Chociaż nie tak bardzo jak fakt, że jej wylewność wcale mi nie przeszkadzała, ani trochę.

* * *

Kiedy wieczorem szłam po pracy do Gas/Gro, za plecami usłyszałam pomruk silnika nadjeżdżającego samochodu, a chwilę później u moich stóp wylądowała z plaśnięciem gazeta.

Popatrzyłam na nią, a potem na Eliego, który właśnie hamował przy krawężniku.

- A więc teraz rozwozisz prasę? - Podniosłam gazetę, kątem oka dostrzegając cały stos upchnięty na tylnym siedzeniu auta.

- Ściśle rzecz biorąc — odparł-Eli - rozwozi je mój kumpel Roger. Ale akurat dopadła go grypa, więc mu pomagam. Poza tym pomyślałem, że to może pasować do twojej misji.

- Dostarczanie gazet?

- Jasne. - Zatrzymał auto i gestem ręki zaprosił mnie do środka. A kiedy wsunęłam się na fotel pasażera, dodał: — To taki rytuał

inicjacyjny. Moją pierwszą pracą było rozwożenie rowerem „Colby Coupon Clipper”.

- Ja też robiłam różne rzeczy - pochwaliłam się. - Tak? A jakie?

- W jedne wakacje pracowałam dla wykładowcy z wydziału literatury angielskiej, pomagałam mu przy opracowywaniu bibliografii do książki - wyjaśniłam. - Potem byłam sekretarką u księgowego mojej mamy. A cały ostatni rok prowadziłam kursy przygotowujące do egzaminów w Huntsinger.

Szczerze mówiąc, zawsze uważałam, że to całkiem imponujące CV. Ale Eli rzucił mi obojętne spojrzenie.

- Z całą pewnością potrzebujesz posady gazeciarza - powiedział w końcu, wciskając pedał gazu. - Przynajmniej na jedną noc.

Tym sposobem po wizycie w pralni i Park Mart dotarliśmy do części miasteczka tuż za moło. Jechaliśmy powoli, ze stosem gazet między nami, z listą prenumeratorów u Eliego pod ręką. Było tuż po drugiej.

- Sto dziesięć - zakomenderował Eli, ruchem głowy wskazując piętrowy dom po prawej. - Wszystko zależy od ciebie.

Sięgnęłam po gazetę, a potem zamachnęłam się porządnie i cisnęłam ją w stronę podjazdu. Rulon uderzył o krawężnik, odbił się, po czym zniknął w stercie skoszonej trawy.

- Oj! - jęknęłam. Eli zatrzymał samochód, a ja czym prędzej wyskoczyłam, podniosłam gazetę i rzuciłam ją ponownie, tym razem celniej, bo trafiłam w skraj podjazdu. - To trudniejsze, niż się wydaje - stwierdziłam po powrocie do auta.

- Jak większość rzeczy — odparł Eli. Po czym chwycił kolejną i posłał ją idealnym łukiem w kierunku domu po drugiej stronie ulicy. Oczywiście wylądowała dokładnie na podeście schodów od frontu, doręczycielska wersja strzału w dziesiątkę. A kiedy zdumiona popatrzyłam na niego bez słowa, tylko wzruszył ramionami.

- „Colby Coupon Clipper”, mówiłem ci. Dwa lata.

- Mimo wszystko - mruknęłam. Mój następny rzut był lepszy, choć nadal niezbyt celny. Gazeta wylądowała na trawniku i znowu

musiałam wysiąść, żeby przenieść ją w bezpieczniejsze, mniej wilgotne miejsce. - O rany, ale jestem w tym kiepska.

— To twoja druga próba - zauważył Eli, zanim wykonał kolejny idealny rzut, tym razem w stronę jednorodzinnego domku z flamin-
giem z różowego plastiku ustawionym od frontu.

— Mimo wszystko - powtórzyłam.

Czułam na sobie jego spojrzenie, kiedy mocno skoncentrowana rzucałam kolejną gazetę. Trafiła w schody (świetnie), ale potem odbiła się i wylądowała w pobliskich krzakach (mniej świetnie). Kiedy wydobyłam ją z zarośli i wróciłam do auta z patykami we włosach, moja frustracja musiała być oczywista.

- Wiesz co - pocieszał Eli, ciskając następną prosto na podest schodów, plask! - nie ma nic złego w tym, że nie jest się świetnym we wszystkim.

— To tylko rozwożenie gazet.

-Więc? sri

- Więc — ciągnęłam, podczas gdy on znowu wykonywał idealny rzut - nie przeszkadza mi, że nie poradziłabym sobie z fizyką kwantową. Albo z chińskim. Bo to rzeczy trudne, wymagające sporego nakładu pracy.

Obserwował bez słowa, jak po raz kolejny nie trafiam w podjazd. Chybiając celu o jakiś kilometr. Kiedy zaś ponownie pojawiłam się w samochodzie, zauważył:

— A najwyraźniej to nie jest wymagająca umiejętność.

- To co innego - wyjaśniłam. - Posłuchaj, odnoszenie sukcesów to moja specjalność, jasne? Jedyne, w czym kiedykolwiek byłam dobra.

- Jesteś dobra w osiągnięciu świetnych wyników - uściślił.

- Jestem dobra w nauce - odparłam, rzucając kolejną gazetę i trafiając minimalnie lepiej. - Dlatego że nigdy nie potrzebowałam w to angażować innych ludzi. Byłam tylko ja i dany temat.

— Siedziałas w domu, zajęta pracą — dodał.

Rzuciłam mu ponure spojrzenie, ale jak zwykle to go nie zniechęciło. W ogóle się nie przejął. Po prostu wręczył mi następną ga-

zetę. Wylądowała na podjeździe, nieco za bardzo na lewo, ale Eli i tak nie zahamował.

- Życie to pasmo niepowodzeń — powiedział, ciskając nowy rulon w kierunku kolejnego piętrowego domu, zanim skręcił za róg. — Czasami coś po prostu musi się nam nie udać. To nieodzowna część ludzkiej egzystencji.

- Mnie się nie udało - powiedziałam.

- Tak? A co?

Przez chwilę miałam pustkę w głowie, nie rozmawiałam na podobne tematy.

- Mówiłam ci, jeśli chodzi o życie towarzyskie, moje doświadczenia to jedna wielka porażka.

Skręcił w boczną uliczkę i rzucił jeszcze kilka gazet.

- Ale nie poniosłaś jej, próbując zostać królową balu.

- No cóż - powiedziałam - nigdy nie marzyłam o byciu królową balu czy tego typu rzeczach.

- W takim razie nie przegrałaś. Po prostu nie podjęłaś próby. A to różnica.

Zamyśliłam się nad jego słowami. Mijaliśmy kolejne pogrążone w ciemnościach domy, ale Eli nie podawał mi gazet, wszystkie rzucał sam.

- A co z tobą w takim razie? — zapytałam. - W czym poniosłeś klęskę?

- Należałoby raczej spytać — odparł, zwalniając przed znakiem stopu - w czym jej nie poniosłem.

- Akurat.

Skinął głową, a potem podniósł rękę i zaczął odliczać, zaginając kolejne palce.

- Algebra. Football. Lacey McIntyre. Jazda na desce i rampa.

- Lacey McIntyre?

- Ósma klasa. Całymi miesiącami zbierałem się na odwagę, żeby zaprosić ją na imprezę, a ona po prostu spuściła mnie po brzytwie. W stołówce, na oczach wszystkich dzieciaków.

-Au.

- No właśnie. - Znowu skręcił, tym razem w wąską uliczkę z zaledwie kilkoma domami. Kolejne rulony upadły na podjazd z głośnym „plask”. — Wygrana z ojcem Belissy, który nadal mnie nienawidzi. Przekonanie młodszego brata, żeby nie był takim głupkiem. Nauka naprawy własnego auta.

- Rany. Naprawdę długa lista.

- Mówiłem. Jestem świetny w byciu kiepskim. Zerknęłam na niego, kiedy dotarliśmy do kolejnego znaku stop.

- Więc nigdy się nie zniechęcasz.

- Oczywiście, że się zniechęcam. Porażki to nic miłego. Ale i tak są lepsze niż ta druga opcja.

-Jaka?

- Niepodejmowanie próby. - Teraz popatrzył mi prosto w twarz. — Życie jest krótkie, sama rozumiesz.

Nigdy nie poznałam Abe'a. Nie słyszałam nawet zbyt wiele na jego temat, poza tym, co powiedziały mi Maggie i Leah. Mimo to nagle, w tej jednej chwili, poczułam jego obecność. Zupełnie jakby siedział tuż koło mnie, krążył po mieście razem z nami. Może był tu przez cały czas.

Eli skręcił ponownie, a ja naraz zorientowałam się, że otoczenie wygląda znajomo. Jechaliśmy ulicą, przy której mieszkali tata i Heidi. Ich dom zbliżał się szybko, i to od mojej strony. To musiał być znak. Sięgnęłam po kolejną gazetę.

- W porządku — zakomunikowałam. - Ten jest mój. Odchyliłam dłoń, starając się wykorzystać łokieć jako dźwignię,

tak jak zaobserwowałam to u Eliego. Tym razem celowałam nie w podjazd, a w ganek. Budynek był coraz bliżej i bliżej, aż wreszcie we właściwym momencie wypuściłam papierowy pocisk, a potem patrzyłam, jak leci łukiem wysoko ponad trawnikiem... żeby wylądować z plaśnięciem na przedniej szybie priusa Heidi. Eli zahamował.

- Wiem, że to rodzina - powiedział - ale ten rzut wymaga poprawki.

Wyskoczyłam z auta - znowu — i poszłam po gazetę. Wcisnęłam rulon pod pachę, a potem podkradłam się powolutku do ganku,

starając się nie narobić hałasu, żeby położyć ją dokładnie pośrodku wycieraczki. Ale kiedy to zrobiłam, usłyszałam głos ojca.

- ..właśnie o tym mówię! Chciałem, żebyś miała wszystko, czego pragniesz, ale co z tym, czego chcę ja?

Cofnęłam się o krok i spojrzałam na zegarek. Prawie trzecia nad ranem. Dla większości ludzi zdecydowanie zbyt późno, żeby być jeszcze na nogach, chyba że działo się coś złego.

- Czy to znaczy, że nie chcesz dziecka? - rzuciła Heidi drżącym, piskliwym głosem. - Bo jeśli tak...

- Tu nie chodzi o dziecko.

- Więc o co?

- O nasze życie — odparł ojciec. W jego głosie słychać było znużenie.

- I o to, jak wielkie zaszyły w nim zmiany.

- Już to przerabiałeś, Robercie. Dwukrotnie. Wiedziałeś, jak to jest, mieć w domu małe dziecko.

- Wtedy sam ledwie przestałem być dzieckiem! Teraz mam znacznie więcej lat. Wszystko jest inaczej. Nie tego...

Cisza. Słyszałam tylko silnik samochodu Eliego mruczący za moimi plecami.

- ..oczekiwałem - dokończył ojciec. — Chciałaś prawdy, oto ona. Nie byłem na to wszystko gotowy.

Na to wszystko. Gładkie, zawierające tak wiele spraw stwierdzenie, szerokie niczym ocean, którego szum dobiegał z oddali — tym razem prawdziwych fal. Na tyle obszerne, że nie sposób stwierdzić, co — i kogo - tak naprawdę obejmowało. Najbezpieczniej było więc przyjąć, że po prostu wszystko.

- To twoja rodzina, Robercie. — odezwała się Heidi. - Niezależnie od tego, czy jesteś gotowy.

Przez głowę przemknęło mi wspomnienie wszystkich tych zabaw w uliczce, w których nigdy nie uczestniczyłam, ale reguły znałam. Chowasz się, szybkie odliczanie, a potem - czy jesteś gotowy, czy nie - odliczający zaczyna cię szukać. Gdy podejdziesz blisko, nie pozostaje ci nic innego, tylko zastygnąć bez ruchu w nadziei, że cię nie zauważy. Ale kiedy znajdzie twoją kryjówkę, nie ma ucieczki. Koniec

gry.

Usłyszałam, że ojciec zaczyna coś tłumaczyć, ale tym razem nie byłam dzieckiem, nie musiałam zostawać i słuchać. Mogłam odejść, zniknąć w mroku nocy, wszechogarniającej, nieprzeniknionej, oferującej tyle możliwości ukrycia się. Tak więc zrobiłam.

* * *

- Przepraszam za bałagan. - Eli sięgnął do włącznika światła. — Sprzątanie to kolejna z moich słabych stron.

Jego lokum było skromne. Duży pokój z łóżkiem pod jedną ścianą i samotnym drewnianym krzesłem oraz telewizorem pod drugą. Do tego mikroskopijna kuchenka i pusty blat z ekspresem do kawy oraz pudełkiem filtrów. Mimo wszystko doceniałam te typowe tłumaczenia każdego gospodarza, bo w ten sposób mogłam uniknąć rozmowy o tym, że przed chwilą o mało nie straciłam nad sobą kontroli.

Kiedy wycofywałam się spod domu ojca i przecinałam mokry od rosy trawnik, żeby wśliznąć się z powrotem na siedzenie pasażera, myślałam, że podsłuchane słowa w ogóle mnie nie obeszły. Spłynęły po mnie. A potem Eli spytał:

- Hej, wszystko w porządku? - I zanim się obejrzałam, nic nie było w porządku.

To zawsze krępujące: płakać na oczach drugiego człowieka. Ale wybuch rozpacz w obecności Eliego był doświadczeniem wręcz upokarzającym. Może chodziło o to, że siedział obok mnie w milczeniu, a ciszę zakłócał tylko mój urywany szloch i głośne siąkanie nosem. Albo o to, jak po chwili zwyczajnie ruszył dalej, rzucając gazety w stronę kolejnych domów, podczas gdy ja wyglądałam przez okno i próbowałam się opanować. Kiedy wjechaliśmy na pogrążony w mroku podjazd piętrowego domu w odległości jakiejś przecznicy od deptaka, zdołałam się uspokoić na tyle, żeby zacząć się gorączkowo zastanawiać, jak to teraz rozegrać. Może zrzucę winę na nagły atak napięcia przedmiesiączkowego albo rozpacz z powodu marnych wyników w rzucie gazetą. Zanim jednak zdołałam cokolwiek powiedzieć, Eli wyłączył silnik i otworzył drzwiczki od swojej strony.

- Chodź - zaproponował.

Kiedy wysiadł, jeszcze chwilę tkwiłam bez ruchu, obserwując, jak zaczyna się wspinać po wąskich schodkach obok garażu. Nie obejrzał się. I pewnie dlatego za nim ruszyłam.

Potem Eli zamknął za mną drzwi i przeszedł do kuchni, po drodze odkładając klucze na blat. Włączył guzik ekspresu, ale podeszłam do niego dopiero wtedy, kiedy owionął mnie zapach świeżo parzonej kawy.

- Siadaj — rzucił, nadal się nie odwracając, zajęty przeglądaniem zawartości lodówki. - Tam stoi krzesło.

— Jedno — zauważyłam. — Co robisz, kiedy przychodzą goście?

— Ja nie miewam gości. - Eli wyprostował się i zamknął lodówkę. W rękę trzymał kostkę masła. - To znaczy, na ogół.

Milczałam, patrząc tylko, jak wyciąga rondel z szarki i wkłada do niego masło, po czym stawia naczynie na kuchence.

— Posłuchaj — zaczęłam tłumaczyć, kiedy włączył palnik - to, co się stało wcześniej...

- Nie ma sprawy - odparł. - Nie musimy o tym rozmawiać. Przez chwilę się nie odzywałam, patrzyłam tylko, jak roztopia

masło w rondlu, przechylając go na boki. Kolejna grzeczność z jego strony, łatwe wyjście, szansa, by zostawić wszystko za sobą — pomyślałam sobie nawet, że to dar, który przyjmę z wdzięcznością. Tyle że potem usłyszałam swój własny głos, mówiący:

— Pamiętasz, jak pytałeś mnie wcześniej, w czym jestem kiepska? Eli skinął głową i znowu potrząsnął rondlem.

- Aha. Życie towarzyskie, zgadza się?

- To - potwierdziłam - i utrzymanie moich rodziców razem. Dopiero w tym momencie uświadomiłam sobie, że tak właśnie

wygląda prawda. Że wcześniej nie tyle zignorowałam pytanie Eliego, ile znalazłam na nie odpowiedź, której nie chciałam wypowiedzieć na głos. Przynajmniej dopóki nie podsłuchałam kłótni taty z Heidi i nie wróciły wspomnienia - tych niemiłych kolacji ze sprzeczkami o drobiazgi, atmosfery niepokoju, narastającego coraz bardziej wraz ze zbliżaniem się pory spoczynku. I to, jak nauczyłam się rozciągać noc wokół siebie, czuwając w napięciu, jakbym w ten sposób mogła

powstrzymać wszystkie te rzeczy, które mnie przerażały. Ale to nigdy nie działało. Ani wtedy, ani teraz.

Zamrugałam, próbując powstrzymać łzy, które zaczynały skapywać mi na policzki. Trzy lata absolutnego stoicyzmu, zaprzepaszczone w jedną noc. Czyste upokorzenie.

- Hej. Auden.

Podniosłam wzrok. Eli przypatrywał mi się uważnie. W którymś momencie wyciągnął, nie wiadomo skąd, paczkę płatków ryżowych Rice Krispies, więc zamiast patrzeć na niego, całą uwagę skupiłam na szczęśliwych twarzach Snapa, Crackle'a i Popa otaczających wielką miskę płatków.

- Przepraszam - wydusiłam z siebie, ponieważ z jakiegoś powodu nawet te postacie z kreskówek nie dodały mi otuchy. - Ja po prostu... Ja już o tym nie myślę, ale kiedy poszłam rzucić tę gazetę, akurat się kłócili i to było takie...

Eli odstawił pudełko i obszedł kuchenkę. Nie próbował mnie pocieszać. Po prostu stanął blisko i zapytał:

- Kto się kłócił? Przełknęłam ślinę.

- Mój tata i Heidi. Sytuacja była napięta od narodzin Isby, a dzisiaj po prostu kropla przepełniła czarę czy coś w tym stylu.

Boże, ciągle plotłam od rzeczy. A głos nadal mi się łamał, przerywany szlochem.

- To, że ludzie się kłócą, nie oznacza jeszcze, że zamierzają się rozstać - stwierdził Eli.

-Wiem.

- Moi rodzice też nieraz porządnie się pokłócili. To po prostu, no wiesz, oczyszcza atmosferę. Ale potem zawsze było lepiej.

- Tylko że ja znam tatę - zauważyłam. — Widziałam, jak robił to wcześniej.

- Ludzie się zmieniają.

- Albo nie — odparłam. W końcu zmusiłam się do tego, żeby na niego spojrzeć. Te zielone oczy, długie rzęsy. Jego udręczona twarz, która nie wydawała się już tak udręczona. — Czasami się nie zmieniają.

Eli po prostu stał, wpatrując się we mnie bez słowa, a ja pomyślałam o nas, tu, w tym niewielkim mieszkanku nad garażem, w środku nocy. Z góry, z jakiegoś przelatującego akurat samolotu, człowiek zobaczyłby tylko małe światełko pośród ciemności i nie miałby zielonego pojęcia o życiu, które toczy się we wnętrzu tego budynku, w domu obok i w kolejnym. Tyle się dzieje na świecie, w dzień i w nocy, godzina za godziną. Nic dziwnego, że potrzebujemy snu, choćby po to, żeby na jakiś czas się z tego wszystkiego wyłączyć.

Nagle od strony kuchenki dobiegło skwierczenie. Eli obejrzał się przez ramię.

- Oj — mruknął, odwracając się, po czym zdjął rondel z ognia.

- Sekundę, tylko z tym skończę.

Otarłam policzki dłonią, próbując się opanować.

- A tak w ogóle, to co tam pichcisz?

- Przygotowuję przekąskę z Rice Krispies.

To wydawało się takie dziwne i nie na miejscu, że prawie miało sens. Tak jak wszystko inne tej nocy. Ale i tak zapytałam:

- Dlaczego?

- Bo to właśnie robiła zawsze mama, kiedy moje siostry płakały.

- Spojrzał na mnie. - Nie wiem, mówiłem ci, że nigdy nie przyjmuję gości. Byłaś zdenerwowana, więc to wydawało mi się...

Urwał, a ja rozejrzałam się po pokoju, obejmując spojrzeniem skromne posłanie, jedno jedyne krzesło. I latarnię na zewnątrz, świecącą jasnym żółtym blaskiem, przez całą noc.

- ...doskonałym pomysłem — dokończyłam za niego. - Bo jest doskonały.

* * *

Oczywiście, tak naprawdę nic nie jest doskonałe. Ale ryżowe pyszności Eliego okazały się bliskie ideału. Zjedliśmy połowę zawartości rondla, popijając dzbankiem kawy na spółkę, przy czym jako stół wykorzystaliśmy jedyne krzesło, sadowiąc się na podłodze po obu jego stronach.

- Niech zgadnę - rzuciłam, odstawiając kubek koło swoich stóp.

- Preferujesz minimalizm.

Eli rozejrzał się wokół, a potem znowu przeniósł wzrok na mnie.

- Tak sądzisz?

- Eli, masz jedno krzesło.

- Owszem. Ale tylko dlatego że wszystkie meble w moim starym mieszkaniu należały do Abe'a.

Jedyne, co mogłam zrobić w tej sytuacji, to powstrzymać się od jakiegś gwałtowniejszej reakcji czy drgnięcia, chociaż byłam naprawdę zaszokowana, słysząc, jak wypowiada imię przyjaciela.

- Naprawdę? - Upiłam łyk kawy.

- Aha. - Eli odchylił się do tyłu i zgarnął ze ścianki rondla lepiący się kawałek ryżowego okrucha. — Gdy tylko zarobiliśmy trochę grosza na jeździe, Abe od razu zabierał się do dekorowania naszej dziupli. Do tego kupował najbardziej idiotyczne rzeczy. Ogromny telewizor, śpiewającą rybę...

- Śpiewającą rybę?

- No wiesz, te plastikowe koszmarki, które wieszka się na ścianie, a kiedy się obok nich przechodzi, zaczynają śpiewać jakiś kawałek z Motown. - Popatrzyłam na niego bez słowa. - W porządku, nie wiesz, o czym mówię. Możesz uważać się za prawdziwą szczęściarę. Nasza rybka zawisała w centralnym punkcie mieszkania. Abe umieścił ją tuż przy drzwiach, więc ciągle się włączała i każdy musiał tego słuchać.

Uśmiechnęłam się.

- Brzmi interesująco.

- Nie użyłbym takiego określenia. - Eli pokręcił głową. — Do tego należał, żeby kupić te wielkie fotele papasan, no wiesz, takie okrągłe, z gąbczastą poduchą? Ja chciałem zwykłą, prostą kanapę. Ale nie. Musieliśmy kupić te paskudztwa, w których człowiek zawsze się zapada. Nikt nie był w stanie wstać z nich samodzielnie. Wszystkich musieliśmy wyciągać, jak w jakiegś cholernej misji ratunkowej.

- Nie żartuj.

- Mówię zupełnie poważnie. Kompletny obłąd. - Westchnął. — No i jeszcze ta sprawa z łóżkiem wodnym. Abe twierdził, że zawsze chciał takie mieć. Nawet kiedy zaczęło przeciekać, a jego rozboleły plecy, nie chciał przyznać, że kupno to był błąd. „Musiałem coś rozlać”, powtarzał albo stwierdzał: „Chyba naprawdę naciągnąłem mię-

sień w czasie tej ostatniej jazdy". Kuśtykał po domu jak staruszek i narzekał. Całymi nocami słyszałem, jak rzuca się w pościeli, próbując znaleźć wygodną pozycję. To był niekończący się plusk.

Roześmiałam się i znowu sięgnęłam po kubek.

- I co było dalej? Poddał się w końcu?

- Nie - odparł Eli. - Umarł.

Oczywiście, wiedziałam o tym. Ale słowa Eliego, wypowiedziane tak spokojnie, wstrząsnęły mną na nowo.

- Przepraszam - bąknęłam. - Ja...

- Widzisz, w tym właśnie rzecz. - Eli odchylił się, potrząsając głową. — Wszyscy ciągle chcą powtarzać te anegdoty, co do jednej. Na pogrzebie ciągle wspominali takie historie, potem zresztą też. Och, a pamiętasz to i tamto, i może jeszcze to? Tyle że zakończenie każdej opowieści jest zawsze takie samo. Abe ginie. To się nigdy nie zmieni. Więc po co w ogóle zawracać sobie głowę?

Oboje przez chwilę milczeliśmy. W końcu się odezwałam:

- Myślę, że niektórzy tak właśnie zapamiętują ludzi. Poprzez opowiadanie historii. Czują wtedy, jakby ta osoba nadal była blisko.

- Ale ja nie mam z tym problemu - przyznał cicho. - Z pamiętaniem.

- Wiem.

- Chcesz pogadać o prawdziwej porażce? — Eli podniósł wzrok i popatrzył mi w oczy. - Spróbuj być tym, który prowadził. I przeżył.

- Eli... — zaczęłam. Starłam się, żeby mój głos pozostał spokojny, taki jak u niego, kiedy chciał mi dodać otuchy. — To nie twoja wina. To był wypadek.

Znowu potrząsnął głową.

- Może. Ale sęk w tym, że ja przeżyłem, a on nie. I każdy, kto na mnie patrzy, jego rodzice, dziewczyna, przyjaciele, o tym wie. To jedno wszyscy wiedzą na pewno. I to jest beznadziejne.

- Na pewno nie mają do ciebie żalu - przekonywałam.

- Nie muszą. — Popatrzył na swój kubek, a potem znowu podniósł na mnie wzrok. — Cały czas myślę tylko o tym, co zrobiłbym inaczej,

gdybym miał szansę. Co by się stało, gdybyśmy wyjechali z imprezy prędzej albo później. Gdybym ułamek sekundy wcześniej zauważył, że ten samochód jedzie na nas i wcale nie zwalnia. Gdyby to Abe prowadził zamiast mnie. Istnieją tysiące czynników i gdyby zmienić choć jeden... może cała reszta też potoczyłaby się inaczej. Przez chwilę oboje milczeliśmy.

- Nie możesz tak myśleć — sprzeciwiłam się w końcu. - Bo osza-
lejesz.

Posłał mi gorzki uśmiech.

- Mnie to mówisz?

Zacząłam coś tłumaczyć, ale on już zerwał się na nogi i zabrał tacę, żeby odnieść ją do kuchni. Dokładnie w tym samym momencie usłyszałam uderzenie zza ściany, przy której stało jego łóżko, potem następne. Wstałam i podeszłam bliżej, nasłuchując.

- To McConnerowie - dobiegł z kuchni głos Eliego. -Kto?

Eli wrócił do pokoju, stając tuż za mną.

- McConnerowie. Właściciele tego domu. Za tą ścianą jest pokój ich syna.

- Och — mruknęłam.

- Zwykle budzi się raz lub dwa w ciągu nocy. Prosi o coś do picia i tak dalej. - Eli usiadł na łóżku, sprężyny jęknęły pod jego ciężarem. - Jeśli leżę naprawdę cicho, rozumiem każde słowo.

Przycupnęłam obok niego i nadstawiłam ucha. Ale słyszałam tylko pomruk dwóch głosów, jeden głośniejszy, drugi mniej wyraźny. Trochę jak te fale Heidi, daleki szum.

- Ja też tak robiłem, kiedy byłem dzieciakiem - wyznał Eli. Oboje mówiliśmy szeptem. - Cały ten rytuał z budzeniem się, proszeniem o coś do picia. Doskonale to pamiętam.

- A ja nigdy tego nie próbowałam - stwierdziłam z goryczą. -Rodzice musieli się wysypiać.

Eli potrząsnął głową, po czym wyciągnął się na łóżku, z dłońmi splecionymi na piersi. Za ścianą negocjacje trwały nadal, donośniejszy głos nabierał mocy, stawał się coraz bardziej nagłący, cichszy nadal był spokojny.

- Zawsze myślałaś o nich, co?

- Dosyć często. - Stłumiłam ziewnięcie, a potem spojrzałam na zegarek. Dochodziło wpół do piątej, zwykle o tej porze zbierałam się do domu. Zza ściany nadal dobiegały odgłosy rozmowy. Ciągłe się w nie wsłuchując, położyłam się obok Eliego i oparłam mu głowę na piersi. Jego podkoszulek był miękki w dotyku i pachniał płynem, którego Eli używał w pralni.

- Zrobiło się późno - szepnęłam. — Powinien iść spać.

- To nie zawsze takie proste. - On też mówił cicho, powoli. Poczułam, jak jego wargi dotykają delikatnie czubka mojej głowy.

W kuchni paliło się światło, ale kiedy przymknęłam oczy, już tak nie raziło. Za plecami wciąż słyszałam szmer. „Cii, cii, już dobrze”, mogłabym przysiąc, że tak właśnie mówił jeden z głosów. A może to ten w mojej głowie, moja mantra. „Cii, cii”.

-To nie twoja wina - zwróciłam się do Eliego i nawet we własnych uszach mój głos zabrzmiał chrapliwie. - Nie jesteś za to odpowiedzialny.

- Ty też nie - odparł. „Cii, cii, już dobrze”.

Było tak późno. Późno dla dzieci, późno dla wszystkich. Wiedziałam, że powinnam wstać, zejść po tych schodach i odnaleźć drogę do domu, ale nie mogłam tego zrobić. Nagle owładnęło mną znajome uczucie, silne i wszechogarniające. Minęło tyle czasu od ostatniego razu, że przez moment jakaś część mnie czuła strach, pragnąc to zwalczyć, zachować czujność. Nie uległam jednak pokusie, tylko obróciłam się na bok i przylgnęłam mocniej do Eliego. Poczułam jeszcze, jak kładzie mi dłoń na głowie, a potem zapadłam w sen.

* * *

Kiedy następnego ranka obudziłam się o wpół do ósmej, Eli nadal spał. Jego ramię otaczało mnie w pasie, a pierś unosiła się powoli, miarowym ruchem w górę i w dół, pod moim policzkiem. Zamknęłam oczy z powrotem, próbując przywołać sen, ale przez okno wpadało światło słoneczne, zaczął się nowy dzień.

Odsunęłam się od Eliego i wstałam, ale potem czekałam obok łóżka bez ruchu kolejnych kilka minut, obserwując jego twarz, spokojną, pogrążoną we śnie. Wiedziałam, że powinnam się pożegnać,

ale nie chciałam go budzić. Poza tym nie miałam pojęcia, jakimi słowami wyrazić wdzięczność za to, co zrobił dla mnie poprzedniej nocy. Ostatecznie zdecydowałam się więc na rzecz najbliższą podziękowaniu: nalałam wody do ekspresu, wsypałam świeżą kawę do nowego filtra i wcisnęłam włącznik. Kiedy wymknęłam się na zewnątrz i zbiegłam po schodach na ulicę, napor zaczął ściekać do dzbanka.

Był to jeden z tych wspaniałych, słonecznych poranków na plaży. Kiedy wracałam do domu te cztery przecznice, wszystko wydawało mi się intensywniejsze niż zwykle: zapach soli w powietrzu, aromat róż oplatających czyjs płot, nawet moje przyjazne nastawienie do starszej rowerzystki z długim warkoczem ubranej we wściekle pomarańczowy dres, która właśnie mnie mijala, pogwizdując pod nosem. Kobieta posłała mi promienny uśmiech i uniosła dłoń, żeby pomachać.

Byłam tak pochłonięta tym wszystkim - tą nocą, snem i spacerem - że nawet nie zauważyłam ojca, dopóki prawie na niego nie wpadłam. Stał w holu, mimo wczesnej godziny wykąpany i ubrany.

— Hej - rzuciłam. - Ranny z ciebie ptaszek. Czyżby nagły przypływ natchnienia albo coś w tym stylu? Gotów zacząć nową książkę?

Ojciec zerknął w górę schodów.

— Hm, niezupełnie. Tak naprawdę to właśnie... wychodziłem.

— O. - Zamarłam. - Dokąd się wybierasz? Na uniwersytet? Milczenie. I dokładnie wtedy, w tej przedłużającej się ciszy, po raz pierwszy poczułam, że coś jest nie tak.

— Nie, przenoszę się do hotelu na kilka nocy. - Ojciec przełknął ślinę, a potem popatrzył na swoje dłonie. Twarz miał zmęczoną. — Heidi i ja... musimy przemyśleć parę spraw, więc uznaliśmy, że to dobre rozwiązanie. Na razie. *

— Odchodzisz? - Samo to słowo, wypowiedziane na głos, brzmiało niewłaściwie.

— To tylko tymczasowe rozwiązanie. - Odetchnął głęboko. - Uwierz mi, tak będzie lepiej. Dla małej, dla wszystkich. Zatrzymam się w Condor, nadal możemy się widywać codziennie.

— Odchodzisz? - powtórzyłam. Znowu wydało się dziwaczne.

Ojciec schylił się i podniósł torbę, która leżała obok schodów, na co dotąd nie zwróciłam uwagi.

- To skomplikowane - powiedział. - Po prostu daj nam czas, dobrze?

Stałam tam bez słowa, a ojciec wyminął mnie i ruszył w stronę drzwi. Oto miałam wreszcie szansę, żeby powiedzieć mu to wszystko, czego nie wyrzuciłam z siebie dwa lata temu, szansa na powtórkę powtórek. Mogłam prosić, żeby się jeszcze zastanowił, rozważył inne opcje. Żeby został. A jednak nie zrobiłam nic. Nic. Bez słowa patrzyłam, jak znowu odchodzi.

Tkwiłam tak przez dłuższą chwilę, a w głowie tłukła mi się tylko jedna myśl. To musiał być jakiś żart. Dopiero kiedy zobaczyłam, jak ojciec wycofuje auto z garażu, opuszcza osłonę przeciwsłoneczną i odjeżdża, wróciłam do domu i przekręciłam klucz.

Weszłam na górę. Drzwi sypialni Heidi były zamknięte, ale gdy mijałam pokój Isby, coś usłyszałam. Początkowo wzięłam ten dźwięk za płacz. Po dłuższej chwili uświadomiłam sobie jednak, że to coś innego. Ostrożnie uchyliłam drzwi i zajrzałam do środka. Mała leżała w łóżeczku i patrzyła na karuzelę, wymachując rączkami. Żadnego zawodzenia, żadnego krzyku - choć dziś płacz byłby usprawiedliwiony. Zamiast tego Thisbe pomrukiwała sobie tylko, jak to dziecko.

Podeszłam bliżej i zerknęłam do łóżeczka. Przez chwilę mała nadal wpatrywała się w sufit, machając rączkami, a potem nagle spojrzała na mnie. I wtedy jej rysy się wygładziły, a na twarzy pojawiło coś zupełnie nowego i niesamowitego. Uśmiech.

trzynaście

- NIE CHCIAŁAM NAWET do ciebie dzwonić - usłyszałam głos Heidi. - Wiedziałam, co powiesz: że mnie ostrzegałaś.

Od trzech godzin tkwiłam w swoim pokoju, próbując znowu zasnąć. Bez rezultatów. A więc po prostu leżałam, wspominając wszystko od nowa: to, jak obudziłam się obok Eliego taka szczęśliwa, powrotną drogę do domu i własne zdumienie odejściem ojca, odsłona druga. Ale ze wszystkich tych obrazów to uśmiech Isby, tak słodki i nieoczekiwany, zapadł we mnie najmocniej. Za każdym razem, gdy przymykałam oczy, próbując znowu zasnąć, widziałam tylko to.

- Nie, właściwie to nie - ciągnęła Heidi. - Ale wcale nie miałabym ci tego za złe. Wszystko się pokomplikowało. Nadal nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

Wyminęłam stół, przy którym siedziała z małą na rękach, i podeszłam do szafki, żeby wyjąć sobie kubek. Za oknem był jasny, słoneczny dzień, równie cudowny, jak wszystkie poprzednie.

- Hej - powiedziała nagle Heidi, zerkając na mnie - oddzwonię do ciebie. Nie, naprawdę. W porządku, w takim razie ty zadzwoń do mnie. Za dziesięć minut. Dobra. Cześć.

Odłożyła słuchawkę. Kiedy nalewałam kawę, czułam na sobie jej wzrok.

- Auden, możesz usiąść na sekundkę? - odezwała się w końcu. - Muszę... muszę z tobą o czymś porozmawiać.

Miała taki smutny i zmartwiony głos, że ledwie mogłam to znieść.

- W porządku, już wiem - oznajmiłam, odwracając się w jej stronę. - Rozmawiałam z tatą.

- Och. — Przełknęła ślinę i przeniosła wzrok z powrotem na małą. - No cóż, to dobrze. Co ci...

Nagle Isby pisnęła cichutko, ale zamiast się rozplakać, wtuliła buzię w pierś Heidi i przymknęła oczy.

- Powiedział, że macie parę spraw do przemyślenia — odparłam.

- I że zamieszka w Condor na jakiś czas.

Skinęła głową, ale na jej twarzy odmalowało się cierpienie. - I jak? - spytała. - Dobrze się czujesz?

- Ja? - zdumiałam się. - Świetnie. A co?

- No cóż, to jednak trochę wytrąca człowieku z rytmu, prawda?

- odparła. — Ja po prostu... Jakbyś czegoś potrzebowała, to proś, dobrze? Gdybyś miała jakieś pytania, wątpliwości...

- Nie przejmuj się mną, nic mi nie będzie — zapewniłam ją. — Naprawdę.

Dokładnie w tym momencie usłyszałam brzęczenie jej komórki. Heidi zerknęła na wyświetlacz, po czym z westchnieniem przyłożyła aparat do ucha.

- Halo? - powiedziała. - Cześć, Elaine. Nie, nie, dostałam twoje wiadomości, po prostu... Jak się miewasz? Jasne, oczywiście. No cóż, szczerze mówiąc, nie bardzo mam teraz możliwość myśleć o imprezie.

Wstała i przełożyła Isby na drugie ramię, po czym nie przerywając rozmowy, podeszła do przeszklonych drzwi. A ja siedziałam i rozmyślałam o tym, co czułam na widok odjeżdżającego ojca. Zupełnie jakbym zawiodła kolejny raz. Może niektórych rzeczy nie da się zmienić ani naprawić, mimo upływu czasu.

Chwilę później Heidi wróciła do kuchni i odłożyła telefon na blat.

- Dzwoniła Elaine, przewodnicząca wydziału do spraw turystyki w Colby — wyjaśniła bezbarwnym głosem. — Chce poznać temat przewodni imprezy plażowej, i to natychmiast.

- Imprezy plażowej? - zapytałam.

- To taka zabawa, którą urządzamy co roku na zakończenie lata

- odparła, znowu opadając na stół. - Odbywa się w auli przy deptaku. Sprzedajemy bilety, wszyscy kupcy biorą udział, to ostatnie

takie wielkie wydarzenie w wakacje. I z jakiegoś powodu zawsze zgłaszam się na ochotnika do organizacji.

- Naprawdę?

- Straszna ze mnie masochistka. - Heidi pokręciła głową. - W każdym razie w zeszłym roku tematem przewodnim byli piraci, całkiem nieźle się bawiliśmy. A dwa lata temu mieliśmy renesans. Ale w tym roku... Właściwie co ja zrobię? Nie jestem teraz w zbyt rozrywkowym nastroju.

Patrzyłam, jak przesuwa dłonią po policzku Isby, a potem owija ją mocniej kocykiem.

— Na pewno coś wymyślisz.

I właśnie wtedy jej telefon znowu się rozdzwonił. Heidi odebrała, barkiem przyciskając aparat do ucha.

— Cześć, Morgan. Nie, w porządku. Właśnie rozmawiałam z Elaine. - Westchnęła, potrząsając głową. - Wiem. I doceniam to. Ale po prostu... nie mogę w to uwierzyć. W zeszłym roku o tej porze marzyłam tylko o tym, żeby zajść w ciążę z Robertem, a teraz. ..

Przełknęła ślinę, a potem przesłoniła dłonią twarz. Słyszałam, jak jej rozmówczyni mówi coś głosem cichym i uspokajającym. Odsunęłam krzesło i odstawiłam kubek do zlewu. Po raz kolejny byłam obserwatorem przypatrującym się z zewnątrz czemuś, czego tak naprawdę nie pojmowałam. Ale najbardziej niepokoiło mnie to ściskanie w gardle. Wymknęłam się na korytarz, znowu rozmyślając o ojcu, który wyszedł dokładnie tymi samymi drzwiami, z torbą w ręku. To jest straszne i okropne, kiedy ktoś cię opuszcza. Możesz żyć dalej, starać się ze wszystkich sił, ale jak powiedział Eli, koniec to koniec. Niezależnie od tego, jak wiele stron, zdań i akapitów liczy sobie nasza wspaniała opowieść, w każdej musi też być ostatnie słowo.

* * *

Kiedy dwie godziny później wychodziłam, Heidi i mała spały. Jeśli nie znało się prawdy, dom mógł się wydawać niemal oazą spokoju.

Ja jednak czułam niepokój, co nie miało sensu, bo po pierwsze Heidi nie była moją matką, a po drugie, kiedy to samo przytrafiło

się moim rodzicom, jakoś sobie poradziłam. Jasne, czułam się wtedy zawiedziona i nawet trochę smutna, ale, o ile mnie pamięć nie myli, dosyć szybko przywykłam do nowej sytuacji. Jeśli oczywiście nie liczyć problemów z bezsennością. Niemniej w ogóle nie pamiętałam tej dziwnej paniki, której ciągle nie mogłam się pozbyć, a która owładnęła mną, kiedy patrzyłam, jak ojciec odjeżdża spod domu. Podobne uczucie ogarniało mnie zwykle koło północy na myśl o tym, że do świtu zostało jeszcze tyle czasu, który muszę jakoś wypełnić.

Dzięki Bogu, miałam coś do roboty. Szczerze mówiąc, nigdy nie byłam tak szczęśliwa, że wkraczam w progi Clementines, pełnego klientek opanowanych popołudniową gorączką zakupów. Maggie, doradzająca matce i córce w kwestii wyboru dżinsowych szortów, pomachała mi tylko ręką. Zabrałam plik paragonów oraz faktur i poszłam do biura, gdzie zatrzasnęłam za sobą drzwi, zapaliłam światło gotowa do zajmowania się cyframi, dopóki nie nadejdzie pora zamknięcia. Ale ledwie zaczęłam czytać zestawienia operacji na koncie, zadzwoniła moja komórka.

„MAMA” - wyświetliło się na ekranie. Przez chwilę obserwowałam telefon podskakujący przy kolejnych dzwoneczkach. Zastanawiałam się, czy nie odebrać i nie opowiedzieć jej o wszystkim, szybko się jednak opamiętałam. Dla matki byłoby to jak Gwiazdka i urodziny w jednym, ale ja nie zniosłabym jej samozadowolenia. Zresztą wczoraj to ona odłożyła słuchawkę w trakcie rozmowy ze mną, dając mi jasno do zrozumienia, że nie chce mnie znać. Miałam więc pełne prawo trzymać ją na dystans tak długo, jak zechcę.

Przez następne dwie godziny zajmowałam się wyłącznie dokumentami księgowymi Heidi, czując większą niż zwykle wdzięczność wobec losu za spokój, jaki dawały niezawodne liczby. Kiedy uporałam się z wyciągami i listą płac, postanowiłam wziąć się wreszcie za biurko Heidi, na którym od pierwszego dnia mojej pracy panował nieopisany bałagan. Układałam długopisy, wyrzucałam te niepiszące, sprawdzałam, czy pozostałe mają założone skuwki i są ustawione właściwą stroną do góry w różowym kubku, a mój puls w końcu zaczął wracać do normy. Potem zabrałam się do górnej szuflady: posegregowałam karteluszkę, ułożyłam porzucane wi-

zytówki w schludny stosik i wrzuciłam wszystkie spinacze do leżącego obok pustego pudełka po plastrach. Właśnie miałam się zająć następną, kiedy rozległo się pukanie do drzwi i do środka wsunęła się głowa Maggie.

- Hej, Esther wybiera się do Beach Beans, chcesz coś? Sięgnęłam do kieszeni i wyjęłam portfel.

- Dużą potrójną mokrą.

Maggie popatrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami.

- Rany, zamierzasz zarwać nockę czy jak?

- Nie — odparłam. — Ja po prostu jestem... trochę zmęczona. Skinęłam głową i przeczesła palcami włosy.

- Rozumiem. Mnie też mama zaczęła dzisiaj rano suszyć głowę o te formularze do akademików. Najwyraźniej zamierza zmusić mnie do podjęcia decyzji, bo martwi się, że inaczej nie zdążę dopasować ze współlokatorką wzorów na pościeli. Jakby to miało jakieś znaczenie.

Przez głowę przemknęło mi wspomnienie matki i jej wyniosłego tonu, kiedy odważyłam się zakwestionować jej wybór w sprawie Programu Pembleton.

- O to się martwi?

- Ona martwi się o wszystko — rzuciła Maggie, machając ręką. - Uważa, że jeśli nie ukończę odpowiednich studiów, poniosę jakąś niewyobrażalną klęskę.

- Ale to chyba nic strasznego? - spytałam. Maggie westchnęła.

- Nie znasz mojej matki. Nigdy nie byłam dla niej dość dobra.

- Dość?

- No wiesz, wystarczająco dziewczęca — wyjaśniła - bo za bardzo interesowałam się rowerami krosowymi. Wystarczająco towarzyska, bo w liceum miałam tylko jednego chłopaka i nie robiłam skoków w bok. A teraz nie interesuję się wystarczająco studiami. Których nawet nie zaczęłam.

- Skąd ja to znam — mruknęłam. — Moja mama też suszy mi głowę o akademik. Tyle że ona chce, żebym się zapisała do jakiegoś programu, gdzie człowiek uczy się dwadzieścia cztery godziny na

dobę, siedem dni w tygodniu, a rozrywka pod jakąkolwiek postacią jest zakazana.

- Naprawdę? - Skinęłam głową. - Powinam się tam zgłosić - stwierdziła Maggie. - Moja mama po prostu by oszalała.

Uśmiechnęłam się. W tym momencie rozległ się dzwonek przy drzwiach.

- Duża potrójna mokka — powtórzyła Maggie, spoglądając na trzymane w ręku pieniądze, a kiedy przytaknęłam, dodała: - Przekażę Esther.

- Dzięki.

Drzwi zamknęły się z kliknięciem, a ja otworzyłam drugą szufladę. W środku znalazłam stos starych wyciągów bankowych i parę notatników pokrytych zapiskami. Ewidentnie należały do Heidi. Najpierw spis towarów, rozmaite numery telefonów, a potem:

Caroline Isabel West

Isabel Caroline West

Emily Caroline West

Ainsley Isabel West

Wszystkie imiona starannie wykaligrafowane, prawie czuć było namysł, z jakim Heidi dodawała kolejne, jedno za drugim. Wróciłam myślami do dnia, w którym przyznała się, że nie znosi imienia This-be, i pomyślałam o tym, jak obie z matką skwitowałyśmy tę jej kapitulację. Ojciec był egoistą. Postawił na swoim, a jednak to mu nie wystarczało.

Zamknęłam notatnik, odłożyłam go na bok i zanurkowałam głębiej. Znalazłam faktury, które poskładałam na stosik, żeby potem powkładać je do właściwych teczek, ulotkę zapraszającą na poprzedni coroczny festyn na plaży - „Ahoj, kamraci!” - a na samym dnie plik zdjęć. Oto Heidi na tle białej ściany, szeroko uśmiechnięta, z pędzlem ociekającym różową farbą. Znowu Heidi, pozująca przed wejściem do butik, z napisem „Clementines” biegnącym łukiem nad jej głową. I wreszcie na samym końcu wspólne zdjęcie z tatą. Stoją na deptaku, ona w białej sukience, z dużym okrągłym brzuchem, on otacza ramieniem jej talię. Data z maja, zaledwie kilka tygodni” przed narodzinami Isby

— Auden?

Podskoczyłam i obejrzałam się za siebie. Jakimś cudem Esther zdołała się wśliznąć niezauważona.

— Och — mruknęłam speszona, spoglądając na szufladę, której zawartość leżała na biurku - ja tylko...

— Twoja porcja kofeiny. - Esther wyciągnęła kubek w moją stronę. W tym momencie za jej plecami coś mignęło. Coś czerwonego, co uderzyło o ścianę na końcu korytarza z głośnym plaśnięciem. - Hej! - krzyknęła Esther, wychylając się przez drzwi. - Co to u licha ma być?

— A jak ci się wydaje?! - odkrzyknął męski głos. „Adam” - rozpoznałam.

Esther otworzyła drzwi na oścież, dokładnie w chwili gdy czerwona gumowa piłka przetaczała się powoli z powrotem w stronę sklepu.

- O rany. Serio?

- Jak najbardziej! - wrzasnął Adam. - Kickball. Dziś wieczorem. Przygotujcie się, że zmokniecie.

- A kto — usłyszałam głos Maggie — o tym zdecydował?

- A jak ci się wydaje?

Esther wyszła na korytarz i podniosła piłkę.

- Chyba nie Eli?

— Aha. — Usłyszałam odgłos kroków, a potem w polu widzenia pojawił się Adam. Wyciągnął ręce i odebrał piłkę od Esther, skinąwszy mi głową. — Przyszedł dzisiaj, z tym pod pachą. Właściwie to wydawał się wesoły.

— Naprawdę?

- No. Kompletnie nas tym zaskoczył. - Odbił piłkę od podłogi. - Ale mówił poważnie. Pierwszy mecz w tym sezonie, dziś wieczorem po zamknięciu. Losowanie zawodników do drugiej bazy zaczyna się punktualnie pięć po dziesiątej.

— O Boże - jęknęła Maggie, dołączając do nich w korytarzu. — Jeśli mam być na drugiej bazy, nie gram.

- Oto najlepszy przykład kogoś, kto łatwo się poddaje - stwierdził Adam, wskazując ją palcem.

- Ostatnim razem przemokłam do nitki! - zaprotestowała Maggie.

- Ostatni raz był ponad rok temu. Nie daj się prosić! Eli w końcu otrząsnął się chyba po śmierci Abe'a. Możesz się przynajmniej trochę zamoczyć.

- To naprawdę duża rzecz, że wyszedł ze swojej skorupy - dorzuciła Esther. - Ciekawe, co się zmieniło.

Odwróciłam się w stronę biurka, upijając przy okazji kolejny łyk kawy. Ale i tak zdążyłam dostrzec, że Maggie patrzy na mnie.

- Kto to może wiedzieć? — zadumał się Adam. - Ale po prostu cieszymy się z tego i bierzmy się do roboty. Do zobaczenia o dziesiątej!

Po tych słowach wyszedł, odbijając piłkę. Esther z westchnieniem ruszyła za nim korytarzem, ale Maggie się ociągała. Cały czas czułam jej spojrzenie, kiedy starannie układałam wszystkie rzeczy z powrotem w szufladzie, żeby na samym końcu upchnąć tam zdjęcia.

- Hej! - rzuciła. - Wszystko w porządku?

- jasne - mruknęłam. - Super. To powinna być prawda. Wyglądało na to, że Eli po nocy, którą

spędziliśmy razem, obudził się rano z zupełnie nowym nastawieniem do życia. Powinnam być szczęśliwa i zadowolona, najbardziej ze wszystkich gotowa na udział w tej grze, zwłaszcza jeśli on też miał się tam zjawić. Ale kiedy odbył się taniec godziny dziewiątej, wraz z upływem kolejnych minut czułam, jak żołądek zaciska mi się coraz mocniej i mocniej.

Punktualnie o dziesiątej w drzwiach biura stanęła Maggie z kluczami w ręku.

- Chodź - zakomenderowała. - Losowanie zawodników do drugiej bazy już za chwilę, a możesz mi wierzyć - nie chcesz tam utknąć. Praktycznie stoi się w wodzie.

- Och - zmarkotniałam - właściwie to chyba posiedzę dzisiaj dłużej. Muszę jeszcze zrobić tę listę płac i posegregować dokumenty...

Maggie popatrzyła na mnie, a potem na długopisy ułożone równiutko w kubku obok mojego ramienia.

- Naprawdę?

- Aha. Ale później do was dołączę.

— Później — powtórzyła. Skinęłam głową i odwróciłam się z powrotem w stronę biurka. Głos Maggie wydał mi się bardziej bezbarwny niż poprzednio, kiedy powiedziała: - W porządku. Będziemy na ciebie czekać.

Wreszcie sobie poszła. Zajął się opisywaniem teczek na dokumenty, Maggie z Esther zamknęły kasę, po czym w końcu wyszły ze sklepu. Gdy tylko zatrzasnęły się za nimi drzwi, odsunęłam się od biurka. A potem, po jakimś kwadransie beczynnego siedzenia, przemaszerowałam przez pogrążony w mroku sklep i wyjrzałam przez okno wystawowe.

Wszyscy zebrali się na deptaku, tuż przy plaży. Widziałam Maggie siedzącą na ławce obok Adama i Esther, wokół kręcili się Wallace i paru chłopaków ze sklepu rowerowego - część z nich znałam z imienia, innych tylko z widzenia. Przerzucali się żarcikami - powiedzieli coś do Leah, która właśnie do nich dołączyła, a ona przewróciła oczami i zaczęła rozdawać kuksańce, dopóki Maggie nie przesunęła się, żeby zrobić jej miejsce obok siebie. Pojawiało się coraz więcej ludzi, znajomych i kompletnie obcych. A potem nagle wszyscy jakby się ścięsnili, zbili w gromadkę i już wiedziałam, że przyszedł Eli.

Był ubrany w tę samą niebieską bluzę z kapturem co tamtego pierwszego wieczora, pod pachą trzymał czerwoną piłkę. Rozpuszczone włosy opadały mu na oczy, kiedy kozłując, podszedł i obrzucił spojrzeniem zgromadzoną grupkę. A potem odwrócił się i popatrzył w stronę Clementines. Natychmiast odsunęłam się od okna, żeby mnie nie zauważył.

Po ożywionej dyskusji utworzono drużyny, zapadły jakieś decyzje. Na moje oko Adam okazał się stroną przegraną, jeśli kpiny i wyciągnięte w jego stronę palce mogły być jakimś wyznacznikiem. Potem wszyscy ruszyli na plażę, gdzie jedna drużyna rozłokowała się przy wydmach, a druga ustawiła się szpalerem na piasku. Widziałam, że Adam zajął miejsce tuż przy samej linii wody. Nachylił się, żeby podwinąć nogawki, a Eli przeszedł na środek z piłką w rękach. Kiedy szykował się do pierwszego rzutu, okręciłam się na pięcie i wróciłam do biura.

Godzinę później wymknęłam się tylnym wejściem. Przeszłam przez parking, pokonałam jeszcze dwie uliczki i w końcu dotarłam do Gas/Gro. Zamierzałam po prostu wrócić do domu, bo doszłam do wniosku, że Heidi przyda się towarzystwo, ale nogi same poniosły mnie z powrotem w stronę deptaka. Usiadłam na ławce przed kafejką Last Chance, ciągle pełnej klientów, żeby poobserwować grę z oddali. Przy piłce była akurat Leah: kopnęła ją daleko, daleko, aż chłopak z drugiej bazy, którego z takiej odległości nie rozpoznałam, musiał biec po nią do wody.

- Auden?

Aż podskoczyłam, a potem spięta powoli odwróciłam głowę. Ze też Eli musiał się tak do mnie podkraść, chociaż robiłam wszystko, co w mojej mocy, aby nikt mnie nie zauważył. Ale kiedy się obejrzałam, zobaczyłam ostatnią osobę, której bym się tu spodziewała: mojego niedoszłego partnera na bal maturalny, Jasona Talbota. Wystrojony w białą koszulę i eleganckie spodnie, stał przede mną z rękami w kieszeniach, uśmiechając się szeroko.

- Hej - przywitałam go. - Co tu robisz?

Ruchem głowy wskazał na restaurację za swoimi plecami.

- Akurat skończyłem kolację. Przez ostatni kwadrans siedziałem tam i zastanawiałem się, czy to ty. Wydaje mi się, że nie widziałem twojego nazwiska na liście uczestników konferencji, ale...

- Konferencji?

- FCLC. Właśnie dzisiaj się rozpoczęła. Nie dlatego tu jesteś?

- Hm - mruknęłam - nie. Mój ojciec mieszka w pobliżu.

- Och, racja. No cóż... to wspaniale.

Od strony plaży dobiegł nas nagle gwar podniesionych głosów. Oboje spojrzeliśmy w tamtym kierunku, akurat na czas, żeby zobaczyć, jak Maggie obiega ze śmiechem bazy, a Adam zaczyna brodzić w wodzie.

- Rany - powiedział Jason. — Kickball. Nie widziałem tego od trzeciej klasy.

- Co to jest FCLC? - zapytałam.

- Future College Leadership Course, kurs dla przyszłych liderów/ - odparł. — To miesięczny cykl wykładów, warsztatów i sympozjów

dla rozpoczynających studia z uczelni w całym kraju. Jego celem jest przekazanie umiejętności niezbędnych do wywierania wpływu na otoczenie od pierwszego dnia studiów.

- Rany-jęknęłam. Zza jego pleców doleciał mnie kolejny wybuch wiwatów, ale tym razem nie spojrzałam w tamtą stronę. - Zapowiada się wspaniale.

- Och, myślę, że to naprawdę świetna sprawa. Już zdążyłem poznać ze dwadzieścia osób z Harvardu podejmujących różne inicjatywy - odparł. - Sama powinnaś tego spróbować. Wiem, że nie byłaś zbyt zaangażowana w pracę samorządu szkolnego, ale takie warsztaty to doskonała okazja do nawiązania kontaktów. Jeszcze nie jest za późno, żeby dołączyć, jest tam mnóstwo ludzi z Defiriese.

- No nie wiem - rzuciłam. - Nie bardzo mam czas.

- Och, skąd ja to znam? - Jason potrząsnął głową. - Zdobyłem listę lektur na zajęcia z pierwszego semestru i zabrałem się do czytania, naprawdę ostro. Ale każdy, z kim ostatnio rozmawiałem, tak postępuje.

Skinęłam głową, choć zauważyłam, że serce zaczęło mi bić odrobinę szybciej.

- Jasne - przytaknęłam.

- Wszyscy to mówią. Że teraz nie da się tak po prostu przyjść pierwszego dnia roku akademickiego i zabrać się z marszu do roboty.

- Naprawdę?

- O, tak. Trzeba się przygotować wcześniej, i to na poważnie.

- Ja też czytam lektury - odparłam. - To znaczy, pomiędzy pracą i całą resztą...

- Pracą? — Skinęłam głową, —A gdzie pracujesz? Jakiś staż? Może obsługa klienta?

Pomyślałam o różowym kantorku w Clementine's.

- Bardziej biznes. Pracuję dla niewielkiej firmy, która właśnie rozszerza działalność, a ja w trakcie tych zmian pomagam przy księgowości i marketingu. Uznałam, że to dobry pomysł: poznać teorie ekonomiczne i najważniejsze tendencje w praktyce.

- Kurcze. - Jason pokiwał głową. - To brzmi naprawdę interesująco. Ale mimo wszystko powinnaś pomyśleć o FCLC. Skoro i tak tu jesteś. Moim zdaniem wniosłabyś cenny wkład w nasze dyskusje.

Z plaży doleciał nas głośny krzyk, a potem wiwaty i śmiech.

- Może tak właśnie zrobię — powiedziałam.

- Świetnie. — Jason się uśmiechnął. — Posłuchaj, chyba muszę wracać. Akurat rozmawiamy o średnich ocen, więc nie chcę tego przegapić.

- Jasne, nie ma sprawy.

Jason zrobił krok do tyłu, a potem przystanął.

- Nie zmieniłaś numeru komórki? Bo skoro już tu jestem, może moglibyśmy się spotkać, no wiesz. Żeby pogadać, wymienić informacje.

Towarzystwo opuszczało plażę. Zauważyłam Maggie i przemożonego Adama z przodu, Leah i Esther szły za nimi.

- Dobra — powiedziałam - chętnie.

- Super! - Jason znowu posłał mi promienny uśmiech. -W takim razie do zobaczenia wkrótce.

Kiwnęłam głową. I wtedy, zanim w ogóle zdążyłam zareagować, zrobił krok do przodu i zamknął mnie w uścisku. Niezręcznym uścisku, kiedy nie wiadomo, co zrobić z łokciami, a w nosie wierci człowieka zapach płynu do płukania tkanin. Na szczęście trwało to krótko.

Ale nie wystarczająco krótko. Bo kiedy Jason sobie poszedł, zobaczyłam Eliego. Stał, trzymając piłkę pod pachą, i przypatrywał mi się z kamienną twarzą. Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem, a mnie przez głowę przemknęło wspomnienie tamtej pierwszej bezsennej nocy, kiedy spotkaliśmy się niedaleko tego samego miejsca. „Jak wszystkie inne, prawda?”.

- Cześć - rzuciłam. - Jak tam mecz?

- Świetnie. - Odbił piłkę o chodnik. - Wygraliśmy.

Między nami przeszły dwie pary, wystrojone na wieczór, przekomarzając się. Przez ułamek sekundy miałam ochotę się do nich przyłączyć, pójść z nimi, dokądkolwiek się wybierali.

- Powiedz, co się stało? - poprosił Eli, podchodząc bliżej.

- Musiałam zostać w pracy - odparłam. - Miałyśmy opóźnienie z listą płac, no i jeszcze to porządkowanie dokumentów....

- Nie. - Znowu odbił piłkę. - Co się stało z tobą?

- Ze mną? Skinął głową.

- Zachowujesz się jakoś inaczej. Co się dzieje?

- Nic - odparłam. Nie odrywał ode mnie spokojnego, wątpliwego spojrzenia. - Chodzi ci o to? - ruchem głowy wskazałam restaurację, w której wnętrzu zniknął Jason. - To tylko stary znajomy z liceum. A właściwie mój niedoszły partner na bal maturalny, bo w ostatniej chwili wystawił mnie do wiatru. Ale tym akurat w ogóle się nie przejęłam, nigdy nie chodziliśmy ze sobą na poważnie. W każdym razie przyjechał tu na jakąś konferencję, zauważył mnie na tej ławce, więc...

- Auden. - Sposób, w jaki wypowiedział moje imię, podziałał niczym hamulec, wciśnięty z całej siły. Urwałam w pół zdania. - Poważnie. Co się stało?

- Nic - powtórzyłam znowu. - Dlaczego ciągle mnie o to pytasz?

- Bo wczoraj w nocy było między nami super - wyjaśnił. - A dzisiaj chowasz się przede mną, nawet nie chcesz mi spojrzeć w oczy.

- Wszystko w porządku - odparłam. — Rany, po prostu mam mnóstwo pracy. Dlaczego tak trudno w to uwierzyć?

Tym razem nie odpowiedział. Nie musiał. Kłamałam, i to kiepsko. Mimo to trzymałam się wykretów jak koła ratunkowego.

- Wiesz - zaczął w końcu Eli - jeśli chodzi o to, co wydarzyło się między twoim ojcem a Heidi...

- Słuchaj... - rzuciłam ostrym tonem. Obronnym. Nawet ja to słyszałam. - Mówiłam ci, muszę zająć się pracą. Mam teraz mnóstwo rzeczy do zrobienia, jasne? Nie mogę spędzić całych wakacji na graniu w kickball. Jeśli chcę sobie poradzić jesienią na uczelni, powinnam przygotować się do zajęć i przeczytać cały stos książek. Ostatnio tylko się obijam, więc teraz...

- Obijasz się - powtórzył.

- Tak. — Popatrzyłam na swoje dłonie. — Było super i w ogóle. Ale mam straszne zaległości. Muszę spoważnieć.

Kiedy to powiedziałam, od strony plaży dobiegły mnie wszystkie te znajome głosy, głosy ludzi śmiejących się, przekomarzających, szczęśliwych w swoim towarzystwie. Wiedziałam to od razu, bo z od-dali ten dźwięk wydawał się bardziej znajomy niż od środka.

- Jasne — powiedział Eli. — Cóż, powodzenia. W poważnieniu i w ogóle.

W jego głosie zabrzmiała jakaś ostateczna nuta. Wcześniej zdawało mi się, że tego właśnie pragnę, ale w tym momencie zrozumiałam, że może wcale tak nie jest.

- Eli - wyrzuciłam z siebie szybko. - Posłuchaj, ja po prostu...

Ale nie popłynęły żadne słowa. Pozwoliłam im zawisnąć w powietrzu, zostawiłam zdanie niedopowiedziane, czekając, żeby Eli się wtrącił, dokończył za mnie, wykonał całą brudną robotę. Ulubiony wybieg ojca, teraz rozumiałam dlaczego. To po prostu o wiele łatwiejsze niż powiedzenie na głos tego, czego nie chce się mówić. Ale Eli nie wszedł do tej gry, nie dał się przekonać do zrobienia za mnie tego, co najtrudniejsze. Zwyczajnie odszedł. Chociaż wcale mnie to nie zaskoczyło. Co go obchodziło, czy zdanie jest dokończony, czy nie? On już ze mną skończył.

czternaście

13:05: Akurat mam przerwę w panelu, może wspólny lunch?

15:30: Jesteś wolna dziś wieczorem? Kolacja w Last Chance, koła szóstej?

22:30: Wracam do akademika. Pogadamy jutro.

Odłożyłam komórkę na biurko. Leah, która przeglądała jakieś paragony, zerknęła na wyświetlacz.

- No, no - mruknęła - ktoś ma tu dzisiaj powodzenie.

- To po prostu znajomy - wyjaśniłam. - Z domu.

- Po prostu znajomy — powtórzyła. — A jest w ogóle coś takiego? Siedziałyśmy w biurze już po zamknięciu sklepu, dziewczyny czekały, aż skończę parę ostatnich rzeczy, zanim wyjdziemy.

— W tym przypadku - rzuciłam - tak.

Moja komórka znowu piknęła. Odwróciłam ją z westchnieniem.

22:45: Jeśli chciałabyś pogadać, zadzwoń. Mam ci parę rzeczy do opowiedzenia.

— Wygląda na bardzo wytrwałego - zauważyła Esther.

— Chyba po prostu próbuje mi wynagrodzić to, że wystawił mnie do wiatru tuż przed balem maturalnym - powiedziałam. - Albo coś w tym guście. Nie mam pojęcia.

Szczerze mówiąc, takie wytłumaczenie przyszło mi do głowy dopiero w tym momencie. Ale gdy się nad tym zastanowić, rzeczywiście miało sens.

- Facet wystawił cię w dniu balu maturalnego? - zapytała Maggie. Wyglądała na naprawdę przejętą. - To straszne.

- Nie było aż tak źle - odparłam. - Zadzwoił dzień wcześniej, powiedział, że dostał zaproszenie na jakąś ważną konferencję ekologiczną w Waszyngtonie. Jedyna taka okazja w życiu.

- Tak samo jak bal maturalny - zauważyła Leah. - Dobrze, że go olewasz. Należy mu się.

- Nie dlatego go... - Westchnęłam. - Po prostu nie jestem zainteresowana powrotem do tego konkretnego etapu mojej przeszłości. To wszystko.

Mój telefon znowu piknął. Tym razem nawet nie spojrzałam na wyświetlacz. Ale później, już w domu, ponownie uważnie przeczytałam wiadomości od Jasona. Może gdybym mu odpisała, umówiła się na spotkanie, spróbowała sprawdzić, co ominęło mnie poprzednio, byłaby to moja własna próba nadrobienia straconego czasu. Ale w przeciwieństwie do gry w kręgle, bitew na jedzenie i późnych powrotów do domu, w tym przypadku wcale nie czułam, że coś straciłam. To, co się między nami wydarzyło - czy też nie wydarzyło - należało uznać za zrzędzenie losu, tak właśnie miało być. Zupełnie jakbyśmy w ogóle nie potrzebowali pierwszej szansy, nie mówiąc o drugiej.

* * *

Tydzień wcześniej o dwudziestej trzeciej trzydziści byłabym poza domem od godziny, dopiero rozpoczynając nocne przygody. Ale ostatnio o tej porze dawno siedziałam w swoim pokoju, pogrążona w lekturze.

Tamtego wieczora, kiedy Eli mnie zostawił, wróciłam do siebie koło północy. Dom był pogrążony w ciszy: Isby spała w swoim pokoiku, Heidi też odpadła z gry, chociaż zostawiła włączoną lampkę nocną. Wstąpiłam do sypialni po parę rzeczy. Planowałam zaraz wyjść, ale potem przypomniały mi się słowa Jasona, że trzeba przeczytać na zapas kilka książek, aby zaczynając studia, być przygotowanym. I zanim się obejrzałam, już wyciągałam walizkę spod łóżka.

Kiedy ją otworzyłam, pierwszą rzeczą, jaka rzuciła mi się w oczy, była ramka na zdjęcia od Hołlisa. Odsunęłam ją na bok. Pod spodem

leżał podręcznik do ekonomii. W ciągu dziesięciu minut zdążyłam zagłębić się w lekturze pierwszego rozdziału, z notesem pełnym zapisków obok.

Jakie to proste. Nauka niczym stara przyjaciółka czekała na mnie cierpliwie, a powrót do niej wydał mi się bezpieczny i właściwy. W przeciwieństwie do wszystkich tych rzeczy, które robiłam z Elim, a które stanowiły dla mnie nowe wyzwanie, daleko wykraczające poza moją strefę komfortu, w tym byłam naprawdę mocna. Jedyna rzecz, którą robiłam dobrze, choćby wszystko inne szło nie tak.

Zamiast jeździć po mieście całymi nocami, siedziałam teraz w swoim pokoju przy otwartym oknie i pochłaniałam rozdział za rozdziałem, wsłuchując się w szum fal uderzających o brzeg. Mimo to kiedy robiłam przerwę na kawę czy wizytę w łazience, przyłapywałam się na tym, że zerkam na zegarek i zastanawiam się, co porabia Eli. O północy pewnie siedział w pralni. O wpół do drugiej w Park Marcie. A potem, któż to wie? Beze mnie i mojej głupawej misji, na którą musiałby tracić czas, mógł być gdziekolwiek.

Byłam zaskoczona, dokąd mnie to wszystko zaprowadziło. Obudziłam się o siódmej rano, podrywając gwałtownie głowę z notatnika, na który najwyraźniej opadła, kiedy nieoczekiwanie zasnęłam. Szyja mnie bolała, na policzku miałam ślady tuszu, ale co najdziwniejsze, przespałam drugą noc z rzędu. Chyba nie bardzo miałam ochotę zastanawiać się, dlaczego tak się stało.

Niezależnie od przyczyn ta nagła zmiana nawyków, jeśli chodzi o sen — która trwała już od trzech nocy — kompletnie wybiła mnie z rytmu. Po raz pierwszy od bardzo dawna byłam rankiem przytomna i świadoma. Początkowo próbowałam po prostu nadal się uczyć, ale trzeciego dnia postanowiłam wpaść do butik.

- O mój Boże! - zawołała Maggie, gdy tylko przekroczyłam próg.
- Nie do wiary.

Przewróciłam oczami, a potem zdjęłam okulary przeciwsłoneczne, przygotowując się na nieuniknione pytania i wyjaśnienia, co robię tu tak wcześnie. I wtedy zorientowałam się, że Maggie wcale mnie nie zauważyła. Razem z Leah i Adamem tłoczyli się przed laptopem ustawionym na ladzie i oglądali coś na monitorze.

- Mnie to mówisz? — rzucił Adam. - Nikt z nas nie miał pojęcia. Nawet Jake. Po prostu dostał SMS-a od kogoś, kto zobaczył to w sieci, i sam sprawdził.

- A możesz powtórzyć, kiedy to było? - zapytała Leah, podczas gdy Maggie nacisnęła jeden z klawiszy i nachyliła się bliżej.

- Wczoraj. Impreza na wystawie Hopper Bikes, w Randallton.

Wszyscy skupili się znowu na laptopie, najwyraźniej nie zauważywszy mnie nawet, kiedy podeszłam bliżej, żeby zabrać paragony z poprzedniego dnia. Zerknęłam na ekran - jakiś rowerzysta mknął w górę rampy, a potem zjeżdżał po drugiej stronie.

- Całkiem nieźle - orzekła Maggie.

- Naprawdę super - poprawił ją Adam. - Przecież to jego pierwsze zawody od ponad roku, a zajął drugie miejsce.

- Spójrzcie na to - mruknęła Maggie.

- No, no, fajna rampa. - Adam potrząsnął głową. - Nie mogę uwierzyć, że po takim czasie Eli zwyczajnie wsiadł na rower i wykosił konkurencję. Czyste szaleństwo.

Znów spojrzałam na monitor. Postać na rowerze była maleńka, ale teraz zauważyłam kosmyki włosów wymykające się spod kasku.

- No cóż - stwierdziła Maggie - może nie do końca tak było.

- To znaczy?

Maggie początkowo nie odpowiedziała, wreszcie jednak rzuciła:

- To, że nie widzieliśmy go, jak jeździ, wcale nie oznacza, że tego nie robił.

- Jasne, ale mimo wszystko, żeby być tak dobrym, musiałby sporo ćwiczyć — odparł Adam. - Ktoś by coś zauważył. Chyba że, no wiecie...

- .. .robił to w środku nocy czy coś w tym stylu — dokończyła Leah.

Podniosłam wzrok. Obie z Maggie przypatrywały mi się teraz uważnie. Adam też spojrzał na mnie, a potem z powrotem na nie.

- Chwileczkę - rzucił - coś mnie ominęło?

- Wiedziałaś o tym? — zapytała Leah. — Że Eli znowu startuje w zawodach?

Potrząsnęłam głową.

-Nie.

- Na pewno? - dopytywała Maggie. - Wygląda na to, że macie sporo wspólnych sekretów.

- Tak - odparłam. - Na pewno.

Wszyscy troje nadal się we mnie wpatrywali, kiedy zabierałam paragony. W biurze w końcu mogłam zamknąć za sobą drzwi. Słyszałam, że odtwarzają wideo wciąż od nowa, komentując, jak wspaniale wypadł Eli i jak wszystkich zaskoczył. Zwłaszcza mnie. Uświadomiłam sobie, jakie miałam szczęście, że udało mi się przynajmniej w jakiejś części dowiedzieć, co kłębiło się w jego głowie, zupełnie jakbym pchnęła lekko drzwi i wpuściła smugę światła do ciemnego pomieszczenia. Jednocześnie stało się jasne, jak wiele pozostało jeszcze nieodkryte, niewidoczne.

Choć zerknęłam na filmik z zawodów, nie miałam ochoty oglądać Elięgo. Szczerze mówiąc, tak bardzo wstydziłam się swojego zachowania i tego, co mu powiedziałam, że wszelkimi sposobami unikałam przechodzenia koło sklepu z rowerami. W butiku korzystałam teraz głównie z tylnego wejścia, uparcie twierdząc, że w ten sposób szybciej dotrę do domu. Nie byłam pewna, czy Maggie i reszta dziewczyn mi uwierzyły, ale wcale mnie to nie obchodziło. Za parę tygodni spakuję się i wrócę do domu, a stamtąd pojedę do Defriese. Ta część mojego życia, dziwaczna i przejściowa, dobiegała końca. Dzięki Bogu.

Później tego wieczora, kiedy zrobiłam sobie przerwę w nauce, usłyszałam, jak Heidi rozmawia z kimś przez telefon. Siedziała w bujanym fotelu na tarasie, trzymając na rękach śpiącą Isby, starannie owiniętą w powijaki.

- Nie wiem - tłumaczyła. - Ilekroć rozmawiamy, mam wrażenie, że już się poddał. Jakby był pewien, że to się nie uda, niezależnie od tego, co zrobimy. Wiem, ale...

Przez chwilę milczała, a ja słyszałam tylko skrzypienie fotela, w przód i w tył, w przód i w tył.

- Boję się, że może być za późno - odezwała się w końcu. - Że Robert ma rację i nie da się tego posklejać. Wiem, wiem, ciągle powtarzasz, że nigdy nie jest za późno. Ale ja nie mam takiej pewności.

Nagle odezwała się moja komórka, którą trzymałam w tylnej kieszeni spodni. Wyciągnęłam ją i spojrzałam na wyświetlacz.

Masz czas na kawę? Ja stawiam.

Przeczytałam te słowa raz, drugi, trzeci. „Nigdy nie jest za późno”

- pomyślałam. A potem rozległo się kolejne piknięcie.

Wyznacz miejsce, niczego tu nie znam!

- Kto wysyła ci SMS-y o tej porze? - zawołała Heidi, wracając do środka, z Isby w objęciach i komórką w wolnej ręce.

- To tylko mój dawny partner z balu maturalnego - odparłam.

- Długa historia.

- Naprawdę? - mruknęła. - Co... O mój Boże! Podskoczyłam przestraszona, a potem obejrzałam się za siebie,

spodiewając się potłuczonych naczyń albo co najmniej pożaru.

- Co takiego? - rzuciłam. - Co się stało?

- Bal maturalny! - Heidi potrząsnęła głową. — Nie mogę uwierzyć, że nie pomyślałyśmy o tym wcześniej! Jako temat imprezy na plaży. Bal maturalny. Idealne! - Otworzyła klapkę i wystukała parę cyfr.

- Bal maturalny — zakomunikowała po uzyskaniu połączenia. Chwila przerwy, a potem: - Na temat przewodni! Prawda, że doskonały? Dobra, zastanów się nad tym. Ludzie mogliby się wystroić, wybralibyśmy króla i królową, puszczałiby kiepską muzykę i...

Nie słuchałam dalej. Wróciłam na górę do sypialni, gdzie czekały na mnie książki i notatki. Kiedy jednak ułożyłam się na łóżku, okazało się, że nie jestem w stanie skupić uwagi na lekturze, oparłam się więc tylko wygodniej i odetchnęłam głęboko morskim powietrzem. A potem mój wzrok spoczął na laptopie leżącym na nocnej szafce. I zanim zdążyłam się nad tym zastanowić, już go włączałam i wybierałam LiveVid, stronę z filmikami wideo.

„WYSTAWA HOPPER BIKES - wpisałam. - RANDALLTON". Wyskoczyło mi dziesięć filmów. Przejrzałam pobieżnie ty-

tuły wszystkich, po czym kliknęłam na klip oznaczony tagami STOCK i RAMPA.

Ten sam, który oglądali Maggie i reszta w Clementines - rozpoznałam kask i tło. Pamiętałam wyczyny zawodników na miejscowym torze przeszkód i nawet swoim niewprawnym okiem bez trudu wychwytiłam, że ewolucje w wykonaniu Eliego wyglądają zupełnie inaczej. Miały w sobie wdzięk i lekkość, co dowodziło ich trudności. Kiedy patrzyłam, jak wzbija się w powietrze coraz wyżej i wyżej, czułam, jak serce trzepocze mi się w piersi. To było takie ryzykowne, przerażające, a jednocześnie piękne. Może więc faktycznie mistrzostwo nie powinno przychodzić łatwo. Bo wtedy wszystko byłoby proste. To rzeczy, o które musisz walczyć i zabiegać, mają największą wartość. Kiedy coś jest tak trudno osiągnąć, zrobisz o wiele więcej, by tego nie stracić.

* * *

Następnego ranka, po jakimś tygodniu niezręcznych rozmów telefonicznych, wybrałam się z wizytą do taty. Siedział w hotelowym pokoju z zaciągniętymi storami i hodował brodę godną rozbitka uwięzionego na bezludnej wyspie. Po otwarciu drzwi opadł z powrotem na niezasłane łóżko, podłożył ramiona pod głowę i zamknął oczy.

- Auden - zaczął z bolesnym westchnieniem - jak wygląda moje życie beze mnie?

Z trudem zwalczyłam pragnienie przewrócenia oczami i odpowiedzią szczerze. Zamiast tego zapytałam tylko:

- Nie rozmawiałeś z Heidi?

- Rozmowa - zadrwił, machając ręką. - Och, ależ my rozmawiamy. Tyle że tak naprawdę nic nie mówimy. Problem w tym, że nie potrafimy się dogadać. Boję się? że nigdy nam się to nie uda.

Właściwie wcale nie interesowało mnie zgłębianie ich problemów. Wystarczyła mi świadomość, że je mają i że są to kłopoty z gatunku tych Wielkich i Nierozwiązywalnych. Ale ponieważ poza mną i ojcem nikogo innego w pokoju nie było, czułam się w obowiązku to ciągnąć.

- Czy to... czy chodzi o Thisbe? u;

Ojciec wyprostował się lekko i spojrzał na mnie:

- Och, Auden. Czy tak twierdzi Heidi?

- Heidi nic nie mówi - odparłam, rozsuwając ciężkie kotary. — Pytam, bo zwyczajnie chciałabym, żebyście znaleźli jakieś rozwiązanie, nic więcej.

Ojciec przez chwilę przyglądał mi się bacznie, kiedy krążyłam po pokoju, zbierając kubki po kawie i opakowania po jedzeniu z fast foodów.

- Twoja troska mnie intryguje — rzekł w końcu. — Bo szczerze mówiąc, kiedyś wydawało mi się, że nie lubisz Heidi.

- Co takiego? - Wrzuciłam parę lepkich od keczupu serwetek do przepełnionego kosza. - Oczywiście, że ją lubię.

- Więc nie uważasz jej za pustą, bezduszną lalkę Barbie?

- Nie — odparłam, odsuwając od siebie myśl, że dawniej może rzeczywiście tak uważałam. - Skąd ci to przyszło do głowy?

- Bo tak właśnie twierdzi twoja matka — rzucił ostrym tonem ojciec. — A wy dwie często macie podobne zdanie.

Akurat myłam ręce w łazience. Spojrzałam na niego, a potem szybko wbiłam wzrok we własne odbicie w lustrze. Może to też było kiedyś prawdą.

- Nie we wszystkim - powiedziałam.

- Och, ale to właśnie jest wspaniałe w twojej matce — wyjaśnił ojciec, podczas gdy ja rozglądałam się za czystym ręcznikiem, żeby wytrzeć dłonie. — Zawsze wiesz, czego możesz się spodziewać. Nie potrzeba całego tego zgadywania, domysłów, odczytywania ukrytych znaków i symboli. Kiedy była nieszczęśliwa, wiedziałem o tym. A Heidi...

Wróciłam do pokoju i przysiadłam na skraju drugiego łóżka. -A Heidi co? Znowu westchnął.

- Ona wszystko dusi w sobie. Myślałem, że sprawy między nami układają się super, a tu nagle któregoś dnia ona zarzuca mnie pretensjami. Nie czuje się dobrze, jest nieszczęśliwa. Okazuje się, że nie starałem się wystarczająco mocno. Aha, na dodatek uważa mnie za najgorszego z ojców.

Odczekałam chwilę, a wreszcie spytałam:

- Heidi naprawdę tak ci powiedziała?

- Oczywiście, że nie! - burknął. - Tylko że w małżeństwie wszystko to stanowi podtekst, Auden. Sęk w tym, że w jej mniemaniu zawiodłem i ją, i Thisbe. Najwyraźniej zawodziłem je od pierwszego dnia.

- To spróbuj znowu — rzuciłam. — Ale tym razem bardziej się postaraj.

Ojciec rzucił mi smutne spojrzenie.

- To nie takie proste, kochanie.

- A jaki masz wybór? Siedzieć tutaj w pojedynkę?

- No cóż, nie wiem. — Podniósł się z łóżka i podszedł do okna, wsuwając ręce do kieszeni. - Z całą pewnością nie chcę jeszcze bardziej pogarszać sytuacji. Możliwe, że obie radzą sobie lepiej beze mnie. To nawet bardzo prawdopodobne.

Nagle poczułam, jak żołądek zawiązuje mi się w supeł.

- Wątpię - rzuciłam. - Heidi cię kocha.

- Ja ją też - odparł ojciec. - Ale czasem miłość nie wystarcza. Dziwne, ale najbardziej zdenerwowało mnie, że użył takiego

kiepskiego, wyświechtanego frazesu. Był świetnym pisarzem, mógłby wymyślić coś lepszego.

- Muszę iść do pracy - zakończyłam rozmowę, sięgając po leżącą na łóżku torbę. - Po prostu... chciałam sprawdzić, jak się miewasz.

Ojciec podszedł i mocno mnie przytulił.

- Wszystko w porządku - wymamrotał, kłując mnie tą swoją idiotyczną brodą w czoło. - Nic mi nie będzie.

Pożegnałam się z nim i wyszłam na korytarz, ale kiedy nacisnęłam guzik windy, światelko się nie zapaliło. Spróbowałam jeszcze raz. Znowu nic. Wtedy uderzyłam w niego z całej siły pięścią.

Lampka wreszcie się zaświeciła, tym razem naprawdę szybko, a ja uświadomiłam sobie, że jestem wściekła. Nie zdenerwowana w stylu „serce mi wali” i „nie potrafię myśleć logicznie”, ale naprawdę wściekła.

Wsiadłam do windy, w metalowych drzwiach odbiła się moja twarz. Tym razem przyjrzałam się jej uważnie.

Najbardziej zaskoczyło mnie, że złość owładnęła mną tak niespodziewanie. Zupełnie jakby coś, co powiedział lub zrobił ojciec, zbudziło demony przeszłości ukryte gdzieś w zakamarkach mojej duszy, dotąd pokryte kurzem niepamięci. Kiedy szłam w stronę wyjścia, myślałam jedynie o tym, że nie ma nic szlachetnego w odejściu, kiedy coś w związku szwankuje, nawet jeśli to siebie uważamy za przyczynę tych niepowodzeń. Zwłaszcza wtedy. Nie wolno się tak łatwo poddawać. Ponieważ jeśli jesteś przyczyną problemu, istnieje szansa, że możesz też znaleźć lekarstwo. A jedyny sposób, żeby się o tym przekonać, to podjęcie kolejnej próby.

Zanim uświadomiłam sobie, jak szybko szłam, klucząc w tłumie ludzi, dotarłam prawie do Clementines. Kiedy wreszcie pchnęłam drzwi, oddychałam tak ciężko i miałam takie rumieńce, że Maggie aż podskoczyła z przestraszeniem na mój widok.

- Auden? — powiedziała. - Co...

- Potrzebuję twojej pomocy - rzuciłam. Zamrugała oczami.

- Nie ma sprawy. W czym problem?

Kiedy jej wyjaśniłam, o co chodzi, spodziewałam się, że będzie zaskoczona. Albo mnie wyśmieje. Ale nie zrobiła ani jednego, ani drugiego. Po prostu zamyśliła się na chwilę, a potem skinęła głową.

- Jasne — odparła. - Mogę to zrobić.

piętnaście

BYŁO TO, najłagodniej rzecz ujmując, żenujące doświadczenie.

- Widzisz — życzliwie strofowała Maggie, kiedy podniosłam się z ziemi -tego właśnie chcemy uniknąć.

- Jasne. — Popatrzyłam w dół, na świeżo odrapane kolano, które pasowało teraz do drugiego. - Ja po prostu... to takie dziwne uczucie.

- Oczywiście. — Maggie westchnęła. - To znaczy, jest sens w tym, że powinniśmy się tego uczyć jako małe dzieci.

- Mniejsza samoświadomość?

- Mniejsza odległość od ziemi. - Maggie podniosła rower i ustawiła go z powrotem w pionie. A ja ponownie wspięłam się na siodełko, podpierając się stopami. - W porządku, spróbuj jeszcze raz - powiedziała.

Był wczesny ranek następnego dnia. Znajdowałyśmy się na placu w pobliżu toru przeszkód i przynajmniej w jednym miałyśmy jasność: nie umiałam jeździć na rowerze.

Gdybym umiała, przypomniałabym sobie wszystko, podświadomie wiedziałabym, co robić, gdy nacisnę pedały, a rower zaczynie się toczyć do przodu. Zamiast tego za każdym razem, kiedy ruszałam — nawet w ślimaczym tempie - panikowałam, zaczynałam się chwiać, a potem upadałam. Raz udało mi się przejechać jakieś czterdzieści metrów, ale tylko dlatego że Maggie trzymała za siodełko. Gdy tylko zwolniła uścisk, skręciłam gwałtownie w jakieś krzaki i znowu się wywróciłam.

Oczywiście chciałam zrezygnować. Już po pierwszym niepowodzeniu, czyli dobrą godzinę temu. To naprawdę upokarzające: pod-

nosić się po raz kolejny z ziemi i otrzepywać kolana z piasku i żwiru, nie wspominając o konieczności stawania twarzą w twarz z uśmiechniętą Maggie, która robiła zachęcające miny i nawet po najbardziej spektakularnym upadku unosiła kciuki do góry. To taka prosta rzecz. Maluchy robią to każdego dnia. A jednak mnie się nie udawało. Raz za razem.

- Wiesz - stwierdziła Maggie po kolejnej katastrofie, która sprowadzała się do bliskiego i niezbyt przyjemnego spotkania z kubłem na śmieci - zdaje mi się, że źle do tego podchodzę.

- To nie twoja wina - odparłam, znowu podnosząc rower z ziemi. - Tylko moja. Jestem beznadziejna.

- Nie, wcale nie. - Uśmiechnęła się do mnie, przez co poczułam się jeszcze bardziej żałośnie. - Posłuchaj, jazda na rowerze wymaga ogromnej wiary. Przecież człowiek nie ma prawa utrzymać się na dwóch cieniutkich oponach z gumy. To wbrew wszelkiej logice.

- Dobra — mruknęłam, strzepując okruchy żwiru z łokcia - teraz naprawdę traktujesz mnie z góry.

- Wcale nie. - Przytrzymała rower, podczas gdy ja wspierałam się z powrotem na siodełko i zacisnęłam palce na kierownicy. - Ale moim zdaniem przydałoby się nam wsparcie.

Spojrzałam na nią.

- O, nie. Nie ma mowy.

- Auden, to nic złego. - Maggie wyciągnęła z tylnej kieszeni spodni komórkę i otworzyła klapkę.

- Proszę, nie - jęknęłam. - Leah zabije mnie śmiechem. A Esther... zacznie się nade mną użalać i to będzie jeszcze gorsze.

- Zgoda — odparła Maggie, stukając w klawisze. — Ale to ktoś, przed kim naprawdę nie można się wygłupić. Gwarantowane.

— Maggie.

- Powaga. — Nacisnęła kolejny klawisz. - Zaufaj mi. W tamtym momencie nie wiedziałam, o kim mówi. Ale dziesięć minut później, kiedy usłyszałam trzaśnięcie drzwiczek samochodu na parkingu za naszymi plecami i odwróciłam głowę, jak najbardziej nabrało to sensu.

- SOS? - zapytał Adam, podchodząc do nas. - Wiesz, że takiego SMS-a możesz wysłać tylko wtedy, kiedy ktoś umarł albo właśnie kona? Wystraszyłaś mnie na śmierć!

- Przepraszam - zaszczębiotała Maggie. — Ale chciałam, żebyś przyjechał jak najszybciej.

Westchnął i przeczesał dłonią kędzierzawe włosy, które, co zauważyłam dopiero teraz, z jednej strony sterczały mu niesfornie. Do tego na policzku miał odcisnięty ślad poduszki.

- W porządku. Więc co to za pilna sprawa?

- No cóż — powiedziała Maggie - Auden nie umie jeździć na rowerze.

Adam spojrzał na mnie, a ja poczułam, że się rumienię.

- Rany — mruknął — to rzeczywiście poważny przypadek.

- A widzisz? - rzuciła w moją stronę Maggie. - Mówiłam ci, że to właściwa osoba!

Adam podszedł bliżej, obrzuciwszy taksującym spojrzeniem mnie i rower.

- W porządku - orzekł po chwili. - Jaką metodę nauki zastosowałaś?

- Metodę...? - Maggie zamrugała oczami.

- Zaczęłaś od współpracy z partnerem, a potem przeszłaś do jazdy ze wspomaganiami? A może najpierw wspomagana jazda ukierunkowana na powolne, stopniowe pogłębianie pewności i w efekcie samodzielną jazdę?

Wymieniłyśmy z Maggie spojrzenia.

- Po prostu wsadziłam ją na siodełko i puściłam na żywioł - powiedziała.

- O rany. To najszybszy sposób, żeby zniechęcić kogoś do roweru. - Adam ruchem ręki kazał mi zsiąść i podprowadzić rower, a potem sam wskoczył na siodełko. - W porządku, Auden, siadaj na kierownicy.

- Co takiego?

- Na kierownicę. Wskakuj. — A kiedy nadal stałam bez ruchu, ewidentnie niezbyt przekonana, dodał: - Posłuchaj. Jeśli chcesz nauczyć się jeździć, musisz tego zapragnąć. A jedynym sposobem

na to jest pokazanie ci, jaka to frajda, kiedy już wiesz, z czym to się je. Wskakuj.

Spojrzałam na Maggie, a kiedy skinęła mi zachęcająco, usadowiłam się na kierownicy, próbując zrobić to z wdziękiem.

- Dobra - pochwalił Adam - a teraz trzymaj się mocno. Kiedy będziemy jechać naprawdę szybko, możesz puścić kierownicę, ale dosłownie na chwilkę i tylko gdy poczujesz się na to gotowa.

- Nie zamierzam puszczać kierownicy - odparłam. - W życiu.

- Tak też będzie w porządku.

A potem zaczął pedałować. Początkowo powoli, później odrobinę szybciej, aż wiatr odgarniał mi włosy do tyłu i szarpał za bluzkę. Kiedy dotarliśmy do końca parkingu, Adam skręcił w prawo i pomknęliśmy dalej.

- Zaczekaj - poprosiłam, oglądając się na Maggie, która obserwowała nas, osłaniając dłonią oczy. - A co z...

- Poradzi sobie — stwierdził Adam. - Niedługo wrócimy.

Jechaliśmy teraz poboczem drogi, od czasu do czasu z lewej mijały nas samochody. Słońce stało wysoko, a powietrze pachniało słodyczą i solą jednocześnie.

- Dobra! — krzyknął Adam, kiedy mijał nas kolejny samochód

- mów, co teraz czujesz.

- Mam nadzieję, że nie spadnę - odparłam.

- Co jeszcze?

- Ja... - rzuciłam, kiedy zjechaliśmy z głównej ulicy na deptak

- nie wiem.

- Musisz coś czuć.

Zastanawiałam się nad tym, kiedy pędziliśmy deptakiem, o tej porze niemal całkowicie pustym, jeśli nie liczyć paru spacerowiczów i chmary mew, które rozprysnęły się na boki, kiedy się zbliżyliśmy.

- To przypomina latanie — zauważyłam, obserwując, jak ptaki podrywają się do góry. - Tak jakby.

- Dokładnie! — zawołał Adam, przyspieszając odrobinę. — Prędkość, wiatr... a najlepsze, że **to** twoja zasługa. Właściwie teraz moja. Ale kiedyś będzie twoja. I będziesz się czuła dokładnie tak samo. Albo nawet lepiej, bo zrobisz to zupełnie samodzielnie.

Teraz naprawdę pędziliśmy, deski turkotały pod kołami, a ja odchyliłam się mocniej do tyłu, pozwalając, aby wiatr owiewał mi twarz. Po prawej rozciągał się ogromny, połyskujący ocean, który stawał się jedną wielką niebieską i zamazaną przeszłością. Pomimo zawstydzenia i obaw o to, że spadnę, czułam się dziwnie szczęśliwa. Przymknęłam oczy.

- Widzisz? - powiedział Adam, a jego głos jakimś cudem odnalazł drogę do moich uszu. - Teraz jest dobrze.

Otworzyłam oczy z zamiarem wymyślenia jakiejś odpowiedzi. Chciałam mu powiedzieć, że ma rację, że teraz rozumiem i bardzo dziękuję za to, że ofiarował mi tę szansę i tę przejażdżkę. Ale kiedy się rozejrzałam, uświadomiłam sobie, że właśnie mijamy sklep rowerowy. Odwróciłam głowę, żeby spojrzeć w tamtą stronę. Drzwi wejściowe były otwarte i zobaczyłam, że na zapleczu pali się światło, a przy ladzie ktoś stoi. Ktoś trzymający plastikowy kubek z kawą. Może jechaliśmy tak szybko, że Eli nawet nas nie zauważył, a nawet jeśli, to nie zdołał zorientować się, że to ja. Ale w tym właśnie momencie postanowiłam na ułamek sekundy puścić kierownicę i unieść rękę.

* * *

Przez cały następny tydzień ćwiczyłyśmy z Maggie niemal każdego ranka. Miałyśmy cały rytuał - kupowałam dwie kawy w Beach Beans, a potem spotykałyśmy się we dwie na placu obok toru przeszkód. Początkowo, idąc za radą Adama, stosowałyśmy metodę, którą on sam nazywał „jazdą wspomaganą”, to znaczy Maggie trzymała za tył siodełka, podczas gdy ja pedałowalam. Potem przeszłyśmy do tego, że Maggie zwalniała uchwyt na coraz dłużej, ale cały czas biegła za mną, żebym się nie przewróciła. Teraz po trochu wydłużałyśmy te momenty, a ja wytrwale pracowałam nad równowagą i pedałowaniem. Sporo jeszcze brakowało do ideału - przytrafiło mi się parę wywrotek, a moje kolana nadal zdobyły strupy - ale było znacznie lepiej niż pierwszego dnia.

Ostatnio coraz wyraźniej uświadamiałam sobie, że w moim życiu znowu zaszła wielka zmiana, niemal o sto osiemdziesiąt stopni. Teraz nocami siedziałam w domu, ucząc się i śpiąc, a wychodziłam wczesnym rankiem i po południu, prawie jak normalny człowiek. Ale

w odróżnieniu od normalnych ludzi nadal spędzałam większość czasu w samotności. Jeśli nie pracowałam i nie ćwiczyłam z Maggie, przesiadywałam w domu, nie odpowiadając na SMS-y od Jasona -które nadal przychodziły, choć, dzięki Bogu, nie z taką częstotliwością jak poprzednio - i telefony rodziców.

Wiedziałam, że oboje są ciekawi, co się dzieje, bo nie rozmawiałam z nimi od wieków, ignorując pozostawiane wiadomości. Zdawałam sobie sprawę, że zachowuję się dziecinnie, ale z jakiegoś powodu właśnie to mi odpowiadało. Zupełnie jakby taka postawa stanowiła kolejny element mojej nieukończonych misji, nadrabiania straconego czasu. Choć tak naprawdę jakaś częśćka mnie bała się, że jeśli porozmawiam z którymś z nich - zamienię choćby słówko - to, co odkryłam w sobie tamtego dnia, kiedy wychodziłam z hotelu, rozleje się szeroką falą, zatapiając nas wszystkich.

Rozmawiałam tylko z Hollisem, ale i w tym przypadku kontakt był w najlepszym razie sporadyczny, głównie dlatego że nowe życie z Laurą bardzo go absorbowało. Mimo że małżeństwo mojego ojca się rozpadało, a związek mamy jak zwykle nawet się nie zaczął, Hollis ciągle zmagał się z oczekiwaniami matki i własną przeszłością. Co dziwne, wciąż sprawiał wrażenie szaleńczo zakochanego, choć dawno minął termin, kiedy zwykle tracił zainteresowanie kolejną dziewczyną i ruszał dalej. A teraz zrobił coś jeszcze bardziej szokującego.

-HollisWest.

Mimo że sama wybrałam jego numer i wiedziałam, że to mój brat, zaskoczył mnie jego poważny ton.

- Hollis?

- Aud! Cześć! Zaczekaj chwileczkę, wyjdę na zewnątrz. Usłyszałam jakieś stłumione odgłosy, a potem stukot zamykanych drzwi. Po czym głos w telefonie odezwał się ponownie:

- Przepraszam za to. Akurat mamy przerwę w zebraniu.

- Ty i Laura?

- Nie, ja i reszta specjalistów do spraw finansowych. -Kto?

Hollis odchrząknął.

- Moi współpracownicy. Pracuję w Main Mutual, mama ci nie mówiła?

Jak przez mgłę przypomniałam sobie, że wspominała coś o banku.

- Chyba tak — mruknełam. - Od dawna tam pracujesz?

- Trzy tygodnie czy coś koło tego - odparł. - Ale szybko zleciało. Naprawdę nieźle sobie radzę.

- I jak, podoba ci się ta praca?

- Bardzo! - Usłyszałam dźwięk klaksonu. — Okazało się, że jestem świetny w relacjach z klientami. Zdaje się, że to obijanie się po całej Europie czegoś mnie jednak nauczyło.

- Znajdujesz z nimi wspólny język?

- Najwyraźniej. — Roześmiał się. - Zatrudniłem się w kasie, ale po tygodniu przenieśli mnie do punktu obsługi klientów. Zajmuję się zakładaniem kont, wnioskami o wynajęcie skrytek, takimi rzeczami.

Próbowałam sobie wyobrazić Hollisa za biurkiem w banku czy w ogóle gdziekolwiek. Ale jedyny obraz, jaki miałam przed oczami, to jego uśmiechnięta twarz, kiedy stoi na tle Tadź Mahal. To były najlepsze chwile?

- Słuchaj, Aud - podjął - mam tylko parę minut, zaraz muszę wracać. Co u was słyhać? Jak tam tata, Heidi i moja malutka siostrzyczka?

Zawahałam się. Powinnam go poinformować o wyprawdzie ojca. Miał prawo wiedzieć. Ale z jakiegoś powodu nie chciałam być tą, która przekaże mu złe wieści. Zupełnie jakby ojciec po raz kolejny nie dokończył zdania, mnie zostawiając całą brudną robotę. W rezultacie powiedziałam tylko:

- Wszystko w porządku. A jak mama? Ciężko westchnął.

- Och, no wiesz. Marudna jak zawsze. Najwyraźniej strasznie ją rozczarowałam, odwracając się plecami od mojego niezależnego ducha i dołączając do burżuazji.

- No jasne.

- Poza tym tęskni za tobą.

Szczerze mówiąc, ta informacja zaszokowała mnie niemal równie mocno, jak nazwa jego nowego stanowiska.

- Mama nie tęskni za nikim - odparłam. - Jest całkowicie samowystarczalna.

- Nieprawda. - Hollis zamilkł na chwilę. - Posłuchaj, Aud. Wiem, że o coś się tam ostatnio poprzytykałyście, ale naprawdę powinnaś spróbować z nią porozmawiać. Ciągle ma te cyrki z Finnem i...

- Finnem?

- Tym studentem, który sypia w samochodzie. Mówiłem ci o nim, zgadza się?

Pomyślałam o okularach w czarnych oprawkach.

- Aha, tak mi się wydaje.

- Znasz schemat. On ją kocha, ona nie chce się angażować, bla, bla, bla. Zwykle łatwo ich odstraszyć, ale ten akurat jest wytrwały. Nie poddaje się. To pogłębia wszystkie jej problemy.

- Rany - mruknęłam. - Niezła porcja wrażeń.

- Jak wszystko w jej przypadku - odparł Hollis. - Posłuchaj, Aud, muszę wracać na tę burzę mózgow. Ale na serio, daj jej jeszcze jedną szansę.

- Hollis, ja nie...

- Przynajmniej się nad tym zastanów. Zrób to dla mnie.

Tak naprawdę nie wydawało mi się, żebym była winna Hollisowi aż taką przysługę. Więc chyba nieźle to świadczyło o jego umiejętnościach perswazji, skoro po chwili usłyszałam własne słowa:

- W porządku. Zastanowię się nad tym.

- Dzięki. I hej, zadzwoń do mnie później, dobrze? Chcę wiedzieć, co się dzieje.

Zapewniłam go, że tak zrobię. A on już się rozłączył, żeby wrócić na swoje ważne zebranie. Dotrzytałam słowa i zaczęłam zastanawiać się nad rozmową z mamą. Nie zdecydowałam się na nią. Ale wzięłam taką opcję pod uwagę.

Potem wszystko potoczyło się po staremu. Staralam się trzymać z dala od Heidi, która z entuzjazmem zabrała się do przygotowywania plażowej imprezy. Ignorowałam wiadomości od rodziców. Przeczytałam kolejny rozdział, rozwiązałam nowy zestaw pytań kon-

trólnych. Kiedy poczułam, że powieki zaczynają mi ciążyć, zgasłam światło, a potem leżałam w ciemnościach, tak naprawdę nie wierząc, że sen nadejdzie, aż do chwili, kiedy to się stało. Jedynymi momentami, podczas których mój umysł zajmował się czymś innym poza szkołą i pracą, były rowerowe przejażdżki. A wtedy myślałam tylko o Elim.

Od tamtego dnia, kiedy przemknęliśmy obok niego deptakiem, widziałam go parę razy. Przechodził pod oknem wystawowym butiku, kiedy wyjmowałam coś z kasy, albo stał przed sklepem, pokazując rower potencjalnemu kupcowi. Bez większego problemu mogłam sobie wmawiać, że nie rozmawiamy, bo jesteśmy tak zajęci innymi sprawami. Prawie w to wierzyłam. Ale zaraz potem przypominałam sobie, co powiedziałam mu o obijaniu się, i wyraz jego twarzy na chwilę przed tym, nim sobie poszedł - wiedziałam już, że to nieprawda. Taka była konsekwencja mojego wyboru, moja decyzja. O Elim, jako jednej z nielicznych osób i rzeczy w moim życiu, prawie mogłam powiedzieć, że coś dla mnie znaczy. Chociaż to „prawie” i tak się nie liczy. Albo coś to znaczenie ma, albo nie.

Podczas rowerowych przejażdżek najczęściej jednak rozmyślałam o mojej misji. Na początku przypominała niewinną, głupią zabawę dla zabicia czasu, ale teraz zdałam sobie sprawę z tego, że było to coś znacznie ważniejszego. Noc za nocą, zadanie po zadaniu, Eli pomagał mi uporządkować pewne - jeśli nie wszystkie - sprawy. Ofiarowywał mi drugie szanse niczym cenny dar. Ale potrzebowałam jeszcze jednej. A kiedy pedałowałam przez parking przy torze przeszkód, z Maggie trzymającą za siodełko albo biegnącą tuż za mną, żałowałam, że Eli mnie nie widzi. Zdawałam sobie sprawę z tego, że to nie naprawiłoby całej reszty. Ale z jakiegoś powodu chciałam, żeby wiedział.

Rankami ćwiczyłam więc jazdę na rowerze, powoli nabierając pewności siebie i prędkości. A wieczorami przesiadywałam przy laptopie, wyszukując w serwisie Live Vid klipy z występami Eliego z kolejnych zawodów. Kiedy obserwowałam go przesuwanego się po ekranie, takiego szybkiego i zdecydowanego, trudno mi było uwierzyć, że te dwie rzeczy — moje pierwsze próby i jego mistrzow-

ska biegłość — mają ze sobą coś wspólnego. Ale w istocie niczym się nie różniły. Za każdym razem chodziło o to, żeby mknąć prosto przed siebie, cokolwiek znajdowało się przed nami, cały czas do przodu.

* * *

Najpierw usłyszałam piski. Potem chichoty. Ale dopiero kiedy rozległa się muzyka, odłożyłam długopis i ruszyłam sprawdzić, co się dzieje.

Było piętnaście po dziesiątej, a ja robiłam to, co ostatnio stało się moim wieczornym zwyczajem: przygotowywałam się do nauki. Skończywszy z dokumentami w Clementines, kupiłam kanapkę w Beach Beans i pochłonęłam ją pospiesznie w kuchni, rozkoszując się myślą, że mam dom tylko dla siebie. Ale kiedy usadowiłam się wygodnie i zabrałam do lektury *Teorii i praktyki światowej ekonomii*, po jakichś dziesięciu minutach zorientowałam się, że na dole zebrało się towarzystwo. I to głośne.

Zeszłam do połowy schodów i wyjrzałam do kuchni, gdzie kłębił się tłum. Heidi w szortach i czarnym podkoszulku na ramiączkach układała właśnie foliowe torby na blacie, a przypięta pasami w swoim wózku Isby obserwowała jej poczynania. Blondynka w wieku Heidi akurat otwierała piwo, podczas gdy druga dziewczyna, brunetka, wysypywała chipsy do miski. Przy stole zaś siedziały Maggie, Esther i Leah, a przed nimi piętrzyły się kolejne reklamówki.

Istnieje taki rodzaj dźwięku, który potrafi wydać z siebie wyłącznie grupka kobiet. Nie zwykła paplanina ani nawet rozmowa, ale istna melodia składająca się ze słów i wydechów. Znaczną część życia spędziłam na przysłuchiwaniu się temu z daleka, chociaż nigdy nie przestałam być boleśnie świadoma, jak wielki dystans dzieli mnie od innych dziewczyn. Z drugiej strony zawsze wolałam trzymać się na uboczu i właśnie dlatego poczułam niepokój, kiedy Heidi podniosła wzrok i mnie zauważyła.

— Auden! - zawołała, podczas gdy któraś z dziewczyn podkreśliła głośniejszą muzykę przypominającą mi salsę, żywy rytm i rozbudowana sekcja dęta. - Hej, przyłącz się do nas!

Zanim zdążyłam zareagować, wszystkie odwróciły się i popatrzyły na mnie, co sprawiło, że szybka ucieczka stała się po prostu niemożliwa.

- Hm — mruknięłam. - Ja...

- To jest Isabel — ciągnęła Heidi, wskazując blondynkę, która skinęła mi głową. Potem Heidi przedstawiła brunetkę: - A to Morgan. Moje najlepsze przyjaciółki. Dziewczyny, oto Auden, córka Roberta.

- Wspaniale móc cię wreszcie poznać! — wykrzyknęła Morgan. - Heidi za tobą szaleje! Po prostu szaleje!

- Dostałaś moje wiadomości? - zapytała Heidi, wyjmując Isby z wózka. — Próbowałam ci przekazać, że wpadniemy, ale twoja poczta głosowa była pełna.

- Rany. - Leah uniosła brwi. - Ktoś tu ma powodzenie.

- Właściwie to muszę odpowiedzieć na całą masę telefonów - wykręcałam się.

Esther odwróciła do góry nogami torbę, wysypując z niej mnóstwo małych ramek na zdjęcia.

- Och, w takim razie zapraszamy, kiedy skończysz. - Heidi sięgnęła po piwo, które podsunęła jej Isabel, podczas gdy Morgan stawiała chipsy na stole. — Na pewno jeszcze tu będziemy. Mamy do zrobienia co najmniej trzysta upominków powitalnych.

-Trzysta? - zdumiała się Leah, a potem spojrzała spod zmrużonych powiek na Maggie. - Mówiłaś...

- Mówiłam, że będziemy się świetnie bawić, i będziemy - odparła Maggie. - Zresztą co innego masz dziś wieczorem do roboty?

- Mnóstwo rzeczy! Dzisiaj w Tallyho dziewczyny wchodzi gratis.

- Oho, żadnego Tallyho - rymowała Esther, sięgając po jedną z ramek.

- Amen - przytaknęła Isabel. — Ta knajpa przyprawia mnie o dreszcze.

Kiedy wróciłam do swojego pokoju, sięgnęłam po długopis i próbowałam znowu zająć się ekonomią. Na dole dziewczyny głośno się zaśmiewały, więc zamknęłam drzwi, nadal jednak słyszałam muzykę,

która mnie rozpraszała. W końcu wzięłam telefon, odsunęłam klapkę i wystukałam numer mojej poczty głosowej.

Heidi miała rację — poczta była przepełniona, głównie starymi wiadomościami od rodziców, których jakoś nigdy nie odsłuchałam, a teraz sprawdzałam je wszystkie, jedna po drugiej, z oczami wbitymi w mroczny ocean za oknem.

„Auden, halo, tu twoja matka. W takim razie spróbuję zadzwonić później”.

Usuń.

„Cześć, kochanie, to tata. Akurat zrobiłem sobie chwilę przerwy w pisaniu, pomyślałem, że sobie pogadamy. Będę u siebie w pokoju przez cały dzień, gdybyś chciała zadzwonić albo wpaść. Czekam”.

Usuń.

„Auden, tu matka. Twój brat pracuje teraz w banku. Mam nadzieję, że jesteś równie oburzona, co ja. Do widzenia”. Usuń.

„Cześć, Auden, tata. Zastanawiam się, czy nie miałabyś ochoty spotkać się w Last Chance, trochę mi się znudziła hotelowa obsługa. Zadzwoń do mnie, dobra?”.

Usuń.

„Auden, zaczynam mieć dosyć twojej poczty głosowej. Nie będę więcej do ciebie dzwonić, dopóki się nie odezwiesz”. Usuń.

„Kochanie, tu znowu tata. Chyba zadzwonię na numer domowy, może ten nie jest już aktualny?”. Usuń.

I tak to się ciągnęło bez końca, a ja nie czułam nic, kiedy ciągle naciskałam ten sam klawisz, kasując kolejne wiadomości. Dopóki nie dotarłam do tej.

„Och, Auden, najwyraźniej mnie unikasz”, westchnienie równie znajome, jak odbicie mojej własnej twarzy w lustrze. Ale potem matka dodała: „Zdaje się, że sobie na to zasłużyłam. Jak zwykle doskonale idzie mi zrażanie do siebie tych nielicznych osób, z którymi w ogóle mam ochotę rozmawiać. Nie wiem, dlaczego tak się dzieje.

Może udało ci się odkryć przyczynę w czasie twojego lata przemiany? Zastanawiam się...".

Odsunęłam komórkę od ucha i spojrzałam na wyświetlacz. Wiadomość pozostawiona dwa dni wcześniej, koło piątej po południu. Gdzie wtedy byłam? Pewnie tkwiłam samotnie w biurze, w sypialni albo gdzieś w drodze pomiędzy tymi dwoma punktami.

Pomyślałam o matce, siedzącej przy kuchennym stole, gdy Hollis w jej mniemaniu marnował czas w banku, a ja rozbijałam się autem z chłopakami ubrana w różowe bikini. Jak bardzo rzeczywistość musiała różnić się od marzeń, które snuła przez wszystkie te dni, kiedy dbała o naszą dwójkę tak jak Heidi o Thisbe i kołysała nas do snu. Tak łatwo odwrócić się od tego, czego się nie rozumie, uciekać od rzeczy obcych i budzących niepokój. Jedyłą osobą, nad którą zawsze masz kontrolę, jesteś ty sam. Całkiem sporo, a jednocześnie zbyt mało.

Do wtóru kolejnego wybuchu śmiechu dobiegającego z dołu nacisnęłam jedynekę w szybkim wybieraniu i odczekałam chwilę.

-Halo?

— Mamo, to ja. Milczenie. A potem:

— Auden. Jak się miewasz?

— Wszystko w porządku — powiedziałam. Dziwne uczucie, rozmawiać z nią po tak długim czasie. - A co u ciebie?

— No cóż — odparła — wygląda na to, że u mnie też wszystko w porządku.

Matka nigdy nie należała do sentymentalnych, wrażliwych typów. Ale kiedy zostawiła tę wiadomość, coś w jej głosie natchnęło mnie odwagą.

— Mamo? Mogę cię o coś spytać? Zawahała się, a wreszcie powiedziała:

— Tak, oczywiście.

— Kiedy postanowiliście się z tatą rozstać, to było... zrobiliście to od razu? Czy może najpierw staraliście się przez długi czas jakoś to rozwiązać?

Nie mam pojęcia, jakiego pytania się spodziewała. Ale sądząc z ciszy, która zapadła, na pewno nie takiego. W końcu jednak odparła:

- Próbowaliśmy ratować nasze małżeństwo. Nie podjęliśmy decyzji o rozwodzie pochopnie, jeśli o to ci chodzi. O to?

- Sama nie wiem. — Popatrzyłam na swój podręcznik i leżący koło niego notes. — Chyba... Zapomnij o tym. Przepraszam.

- Nie, nie, w porządku. - Jej głos rozbrzmiewał mi w uszach coraz głośniej. — Auden, co się dzieje? Dlaczego zastanawiasz się nad tym akurat teraz?

Nagle poczułam z zażenowaniem, jak coś ściska mnie za gardło. Przełknęłam ślinę, a potem powiedziałam:

- Po prostu... tata i Heidi mają problemy.

- Problemy - powtórzyła. - Jakiego rodzaju problemy? Z dołu dobiegł mnie kolejny wybuch śmiechu.

- Ojciec wyprowadził się dwa tygodnie temu — wyrzuciłam z siebie.

Matka wypuściła głośno i powoli powietrze, jak ktoś, kto obserwuje piłkę baseballową frunącą ponad ogrodzeniem boiska w dal.

- Ojej, przykro mi to słyszeć.

- Naprawdę?

Powiedziałam to właściwie bez namysłu i natychmiast tego pożałowałam.

- Oczywiście - rzuciła nieco ostrzejszym tonem. — Nikogo nie cieszą czyjeś problemy małżeńskie, zwłaszcza kiedy w grę wchodzi małe dziecko.

A ja tak po prostu się rozplakałam. Łzy niespodziewanie napłynęły mi do oczu, a potem potoczyły się po policzkach, aż wciągnęłam gwałtownie powietrze, próbując je powstrzymać.

- Auden? Wszystko w porządku?

Znowu popatrzyłam przez okno na ocean, tak wielki i niewzruszony, pozornie niezmienny, a jednak w ciągłym ruchu.

- Chyba po prostu żałuję - odparłam drżącym głosem — że nie zrobiłam pewnych rzeczy inaczej.

- Ach... - Matka westchnęła, jakby wszystko rozumiała, chociaż powiedziałam tak niewiele. Podtekst, w rzeczy samej. - Jak my wszyscy.

Może w przypadku zwyczajnych matek i córek wszystko było znacznie prostsze. Może one odbywały rozmowy niepozostawiające miejsca na niedopowiedzenia ani wątpliwości i zawsze mówiły to, co myślały. Ale moja mama i ja nie byłyśmy zwyczajne, więc ta rozmowa - chociaż wymuszona i pełna niedomówień - stanowiła pierwszy od bardzo dawna moment, w którym wreszcie się do siebie zbliżyłyśmy. Zupełnie jakby wyciągnąć do kogoś rękę, ale nie trafić w palce ani nawet łokieć, tylko chwycić go za ramię. I choć nie do końca o to chodziło, trzyma się tego kogoś mocno.

Przez chwilę żadna z nas się nie odzywała.

- Muszę już kończyć - przerwałam wreszcie milczenie. - Przyjaciółki czekają na dole.

- Oczywiście. - odkaszlnęła. - Ale zadzwoń do mnie jutro, dobrze?

- Jasne.

- W porządku. Dobranoc, Auden.

- Dobranoc. - Zatrzasnęłam komórkę, a potem położyłam ją na książce do ekonomii i wyszłam z pokoju. Na schodach usłyszałam znajomą melodię, głośniejszą niż przedtem.

- Po prostu nie rozumiem, dlaczego nagle zachowujemy się tak, jakby bal maturalny był czymś wyjątkowym - perorowała Leah.

- Bo był - odparła Morgan.

- Dla niektórych pewnie tak.

- No właśnie - zauważyła Esther. - A inne były skazane na towarzystwo zalanych chłopaków, którzy nie zdołali nawet opuścić parkingu o własnych siłach.

Morgan prychnęła, a Isabel natychmiast ją zgromiła:

- Zamknij się!

- Ja uważam — wtrąciła Heidi - że bal maturalny to jedna z tych rzeczy w liceum, które się uwielbia albo których się nienawidzi. Podobnie jak samo liceum.

- Ja lubiłam szkołę - zauważyła Maggie.

- No oczywiście - odparła Leah. — Chodziłaś z najseksowniejszym chłopakiem i miałaś najlepsze oceny, więc wszyscy cię kochali.

- Ty nigdy nie chciałaś dać się kochać - zwróciła jej uwagę Esther.

- Ale nie miałabym nic przeciwko, gdyby znalazła się jedna taka osoba - odcięła się Leah.

- Mój chłopak z liceum złamał mi serce, pamiętasz? - rzuciła Maggie.

- Mój też! - Morgan westchnęła. - Boże, to było straszne.

- Po prostu zadałaś się ze zwykłym pajacem - stwierdziła Isabel. - O wiele za dużo żelu do włosów.

Teraz to Esther prychnęła, a Leah odparowała:

- Zamknij się.

- A widzicie — wtrąciła Heidi - doskonały motyw przewodni imprezy! Ludzie, którym podobało się na studniówce, mają okazję przeżyć to jeszcze raz, a komu impreza nie przypadła do gustu, dostaje drugą szansę. *Wszyscy są wygrani.*

- Poza frajerami przygotowującymi trzy *tysiące* upominków — jęknęła Leah. A potem podniosła wzrok i zauważyła mnie.

- Hej, też postanowiłaś dołączyć do przegranych? Przełknęłam ślinę. Heidi bacznie mnie obserwowała, zauważyła więc moje zaczerwienione oczy, a na jej twarzy nagle odmalowała się troska.

- Jasne - przytaknęłam.

Maggie szybko przesunęła się ze swoim krzesłem, żeby zrobić mi miejsce. Usiadłam obok niej.

- Powiedz, Auden - zagadnęła mnie Isabel - uwielbiasz bal maturalny czy go nienawidzisz?

- To drugie - odparłam. - Chłopak mnie wystawił. Rozległy się głośne jęki.

- Co zrobił? - dopytywała Morgan. - To okropne!

- A do tego - dodała Leah - ten facet jest teraz w mieście i cały czas pisze do niej SMS-y.

- Wiesz, co powinnaś zrobić? - rzuciła pomysł Morgan. - Powinnaś zaprosić go na tę plażową imprezę, a potem jego wystawić do wiatru.

- Morgan! - Isabel uniosła brwi. - Tylko posłuchaj, jaka się zrobiłaś bojowa!

- Według mnie — wtrąciła Heidi — lepiej znajdź kogoś, z kim naprawdę chciałybyś tam pójść i to naprawić. Tak uważam.

- No nie wiem - stwierdziłam. - Chyba jest na to odrobinę za późno.

- Niezupełnie - rzuciła w moją stronę Leah. - W Tallyho panie mają dzisiaj wstęp wolny.

- Oho, żadnego Tallyho - odparowałam z uśmiechem.

- Moja krew! - Maggie rozpromieniła się i trąciła mnie łokciem.

Dziewczyny wybuchnęły zgodnym śmiechem, a potem dyskusja zeszła na inny temat. Wszystko to było żywe i szalone: rozmowy, emocje, plany. Uświadomiłam sobie, że jeśli zacznę zbyt dokładnie analizować całą sytuację, to mnie przytłoczy. Postanowiłam więc odprężyć się i choć raz pomknąć bez namysłu prosto przed siebie, niezależnie od tego, jak wyboista miałyby się okazać ta droga.

szesnaście

- RANY, NIEZŁE urazy drogowe.

Podniosłam wzrok na Adama, który stał w drzwiach biura Heidi z pudełkiem pod pachą.

- No cóż - odparłam, odkładając tubkę neosporinu, którym smarowałam najnowsze zadrapanie na łydce, efekt ostatniego twardego lądowania tego ranka. — Pewnie można je tak nazwać.

- Wyłącznie tak. - Adam odstawił pudło na szafkę z dokumentami, a potem podciągnął koszulę, żeby zaprezentować mi bliznę na brzuchu. - Widzisz? Siódma klasa, wywróciłem się na rampie. A ta tutaj - podwinął rękaw, odsłaniając kolejne lśniące białą miejsce — wywaliłem się na torze dla rowerów górskich, kiedy uderzyłem w jakąś kłodę.

-Au!

- Ale gwóźdź programu mam tutaj - ciągnął, postukując się w pierś. - Sam tytan, maleńka.

Popatrzyłam na niego bez słowa. , -Ale co?

- Płytką, której użyli, żeby poskładać mój mostek do kupy - za-ćwierkał wesoło. — Dwa lata temu podczas skoku zламаłem go kaskiem, częścią osłaniającą twarz.

- Wiesz — doszłam do wniosku, przypatrując się znowu mojej ranie - przy tobie wyglądam na mięczaka.

- Wcale nie! — Adam posłał mi serdeczny uśmiech. — Wszystko się liczy. Jeśli nie odnosisz obrażeń, to znaczy, że nie jeździsz wystarczająco intensywnie.

- W takim razie ja - rzuciłam - jeżdżę naprawdę intensywnie.
- Takie doszły mnie słuchy - przytaknął, znowu sięgając po pudło. -
Maggie wspominała, że prawdziwa z ciebie bestia.
- Co powiedziała? - zapytałam przerażona.
- Parafrazuję. - Adam machnął uspokajająco ręką. - Mówiła, że
naprawdę ciężko pracujesz i robisz ogromne postępy.
Wzruszyłam ramionami i zakręciłam tubkę z maścią.
- No nie wiem. Gdybym była dobra, nie miałabym tylu siniaków.
- Nieprawda. Podniosłam na niego wzrok.
-Nie?
Adam potrząsnął głową.
- Oczywiście, że nie. Popatrz na mnie. Jeżdżę świetnie, a zaliczałem
glebę mnóstwo razy. A prawdziwi zawodowcy? Praktycznie sama
bionika, tak często się rozbijali. Weźmy takiego Eliego. Nie raz miał
złamany łokieć albo obojczyk, no i jeszcze ta sprawa z ramieniem...
- Chwileczkę - przerwałam mu. - Z ramieniem? Chodzi ci o tę bliznę?
-Aha.
- Myślałam, że to po wypadku. Adam potrząsnął głową.
- Nie. Wykonywał jakieś triki na molo i źle wylądował. Rozciął sobie
ramię o krawędź ławki. Krew lała się strumieniami.
Popatrzyłam z powrotem na maleńki strup na moim kolanie, niemal
idealnie okrągły i połyskujący od maści.
- Wszystko się liczy — powtórzył Adam. — Bo nieważne, ile razy
upadniesz, ale ile razy wskoczysz z powrotem na rower. Dopóki
podejmujesz kolejne próby, wszystko gra.
Uśmiechnęłam się do niego.
- Wiesz — zauważyłam — powinieneś być trenerem motywacji albo
kimś w tym rodzaju.
- Nieee. To dla kompletnych palantów — rzucił lekko. — Hej,
zastąłem Heidi?

— Wyszła na lunch. - Nie dodałam, że razem z moim tatą, na ich pierwsze oficjalne spotkanie, odkąd ojciec się wyprowadził. Cały ranek Heidi zdenerwowana krążyła po sklepie, poprawiając ubrania na stojakach, i wisiała nade mną w biurze, więc naprawdę mi ulżyło, kiedy w końcu zapięła Isby w nosidełku i wyszła. Jednak gdy tylko drzwi się za nią zamknęły, sama zrobiłam się jakaś niespokojna, zastanawiając się, co będzie miała do opowiedzenia po powrocie. - Wróci za jakąś godzinę, najprawdopodobniej.

- Och. Dobra, w takim razie mogę to tu chyba zostawić. - Ulokował pudło na biurku po mojej lewej stronie, a kiedy na nie zerknęłam, dodał: - Fotki z balów szkolnych, z czasów kiedy jeszcze redagowałem roczniki. Heidi wspomniała, że chce je wykorzystać do dekoracji na imprezę plażową czy coś takiego.

- Serio? - zapytałam. - Mogę obejrzeć?

— Jasne.

Uniosłam pokrywkę. Wewnątrz znajdował się spory stos zdjęć, w większości o wymiarach dwanaście i pół na siedemnaście i pół centymetra, wszystkie czarno-białe. Na samej górze leżała fotografia Maggie, stojącej razem z Jakiem przy aucie. Miała na sobie krótką ciemną sukienkę w kształcie litery A i szpilki wiązane na paseczki, włosy spływały jej luźno na ramiona. Na nadgarstku pysznił się bukiet, a ona ze śmiechem wyciągała torebkę z Doritos w stronę wystrojonego w koszulę i spodnie od smokingu Jake'a, który stał boso na piasku. Zerknęłam na następne zdjęcie: znowu Maggie, tym razem sama, wspinająca się na palce przed lustrem z biegnącym przez środek napisem „COCA-COLA”. Na kolejnym widniała Leah, bardziej oficjalna, z facetem w wojskowym mundurze, oboje wpatrujący się w obiektyw aparatu, dalej fotka Wallace'a z rozwiązanym pasem od fraka, wykonującego na parkiecie jakąś skomplikowaną figurę taneczną. I znowu Maggie, już z innego roku i w innej sukience, tym razem dłuższej, białej. Na pierwszym zdjęciu szła deptakiem za rękę z kimś, nie wiedziałam kim, bo fotografia uchwyciła jedynie ramię. Na następnym sięgała ręką do aparatu, z palcami rozmytymi w ruchu i ustami otwartymi w szerokim uśmiechu.

- Rany - jęknęłam, przerzucając dalsze. Znowu Leah. Esther. Maggie. Wallace i Leah. Jake i Esther. Maggie. Wallace i Esther. Maggie. Maggie. Podniosłam wzrok na Adama. - Nie ma cię na żadnym z nich.

- Nie. Zawsze to ja trzymałam aparat.

Popatrzyłam na kolejne zdjęcie Maggie, tym razem na rowerze. Podtrzymywała swoją białą sukienkę jedną ręką, w drugiej ścisnęła kask.

- Dużo tu jej zdjęć.

Nie odrywając wzroku od fotografii, rzucił obojętnym tonem:

- Pewnie tak.

- Co oglądacie?

Oboje z Adamem podskoczyliśmy, kiedy Maggie — wystrojona w japonki i dzinsy - stanęła w drzwiach za naszymi plecami.

- Zdjęcia ze szkolnych balów - wyjaśniłam, niedbale przerzucając fotografie, aż wróciłam do tej z Leah i Wallace'em. - Heidi potrzebuje ich do imprezy plażowej.

- O, nie! - Maggie westchnęła, a potem podeszła i zajrzała mi przez ramię. - Nie zniosę... zobaczcie! Trzecia klasa. Leah przyszła z tym chłopakiem z piechoty morskiej, pamiętasz?

Adam skinął głową.

- Jasne.

- A ja byłam w mojej białej sukience. Uwielbiałam ją. - Znowu westchnęła, tym razem z zadowoleniem, po czym sięgnęła ponad moim ramieniem po następne zdjęcie. — Jest! Rany, cierpiałam z powodu tej kiecki takie katusze, że nie do wiary. Cały wieczór pilnowałam, żeby jej nie wybrudzić, nawet kiedy z powodu zakładu musiałam wskoczyć na rower. A potem w drodze do domu Jake mi na nią zwymiotował. Plama...

- ...nigdy nie zeszła - dokończył za nią Adam. — Mam gdzieś jej zdjęcie.

- Oby nie w tym pudle. — Wyjęła to, na którym siedziała na siodełku.

- Ale mimo wszystko to był wspaniały wieczór. Przynajmniej pominąwszy zakończenie. Jakie inne fotki tam macie? Więcej moich?

Czułam na sobie uważne spojrzenie Adama, kiedy zamykałam pudełko ze słowami:

- Raczej nie.

- Och - mruknęła Maggie. - No cóż, to chyba dobrze. Nie wiem, czy chciałabym, żeby moje wspomnienia trafiły na wystawę, którą będzie oglądać pół miasta.

- Nie? - zdziwiłam się. - Wyglądało na to, że nieźle się bawiłaś. Maggie wzruszyła ramionami.

- Pewnie tak. Ale wtedy chodziłam jeszcze z Jakiem. Ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebuję, to przypomnienie mi, ile czasu na niego zmarnowałam.

- Mimo wszystko byłaś wtedy szczęśliwa - zauważyłam. — To też się chyba liczy.

- Czyja wiem - mruknęła Maggie. - Ciągle zastanawiam się, czy nie byłoby lepiej, gdybym nikogo nie miała. Przynajmniej dzięki temu wspomnienia z całego liceum nie miałyby tego, no wiecie, posmaku.

- Posmaku? — wtrącił Adam. - A w ogóle jest takie słowo?

- Oj, wiesz, co mam na myśli - odparła Maggie, dając mu kukuśnia na ramię. - W każdym razie chodzi mi o to, że gdybym wcześniej zorientowała się, co z niego za ziółko, całe moje życie wyglądałoby pewnie zupełnie inaczej.

- Jasne - przytaknęłam. - Mogłabyś być w liceum samiutka jak palec i w ogóle nie pójść na bal maturalny.

- No właśnie — odparła. - I niewykluczone, że byłoby to równie dobre. Albo nawet lepsze.

Popatrzyłam znowu na pudło, przypominając sobie wszystkie te zdjęcia. A gdybym choć na jednym znajdowała się ja? Gdybym miała chłopaka i poszła na bal? Jaki posmak miałyby moje wspomnienia, jeśli dostałabym jeszcze jedną szansę?

- Może tak - skwitowałam uwagę Maggie. - A może nie. Maggie rzuciła mi dziwne spojrzenie i nawet otworzyła usta, żeby

coś powiedzieć, ale właśnie w tym momencie rozległ się dzwonek przy drzwiach.

— Obowiązki wzywają — zauważyła tylko, po czym okręciła się na pięcie i klapiąc japonkami, pomknęła z powrotem do sklepu, żeby radośnie powitać grupkę klientek.

Adam patrzył w ślad za nią, a kiedy zniknęła w głębi korytarza, oparł się o futrynę drzwi.

— Wiesz co — zaczął niepewnie - jeśli chcesz temu zaradzić, to jest możliwe.

- Zaradzić czemu? — Popatrzyłam na niego pytająco.

- Całej tej sprawie z niepójściem na bal - odparł. - Eli siedzi teraz w sklepie, robi remanent.

— O c z y m ty mówisz? - rzuciłam.

— Zwyczajnie wejdź tam i powiedz: „Hej, wybierz się ze mną na bal” - wyjaśnił. - To takie proste.

Miałam ochotę wyjaśnić mu, że nic, co dotyczyło mnie i Eliego, nie było proste, zwłaszcza ostatnimi czasy. Zamiast tego spytałam tylko:

- Dlaczego sądzisz, że chciałabym iść z nim?

- Bo siedzisz tu i gadasz cały czas, jak to jest spędzić całe liceum samotnie i w ogóle nie pójść na bal... To dosyć oczywiste, kogo miałaś na myśli.

— Maggie. Mówiłam o Maggie. Adam skrzyżował ramiona na piersi.

— Jasne.

Przez chwilę tylko się w niego wpatrywałam. A potem powiedziałam:

— Dobra, a co z tobą?

- Ze mną?

Skinęłam głową.

- Kiedy zamierzasz ją spytać?

- Spytać o co? Przewróciłam oczami.

- O, nie. Jesteśmy tylko przyjaciółmi.

— Jasne. - Otworzyłam pudło i zaczęłam przerzucać fotografie, wyjmując po kolei te z Maggie na rowerze, idącą i śmiejącą się, i tę przed lustrem, po czym ułożyłam je obok siebie na biurku. - Ponie-

waż oczywiście zrobiłeś tyle zdjęć wszystkim swoim przyjaciołom.

Adam zerknął na fotografie, a potem przełknął ślinę.

- Tak naprawdę — rzucił wyniośle - mam mnóstwo fotek Wallace'a.

-Adam, daj spokój.

Obserwowałam, jak pokonany osuwa się na krzesło i splata ramiona za głową. Przez chwilę po prostu tak siedzieliśmy, nie odzywając się ani słowem. Ze sklepu dobiegała paplanina Maggie omawiającej zalety i wady jednoczęściowych kostiumów kąpielowych.

- Problem w tym - powiedział wreszcie Adam - że dotarłem tak daleko, rozumiesz? Za parę tygodni zaczynamy studia.

- I co w związku tym?

- W związku z tym - ciągnął — nie wiem, czy chcę, żeby to nadało posmak tym wakacjom. Pomijając już naszą przyjaźń. Krępujący posmak, który potem skazi wszystko inne.

- Zakładasz, że odmówi.

- Nie - odparł - zakładałam, że się zgodzi, bo uzna, że będziemy się świetnie bawić. A potem ja się nakręcę, że to wielka sprawa, prawdziwa randka. Ale Maggie będzie miała odmienne zdanie, co stanie się aż nazbyt oczywiste podczas balu, kiedy porzuci mnie, aby tańczyć z jakimś obcym facetem, z którym wyjdzie z imprezy i którego w końcu pewnie poślubi.

Ze sklepu dobiegał nas śmiech Maggie, lekki i radosny, niczym muzyka.

- No cóż - powiedziałam - przynajmniej nie zastanawiałeś się nad tym zbyt wiele.

Adam rzucił mi krzywy uśmiech.

- Jakbyś sama nie myślała o zaproszeniu Eliego, co?

- Nie myślałam.

Adam przewrócił oczami.

- Nie, naprawdę. Pokłóciliśmy się... Teraz nawet ze sobą nie rozmawiamy.

- No cóż, chyba wiesz, co powinnaś zrobić.

- Tak? — zdziwiłam się.

- Aha. - Adam podniósł się z krzesła. - Wskoczył z powrotem na rower.

Popatrzyłam na niego bez słowa, a potem rzuciłam:

- To nie takie proste.

- Wręcz przeciwnie - odparł. - Wystarczy spróbować jeszcze raz. Pamiętasz?

Zamyśliłam się, podczas gdy on zmierzał już w stronę drzwi, z rękami w kieszeniach.

- A tak przy okazji - powiedziałam - istnieje coś gorszego niż skrępowanie po tym, jak człowiek się wygłupił.

- Tak? A co takiego?

- Wieczne zastanawianie się, czy wszystko nie mogło się potoczyć zupełnie inaczej. - Ruchem głowy wskazałam na zdjęcia z balów, wciąż rozłożone przede mną. - To naprawdę sporo zdjęć, wiesz?

Adam zerknął na fotografie, a potem z powrotem na mnie.

- Aha - mruknął. - Chyba masz rację.

W tym momencie piknął mój telefon. Spojrzałam na wyświetlacz. Jason.

Może lunch? Idę do last Chance, mam wolną godzinę.

- Muszę lecieć - powiedział Adam, a potem wskazał na moje odrapane kolano. - Pamiętaj. Z powrotem na rower!

- Jasne - rzuciłam w odpowiedzi. - Zrozumiałam.

Uniósł kciuki do góry, po czym pogwizdując - zawsze taki cholernie radosny, jak on to robi? - ruszył do wyjścia. Popatrzyłam znowu na zdjęcia Maggie, ułożone obok siebie, a potem na moją komórkę, na której ekranie widniała jeszcze wiadomość od Jasona. Wiedziałam, że naprawdę zawałam sprawę z Elim, odwracając się od niego w taki sposób, ale chyba nie było za późno, żeby nadać moim wspomnieniom jakiś posmak. Może dobry, może zły, ale przynajmniej własny. Sięgnęłam po komórkę i odpowiedziałam Jasonowi:

Zaraz będę.

Kiedy wieczorem dotarłam do domu, Heidi siedziała na tarasie, wpatrzona w ocean. Nawet z takiej odległości zauważyłam, że ma napięte ramiona i pochyla głowę w jakiś taki smutny sposób, więc kiedy usłyszawszy moje kroki, spojrzała na mnie, nie zdziwił mnie widok jej zaczerwienionych, podpuchniętych oczu.

- Auden - powiedziała, odgarniając włosy, po czym wciągnęła głęboko powietrze. - Nie spodziewałam się ciebie o tej porze.

- Wcześniej skończyłam - odparłam, chowając klucze do torebki. - Dobrze się czujesz?

- Nic mi nie jest. - Heidi weszła do domu i zasunęła za sobą przeszklone drzwi. — Po prostu musiałam przemyśleć parę spraw.

Stałyśmy chwilę bez słowa. Z pokoju Thisbe na górze dobiegał szum fal.

- Powiedz... jak poszło?

- Dobrze. - Heidi przełknęła ślinę, przygryzając wargę. - Długo rozmawialiśmy.

-I?

- I - odparła - uzgodniliśmy, że na razie będzie lepiej, jeśli zostawimy wszystko tak, jak jest.

- A on dalej będzie mieszkał w hotelu — uściśliłam. Heidi skinęła głową. - Czyli nie chciał wrócić.

Podeszła do mnie i położyła mi dłonie na ramionach.

- Twój ojciec... uważa, że w tym momencie bardziej by przeszkadzał, niż pomagał. I że dopóki wakacje się nie skończą, chyba lepiej będzie, jeśli skupię się wyłącznie na sobie i na Thisbe.

- To ma być dobre rozwiązanie? - zagotowałam się. — Przecież jesteście rodziną.

Znowu zagryzła usta, a potem spuściła wzrok na swoje dłonie.

- Wiem, że to może nie brzmi zbyt sensownie. *Si* — Nie brzmi.

- Ale rozumiem, o co mu chodzi - ciągnęła. - Twój ojciec i ja... nasz związek i sam ślub były szalone, tak szybko zaszłam w ciążę. Po prostu musimy trochę zwolnić.

Odłożyłam torebkę na stół.

- Więc tylko zwalnianie. To nie koniec.

Heidi pokręciła głową.

- Absolutnie.

Szczerze mówiąc, nie do końca mnie przekonała. Znałam ojca i sposób, w jaki działał - jeśli sytuacja się komplikowała, wyplątywał się z niej, jakimś cudem pozostawiając wrażenie, że to z jego strony gest altruistyczny, a nie wręcz przeciwnie. On nie opuszczał Heidi i Thisbe, on ułatwiał im życie. Nie odszedł od mojej mamy z powodu zawodowej zawiści, a tylko odsunął się, żeby pozwolić jej cieszyć się sławą, na którą zasługiwała. I z całą pewnością nie zaniedbywał mnie przez te wszystkie lata - a uczył, jak stać się niezależną i dojrzałą w świecie, w którym większość ludzi zachowywała się dziecinnie. Mój ojciec nigdy nie wskoczył z powrotem na rower. Nigdy nawet nie pozwolił sobie na upadek. Jedno zachwianie albo choćby jego zapowiedź, a natychmiast się zatrzymywał, całkowicie rezygnując z przejażdżki.

- Ale — otrząsnęła się Heidi, wysuwając sobie krzesło — dosyć o mnie. Co się dzieje z tobą?

Usiadłam naprzeciwko.

- No cóż - oświadczyłam - wygląda na to, że mam partnera na bal.

- Naprawdę? — Heidi aż klasnęła w ręce. — To wspaniale!

- Aha. Jason właśnie mnie zaprosił. ^f Heidi zamrugnęła oczami.

- Jason...

- Mój kolega z domu - wyjaśniłam, a kiedy nadal wpatrywała się we mnie pytająco, zamachałam jej komórką przed nosem. - Ten od SMS-ów.

- Och, ten który wystawił cię do wiatru! - Skinęłam głową. - No cóż, to...

- Kiepski pomysł? — rzuciłam.

- Chciałam raczej powiedzieć, że historia zatoczyła koło czy coś w tym rodzaju — odparła powoli. — A co, nie chcesz iść?

- Oczywiście, że chcę. - Spuściłam wzrok na swoje dłonie. - To jakby druga szansa, więc byłabym głupia, gdybym z niej nie skorzystała.

- Rzeczywiście. - Heidi odchyliła się na oparcie krzesła i przeczesła palcami włosy. - Takie okazje nie zdarzają się często.

Skinęłam głową, rozmyślając o Jasonie, o tym, jak czekał na mnie w barze i jak uśmiechnął się szeroko na mój widok. Przy hamburgerach i krążkach cebulowych rozprawiał bez końca o konferencji i o tym, jak świetnie wszystko się układa, a jego słowa były tak znajome, choć wcale nie w złym sensie. Zupełnie jakbym cofnęła czas i wróciła do tamtej wiosny, kiedy podczas wspólnych lunchów rozmawialiśmy o naszych poczynaniach i planach na przyszłość. A potem Jason odchrząknął i powiedział, że musi mnie o coś zapytać. I to też było takie znajome, że bez problemu się zgodziłam. Łatwizna.

Patrzyłam na Heidi wyglądającą przez okno nad zlewem i myślałam o tym, że kiedyś postrzegałam ją przez pryzmat egzaltowanych e-maili i babskich ciuszków. Gdy tu przyjechałam, sądziłam, że tyle wiem, czułam się najmądrzejsza na świecie. Ale się myliłam.

- Hej — odezwałam się nagle — mogę cię o coś spytać? Spojrzała w moją stronę.

- Oczywiście.

- Parę tygodni temu - zaczęłam - powiedziałaś, że moja mama nie jest tak naprawdę wredną jędzą. Ze nie może nią być, bo one zawsze zostają same. Pamiętasz to?

Heidi zmarszczyła brwi, zamyślona.

- Słabo.

- A potem dodałaś, że wiesz wszystko o wrednych jędzach, bo sama kiedyś taka byłaś.

- Jasne - przytaknęła. - Więc o co chciałaś spytać?

- Chyba... - urwałam, nabierając powietrza. - Naprawdę taka byłaś?

- Wredną jędzą? - upewniła się. Skinęłam głową. - O, tak. Absolutnie.

- Nie potrafię sobie tego wyobrazić — powiedziałam. - To znaczy, ciebie jako takiej osoby.

Heidi się uśmiechnęła.

- No cóż, nie znałaś mnie, zanim nie przeprowadziłam się tutaj i nie spotkałam twojego ojca. Właśnie skończyłam szkołę biznesu

i byłam strasznie spięta. A właściwie bezwzględna. Gotowa iść po trupach, byle tylko zgromadzić kapitał potrzebny na otwarcie butik w Nowym Jorku. Miałam biznesplan, kontakty z inwestorami, pożyczkę, wszystko. Nic innego się nie liczyło.

- Nie wiedziałam, że mieszkałaś kiedyś w Nowym Jorku.

- Taki miałam plan, zaraz po skończeniu szkoły-wyjaśniła. - Ale wtedy moja mama się rozchorowała. Musiałam wrócić na wakacje do domu, tu, do Colby, żeby się nią zająć. Znałam Isabel i Morgan od czasów liceum, więc znalazłam z nimi pracę jako kelnerka, żeby zarobić dodatkowe pieniądze na swój sklep.

- Pracowałaś w Last Chance?

- Tam właśnie poznałam twojego tatę - odparła. - Akurat miał rozmowę w sprawie prowadzenia zajęć na Weymar i wpadł do nas na lunch. Ruch był niewielki, więc wdaliśmy się w pogawędkę. I tak to się potoczyło. Pod koniec wakacji stan mamy się poprawił, więc pożegnałam twojego tatę i wyjechałam. Ale w Nowym Jorku wszystko szło nie tak. Przestałam tego pragnąć.

- Naprawdę? Odetchnęła głęboko.

- Przyjechałam do domu na wakacje, chcąc uciec stąd jak najszybciej. Traktowałam to jak przystanek, nie cel podróży. Miałam zaplanowane całe życie.

- I co się wydarzyło?

- Chyba po prostu ten plan okazał się nie do końca mój — powiedziała. - Zostawiłam więc Nowy Jork, wyszłam za twojego tatę i dzięki oszczędnościom otworzyłam Clementine's. I chociaż zabrzmi to dziwnie, tak właśnie było dobrze. Zupełnie inaczej niż planowałam, a jednak idealnie.

Przypomniałam sobie jej twarz tego wieczora, kiedy wróciłam do domu, to, z jakim smutkiem relacjonowała mi rozmowę z ojcem.

- I nadal tak jest? To znaczy, dobrze?

Wpatrywała się we mnie przez chwilę, a potem powiedziała:

- Wyobraź sobie, że tak. Oczywiście, żałuję, że sprawy między mną a twoim tatą nie układają się inaczej. Ale mam Thisbe, moją pracę... wszystko, czego chciałam, nawet jeśli sytuacja nie jest ide-

alna. Gdybym została w Nowym Jorku, zawsze zastanawiałabym się, co by było, gdyby...

— Żadnego posmaku — mruknęłam.

— Co takiego? Potrząsnęłam głową.

— Nie, nic.

Heidi odsunęła krzesło i wstała.

— Wyjechałam na wakacje, zakochałam się i wszystko się zmieniło. Historia stara jak świat.

Sposób, w jaki na mnie patrzyła, kiedy to mówiła, sprawił, że nagle poczułam się niezręcznie, więc odwróciłam wzrok.

— Aha - mruknęłam, wyciągając komórkę. - Zdaje się, że słyszałam to już wcześniej.

Nie odpowiedziała, pogładziła mnie tylko dłonią po głowie, kiedy przechodziła obok.

- Dobranoc, Auden - rzuciła, tłumiąc ziewnięcie. - Spij dobrze.

— Ty też.

Wiedziałam, że tak właśnie będzie. Że tę noc prześpię i że może nawet przyśni mi się coś miłego. Ta jedna rzecz z całą pewnością zmieniła się podczas mojego pobytu. A co do miłości... w moim przypadku coś podobnego nie wchodziło w grę. Ale nigdy nie wiadomo. Miałam swój bal, a dzięki niemu kolejną szansę, by ułożyć nowy plan. Lato jeszcze się nie skończyło, więc może moja historia również nie.

* * *

— W porządku — powiedziała Leah, unosząc sukienkę, żeby przyrzyć się jej rąbkowi. — Coś mi to przypomina. Czy nie robiłyśmy tego samego całkiem niedawno?

— Robiłyśmy - przytaknęła Esther. - W maju.

— A dlaczego to powtarzamy?

— Bo to impreza na plaży! — odparła Maggie.

— To stwierdzenie, a nie wyjaśnienie - rzuciła Leah. — A z pewnością nie powód, żeby znowu przez to wszystko przechodzić.

Siedziałyśmy w sypialni Heidi, która po wysłuchaniu naszych narzekań, że nie możemy znaleźć nic przyzwoitego na plażową impre-

zę, zaofiarowała się użyzyć nam coś ze swojej garderoby. Moja macocha nie przestawała mnie zaskakiwać. Była kiedyś nie tylko jędzą, ale także zakupoholiczką. Miała tony sukienek, w rozmaitych rozmiarach. Vintage, klasyka, lata osiemdziesiąte, wszystko, o czym można by zamarzyć.

— Potrzebujemy też partnerów, pamiętajcie — przypomniała Leah.
— Chyba że Heidi ukrywa jakichś seksownych facetów za tymi pudełkami butów.

— Nigdy nie wiadomo — rzuciłam, zaglądając w czeluście przepastnej szafy. - W tym momencie nic mnie już nie zdziwi.

— Tym razem partnerzy nie są obowiązkowi — wyjaśniła Maggie. - Chodźmy po prostu wszystkie razem. Będzie łatwiej bez konieczności użerania się z chłopakami.

Leah obrzuciła ją piorunującym spojrzeniem.

— Nie ma mowy. Jeśli mam się wystroić i założyć ładną kieckę, chcę także ładnego chłopczyka do pary. Absolutny wymóg.

— No cóż - otwierałam już drugie skrzydło drzwi szafy - dzisiaj babski wieczór w Tallyho.

— Wreszcie! - rzuciła Leah, wskazując palcem w moją stronę. — Ktoś mnie rozumie.

— Łatwo jej mówić - zauważyła Esther. - Tylko ona ma partnera.

— Ale nie mam kreacji - odparłam, wyciągając wąską czarną sukienkę z dużym dekoltem, którą natychmiast odwiesiłam. Strój to drobiazg, wiem. Zresztą impreza plażowa to nie jest prawdziwy bal maturalny. Ale pewnie jedyny, w jakim kiedykolwiek wezmę udział, więc zależało mi, żeby jak najlepiej wykorzystać okazję. Jednak na razie wszystkie sukienki, jakie znalazłam, okazywały się nieodpowiednie: za jasne, za krótkie, za długie, za strojne.

— O rany! — Esther obróciła, się, przyłożywszy do siebie różową sukienkę w stylu lat pięćdziesiątych, z długą, sztywną krynoliną. - Ile stawiacie, że się w tym pokażę bez żadnego obciachu?

— Musisz ją założyć - powiedziała Maggie, dotykając tkaniny. — Boże, jest dla ciebie stworzona.

— Tylko jeśli ty weźmiesz tę czarną, którą przymierzałaś wcześniej, tę w stylu Audrey Hepburn - odparła Esther.

- Tak myślisz? Chyba za elegancka.

- Więc załóż do niej japonki. To twój znak firmowy. Maggie podeszła do łóżka i sięgnęła po kreację. -To się może udać. Co myślisz, Leah?

- Myślę - odpowiedziała Leah, naciągając jaskrawoczerwoną sukienkę na top - że jeśli mam tam iść bez pary, równie dobrze mogę być ubrana w worek na śmieci, to i tak bez znaczenia.

- Dlaczego potrzebujesz faceta, żeby się wystroić? — zdziwiła się Maggie. - Nie jesteśmy wystarczająco dobrym towarzystwem, my, twoje najlepsze i najwierniejsze przyjaciółki?

- Maggie. - Leah pociągnęła sukienkę mocniej w dół. - To bal, nie spotkanie psiapsiółek.

- Ale to może być ostatnia rzecz, jaką zrobimy razem przed pójściem na studia. Już prawie sierpień, wakacje właściwie się kończą.

- Nie mów tak. — Esther oskarżycielsko wyciągnęła w jej stronę palec. - Pamiętaj o zasadach. Żadnych smętnych tekstów przed dwudziestym. Umówiliśmy się.

- Wiem, wiem - zachnęła się Maggie, machając rękami, a potem usiadła na łóżku i położyła czarną sukienkę na kolanach. — Ja po prostu... nie mogę uwierzyć, że niedługo to wszystko naprawdę się skończy. Że za rok o tej porze będzie zupełnie inaczej.

- Boże, mam taką nadzieję.

- Leah!

Leah oderwała wzrok od swojego odbicia w lustrze.

- No co? Nawet jeśli liczę na to, że za rok będę miała wspaniałego chłopaka i bezproblemowe życie, to chyba nic złego. Każdy może marzyć, prawda?

- Ale to nie jest takie złe - odparła Maggie. - To, co miałyśmy i co mamy teraz. Nie jest.

- Nie — przytaknęłam, przesuwając kolejnych parę wieszaków z sukienkami. - Nie jest.

Rzuciłam te słowa ot tak, bez namysłu. Dopiero kiedy w pokoju zapanowała kompletna cisza, zorientowałam się, że wszystkie trzy się we mnie wpatrują.

- Widzicie - rzuciła Maggie, wskazując mnie ruchem głowy. — Auden to rozumie.

- Ale rozumie też kwestię Tallyho - mruknęła Leah. - Nie żeby kogoś innego to obchodziło...

- Ale tak serio... - Maggie popatrzyła na mnie. - Auden to ominęło. Jeśli potrzebujecie powodu, żeby wystroić się na bal i przeżyć wszystko jeszcze raz, zróbcie to dla niej.

Leah spojrzała na mnie, a potem z powrotem na swoje odbicie.

- No nie wiem — droczyła się. - Prosisz o naprawę dużo.

- I co z tego - rzuciła Esther, podskakując do wtóru szelestu krynoliny. - Dzięki temu masz wymówkę, żeby wpaść do Tallyho.

- Prawda - przytaknęła Leah.

- Wiecie co, nie musicie tego robić - zwróciłam się do Maggie, która przyglądała się, jak wkładam kolejną sukienkę. - Idę z Jasonem. Poradzę sobie.

- Nie ma mowy - odparła Maggie. - Na prawdziwym, porządnym balu musisz mieć ze sobą przyjaciółki.

- Bo kto inny poza przyjaciółkami - dodała Esther - zgodziłby się pomóc ci odtworzyć to wszystko tylko po to, żebyś mogła naprawić jakiś błąd z przeszłości?

- Nikt - powiedziała Leah.

- Nikt - zawtórowała Maggie. Wszystkie trzy popatrzyły na mnie.

- Nikt - powtórzyłam i ja, chociaż przychodziła mi do głowy jeszcze jedna odpowiedź. Ale tego nie mogłam powiedzieć na głos.

Dziewczyny nadal wpatrywały się we mnie, tak intensywnie, że zaczęłam się zastanawiać, czy nie ubrudziłam się tuszem albo czy nie widać mi bielizny. Już miałam rzucić spanikowane spojrzenie do lustra, kiedy Maggie stwierdziła:

- Rany, Auden. To ta.

- Co? - zdumiałam się.

- Sukienka po prostu stworzona dla ciebie — wyjaśniła Esther, kiwając głową w moją stronę.

Popatrzyłam na fioletową kreację, którą założyłam przed momentem, a której nawet porządnie się nie przyjrzałam. Wyciągnęłam ją

z szafy tylko dlatego, że nie była czerwona, czarna ani biała, tak jak wszystko, co przymierzałam wcześniej. Teraz jednak, kiedy stanęłam przed lustrem, zauważyłam, że faktycznie leży na mnie całkiem nieźle. Dekolt wyglądał atrakcyjnie, miała rozkloszowany dół, a do tego podobał mi się kolor podkreślający barwę moich oczu. Z pewnością nie zasługiwała na miano oszałamiającej, ale może wcale takiej nie potrzebowałam.

- Naprawdę? - upewniłam się.

- Zdecydowanie. - Maggie podeszła do mnie i stanawszy obok, dotknęła materiału. - Nie podoba ci się?

Przyjrzałam się swojemu odbiciu. Nigdy nie przepadałam za sukienkami ani wyrazistymi kolorami, więc nigdy nie miałam żadnego ubrania w takim odcieniu fioletu. Wyglądałam zupełnie inaczej. Ale może w tym właśnie rzecz. I tak jak odpowiednie przekąski, w przypadku prawdziwej przygody właściwy strój jest niezbędny.

- Jasne - mruknęłam, rozciągając fałdy spódnicy. Kiedy puściłam, materiał z szelestem wrócił do dawnego położenia, zupełnie jakby wiedział, gdzie jego miejsce. - Idealna.

siedemnaście

RANKIEM W DNIU IMPREZY obudził mnie o ósmej płacz Isby dobiegający zza ściany. Przewróciłam się na brzuch i nakryłam głowę poduszką, czekając, aż Heidi przybiegnie uspokoić małą. **Kilka** minut później szloch przeszedł w łkanie, a ja zaczęłam się zastanawiać, co się dzieje. Kiedy Isby zaczęła krzyczeć, ile sił w płucach, poszłam to sprawdzić.

Znalazłam małą leżącą na wznak w łóżeczku, z czerwoną buzią i włosami pozlepianymi potem. Kiedy zobaczyła, jak się nad nią pochylałam, wrzasnęła jeszcze głośniejsze, wściekłe wymachując rączkami przed twarzą. Podniosłam ją i przytuliłam, a wtedy uspokoiła się, wydając z siebie tylko serię cichych westchnień przypominających czkawkę.

- Już dobrze - powiedziałam, podrzucając ją lekko, i wysunęłam głowę na korytarz. Nadal ani śladu Heidi, co trochę mnie zaniepokoiło. Wróciłam do pokoju dziecięcego, żeby przewinąć siostrzyczkę, której od razu poprawił się humor. Potem starannie ją opatuliłam i ruszyłam na dół. Zastałam Heidi przy kuchennym stole z komórką przy uchu, wokół stało pełno pudełek z upominkami dla gości imprezy plażowej.

- Tak, Robercie, rozumiem twoją kłopotliwą sytuację - mówiła, bawiąc się kubkiem. - Ale szczerze mówiąc, liczyłam na ciebie, nie wiem, czy uda mi się znaleźć kogoś innego w tak krótkim terminie.

Słyszałam daleki głos taty dobiegający ze słuchawki. Dzięki temu uświadomiłam sobie, od jak dawna z nim nie rozmawiałam - tydzień, może dwa. Ale w końcu zrozumiał, czemu nie odpowiadam

na jego wiadomości. Od jakiegoś czasu moja poczta głosowa była pusta.

- Wiesz co - odpowiedziała nagle Heidi - nie ma sprawy. Znajdę kogoś. Nie, nie martw się o to. Naprawdę. Kończę, mam dzisiaj mnóstwo rzeczy do zrobienia i...

Urwała, a ja znowu usłyszałam głos ojca. Cokolwiek z siebie wygłosił, sprawiło to jedynie, że Heidi z westchnieniem potrząsnęła głową.

Zawahałam się, niepewna, czy nie powinnam po prostu wrócić na górę. Ale w tym momencie Isby pisnęła i Heidi odwróciła się do nas.

- .., .muszę już iść - oznajmiła, a potem rozłączyła się bez pożegnania. — Och, Auden, tak mi przykro, że mała cię obudziła! — rzuciła, podrywając się z krzesła. - Tak mi się właśnie zdawało, że ją słyszę, ale rozmawiałam przez telefon i...

- Nie ma sprawy — przerwałam jej, kiedy wyciągnęła ręce po małą i wzięła ją ode mnie, uśmiechając się do córeczki. - I tak nie spałam.

-To było nas dwie. - Ułożyła Isby na ramieniu i poklepując ją po plecach, podeszła do ekspresu, żeby nalać sobie świeżej kawy. Potem napełniła też kubek dla mnie i podając mi go, dodała: - Obudziłam się o czwartej i zaczęłam rozplanowywać wszystko, co mam do zrobienia w ciągu najbliższych piętnastu godzin. Ale oczywiście, kiedy poczułam, że w końcu odrobinę zaczynam nad tym panować, zadzwonił twój ojciec z informacją, że nie może zająć się wieczorem małą, bo w poniedziałek rano leci do Nowego Jorku na spotkanie z agentem w sprawie książki.

Zamyśliłam się, a Heidi wróciła do stołu i posadziła sobie Thisbe na kolanach.

- No cóż, ja mogę z nią zostać, jeśli chcesz.

- Ty? — Heidi potrząsnęła głową. - Nie ma mowy! Idziesz na imprezę.

- Wcale nie muszę.

- A właśnie że musisz! Masz randkę czy coś w tym stylu. Wzruszyłam ramionami, wbijając wzrok w kubek z kawą.

- Co się stało? Myślałam, że jesteś tym podekscytowana?

Nie miałam pojęcia, jak wytłumaczyć jej wątpliwości, które nurtowały mnie, odkąd znalazłam odpowiednią sukienkę. Takie dziwne uczucie smutku, zupełnie jakby bal okazał się niewypałem, zanim w ogóle się rozpoczął.

- Nie wiem - mruknęłam. - Chyba chodzi o to, że właściwie to nie jest prawdziwy bal maturalny, rozumiesz? Jasne, będzie fajnie i w ogóle. Ale to przecież nie to samo, co gdybym poszła na ten pierwszy, prawdziwy.

Heidi zadumała się na moment, poklepując Thisbe po plecach.

- No cóż, pewnie można na to spojrzeć w ten sposób — odezwała się w końcu. - Ale mogłabyś też przyjąć, że masz szczęście, bo trafiła ci się druga szansa, więc tylko od ciebie zależy, czy ta impreza będzie warta zapamiętania.

- Aha - przytaknęłam. - Racja.

- Posłuchaj. - Heidi odstawiła kubek na stół. - Prawda wygląda tak, że nie, to nie jest idealna sytuacja. Ale jakie są idealne? Czasami trzeba samemu napisać własną historię. Pomóc przeznaczeniu, że się tak wyrażę. Rozumiesz?

Natychmiast pomyślałam o Elim i o mnie; o tym, jak pomagał mi wypełniać moją misję. Każdej z tych rzeczy - gry w kręgle, bitwy na jedzenie, rozwożenia gazet — doświadczyłam za późno i w przypadkowej kolejności. Ale moje wspomnienia i doznania wcale nie były z tego powodu mniej realne. Jeśli już, to stały się jeszcze bardziej wyjątkowe, ponieważ przytrafiły się nie mnie, ale z mojego powodu. I z powodu Eliego.

- Wiesz co? - powiedziałam do Heidi. - Masz absolutną rację.

- Naprawdę? - Uśmiechnęła się. - No, przyjemnie coś takiego usłyszeć. Zważywszy na to, co mnie dzisiaj czeka.

- Wszystko będzie w porządku - stwierdziłam, dopijając kawę, po czym podeszłam do ekspresu po dolewkę. Po drodze zabrałam kubek Heidi. - Jestem w pełnej gotowości, żeby ci pomóc. Co mam robić?

Heidi jęknęła, a potem wyciągnęła notatnik z jednego z pudeł z prezentami dla gości i przewróciła kartkę.

- No cóż, trzeba zanieść upominki do sali. Odebrać misę na poncz. Spotkać się o dziesiątej rano z DJ-em na próbę dźwięku. Och, i jeszcze ludzie od balonów domagają się zapłaty, zanim w ogóle zaczną cokolwiek robić, a teraz na dodatek muszę znaleźć nianię...

Postawiłam przed nią napełniony kubek, a potem z powrotem usiadłam przy stole. Isby, bezpiecznie utulona w jej ramionach, nie odrywała ode mnie wzroku. Wyciągnęłam rękę i pogładziłam ją po główce. Skórę miała ciepłą, delikatną. Przez chwilę wpatrywała się we mnie, a potem przytuliła się mocniej do mamy i zamknęła oczy, zasypiając w środku rozgardiaszu.

* * *

Do południa uporałam się z ludźmi od balonów, odbyłam dwie wyprawy do sali, w której miał się odbyć bal, i naciągnęłam mięsień w barku, kiedy pomagałam Heidi przesunąć na właściwe miejsce tło do zdjęć - ogromną drewnianą tablicę z wymalowaną falą usianą małymi rybkami, dzieło miejscowej grupy artystów seniorów. Byłam spocona i wszystko mnie bolało. A kiedy wracałam do domu po pudło ze szklankami do ponczu, natknęłam się na Jasona.

Akurat wysiadał z samochodu zaparkowanego na początku deptaka. Na mój widok zeszywniał, ale potem podniósł rękę, żeby do mnie pomachać.

- Auden! - zawołał, podchodząc pospiesznie. - Nie mogłem się do ciebie dodzwonić.

Przed oczami mignął mi obraz mojej komórki, która niemal na pewno została na stole w kuchni.

- Och! - rzuciłam. — Cały ranek kręcę się tu i tam.

- Twoja macocha powiedziała, gdzie mogę cię znaleźć — odparł. - W końcu odszukałem numer domowy twojego taty. Na szczęście mieszka tutaj tylko paru Westów.

Za jego plecami zauważyłam Adama, który wyszedł ze sklepu, prowadząc czerwony rower z napisem „GOTÓW DO DROGI!” zawieszonym na kierownicy. Postawił go obok ławki, a potem wrócił do środka i zatrzasnął za sobą drzwi.

- Posłuchaj - ciągnął Jason - musimy porozmawiać o dzisiejszym wieczorze.

- W porządku.

- Nie będę... - urwał, a potem odetchnął głęboko. - Nie będę mógł tam z tobą pójść.

Zaskoczyła mnie własna reakcja. Na twarz wypłynął mi rumieniec, tętno przyspieszyło. Zupełnie jak wtedy, gdy wsiadałam na rower, zalała mnie mieszanina lęku i poczucia nieuchronności, wszystko naraz.

- Odwołujesz randkę ze mną? - powiedziałam. - Serio? Znowu?

- Wiem - skrzywił się Jason. — To okropne z mojej strony. Nie dziwiłbym się, gdybyś nigdy więcej się do mnie nie odezwała.

W tym momencie powinnam była zaprzeczyć, ale tego nie zrobiłam. Po prostu czekałam na wymówkę. Zawsze jakaś jest.

- Chodzi o to, że dzisiejszy wykład na konferencji poprowadzi ktoś ważny - rzucił szybko Jason. — To liderka z samorządu studenckiego, dokonała wielkich zmian na Harvardzie podczas studiów licencjackich, a teraz działa na Yale, gdzie studiuje prawo. Robi naprawdę niesamowite rzeczy. Poznanie jej to dla mnie wspaniała szansa.

Milczałam. Adam znowu wyszedł ze sklepu, tym razem prowadząc zielony rower. Mniejszy, z szerszymi oponami i lśniącym czarnym siodełkiem, tak wypolerowany, że wprost lśnił w słońcu. „PRZYJEMNEJ PRZEJAZDŹKI!” — głosił napis powiewający na wietrze.

- W każdym razie — tłumaczył Jason — wykład jest dziś po południu, ale potem ma się odbyć kolacja dla kilku wybranych uczestników konferencji, żeby mogli osobiście porozmawiać z nią o jej doświadczeniach. Żaden pierwszy roczny student nie został zaproszony, ale ona najwyraźniej słyszała o tej akcji z recyklingiem, którą zajmowałam się w trzeciej klasie, bo...

Słuchałam go, cały czas obserwując Adama, który wyprowadził ze sklepu kolejny rower, tym razem tandem, z napisem „WYGLĄDASZ SŁODKO!” otoczonym serduszkami.

- Chodzi o to - dokończył wreszcie Jason - że po prostu muszę tam być. Przykro mi.

W tym momencie coś sobie uświadomiłam. Nie byłam zdenerwowana, że Jason wystawia mnie do wiatru. Przyspieszony puls, rumieniec na twarzy — to wszystko czuje się wtedy, kiedy człowiek cierpi, prawda, ale także gdy wskakuje się z powrotem na siodełko i po prostu rusza dalej. Może Jason nigdy nie miał być moją drugą szansą, a ja po prostu potrzebowałam takiego bodźca. Podobnie jak moje przeznaczenie.

- Wiesz co? - odpowiedziałam. - Nie ma sprawy. Jason popatrzył na mnie z niedowierzaniem.

- Naprawdę?

- Naprawdę. - Wciągnęłam głęboko powietrze, upewniając się, że to prawda. Co dziwne, tak właśnie było. - Nie gniewam się.

- Nie? - Skinęłam głową. - Och, Boże, Auden, dzięki za zrozumienie. Myślałam, że się na mnie wściekniesz! Ale ty najlepiej ze wszystkich rozumiesz, jak ważna jest nauka, prawda? No wiesz, ta jedyna w życiu okazja i...

Nadal paplał, ale ja już go wyminęłam i ruszyłam w stronę sklepu z rowerami. Jednym uchem łowiłam jeszcze jego przemowę o zrozumieniu i obowiązkach, zaangażowaniu i przyszłych staraniach, wszystkie te slogany, które znałam tak dobrze. W przeciwieństwie do tego, czemu miałam zaraz stawić czoło. Ale tego lata nauczyłam się, że liczy się nie to, dokąd zmierzasz, a jaką drogę obierasz, aby tam dotrzeć. Zdjęłam więc napis z zielonego roweru

- „PRZYJEMNEJ PRZEJAZDŹKI!” - i weszłam do sklepu, żeby zrobić pierwszy krok.

* * *

- Wiesz co? - powiedziała Maggie, gdy tylko weszłam do butiku. - Co?

Klasnęła.

- Mam partnera na bal!

- Wiesz co? - odparłam. - Co?

- A ja nie. — Maggie otworzyła usta. — Och, i jeszcze — dodałam

- kupiłam rower.

- Co takiego? - była zdumiona, ale nie zamierzałam się zatrzymywać, by wyjaśnić. Słyszałam, że idzie za mną, wykrzykując do klientek przy półkach z džinsami, że zaraz do nich podejdzie, a kiedy otworzyłam drzwi biura, prawie deptała mi po piętach. - Dobra, zwolnijmy trochę. - Podniosła ręce do góry. - Najpierw to, co najważniejsze. Jak to nie masz partnera?

- Dokładnie to, co powiedziałam - odparłam, siadając przy biurku. — Jason mnie wystawił.

- Znowu? - Skinęłam głową. - Kiedy?

- Jakies dwadzieścia minut temu.

- O mój Boże. — Maggie zakryła usta dłonią z tak przerażoną miną, jakby właśnie dowiedziała się o czyjejs śmierci. - To najstraszniejsza rzecz na świecie.

- Nie - odparłam, przetykając ślinę. - Wcale nie.

- Nie?

Potrząsnęłam głową.

- Najgorsze jest to, że zaraz potem wparowałam do sklepu z rowerami, żeby zapytać Eliego, czy nie pójdzie ze mną, a on odmówił.

Maggie poderwała do góry drugą dłoń, kładąc ją na tej, która już zakrywała jej usta.

- Rany... - jęknęła. - W takim razie skąd ten rower?

- Nie wiem - rzuciłam, machnąwszy ręką. - Ta część ostatnich wydarzeń trochę mi się zamazuje.

Popatrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami, po czym opuściła dłonie i wysunęła głowę na korytarz, żeby sprawdzić, co porabiają klientki.

- Nie ruszaj się - rozkazała, a potem wyciągnęła komórkę i z prędkością światła zaczęła stukać w klawisze. - Wzywam posiłki.

- Maggie! - jęknęłam. - Błagam, nie.

- Za późno. - Nacisnęła ostatni klawisz. - Zrobione.

W rezultacie dwadzieścia minut później siedziałam dokładnie w tym samym miejscu, tyle że w towarzystwie nie tylko Maggie, lecz także Leah i Esther, z dużym kubkiem kawy i dwiema paczkami babeczek z czekoladowymi wiórkami na biurku przed sobą.

- Babeczki? — rzuciła Maggie do Esther. - Serio?

- Spanikowałam - wyjaśniła Esther. - Jaka przekąska byłaby odpowiednia w takiej sytuacji?

Leah zamyśliła się na chwilę.

- Farmaceutyczna.

- No cóż, tego w Gas/Gro nie mieli. Muszą nam wystarczyć babeczki. — Esther popatrzyła na mnie. — Dobra. Jesteśmy wszystkie. Co się stało?

Sięgnęłam po kubek, upiłam łyk i od razu zapragnęłam wychylić całość duszkiem do dna. Ale zamiast tego opowiedziałam im, co się wydarzyło.

* * *

Kiedy otwierałam drzwi sklepu z rowerami, nie miałam żadnego konkretnego planu. W głowie tłukła mi się tylko jedna myśl, że oto dostałam kolejną szansę i tym razem muszę właściwie ją wykorzystać.

A kiedy po przekroczeniu progu zobaczyłam Elię, pomyślałam, że to znak. Stał zwrócony tyłem za ladą i wpychał jakieś rzeczy do torby, a mnie nagle ogarnęło to samo uczucie, które znałam od wielu tygodni - nagłe zawstydzenie tym, co zrobiłam, a potem pragnienie, żeby uciec jak najszybciej. Zaciśnęłam jednak palce mocniej na plakietce i ruszyłam do boju.

- Hej! — powitałam go głośno, podchodząc do lady. Mój głos zabrzmiał niepewnie, chrapliwie, więc próbowałam się opanować. Co było o wiele trudniejsze, kiedy Eli odwrócił się w moją stronę.

- Hej. - Popatrzył na mnie podejrzliwie. - Co słyhać?

W świecie idealnym stopniowo wszystko bym wyjaśniła. Przygotowałabym całą przemowę, zgrabnie dobierając odpowiednie słowa, właściwe przymiotniki. Ale ponieważ nie ma idealnego świata, rzucałam po prostu:

- Pamiętasz, jak pierwszy raz poszliśmy na kręgle?

Eli uniósł brwi. Potem obejrzał się na warsztat, gdzie widać było Adama i Wallace'a stojących plecami do nas w drzwiach wychodzących na uliczkę za sklepem.

- Aha - mruknął po chwili. — A co?

Przełknęłam ślinę i dźwięk ten wydał mi się wyjątkowo głośny.

- Zdenerwowałam się, bo w ogóle mi nie szło. A ty powiedziałaś, że nie powinnam tego oczekiwać, bo przecież nigdy wcześniej nie grałam, i że liczy się tylko to, żebym próbowała nadal.

- Zgadza się - przytaknął powoli. - Pamiętam. Wiedziałam, że za chwilę stracę całą odwagę. Dosłownie czułam,

jak opuszcza mnie powoli, sekunda za sekundą, niczym fala cofająca się do morza. Mimo to ciągnęłam.

- To właśnie przydarzyło się nam - powiedziałam. - Mnie. To, co robiliśmy... co się między nami działo... to mój pierwszy raz. No wiesz, taki, który miał znaczenie. I nie okazałam się w tym za dobra. Tak naprawdę byłam do kitu.

Eli zmrużył oczy. „O Jezu - pomyślałam. - To nie wypadło dobrze”.

- To znaczy w byciu z tobą — dodałam szybko. — Nie bardzo wychodziło mi to „my”, bo to dla mnie coś kompletnie nowego. Zawaliłam sprawę, nie miałam pojęcia, co robię, i tak się wystraszyłam, że nie chciałam nawet spróbować. Zupełnie jak z jazdą na rowerze. Co do którejś miałaś zresztą rację.

Wokół nas panowała przeraźliwa cisza, przez co moje słowa zabrzmiały jeszcze głośniejsze. Tak naprawdę, to pewnie czułabym się okropnie upokorzona, gdybym tylko zaczekała, aż dotrze do mnie sens tego, co powiedziałam. Kolejny powód, żeby nie przerywać.

- Chodzi o to — stwierdziłam, bo, Bóg mi świadkiem, sama potrzebowałam jakiegoś wyjaśnienia - że jest mi przykro. Możesz uważać, że to szaleństwo czy inne trele-morele. Ale chcę zrobić to, o czym mówiłeś, spróbować kolejny raz. I dlatego właśnie przychodzę tutaj i proszę cię, żebyś wybrał się ze mną dziś wieczorem na bal.

- Hej, Eli! - wrzasnął nagle Wallace z zaplecza. - Pociąg odjedzie. Pora się zbierać!

Ale Eli milczał. Nadal przypatrywał mi się z poważną miną. Patrzyłam mu śmiało w oczy, próbując przywołać z pamięci nasze wspólne wypadki, które zwykle rozpoczynały się i kończyły właśnie w jego sklepie. Dzięki temu moja obecność tutaj wydawała mi się właściwsza teraz, kiedy miałam wreszcie zyskać pewność, czy będziemy to

ciągnąć, czy definitywnie wszystko zakończymy. Wiedziałam, że istnieją tylko te dwie opcje. Ale z jakiegoś powodu czułam, że Eli wybierze tę drugą.

- Przykro mi - powiedział. Zabrzmiało to szczerze. A potem podniósł torbę i zarzucił ją sobie na ramię. - Ale nie mogę.

Idiotycznie pokiwałam głową. Eli rzucił mi jeszcze ostatnie, uważne i jakby smutne spojrzenie, a potem wyszedł. Po prostu odwrócił się na pięcie, minął kolegów i zniknął mi z oczu. Usłyszałam tylko trzaśnięcie drzwi. Koniec.

- Auden! - Odwróciłam głowę, nadal oszołomiona, i zobaczyłam Adama idącego w moją stronę. - Szukasz Eliego? Bo on właśnie. ..

- Nie - przerwałam mu pospiesznie. - Nie szukam.

- Och. W porządku. - Adam zerknął na Wallace'a, który tylko wzruszył ramionami. - W takim razie w czym mogę ci pomóc?

Tak naprawdę próbowałam jedynie znaleźć sposób na wyjście z tego z twarzą. A potem popatrzyłam na plakietkę, którą ciągle trzymałam w ręku - PRZYJEMNEJ PRZEJAZDŹKI! - i nagle pomyślałam, że to właśnie to, czego potrzebowałam. Znak.

- Właściwie - powiedziałam — jest jedna rzecz.

- Trele-morele? - Esther ze śmiechem klasnęła. — To dopiero retro! Nie słyszałam tego od czasów podstawówki.

- A ja - dodała Leah - nigdy nie rozumiałam, co to w ogóle znaczy.

- Więc stąd ten rower - powiedziała Maggie.

- Rower? - zainteresowała się Leah. - A co rower ma z tym wspólnego?

- Właśnie jeden kupiłam - wyjaśniłam. - Najwyraźniej.

- Bo dopiero co nauczyła się jeździć — dorzuciła Maggie. — Pomagałam jej w tajemnicy każdego ranka. Wcześniej nie umiała.

- Naprawdę? - Esther popatrzyła na mnie. - Rany. Robi wrażenie.

- Że nie potrafiłam jeździć czy że się nauczyłam? — spytałam. Esther zamyśliła się na moment.

- Jedno i drugie - powiedziała wreszcie.
- Dziewczyny! Trzymajmy się tematu. - Leah odwróciła się w moją stronę. - W porządku, więc Eli cię splawił. To jeszcze nie koniec świata.
- Nie - odparłam - ale okropnie upokarzające doświadczenie, a ja już nigdy nie będę w stanie spojrzeć Eliemu w twarz.
- Ciekawe, dlaczego odmówił? - zastanawiała się Maggie.
- Bo to Eli - rzuciłam. Leah przewróciła oczami.
- To stwierdzenie, nie wyjaśnienie.
- Chodziło mi o to — dodałam — że wiem, jaki on jest. Miałam swoją szansę, ale ją zmarnowałam. Więc on umywa teraz ręce.
- Chwileczkę - wtrąciła Esther. - Cofnijmy się odrobinę. Odkąd to byliście z Elim parą?
- Po raz kolejny wszystkie nadstawiły uszu, kiedy tłumaczyłam:
- Hm, jeszcze parę tygodni temu spędzaliśmy ze sobą sporo czasu.
- I co robiliście? - zainteresowała się Leah.
- Pomyślałam o tym, jak krążyliśmy samochodem po ciemnych ulicach Colby, sami, tylko we dwoje, noc po nocy. Zakupy, jedzenie, rozmowy, moja misja. Robiliśmy tak wiele, że sprowadzenie tego wszystkiego do jednego słowa wydawało się niemożliwe. I właśnie dlatego uznałam, że najłatwiej wytłumaczyć naszą znajomość tą jedną rzeczą, jakiej nie robiliśmy, przynajmniej na początku.
- Cierpieliśmy na bezsenność - wyjaśniłam. — Więc po prostu nie spaliśmy, oboje.
- Dopóki nie zawałiłaś sprawy - uściśliła Esther. Skinęłam głową.
- A co przeskrobałaś? Opuściłam wzrok na swoją wystygłą kawę.
- Sama nie wiem - powiedziałam. - Wydarzyło się coś, co mnie przestraszyło, więc się wycofałam.
- Dobra i to ma być konkret? — mruknęła Leah.
- Leah! - zgromiła ją Esther.
- No co? „Wydarzyło się coś”? Co to w ogóle znaczy?

Znowu wszystkie popatrzyły na mnie, a ja uświadomiłam sobie, że to właśnie był moment, w którym zwykle się wycofywałam. Zamykałam w sobie, chowałam. Ale po tym, co przeszłam tego dnia, chyba nadeszła pora na otwartość.

- Mój ojciec i Heidi się rozstali - powiedziałam. — To.. . to obudziło we mnie mnóstwo wspomnień. I poradziłam sobie z problemem tak jak wtedy, kiedy rozeszli się moi rodzice.

- Czyli jak? - zapytała Esther. Wzruszyłam ramionami.

- Zajęłam się książkami i nauką, praktycznie nikogo do siebie nie dopuszczając. Zwłaszcza kogoś, kto mógłby mi wytknąć, że się odcinam.

- Na przykład Eliego - wtrąciła Maggie.

- Zwłaszcza Eliego — odparłam. - Była taka jedna noc, kiedy poczuliśmy się sobie naprawdę bliscy... a następnego dnia zwyczajnie się przed nim zamknęłam. Czysta głupota.

- A powiedziałaś mu to wszystko? - zapytała Maggie. — Dzisiaj?

- Aha — przytaknęłam. - Ale tak jak wspomniałam, jest już za późno. On już mnie skreślił.

Zapadła chwila ciszy, wszystkie informacje musiały zostać dokładnie przeanalizowane. Wzięłam do ręki paczkę babeczek, a potem odłożyłam ją z powrotem.

- No cóż - odezwała się w końcu Leah - moim zdaniem powinnaś to olać.

- Leah - westchnęła Esther. — Proszę cię.

- Nie, szczerze. Czujesz się upokorzona. Tak bywa. Zresztą komu są potrzebni faceci? Po prostu pójdziemy na bal we cztery i będziemy szaleć do świtu.

- Myślałam - zauważyła Esther - że musisz mieć partnera albo wcale nie idziesz.

- To było, zanim wyczerpałam wszystkie opcje - wyjaśniła Leah. - Teraz zamierzam korzystać z mojego statusu singielki i bawić się z kumpelami. Wszystkie razem. Zgadza się?

- Zgadza - przytaknęła Esther. Obie popatrzyły na mnie.

— Wiecie co - stwierdziłam - dwukrotnie dostałam dzisiaj kosza, więc chyba lepiej zostanę w domu.

— Co takiego? - Leah pokręciła głową. - Tak łatwo się poddajesz? - Dwukrotnie - powtórzyłam, unosząc dwa palce. — W ciągu piętnastu minut, w odległości paru kroków. Co dalej? Cegła na głowę?

— To właśnie taka sytuacja — zauważyła Esther — kiedy wypad z dziewczynami jest konieczny. Podręcznikowy przykład. Idziesz z nami, będziemy tańczyć razem, od razu poczujesz się lepiej. Prawda, Mags?

Aż do tego momentu nie zauważyłam, że Maggie powoli wycofywała się w stronę drzwi i jedną stopą była już na korytarzu. A kiedy wszystkie trzy popatrzyłyśmy na nią, spłonęła rumieńcem.

— No cóż - powiedziała. - Właściwie...

Cisza. Po czym Leah spytała:

— Właściwie co?

— Tak jakbym miała partnera.

— Co takiego? - obruszyła się Esther. - A co z naszym babskim przymierzem?

— Cały czas się z tego nabijałyście! - zaprotestowała Maggie. - Skąd miałam wiedzieć, że zmienicie zdanie?

— Jeśli teraz powiesz mi, że idziesz z Jakiem Stockiem - przestrzegła ją Leah - naprawdę się wkurzę.

— Nie. - Maggie znowu się zarumieniła, a potem opuściła wzrok na swoje dłonie. - Adam mnie zaprosił.

Leah i Esther wymieniły spojrzenia. Po chwili popatrzyły na Maggie. I znowu na siebie nawzajem.

— O rany! - rzuciła Esther z głębokim westchnieniem. - Nareszcie!

— Nie wierzę - dodała Leah. - W końcu zdobył się na odwagę! Maggie rozpromieniła się i wróciła do biura.

— Więc nie jesteście złe?

— Oczywiście, że jesteśmy - odparła Leah.

— No i - dodała Esther - cieszymy się, że to napięcie seksualne, które narasta od lat...

- Lat! — zawtórowała jej Leah.
- ...wreszcie znajdzie swoje ujście, takie czy inne - dokończyła Esther.
- Och, to wcale nie tak — rzuciła Maggie, machając ręką. - Idziemy po prostu jako przyjaciele.
- Wcale nie - wtrąciłam.
- Co takiego? - Maggie popatrzyła na mnie.
- Podobasz mu się - wyjaśniłam. - Sam mi się do tego przyznał. A powtarzam ci to, bo jeśli zmarnujesz swoją szansę, będziesz żałować. Możesz mi wierzyć.
- Przepraszam? - dobiegł nas jakiś głos od strony sklepu. - Czy ktoś tu w ogóle pracuje?
- Oj! - jęknęła Maggie i odwróciła się na pięcie.
- Ja się tym zajmę - rzuciła Esther i wyminąwszy ją, wyszła na korytarz. Leah ruszyła za nią, po drodze wyrzucając swój kubek po kawie do kosza. Chwilę później usłyszałam, jak obie wybuchają potokiem słów, jakby chciały zrekompensować klientce dotychczasowy brak uwagi.
- Usiadłam z powrotem przy biurku, a tymczasem Maggie oparła się o futrynę i popatrzyła na mnie uważnie.
- Proszę cię, zastanów się jeszcze nad tym balem - odezwała się po chwili. — Mimo wszystko warto mieć takie wspomnienia, nawet jeśli trochę będą się różnić od twoich wyobrażeń.
- Wiem, ale szczerze mówiąc, nie sędzę, żeby mnie to teraz interesowało.
- No cóż, jeśli zmienisz zdanie, będziemy tam. W porządku? -Jasne.
- Maggie skinęła głową, a potem wyszła na korytarz, żeby wrócić do pracy.
- Och, zapomniałam ci powiedzieć - rzuciła na odchodnym. — Twój rower jest super.
- Tak sądzisz?
- Gossie z korbami Whiplash, widelcem Tweedle i tymi szerokimi oponami Russel? Doskonały wybór.
- Westchnęłam.

— No cóż. Przynajmniej na koniec wakacji nie wyjadę stąd z pustymi rękami.

- Myślałam, że to zdążyłaś załatwić wcześniej - odparła Maggie. Potem poklepała dłonią futrynę i już jej nie było. Popatrzyłam z powrotem na babeczki. Jakimś cudem Esther zapamiętała, że była to jedyna rzecz, jaką kupiłam pod wpływem impulsu tyle tygodni temu. Odwinęłam ciastka, wyjęłam jedno i potem zatopiłam w nim zęby. Zbyt tłuste, polewa za lepka. A jednak, co zdumiewające, idealnie pasowało do kawy.

osiemnaście

- JESTEŚ PEWNA? - zapytała po raz setny Heidi, stojąc w otwartych drzwiach. - Bo chyba jeszcze mogłabym...

- Heidi. - Przełożyłam Isby na drugie biodro. - Idź.

- Ale to naprawdę nie w porządku! Jeśli kogoś miałaby ominąć ta impreza, to właśnie mnie. Przecież ja już...

- Idź - powtórzyłam.

- Posłuchaj, jeżeli znajdę kogoś, kto mógłby cię zmienić, po prostu przyślę go...

Zmrużyłam oczy, posyłając jej najlepsze spojrzenie wrednej jędry, na jakie było mnie stać. Heidi aż się wzdrygnęła, a potem wyszła wreszcie na ganek.

- Dobra, w porządku - mruknęła pod nosem. - Już znikam.

Popatrzyłam za nią. Po długim namyśle wybrała koralową sukienkę do kostek na cienkich ramiączkach. Na wieszaku kreacja wyglądała dziwnie - zbyt skromna, a kolor nieciekawym - za to na Heidi prezentowała się wyśmienicie. Kolejny powód, żeby nie dokładać jej nosidełka z Isby, chociaż początkowo planowała zabrać ze sobą małą, bo nie udało się jej znaleźć niani.

- Poradzę sobie - zapewniłam kilka godzin wcześniej, zgłaszając się na ochotnika do opieki nad Thisbe. - Nie mam ochoty iść na ten bal, już ci mówiłam.

- Ale to twoja jedyna szansa! - Heidi westchnęła i popatrzyła na Isby, która leżała między nami na macie edukacyjnej, wymachując nóżkami i wpatrując się w biedronkę nad swoją głową. — To okropne, że wszystko tak się ułożyło.

- Naprawdę nie ma sprawy - zapewniłam. Przyglądała mi się z powątpiewaniem, więc dodałam: — Serio.

Co dziwne, tak właśnie czułam. Nawet po poranku podwójnego odrzucenia. Mimo że przyprowadziłam swój nowy rower do domu pieszo, zamiast na nim przyjechać, bo zwyczajnie nie zniosłabym kolejnych ran na nogach, łokciach ani moim ego. Nie ruszyło mnie i to, że zabrałam tę fioletową sukienkę z mojego pokoju i położyłam ją na łóżku Heidi, a potem włożyłam swój skromny zestaw: dresowe spodnie i top na ramiączkach, kiedy wszyscy akurat zaczynali stroić się na imprezę. Pod pewnymi względami robiłam dokładnie to samo co w maju, kiedy pierwszy raz omijał mnie bal maturalny. Tyle że teraz było zupełnie inaczej.

Zrozumiałam wreszcie, co miała na myśli Maggie, mówiąc, że pod koniec wakacji wyjadę stąd nie tylko z rowerem. Tak bardzo się zmieniłam — zdobyłam tyle nowych doświadczeń, miałam tyle historyjek do opowiedzenia, wreszcie posmakowałam życia. Fakt, nie przeżyłam bajki. Ale przecież one nie są prawdziwe. A moja historia była.

Kiedy Heidi pojechała na bal, wyszłam z Isby na taras, trzymając ją tak, żeby widziała ocean. Na plaży wciąż kręcili się ludzie — jedni pławili się w ciepłe ostatnich promieni słońca, inni wyruszali już na wieczorny spacer, przechadzali w parach czy większych grupkach, z dziećmi i psami wybiegającymi naprzód albo ociągającymi się z tyłu. Przyglądałyśmy się temu przez chwilę, a potem wróciłyśmy do środka. I w tym momencie usłyszałam pukanie do drzwi.

Kiedy przechodziłam przez kuchnię, zauważyłam komórkę Heidi leżącą na stole koło solniczki. Wyświetlacz pokazywał dwa nieodebrane połączenia - ojej, na pewno się zorientowała, że zapomniała telefonu i po niego wróciła. Otworzyłam drzwi i wyciągnęłam rękę z komórką. Ale nie stała przede mną Heidi... a moja matka.

- Cześć, Auden. Mogę wejść?

W odpowiedzi Isby zapiszczała głośno. Mama popatrzyła na nią, a potem na mnie.

- Jasne — rzuciłam i dopiero w tym momencie uświadomiłam sobie, że muszę się odsunąć, żeby ją przepuścić. — Oczywiście.

Cofnęłam się, by mogła przekroczyć próg, zamknęłam za sobą drzwi i wcisnęłam komórkę Heidi do tylnej kieszeni spodni, a potem ruszyłam za mamą do kuchni. Nie miałam pojęcia, co mnie w niej zaniepokoiło, zwłaszcza że wyglądała tak samo jak zawsze: ciemne włosy upięte do góry, czarna spódnica i top, do tego naszyjnik z onyksów podkreślający kośćistość obojczyków. Coś się jednak zmieniło.

- Mamo - zaczęłam powoli, przekładając Isby na drugie biodro.

- Co tutaj robisz?

Odwróciła się i popatrzyła na mnie. Wyglądała na zmęczoną, nawet smutną..

- Martwiłam się o ciebie od czasu naszej ostatniej rozmowy. Powtarzałam sobie, że wymyślam głupstwa, ale w końcu...

Urwała, a ja uświadomiłam sobie, jak rzadko zdarzało się jej stosować tę starą sztuczkę ojca. Nigdy nie lubiła pozostawiać innym decyzji o tym, co mogła mieć na myśli.

- Ale w końcu... - powtórzyłam.

- .. .i tak postanowiłam przyjechać — dokończyła. — Możesz to nazwać przywilejem matki. Tak się zastanawiam, czy twój tata i Heidi nie mieliby nic przeciwko poczęstowaniu mnie kawą?

- Już robię - ocknęłam się i podeszłam do szafki, żeby wyjąć kubek. Próbowałam sięgnąć na półkę, ale Isby, którą cały czas trzymałam na rękach, zaczęła grymasić, skutecznie mi to uniemożliwiając. A potem zauważyłam, że mama przygląda mi się z zagadkową miną.

- Myślisz, że mogłabyś...

- Och. - Natychmiast wyprostowała się na krześle, jakby miała się poddać jakiemuś sprawdzianowi, a potem wyciągnęła rękę. -Oczywiście.

Podaliśmy jej Isby, palce mamy dotknęły moich dłoni. Zanim wróciłam do robienia kawy, pomyślałam, jakie to dziwne, zobaczyć ją z niemowlęciem w objęciach. Wyglądała tak niepewnie, kiedy siedziała z rękami zgiętymi w łokciach i przyglądała się Isby z niemal klinicznym zainteresowaniem, jakby miała być jakąś zagadką albo łamigłówką. Thisbe nie pozostawała jej dłużna, wpatrując się w nią szeroko otwartymi oczami, podczas gdy jej rączki cały czas zataczały

kółka. Kiedy parę chwil później postawiłam przed mamą kubek z kawą, chciałam wziąć od niej siostrę, ale ponieważ nadal nie odrywała od niej oczu, usiadłam przy stole.

- Mała jest śliczna - odezwała się w końcu. - Trochę podobna do ciebie, kiedy byłaś w jej wieku.

- Naprawdę? Mama skinęła głową.

- To te oczy. Identyczne jak u twojego ojca.

Popatrzyłam na Isby - nie wyglądała na przejętą tym, że trzyma ją na rękach obca kobieta, na dodatek taka, dla której ta sytuacja może być niezręczna. Thisbe musiała czuć, że wszyscy mieli na sercu wyłącznie jej dobro.

- Nie chciałam cię martwić - powiedziałam do mamy. - Ostatnio po prostu... po prostu mnóstwo się działo.

- Domyśliłam się. - Matka ostrożnie usadziła sobie Isby na kolanach, a potem sięgnęła wolną ręką po kubek. - Ale i tak się zaniepokoiłam, kiedy zaczęłaś wypytywać o nasz rozwód. Brzmiałaś zupełnie inaczej.

- Czyli jak?

Mama zamyśliła się na moment. A potem powiedziała:

- Właściwie to przychodzi mi na myśl tylko jedno określenie: młódziej. Chociaż nie mam pojęcia dlaczego.

Dla mnie jak najbardziej miało to sens, ale nie zamierzałam się z tym wrywać. Chwyciłam tylko Isby za jeden z tłustych paluszków i lekko ścisnęłam. Mała popatrzyła na mnie, a potem z powrotem na mamę.

- Szczerze mówiąc, pomyślałam, że cię tracę — wyznała mama, bardziej do Isby niż do mnie. — Kiedy przyjechałaś tutaj, do taty i Heidi, znalazłaś tylu przyjaciół. No i jeszcze ta sprzeczka o akademik. .. Chyba po prostu przyzwyczaiałam się, że myślimy podobnie. A potem nagle okazało się, że jest inaczej. Okropnie dziwne wrażenie. Czułam się niemal samotna.

„Niemał” — pomyślałam. A potem stwierdziłam:

- To, że nie we wszystkim się zgadzamy, nie oznacza jeszcze, że nie możemy być sobie bliskie.

- To prawda - przytaknęła. - Ale chyba zwyczajnie mnie złościło, kiedy patrzyłam, jak zmieniasz się tak szybko. Zupełnie jakbyś zyskała mnóstwo nowych przyzwyczajzeń i nawyków, których nie rozumiem, miałem poczucie, jakby w twoim życiu dłużej nie było dla mnie miejsca.

Nadal patrzyła na Isby, ramionami otoczywszy ją w pasie, zupełnie jakby kierowała te słowa wyłącznie do niej.

- Znam to uczucie - powiedziałam.

- Naprawdę? Skinęłam głową.

- Aha, naprawdę.

Teraz w końcu podniosła na mnie wzrok.

- Nie umiałam poradzić sobie z myślą - mówiła powoli, starannie akcentując każde słowo - że może wybór, którego dokonałam, zniszczył ci życie. Tego bym nie zniosła.

Pomyślałam o naszej nocnej rozmowie, o tym, jak jej głos nagle złagodniał, kiedy poruszyłam temat rozwodu. Moją matkę zawsze otaczała chłodna, twarda skorupa, krucha zbroja, którą odgradzała się od świata. Ale może przez cały ten czas ona widziała to inaczej. Może dla niej wcale nie tkwiłam na zewnątrz, dobijając się, żeby mnie wpuściła, ale byłam w środku razem z nią, bezpieczna, kolejny powód, dla którego powinna pozostać taka jak dotąd.

- Nie zniszczyłaś mi życia - sprostowałam. - Żałuję tylko, że nie rozmawiałyśmy więcej.

- O rozwodzie?

- O wszystkim.

Pokiwała głową. Przez chwilę siedziałyśmy w milczeniu, przyglądając się Isby, która z uwagą obserwowała swoje stopy. A potem mama dodała:

- To nigdy nie była moja mocna strona. No wiesz, te rozmowy o uczuciach.

- Wiem — przytaknęłam. Mama spojrzała na mnie uważniej. - Moja też nie. Ale tego lata odbyłam coś w rodzaju przyspieszonego kursu wyrażania emocji.

- Naprawdę? - bąknęła zdziwiona.

- Aha. - Wzięłam głęboki oddech. - I to wcale nie jest takie trudne.
- No cóż. - Mama głośno przełknęła ślinę. - Może kiedyś mnie tego nauczysz.

Uśmiechnęłam się do niej i już wyciągnęłam rękę, żeby położyć ją na dłoni matki, poczuć pod palcami ciepło jej skóry, kiedy nagle komórka Heidi zawibrowała mi w kieszeni.

- Do licha! - mruknęłam, wyciągając aparat. - Lepiej odbiorę.
- Jasne. - Mama odchyliła się na oparcie krzesła i usadziła Isby wygodniej na swoich kolanach. — Poradzimy sobie.

Odebrałam, nie sprawdzając nawet, kto dzwoni.

- Halo?

- Heidi?

Fakt, że ojciec nie rozpoznał mojego głosu, był znaczący, chociaż nie bardzo miałam ochotę zastanawiać się, o czym to świadczy. Przez moment chciałam się nawet rozłączyć, wybrać ucieczkę. Ostatecznie jednak zaryzykowałam:

- Nie, Auden.

- Och. - Zamilkł na chwilę. - Cześć.

- Cześć - rzuciłam. Zerknęłam na mamę, która uważnie mi się przyglądała, po czym wyszłam na korytarz. Odległość nadal wydawała mi się zbyt mała, więc ruszyłam po schodach na górę. - Hm, Heidi nie ma. Zapomniała zabrać telefon z domu, kiedy szła na imprezę.

W słuchawce zapanowała kompletna cisza, tak intensywna, że zaczęłam się zastanawiać, dlaczego zakłócenia i szumy pojawiają się tylko wtedy, kiedy naprawdę chce się usłyszeć, co rozmówca ma nam do powiedzenia.

- No cóż - odezwał się w końcu ojciec. - A co u ciebie?

- Wszystko w porządku — rzuciłam. — Mnóstwo pracy.

- Domyślam się. Zostawiłem ci parę wiadomości. - Odchrząknął. - Pewnie jesteś na mnie wściekła.

- Nie — odpowiedziałam, wchodząc do sypialni, gdzie moja fioletowa sukienka nadal leżała na łóżku. Podniosłam ją i podeszłam do szafy. — Po prostu musiałam załatwić parę spraw.

- Ja też. - Znowu odkaszlnął. - Posłuchaj, wiem, że mieszkasz z Heidi, więc poznałaś tylko jej wersję wydarzeń.

- Heidi chce, żebyś wrócił do domu.

— Ja też tego chcę - powiedział. - Ale to nie takie proste.

Przesunęłam ubrania w szafie, wieszaki zabrzęczały, uderzając jeden o drugi, a potem odwiesiłam fioletową sukienkę. Ale zamiast zamknąć drzwi, zaczęłam przeglądać resztę ubrań Heidi.

- A co jest? — zapytałam. - Co?

Wyciągnęłam następną czarną kreację, tym razem z plisowaną spódnicą, i czym prędzej schowałam ją z powrotem.

- Ciągle powtarzasz, że to nie takie proste. Więc powiedz mi, co jest proste.

Wyraźnie wyczułam jego zdumienie, niemal namacalne, co właściwie nie powinno mnie dziwić. Przyzwyczyił się do tego, że zawsze szukałam w jego decyzjach logiki, która tłumaczyła tak wiele - właściwie wszystko. Był pisarzem, miewał humory, postępował samolubnie. Potrzebował snu, przestrzeni osobistej, czasu. Gdyby trzymał się z dala od ludzi, byłby po prostu dziwakiem, nikogo by nie ranił. Ale w tym właśnie rzecz. On angażował innych w swoje życie. Wyciągał do nich rękę, przywiązywał do siebie. Płodził dzieci, które też nie mogły się uwolnić spod jego władzy, nieważne, czy były maluchami, czy prawie dorosłymi ludźmi. Nie da się odgórnie decydować, czy ktoś od ciebie zależy albo cię kocha. To nie wyłącznik światła, którym można się bawić stosownie do naszego kaprysu. Jeśli jest się zaangażowanym, to jest się i już. Nie, to nie. Mnie nie wydawało się to ani trochę skomplikowane. Szczerze mówiąc, wyglądało na najprostsza rzecz na świecie.

— Widzisz — odezwał się ojciec — to właśnie miałem na myśli, kiedy wspomniałem, że się na mnie złościsz. Słyszałaś, co mówiła Heidi, ale poznałaś tylko jej wersję wydarzeń.

— Nie dlatego jestem na ciebie zła — mruknęłam, odsuwając na bok kolejne sukienki.

Było coś przyjemnego w stukocie wieszaków i feerii barw migających mi przed oczami. Różowa, niebieska, czerwona, pomarańczo-

wa, żółta. Każda sukienka niczym skorupa, skóra, nowe wcielenie, choćby na jeden dzień.

- W takim razie dlaczego? - zapytał. Czarna, zielona, czarna, w groszki.

- Chodzi o to - wyjaśniłam - że dostałeś tu drugą szansę.

- Drugą szansę — powtórzył, nie bardzo rozumiejąc.

- Aha - przytaknęłam. Z krótkimi rękawami, z długimi, z wąską spódnicą, rozkloszowana. - Ale nawet nie chcesz spróbować. Wolisz po prostu zrezygnować.

Ojciec milczał, ciszę przerywał jedynie stukot wieszaków. Dotarłam prawie do samego końca, zostało zaledwie parę sukienek, po chwili nawet mniej.

- I tak właśnie myślisz? - rzekł powoli. - Że z ciebie rezygnuję?

- Nie ze mnie - odparłam.

- W takim razie z kogo?

I wtedy nagle ją zobaczyłam. Prosta czarna sukienka, z drobnymi perełkami ozdabiającymi spódnicę i dekolt. Balowy fason w stylu lat dwudziestych. Idealna, takiej szukałam cały ten czas. A kiedy tak się w nią wpatrywałam, znalazłam coś jeszcze: odpowiedź na pytanie taty. Nagle mnie olśniło, wiedziałam, dlaczego to lato wydobyło na światło dzienne tyle różnych spraw.

- Isby - wypaliłam.

Kiedy wypowiedziałam to imię, wyobraziłam sobie buzię mojej siostrzyczki. Popłakującej, gaworzącej, krzyczącej, śliniącej się. Śpiącej i rozbudzonej, grymasnej i zadowolonej. Takiej, jaką ujrzałam pierwszego dnia w objęciach Heidi, i tej sprzed zaledwie paru minut, kiedy jej oczy uważnie śledziły moje poczynania w kuchni. Wszystkie drobiazgi wpływające na to, kim będzie, kim może się stać. Ona wciąż miała czas, przed sobą całe życie, a ja najbardziej na świecie pragnęłam, żeby nie potrzebowała wielu drugich szans. Żeby w przeciwieństwie do większości z nas zdołała znaleźć sposób na ułożenie wszystkiego tak jak trzeba za pierwszym razem.

- Isby? - powtórzył ojciec. — To znaczy z małej?

- Tak ją nazywam - wyjaśniłam. — Isby.

Ojciec milczał przez chwilę. A potem powiedział:

— Auden, ja kocham Thisbe. Zrobiłbym dla niej wszystko, tak jak i dla ciebie. Na pewno to wiesz.

To samo powiedziała mi parę minut wcześniej mama. Wtedy postanowiłam uwierzyć w te słowa. Dlaczego teraz było to takie trudne? Bo mama przyjechała do mnie. Przebyła tak daleką drogę, tyle zaryzykowała, cofnęła się po swoich śladach, abyśmy znowu mogły znaleźć się w punkcie, z którego miałyśmy szansę rozpocząć wszystko od nowa. A ojciec ciągle tkwił w miejscu i jak zawsze chciał, żebym to ja wyszła mu naprzeciw. Tak jak na początku wakacji. Zawsze to ja pokonywałam dzielący nas dystans, przystosowywałam się, znajdowałam wytłumaczenie.

— Jeśli mówisz prawdę — powiedziałam zdecydowanym głosem — udowodnij to.

Ojciec milczał przez chwilę, po czym spytał: -Ale jak?

Czasami robisz, co trzeba, za pierwszym razem. Czasami za drugim. A czasem, jak to mówią, do trzech razy sztuka. Sama też zrezygnowałam z walki, teraz jednak zrozumiałam, ile stracę, jeśli znowu nie wskoczę na rower. I dlatego właśnie wyjęłam z szafy czarną sukienkę z perełkami i ułożyłam ją na łóżku. Tym razem nie zamierzałam ojcu ułatwiać zadania:

— Wymyśl coś sam. Ja mam jeszcze jedną sprawę do załatwienia.

* * *

Planowałam pojechać samochodem. Właściwie wybiegłam z domu, ściskając kluczyki w ręku, z czarną sukienką falującą mi z szelestem wokół kolan. Ale potem zauważyłam rower oparty o schodki. Stał dokładnie tam, gdzie go wcześniej zostawiłam, i nim się obejrzałam, już siedziałam na siodełku. Stałam na pedałach, próbując przypomnieć sobie to wszystko, czego przez ostatnich parę tygodni uczyła mnie Maggie, a potem odepchnęłam się od stopnia, zanim zdążyłam zmienić zdanie.

Dziwne, ale kiedy ruszyłam chodnikiem — chwiejąc się lekko, jednak, przynajmniej na razie, utrzymując równowagę - myślałam wyłącznie o mamie. Po rozmowie z ojcem włożyłam sukienkę, po czym odszukałam japonki i torebkę. Zamierzałam zapakować Isby

do spacerówki i *zabrać* ją ze sobą. Ale kiedy zaczęłam przypinać ją pasami, pospiesznie tłumacząc się przed mamą, mała zaczęła grymasić, potem płakać i w końcu krzyczeć.

- O, nie! - jęknęłam, kiedy zrobiła się cała czerwona. Bez trudu rozpoznałam oznaki nadciągającego ataku złości. - Nie jest dobrze.

- Nie lubi spacerówki? - zainteresowała się mama stojąca za moimi plecami.

- Zwykle ją uwielbia. Nie mam pojęcia, o co chodzi. — Pochyliłam się, żeby poprawić paski, ale Isby tylko rozkrzyczała się głośniejsze, kopiąc nóżkami dla podkreślenia swojego rozdrażnienia. Spojrzałam na mamę. - Lepiej zostanę. Jest naprawdę niezadowolona.

- Nonsens. - Mama gestem kazała mi się odsunąć, a potem odpięła szelki i wyjęła małą z wózka. — Ja jej popilnuję. A ty idź się bawić.

Nie chciałam, żeby moja mina zdradzała aż takie powątpiewanie. Ale najwyraźniej nie udało mi się ukryć zdumienia, bo mama powiedziała:

- Auden, wychowałam dwójkę dzieci. Można mi powierzyć niemowlaka na godzinkę.

- Oczywiście - przytaknęłam pospiesznie. - Ja po prostu... wolałabym cię z nią nie zostawiać, kiedy tak się zachowuje.

- A cóż to za problem - obruszyła się, przytulając małą do siebie i poklepując ją po plecach. Co dziwne, wcześniej, kiedy Isby była cała urocza i radosna, mama ewidentnie czuła się niezręcznie, ale teraz, pośród wszystkich tych krzyków, sprawiała wrażenie całkowicie opanowanej. - Po prostu chciała wyrazić swoje zdanie.

- Jesteś pewna, że masz na to ochotę? - upewniłam się, podnosząc głos, żeby przekrzyczeć wrzeszczącą siostrę.

- Oczywiście. Idź już. — Ułożyła sobie zawodzącą Thisbe na ramieniu. - Spokojnie, spokojnie. — Znów poklepała małą. — Możesz mi się pożalić.

Po prostu tam stałam i patrzyłam, jak zaczyna spacerować po kuchni, kołysząc Isby w ramionach. Odnalazła nawet swój rytm: krok, klepięcie, krok, klepięcie. Mała patrzyła na mnie ponad jej ramie-

niem, z buzią ciągle czerwoną od krzyku. Ale im większa dzieliła nas odległość, tym ciszej płakała Thisbe. Wreszcie jedynym dźwiękiem, który słyszałam, był odgłos kroków mojej mamy. I coś jeszcze. - Cii, cii - szeptała mama. - Już dobrze.

Jej głos brzmiał łagodnie. I znajomo, tak jak nigdy dotąd. Głos, który wydawał mi się kiedyś wymysłem lub urojeniem, to był jej głos, przez cały ten czas. Żaden sen ani mantra, po prostu wspomnienie. Prawdziwe.

„Już dobrze”- powtarzałam sobie, kiedy podskoczyłam na krawężniku i wyjechałam na pustą o tej porze ulicę. Staralam się przywołać z pamięci wszystkie te poranki spędzone w towarzystwie Maggie, dotyk jej dłoni zaciśniętej na siodełku, odgłos kroków na chodniku, kiedy biegła obok roweru, zanim pchnęła mnie po raz ostatni, wołając „Jedź!”, i byłam zdana wyłącznie na siebie.

Mknęłam dalej, pod latarniami, obok skrzynek na listy, a koła toczyły się z szumem po asfalcie. Kiedy wyjechałam z naszej dzielnicy, miałam ulicę tylko dla siebie. Ciągnęła się aż po samotny słup sygnalizacji świetlnej i kończyła tuż przy plaży.

Skupiłam się na tym zielonym światełku daleko przed sobą, stopniowo nabierając prędkości. Wiatr rozwiewał mi włosy, a szprychy kół furkotały. Nigdy wcześniej nie jechałam tak szybko i pomyślałam sobie nawet, że chyba powinnam się bać, ale w ogóle nie czułam lęku. Za sygnalizatorem widziałam ocean, ciemny, wielki, szeroki, i już wyobrażałam sobie, jak wjeżdżam na piasek i pędzę dalej, poprzez wydmy, aż do samej wody, a prąd to jedyna rzecz na tyle silna, żeby mnie zatrzymać. Ta wizja była tak żywa, że nie dostrzegłam dwóch rzeczy, dopóki nie znalazłam się naprawdę blisko: stojącej na światłach poobijanej toyoty i krawężnika dokładnie naprzeciwko niej.

Najpierw zauważyłam samochód. Nagle po prostu się pojawił, chociaż kiedy zaledwie parę sekund wcześniej spoglądałam na drogę, na pewno nic wtedy nie jechało. Należał do Eliego. Dobrze, że nie miałam czasu się zastanawiać, skąd się tu wziął. Bo w następnej sekundzie zobaczyłam przed sobą krawężnik, który domagał się mojej całkowitej uwagi.

Przejeżdżając koło auta Eliego, uświadomiłam sobie, że muszę podjąć decyzję: hamować i liczyć na to, że upadek nie będzie groźny, albo jechać dalej i starać się przeskoczyć krawężnik. Gdyby w samochodzie siedział ktoś inny pewnie wybrałabym tę pierwszą opcję. Ale to nie był ktoś inny. W ciągu tych paru sekund, kiedy czułam każdą kroplę krwi pulsującej mi w skroniach, zrozumiałam, że to najlepszy sposób, aby wytłumaczyć Eliemu wszystko, co próbowałam powiedzieć dzisiaj rano w sklepie. Więc skoczyłam.

Nie przypominało to sztuczek Maggie na torze przeszkód. Ani żadnego z wyczynów zarejestrowanych na filmach wideo, których przez ostatnich parę tygodni obejrzałam całą masę. Ale to nie miało znaczenia. Dla mnie uczucie nagłego oderwania się od ziemi, unoszenia w powietrzu - podczas gdy koła wirowały w próżni — było niesamowite. Zupełnie jak sen. Albo przebudzenie.

Wszystko trwało zaledwie parę sekund. Potem ciężko wylądowałam, a rower zakołysał się na boki. Poczułam ten wstrząs od czubków palców aż po łokcie, próbując utrzymać kierownicę w zdrętwiałych dłoniach. Dotychczas w takim momencie zawsze godziłam się z katastrofą/zaciskając powieki, a kontener na śmieci albo zarośla zbliżały się nieuchronnie. Ale tym razem miałam oczy szeroko otwarte i jakoś się trzymałam. A potem odzyskałam równowagę i trysnąwszy fontanną piasku spod kół, pomknęłam dalej.

Ręce mi drżały, kiedy ostrożnie nacisnęłam hamulec, ciągle jeszcze czując pulsowanie krwi w skroniach. Wszystko to było oczywiste — szybki najazd, zauważenie krawężnika i poderwanie roweru do góry — a jednak nadal nie mogłam uwierzyć, że to zrobiłam. Tak naprawdę wydawało mi się nierealne, aż do chwili, gdy nadal drżąc, zatoczyłam koło i zobaczyłam Eliego. W którymś momencie zatrzymał się przy krawężniku i wysiadł z auta, a teraz po prostu stał, wpatrując się we mnie.

- Rany! - powiedział w końcu. - To było niesamowite. -Tak?

Skinął głową.

- A ja myślałem, że nie umiesz jeździć na rowerze.

Uśmiechnęłam się, a potem popedałowałam w jego kierunku. Dopiero kiedy podjechałam bliżej, zauważyłam, że jest ubrany nie w swoje nieśmiertelne dżinsy i podkoszulek albo bluzę z kapturem, ale eleganckie czarne spodnie, lśniące, nieco staromodne lakierki i białą koszulę, której nie zdążył wsunąć za pasek.

- Nie umiałam - przyznałam się, zatrzymując przy nim. - Maggie mnie nauczyła.

- Skakać też?

- Hm, nie. - Poczułam, że się rumienię. - To był, szczerze mówiąc, szczęśliwy traf.

- Naprawdę?

- A nie poznałeś?

Chwilę patrzył na mnie bez słowa.

- Jeśli mam być szczery - powiedział - to poznałem.

- Co mnie zdradziło? Wyraz przerażenia na twarzy?

- Nie. - Odchylił się na piętach. — Tak naprawdę to wcale nie wyglądałaś na przestraszoną.

- A na jaką?

- Gotową - odparł.

Zastanowiłam się nad tym przez chwilę, spoglądając na rower. , - Aha - mruknęłam. - Chyba rzeczywiście tak się czułam.

Pewnie ta sytuacja powinna wydać mi się dziwna, zwłaszcza po wszystkim, co między nami zaszło. Ale było inaczej. Może dlatego że panowała noc, kiedy rzeczy, które w blasku dnia mogłyby sprawiać wrażenie dziwacznych, są normalne. Tak jak jazda na rowerze w białej sukience i spotkanie na swojej drodze tej jednej jedynej osoby, którą pragnęłam zobaczyć.

Gdyby na dworze było jasno, miałabym więcej wątpliwości, doszukiwałabym się we wszystkim drugiego dna, za dużo bym myślała. Ale w tym momencie wydało mi się zupełnie naturalne, że odwróciłam się do Eliego, mówiąc:

- Miałaś rację, wiesz?

- Z czym?

- Z tym, że zawsze rezygnuję, jeśli coś nie wyjdzie mi za pierwszym razem - przyznałam. - To wielki błąd.

- Więc teraz wierzysz już w drugie szanse? - uściślił.
- Wierzę - przytaknęłam - w tyle szans, ile tylko trzeba, żeby wszystko naprawić.

Eli wsunął ręce do kieszeni.

- Szczerze mówiąc, ja też w to wierzę. Zwłaszcza dzisiaj.

- Naprawdę?

Kiwnął głową, a potem wskazał na półciężarówkę za swoimi plecami.

- Hmm... pamiętasz, jak ci wcześniej odmówiłem? Kiedy pytałaś o bal?

Poczułam, że się rumienię. -Tak.

- Miałem zawody w Roardale. Właściwie to biorę w nich udział już od paru tygodni.

- Wiem.

Na jego twarzy odmalowało się zdumienie, co, muszę przyznać, nawet mi się spodobało, bo rzadko udawało mi się go czymś zaskoczyć.

- Skąd?

- Śledziłam rankingi - wyjaśniłam. - W sieci. I jak ci poszło?

- Wygrałem. Uśmiechnęłam się.

- To wspaniale. Pewnie teraz wrócisz do jeżdżenia na poważnie?

- Nie. Skończyłem z tym.

- Znowu rezygnujesz?

- Odchodzę na emeryturę - poprawił mnie. - Od dzisiaj.

- Czemu?

Odchylił się na piętach i zapatrzył w głąb ciemnej ulicy.

- Planowałem to zrobić w zeszłym roku. No wiesz, dostałem się na uniwersytet, chciałem się dalej uczyć. A potem...

Czekałam. Bo Eli nigdy nie próbował nikogo zmuszać, żeby dokończył za niego zdanie. Zawsze wiedział, dokąd zmierza, nawet jeśli dotarcie tam zajmowało mu więcej czasu.

- ... Abe zginął - dokończył. - I wszystko po prostu się urwało. Ale nie chciałem tak odchodzić, po prostu wypaść z branży.

- Chciałeś odejść jako zwycięzca — dodałam.

- Przynajmniej spróbować. — Przeczesał palcami włosy. - Przepraszam za dzisiaj. Żałuję, że nie umiałem ci lepiej wytłumaczyć powodów mojej odmowy.

- Rozumiem - zapewniłam go. — To po prostu coś, co musiałeś zrobić.

Spojrzał na mnie ciemnymi oczami. -- Aha, dokładnie.

Do skrzyżowania podjechał jakiś samochód, jego światła wyłowiły nas na moment z mroku. Kierowca przyhamował, włączył kierunkowskaz i ruszył. Eli zdążył mnie obejrzeć od stóp do głów, zauważyć sukienkę i japonki.

- No więc dokąd się wybierasz? - zapytał.

- Na bal - odparłam. - A ty?

- Ja też. Lepiej późno niż wcale, zgadza się? - dodał. - Podwieźć cię?

Pokręciłam głową. Uniósł brwi i już otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zanim zdążył to zrobić, złapałam go za rękę i przyciągnęłam do siebie. A potem stanęłam na palcach i sięgnęłam do jego ust. Pocałunek był spokojny i słodki, a mnie przed oczami stanął obraz nas dwojga, takich małych, w samym środku Colby pod tym sygnalizatorem, podczas gdy całe miasto, cały świat kręciły się wokół nas. I w tamtym momencie, mimo że tylko na chwilę, wszystko było dokładnie tak, jak miało być.

Odsunęłam się i posłałam mu szeroki uśmiech, a potem znowu wskoczyłam na rower. Eli obracał się powoli, a ja zataczałam wokół niego koła, raz, dwa, trzy, jakbym rzucała czar.

- Nie chcesz, żebym cię tam zawiózł? — zapytał.

- Nie. Ale spotkamy się na miejscu.

dziewiętnaście

KAWA W BARKU w Defriese była niezła, ale nie świetna. Wchodziła jednak w skład opłaconego wyżywienia, a kubki miały monstrualne rozmiary, dlatego nauczyłam się ją lubić.

Nałożyłam pokrywkę na gigantyczny kubek, a potem wyszłam na dziedziniec, wolną ręką zarzucając plecak na ramię. Trwał październik i robiło się coraz zimniej, w powietrzu czuć było chłód, który sprawiał, że gorący napój stawał się tym bardziej niezbędny. Wsiadłam na rower i balansując z kubkiem w ręku, ostrożnie ruszyłam przez pusty kampus z powrotem do akademika. Kiedy hamowałam przy stojaku, zaczęło się śnieżyć. A zanim dotarłam na górę, rozpadało się na dobre.

— Hej — rzuciła Maggie ze swojego łóżka, kiedy weszłam do naszego pokoju na poddaszu i zdjęłam wiatrówkę. - Myślałam, że już pojechałaś.

— Jeszcze nie - wyjaśniłam. — Miałam parę spraw do załatwienia. Maggie ziewnęła i opadła z powrotem na poduszki.

— Aha, twój telefon dzwonił — powiedziała. - I to nawet parę razy.

Usiadłam na łóżku i odstawiłam kawę na skrzynkę na mleko, której używałam jako szafki nocnej. Obok budzika leżał na niej stos książek i zawartość ostatniej paczki od Heidi: dwie musujące kule do kąpieli, błyszczący do ust i zupełnie nowa para dzinsów Pink Slingback. Nadal nie znalazłam zastosowania dla żadnego z tych produktów, ale doceniałam gest.

Stała tam też ramka „NAJLEPSZE CHWILE”, którą kilka miesięcy temu podarował mi Hollis. Zupełnie o niej zapomniałam, aż

do momentu kiedy zaczęłam się pakować przed wyjazdem na studia i uświadomiłam sobie, że teraz mam wreszcie coś, co mogłabym tam umieścić. Ale nie potrafiłam się zdecydować, czy włożyć do niej zdjęcie z balu czy jedno z tych, które zrobiłam sobie z Maggie, Esther i Leah podczas naszych ostatnich wspólnych chwil w Colby. A może, zastanawiałam się, lepsze byłoby to z Hollisem i Laurą, zrobione w dniu, kiedy oficjalnie ogłosili swoje zaręczyny. Mając taki wybór, postanowiłam zostawić ramkę pustą, nim nie zyskam całkowitej pewności. Bo może najlepsze chwile wciąż są przede mną. Nigdy nie wiadomo.

Jedno zdjęcie lubiałam mieć pod ręką, chociaż przedstawiało kogoś innego. Wolałam jednak, żeby to buzia Isby była pierwszą rzeczą, jaką zobaczę, kiedy rano otworzę oczy. Sama się zdziwiłam, jak ciężko przyszło mi się rozstać z moją małą siostrzyczką pod koniec wakacji. Ostatniego dnia spędziłam w jej pokoju ponad godzinę, kołysząc się razem z nią, śpiącą na moim ramieniu, w bujanym fotelu. Jej ciepła skóra, ciężar, zapach mleka i niemowlęcia - nadal pamiętałam to równie wyraźnie, jak słowa, które szeptałam jej do ucha. O niej,

O mnie i o tym świecie dziewczyn i chłopaków, którego drobną cząstkę obie stanowiłyśmy. Kiedyś sama będzie miała mnóstwo takich sekretów do opowiedzenia. Już nie mogłam się doczekać.

Było jeszcze coś, co mi ją przypominało. Zauważyłam to podczas jednej z pierwszych wypraw do pobliskiego Park Martu, zaraz po przyjeździe na studia, i bez namysłu wrzuciłam do koszyka. Miałam szczęście, że to Maggie została moją współlokatorką — z mnóstwa powodów. Ale jednym z najważniejszych był fakt, że raz na jakiś czas cierpliwie znosiła szum fal - tych sztucznych.

Sięgnęłam po komórkę, żeby przejrzeć nieodebrane połączenia. Faktycznie, czekały dwa. Jedno od mamy, która dzwoniła teraz regularnie, pewnie żeby porozmawiać o moich studiach, chociaż ostatnimi czasy szybko zbaczałyśmy na inne tematy. Takie jak ślub Laury

i Hollisa, który doprowadzał ją do szaleństwa — mimo że, jak sama się zarzekała, próbowała zachowywać otwarty umysł — albo jej rozwijający się powoli związek z Finnem, magistrantem w okularach w czarnych oprawkach. Chłopak okazał się słodki i zabawny, a na

dodatek ją uwielbiał. Trudniej zgadnąć, co mama czuła do niego. Chociaż pracowałam nad nią, żeby kiedy będzie gotowa o tym rozmawiać, mogła to zrobić.

Druga wiadomość była od taty. Zeszli się z Heidi, bo ojciec postanowił spróbować jeszcze raz, a decyzję tę podjął w wieczór balu, gdy zrezygnował jednak z lotu do Nowego Jorku i wrócił do domu, by popilnować córeczki. Widok mamy spacerującej tam i z powrotem z popłakującą Isby musiał poruszyć w nim czułą strunę, uświadamiając mu to wszystko, czego ja nie byłam w stanie przekazać słowami. Odesłał ją z powrotem do hotelu, a sam siedział z Isby do późna w nocy, czekając na powrót Heidi, która zjawiała się z butami w ręku, rozemocjonowana po imprezie. A potem, kiedy mała zasnęła, rozmawiali. I rozmawiali.

Nie wrócił do domu tak od razu. Był to powolny proces, wymagający długich negocjacji. W końcu jednak nastąpiły zmiany. Heidi zaczęła znowu pracować w sklepie na część etatu, a tata ograniczył wykłady do jednych zajęć, żeby mogli oboje pracować, ale też mieć czas dla córki. W te dni, kiedy żadne z nich nie mogło zostać w domu, Isby zajmowała się albo Karen, mama Eliego — która lubiła spędzić trochę czasu z maluchami — albo jedna ze studentek z Weymar, ceniących sobie dodatkowe profity w postaci darmowych ciuchów z butiku Heidi. Tata nadal próbował sprzedać swoją powieść, a na razie rozpoczął pracę nad nową książką, traktującą o „mrocznych stronach rodzicielstwa i przedmieść”. Miał czas na pisanie tylko późno w nocy, ale chociaż sypiał teraz krócej niż dziewięć godzin, chyba mu to odpowiadało. Na dodatek zawsze mogłam z nim porozmawiać, jeśli akurat przytrafiła mi się bezsenna noc.

Wsunęłam komórkę do kieszeni, a potem sięgnęłam po torbę i kubek z kawą.

- To ja spadam - odmeldowałam się do Maggie.
- Do zobaczenia jutro - rzuciła. - A nie, zaczekaj, jutro mnie nie będzie. Jadę do Colby.
- Naprawdę?
- Aha. Wielkie otwarcie, pamiętasz? Och, miałam ci powiedzieć, Adam przysłał dla ciebie T-shirt. Leży na twoim biurku.

Jak mogłam zapomnieć. Zwłaszcza że Adam przy każdej wizycie - przynajmniej w co drugi weekend - mówił wyłącznie o jednym. Jesienią przejął zarządzanie sklepem, jakimś cudem godząc pracę z zajęciami na studiach zaocznych w Weymar, bardzo podekscytowany tym, że Clyde pozwalała mu wprowadzać zmiany, zamawiać asortyment, decydować o wystroju. Nowe plakietki, nowe oferty specjalne, nowe wszystko. Po poprzednim kierowniku coś jednak zostało, ostatnia sprawa do załatwienia, co zauważyłam, kiedy rozpakowałam koszulkę.

— „Rowery Abe'a" - przeczytałam napis z przodu. — Naprawdę fajnie brzmi.

— Prawda? — rzuciła Maggie, wysuwając głowę zza wezłowania łóżka, żeby na mnie spojrzeć. - Boże, z Adama zrobił się straszny pani-karz, istny kłębek nerwów. Szaleje, że wszystko musi być idealnie, a sprawy oczywiście różnie się układają. Boję się, że przeżyje załamanie nerwowe, jeśli coś jeszcze pójdzie nie tak.

— Nie — zapewniłam. - A jeśli nawet, przekaz mu, że ma wskakiwać z powrotem na rower.

— Co takiego?

— On zrozumie.

Pomachałam jej ręką, a potem zarzuciłam torbę na ramię i ruszyłam do wyjścia. Szybko zbiegłam po schodach i wskoczyłam do samochodu. Było parę minut po piątej, słońce chowało się za horyzontem. Kiedy dwie godziny później zjechałam z drogi międzystanowej i zatrzymałam się na parkingu pod barem Ray's, zdążył już zapaść zmrok.

Wyłączyłam silnik, a potem siedziałam przez chwilę, patrząc na jasne światła i lśniące stoliki w środku. Ray's to nie pralnia Clyde'a, ale miłe kelnerki pozwalały zostawać tak długo, jak się tylko chciało. I bardzo dobrze, zwłaszcza kiedy robiło się już późno i człowiek nie miał większego wyboru, tak jak ja, kiedy odkryłam ten lokal. Teraz opcji było mnóstwo, ale powód, dla którego tu wpadałam, pozostawał ten sam.

Eli siedział przy naszym ulubionym stoliku numer cztery w kącie pod oknem, pochłonięty lekturą podręcznika. W rękę trzymał

kubek kawy, obok jego łokcia stał talerz z niedojedzionym kawałkiem ciasta. W tym semestrze Eli zapisał się na mnóstwo zajęć na uniwersytecie, żeby nadrobić stracony rok, a powrót na uczelnię był dla niego naprawdę trudny. Wszystko wydawało się kompletnie nowe i przerażające. Na szczęście wiedziałam sporo o takich sprawach i z radością mu pomagałam.

Pochyliłam się i cmoknęłam go w czoło, a on podniósł wzrok i posłał mi szeroki uśmiech. Kiedy wsunęłam się na siedzenie naprzeciwko, podeszła kelnerka, żeby napełnić kawą mój kubek, o który wreszcie mogłam rozgrzać zgrabiałe palce. Poczułam dłoń Eliego zsuwającą się na moje kolano. Ranek nadejdzie szybciej, niż się spodziewamy. Jak zawsze. Ale wciąż mieliśmy tę noc, byliśmy razem, więc po prostu przymknęłam oczy, żeby cieszyć się chwilą.

Sarah Dessen napisała osiem książek dla młodzieży, które cieszą się wielką popularnością. Ukończyła Uniwersytet Karoliny Północnej w Chapel Hill, na którym wykładają jej rodzice. Właśnie rodzicom zawdzięcza zamiłowanie do literatury. Zawsze dużo czytała, ale czasem żałowała, że na Gwiazdkę dostaje głównie książki, a nie zwyczajne prezenty w stylu swetra jak jej przyjaciele. Zanim skończyła dziesięć lat, dostała maszynę i mogła spisywać swoje opowieści.

Autorka tak wspomina szkolne czasy: *Choć sporo rzeczy się zmieniło — pojawiły się narkotyki i przemoc — wiele osób opowiada o takim liceum, jakie i ja pamiętam. Zawsze gdzieś jest chłopak, w którym jakaś dziewczyna kocha się do szaleństwa, choć on nawet nie zna jej imienia, i koleżanki, których aprobaty desperacko się pragnie, choć one traktują cię jak śmiecia.*

Mieszka w Chapel Hill, gdzie się wychowała, z mężem, córką i dwoma psami.